



TAJEMNICE
SUWAŃSKIEGO
JEZIORA

KRZYSZTOF JAŚZA

NOVAE RES

Krzysztof Jasza

TAJEMNICE
SUWAŃSKIEGO
JEZIORA



NOVAE RES

1

Magda wiedziała, że już nie zaśnie. Pełna złych przeczuć nasłuchiwała ulotnych dźwięków rojących się w trzewiach opustoszałego domu. Owych szelestów, poskrzypywań i jęków, które zazwyczaj ignorowane, przywykliśmy uznawać za nocną ciszę. Chwilami porwane wiatrem fale jesiennego dżdżu uderzały w okienne szyby. Monotonne werble kropel zagłuszały złowieszcze szepty nicości i dziewczynie udawało się otrzeć o bezpieczne krawędzie snu. Ale gdy tylko deszcz ustawał, bezwzględna jawa przypominała jej o czającej się w ciemnościach grozie i nakazywała atawistyczną czujność.

Z pozoru lęk, który przyprawiał Magdę o ssanie w żołądku, nie miał żadnej racjonalnej przyczyny. Sęk w tym, że strach nie potrzebuje żadnych logicznych wymówek, aby wykiełkować. Wystarczy mu noc i pożywka dla wyobraźni. A Magda Żaboklicka została obdarzona przez naturę nader żywą imaginacją, w dodatku miała o czym fantazjować. Nie codziennie wszak człowiek spędza noc w posiadłości ofiary wilkołaka. Że też musiała nasłuchać się paplaniny starej plotkary akurat dzisiaj, kiedy wszyscy pracownicy wyjechali do domu na weekend, zostawiając samotną projektantkę na straży remontowanego budynku. Choć z drugiej strony nader chętnie nadstawiała ucha na wynurzenia sklepowej, a nawet domagała się dodatkowych szczegółów. Jednak za dnia, w zagraconym wnętrzu wiejskiego sklepiku, sensacyjna opowieść wydawała się tylko lokalną bajdą. „Miejską legendą”, choć akurat to określenie było mało adekwatne, jako że od najbliższego miasta Szurpiły dzieliło piętnaście kilometrów.

– Cholerna baba – szepnęła Magda, podciągając pod nos zalatującą stęchlizną kołdrę. Nie potrafiła sprecyzować, kto bardziej zasługuje na podobne określenie – gadatliwa sprzedawczyni czy też raczej Katarzyna Ołowik, właścicielka studia projektowania wnętrz z Zielonki pod Warszawą. Przecież właśnie za sprawą swojej pracodawczyni ambitna designerka wylądowała w nawiedzonej głuszy.

Praca w stolicy stanowiła życiowy cel pochodzącej z Łomży Żaboklickiej i zatrudnienie na przedmieściach metropolii uważała ona za przedostatni etap realizacji wielkiego planu. Większość zleceń, które realizowała, dotyczyła aranżacji luksusowych lokali w centrum wymarzonego miasta, więc pomimo mizernej pensyjki i nieciekawej stancji, na którą owa pensyjka pozwalała, dziewczyna czuła się niemal usatysfakcjonowana. Dała się poznać jako utalentowana i solidna projektantka. Lecz kiedy szefowa zaproponowała jej samodzielny nadzór i poprowadzenie prac budowlanych w pensjonacie położonym w sercu Suwalszczyzny, zaczęła nosić się z zamiarem zmiany miejsca zatrudnienia. Nawiązała już masę kontaktów i w zasadzie mogłaby nawet spróbować działalności na własną rękę. Jednak Ołowik wyczuła intencje podwładnej i zaczęła kusić ją wysoką premią w przypadku ukończenia zadania w terminie. Poza tym Magda nie musiałaby przez kilka miesięcy płacić za mieszkanie, więc w przyszłym roku mogłaby wystartować w nowy etap życia z pewnym kapitałem. Jak dotąd jej konto nieustannie świeciło pustkami. Koniec końców przystała na propozycję, by już po dwóch dniach zacząć żałować pochopnej decyzji. Zwłaszcza gdy zorientowała się, że wszelkie terminy dawno trafił szlag i pani Kasia łatwo wykręci się z obiecanej premii.

Po raz pierwszy zdarzyło się, że wszystkie ekipy jednocześnie opuściły plac budowy. Robotnicy odebrali wynagrodzenie za ostatni miesiąc i chcieli pokazać się w domu z pieniędzmi. Święta Bożego Narodzenia zbliżały się wielkimi krokami, więc należało zasilić domowy budżet na poczet związanych z nimi wydatków. Dzieci czekały na mikołajkowe prezenty. Tylko Magda nie miała dokąd jechać. Stancję w Zielonce zwolniła. Do rodzinnej Łomży mogłaby dotrzeć w miarę szybko, ale wątpiła w serdeczne powitanie ze strony młodszego brata, który po

wyjeździe siostry zajął jej pokój. Choć ojciec pewnie by się ucieszył na swój oziębły, skryty sposób. Bez sensu jednak byłoby tłuc się ponad sto pięćdziesiąt kilometrów po śliskich szosach, aby przespać się na wersalce w salonie i zjeść domową jajecznicę przyrządzoną przez pozbawionego zdolności kulinarnych rodzica. Akurat jajecznicę jadła ostatnio nazbyt często.

Właśnie gnana potrzebą zmiany monotonnego menu trafiła do wiejskiego sklepiku. Wprawdzie wsiadała do swojego wysłużonego opla z zamiarem odwiedzenia Suwałk, ale już po chwili zmieniła cel na oddalone o pięć kilometrów Jeleniewo. W końcu przy rynku znajdowały się całkiem dobrze zaopatrzone delikatesy, a deszczowa aura do pary z przenikliwym zimnem nie zachęcała do niemal trzykrotnie dłuższej podróży. Zresztą co to za radość z biegania po mieście, kiedy za kołnierz leje się człowiekowi lodowata mżawka.

Z rykiem silnika pokonywała na pierwszym biegu błotnistą leśną drogę. Jeszcze miesiąc wcześniej dukt był całkiem dobrze utrzymany, ale nieustanne ulewy i dziesiątki dostawczych półciązarówek zaopatrujących budowę zamieniły go w rozmiętkłe wertepy. Odetchnęła z ulgą, wyjechawszy na asfaltową szosę przecinającą wieś. Rozluźniona rozparła się wygodnie w fotelu i przyspieszyła, ale niemal natychmiast musiała gwałtownie hamować. Stare auto zatańczyło z piskiem na wytartych oponach. Przygarbiony człowieczek w ciemnym płaszczu pojawił się przed maską dosłownie znikąd. Zapewne dreptał poboczem, niewidoczny na tle bezlistnych żywopłotów, aż nagle zdecydował się przeskoczyć olbrzymią kałużę i wylądował na środku jezdni.

Silnik zgasł. Przechodzień zamarł na dłuższą chwilę. Skulony w półprzysiadzie wpatrywał się tępo w zderzak oddalony o niecałe pół metra od jego kolan. Potem z wolna uniósł lewą rękę do twarzy i głaszcząc prawą dłonią przedramię, zaczął perorować do mankietu płaszcza niczym spiker do mikrofonu. Tymczasem Magda oprzytomniała i łapczywie wciągnęła powietrze. Szok sprawił, że na chwilę zapomniała o oddychaniu. Czując, jak oszalałe serce odzyskuje właściwy rytm, opuściła szybko z zamiarem posłania soczystej wiązanki pod adresem pomyśleńca.

– Już dobrze, maleńka, nie bój się, myszko, nic się nie stało. – Poprzez szum dżdżu usłyszała przepełniony czułością głos nieznajomego. – No, pokaż nosek.

– Żeby ci czegoś innego nie pokazała, łajzo! – wrzasnęła dziewczyna, wystawiając głowę na deszcz. – Co ty sobie myślisz, łazęgo, wskakujesz mi pod maskę i niby nic się nie stało? A „myszko” to mów do swojej starej!

Niedoszła ofiara wypadku ze zdumieniem popatrzyła na Magdę, jakby dopiero teraz zdała sobie sprawę z jej obecności.

– Najmocniej panią przepraszam – wydukał człowieczek i bez dalszych wyjaśnień czmychnął w krzaki.

Kobieta poczuła, że brak jej zapału, aby kontynuować podróż. Chrzanić frykasy; a co to, niby jajecznica zła? – pomyślała. Przekręciła kluczyk w stacyjce i powolutku poturlała się na zwirowy podjazd przed wiejskim sklepikiem w Szurpiłach, gdzie od wielu tygodni regularnie robiła drobne zakupy. Niewyszukany asortyment знаła na pamięć. Świeże produkty ograniczały się do chleba, mleka, jajek i tanich wędlin, z których jako tako smakowała jedynie swojska kielbasa. Poza tym półki zawaływały puszki i zakurzone paczki herbatników. No i piwo oraz tanie wino w szerokim wyborze.

– Dzień dobry, pani Magdo – powitała ją serdecznie sklepowa, Maria, wdowa po Stanisławie Rączkowskim, matka trzech rośłych synów nierobów. Ci ostatni woleli mieszkać w Suwałkach i z rzadka widywali rodzicielkę. Przeważnie skłaniał ich do odwiedzin brak gotówki. Przyjeżdżali wówczas całą bandą jakąś nową wypasioną furą, aby namówić Marię do sprzedaży kolejnego fragmentu ojcowizny. Stanisław należał do majątnych gospodarzy i szczęśliwym dla dziedziców trafem większość jego pól znajdowała się poza granicami Suwalskiego Parku Krajobrazowego. Po parcelacji można było sprzedawać ziemię miastowym jako działki rekreacyjne.

– Dzień dobry, pani Mario – odpowiedziała z rezygnacją Żaboklicka i bez większej nadziei spytała: – Ma pani może coś dobrego na obiad?

Życie na budowie nie sprzyjało regularnym i wyszukany posiłkom. Pomijając kwestię pieniędzy, które Magda oszczędzała z zapobiegliwością graniczącą ze skąpstwem, dochodziły względy techniczne i społeczne. Kuchnia w domu nad jeziorem jako pierwsza padła ofiarą związanych z przebudową rozbiórek i jako ostatnia miała zostać dźwignięta z ruiny, aby w pełni zabłysnąć blichtrzem łupkowych blatów i miedzianych detali dopiero w dniu odbioru. Do gotowania pozostawała dwupalnikowa kuchenka gazowa i rozklekotana mikrofalówka, która czasem grzała potrawy, a czasem tylko obracała je w swoim wnętrzu, bucząc donośnie dla niepoznaki.

Aspekt społeczny dotyczył pozycji Magdy jako nadzorującej zespół kobiety. Śmiertelnie się bała, że jeżeli zacznie gotować bardziej wyszukane posiłki, podwładni szybko sprowadzą ją do roli kucharki. Nie wyobrażała sobie, że mogłaby upichcić smakowitą potrawę wyłącznie dla siebie i spałaszować ją na oczach wygłodniałych robotników. Wypadałoby ich poczęstować. Tym bardziej że ci ostatni chętnie dzielili się z „kierowniczką” przywiezionymi z domu smakołykami. Nakarmiłaby pracowników raz, drugi i trzeci, a za czwartym dziwiliby się, dlaczego nie ma jeszcze obiadu. Dlatego udawała, że kompletnie nie potrafi gotować. Raz nawet specjalnie przypaliła kotlet, a potem zjadła go, publicznie bolejąc nad własną niezdarnością. Choć w istocie gotowała świetnie i co gorsza, uwielbiała dobrze zjeść. Mogłaby wprawdzie od czasu do czasu wymknąć się cichaczem do restauracji Jelonek, gdzie serwowano niedrogo regionalne specjały, ale samotna konsumpcja w knajpie zawsze przyprawiała ją o parszywy nastrój. Dlatego od co najmniej tygodnia, kiedy zorientowała się, że zostanie w najbliższy weekend sama, szykowała się skrycie na kulinarną orgię. Stąd planowana wyprawa do Suwałk. Nie zamierzała wałęsać się po galeriach handlowych, lecz odwiedzić wyłącznie stoiska spożywcze i przymknąwszy oko na własną rozrzutność, nakupić różnorodnych specjałów. Jednak przewrotny los – w postaci pokurcza w przydługim płaszczu do pary z paskudną pogodą – bezwzględnie zniweczył piękne plany, sprowadzając Magdę do obscurnego sklepiku, którego od dawna miała już serdecznie dosyć.

– Ano mam jak raz świeżutkie kartacze i kiszkę ziemniaczaną – rozpromieniła się Maria.

Magdzie z wrażenia opadła szczęka.

– Nigdy nie było – wyjąkała.

– Bo pani nigdy nie przychodzi w piątki. A ja tylko na weekendy zamawiam – wyjaśniła cierpliwie sprzedawczyni.

Faktycznie, Magda nigdy nie robiła zakupów pod koniec tygodnia. Zazwyczaj w wolne dni zostawiała budowę pod opieką aktualnie zatrudnionej ekipy i wypuszczała się oplem do miasta lub robiła samotne wycieczki po obfitującej w urokliwe miejsca okolicy. Jadła wówczas w przydrożnych barach, więc nie opłacało jej się robić zapasów. Po raz pierwszy została sama w domu nad jeziorem.

Bez wahania nakupiła kiszki na sobotę i kartaczy na niedzielny obiad. W międzyczasie okazało się, że dostępne jest również słodkie mrowisko i sękacz, a nawet znalazł się słoiczek stynek w occie. Wprawdzie rybki oczekiwały na konsumpcję już niemal rok, ale nadal wyglądały apetycznie.

– Długo pani u nas jeszcze pobędzie? – zapytała Rączkowska.

– Pewno ze dwa miesiące, jak nie dłużej – westchnęła Magda.

– To w styczniu, albo lepiej w lutym, jak mróz dobrze złapie i lód będzie gruby, radzę popytać w Jelonku, czy nie mają świeżych stynek – doradziła Maria. – Takie smażone, prosto z jeziora, są najlepsze. W sklepie pani nie kupi, ale w knajpie miewają. Ten, co wynajmuje domek u Złocickiego, też wziął słoiczek i pytał, kiedy będzie sezon. Niby taki niedomyty pokurcz, ale wie, co dobre.

Żaboklicka skojarzyła, że osobnik, który omal nie spowodował wypadku, garbił się pod ciężarem wypchanego plecaczka.

– Chyba wiem, o kim pani mówi – wtrąciła. – Przed chwilą wyskoczył mi prosto pod koła. Taki niski w ciemnym płaszczyku.

– No, no, ten sam – potaknęła sprzedawczyni. – Dopiero co wyszedł.

– Wyglądał całkiem schludnie, chociaż zachowywał się jak wariat – stwierdziła dziewczyna. Nie spodobało się jej, że Rączkowska bezceremonialnie krytykuje

wygląd klientów.

– Bo niby nie jest brudny, tylko dziwnie capi – wyjaśniła Maria. – Nawet nie to, że śmierdzi. Raczej jakby mieszkał w zoo. A wariat pierwsza klasa. Kiedy myśli, że nikt nie widzi, gada do rękawa. I ciągle wypytuje ludzi o tego wilkołaka, co to niby załatwił Wójtowicza. Jakby miał obsesję. Chociaż powiem pani, że wszyscy mają trochę pietra. Odważna pani jest, pani Magdo. Ja to bym chyba umarła ze strachu, jakby mi kazali zostać w tamtym domu samej na noc. Niejeden chłop by uciekł.

– W jakim domu? – zdziwiła się projektantka.

– Ano przecie w tym, co go pani na pensjonat przerabia. Tam bestia dopadła Wójtowicza. A teraz spadkobiercy chcą wynajmować pokoje, bo nikt przy zdrowych zmysłach nie zechciałby w nim zamieszkać. Ale turyści nie skojarzą, dokąd jadą na urlop.

– Dlaczego ja nic o tym nie wiem? – Magda wyglądała na kompletnie zaskoczoną.

– Nikt pani nic nie powiedział? – zapytała Rączkowska, ściszej głoś.

Na twarzy sklepowej odmalował się przedziwny wyraz zgrozy pomieszanej z satysfakcją. Żaboklicka wyczuła, że zaraz dowie się wszystkiego. A nawet jeszcze więcej.

– Wójtowicz wcale nie był pierwszy – zaczęła sprzedawczyni. – Najpierw, gdzieś tak w lipcu, coś rozszarpało chłopaka. Miał, bidulek, nie więcej niż dwanaście lat. Rodzice wynajęli domek u Złocickiego na wakacje, a te domki stoją nie dalej niż dwieście metrów od posesji Wójtowicza. Ciało znaleźli tuż przy ogrodzeniu, ale dopiero po dwóch dniach poszukiwań. Niby krok od domu, ale przecież widziała pani pewno, jakie tam są chaszczce. Nikt nie chodzi koło parkanu, bo niby i po co. Dzisiaj do domu nad jeziorem i do gospodarstwa Złocickiego prowadzą dwie oddzielne drogi gruntowe, które dochodzą do szosy na przeciwnych końcach wsi. Ale kiedyś to była jedna droga, która robiła pętlę. Tyle że Wójtowicz, jak kupił działkę, to od razu wszystko wygrodził i drogę zamknął. A że gruntówka

nie była ani gminna, ani lasów, ani w nijakiej służebności, więc – choć ludziska nią jeździli od wieków – nikt nie mógł bogatemu zabronić. To i z biegiem lat wszystko od tej strony, gdzie się droga na płocie urywa, zarosło i zdziczało, jak w jakim buszu. I w tych krzakach jakiś zwierz dopadł chłopaczka. Pewno mały nawet nie pisnął, bo jakby krzyczał, byłoby go słychać i u Wójtowicza, i u Złocickiego. Ci, co widzieli trupka, mówili, że to musiało być jakieś olbrzymie bydlę z zębami jak kołki u brony, okropnie przy tym zajadłe, bo z małego niewiele zostało.

– Może jakiś zwyrodnialec? – podsunęła Magda, mimo woli zasłuchana w krwawe rewelacje sklepowej.

– Gdzie tam! – Rączkowska machnęła ręką. – Przecież policjanci też tak z początku myśleli, ale jak zbadali zwłoki w Białymstoku, to przyznali, że małego pokąsało jakieś zwierzę. Olbrzymi pies albo wilk. Tyle że skąd tu niby wilk? Wprawdzie ponoć trochę się tego lęgnie teraz po lasach, ale tu nikt nigdy wilka nie widział. Zresztą jakby chłopiec zginął po drugiej stronie posesji, to jeszcze. Tam parkan biegnie wzdłuż lasu i mokradeł. Ale jego coś zagryzło prawie na podwórku. I to w biały dzień, bo przecież od razu z wieczora rodzice zaczęli szukać dzieciaka. A jakby kto w okolicy miał takiego wielkiego, groźnego psa – Maria uprzedziła pytanie Magdy – to wszyscy by o nim wiedzieli. Babka Kucowa od razu powiedziała, że to musi wilkołak. Ludzie trochę się ze starej naśmiewali, ale po prawdzie lepszego wyjaśnienia nie mieli. Szczególnie starsi zaczęli wspominać, że kiedyś dawno, jeszcze podczas wojny albo tuż po, zdarzyły się podobne wypadki. Tylko że wtedy nikt ich nie badał. Co najciekawsze, sam Wójtowicz zgadzał się z Kucową i głośno mówił o wilkołaku. Że niby widywał po nocach dziwne stwory blisko swojego domu, a raz nawet jednego potrącił swoim mercedesem, jak wracał z Suwałk późno w nocy. Pokazywał wszystkim pęknięty zderzak. Śmiali się z niego, że po pijanemu walnął w słupek albo skasował sarnę. Niby bogaty, światowy, a w gusła wierzy. Ale jak zginął, to już nikomu nie było do śmiechu.

Rączkowska przerwała dla spotęgowania efektu, a raczej musiała pilnie złapać oddech, ponieważ nadawała z szybkością karabinu maszynowego.

– Też go coś zagryzło? – przynagliła Marię żądna szczegółów Żaboklicka.

– I to we własnym domu – wypaliła sklepowa. – Na środku tego wielkiego holu. Leżał z głową na schodach i miał rozszarpane gardło. Rozdarte wielkimi kłami. Znowu stwierdzili, że to na pewno jakieś zwierzę. Nawet nie jakieś, tylko dokładnie to samo, które miesiąc wcześniej zabiło chłopaka. Podobno potrafią ustalić takie rzeczy. A najdziwniejsze, że do domu przez całą noc nikt nie wchodził ani z niego nie wyszedł.

– A skąd to wiadomo?

– Bo Wójtowicz miał bardzo drogi, fikuśny alarm, co wszystko śledził i zapisywał. Kryśka Bożelakowa, ta, co sprzątała u Wójtowicza, a potem znalazła trupa, ciągle się żaliła, że nie potrafi sobie dać rady z całą tą elektroniką. Aparatura ciągle wyła, a jeśli nie wyła, to cichcem wzywała ochronę. Wójtowicz kiedyś trzymał psy, wredne dobermany, ale odkąd zainstalował sobie system bezpieczeństwa, wszystkie sprzedał.

– Nic dziwnego, że uważał – wtrąciła Magda. – Zamożny, mieszkał sam, z jednej strony jezioro, z drugiej las i bagna...

– Po mojemu to on się nie bał włóczęgów ani złodziei, tylko koleżków od ciemnych interesów. – Rączkowska ściszyła głos. – Kiedyś w Suwałkach wynajął moich synów, niby jakąś obstawę. Mieli na niego czekać w samochodzie pod hotelem. Udali mi się synkowie, nikt im w okolicy nie podskoczy i Wójtowicz dobrze o tym wiedział.

Magda skrzywiła się nieznacznie. Zdążyła nasłuchać się opowieści o latoroślach Rączkowskiej. Niedawno przed knajpą spuścili łomot zatrudnionemu na budowie hydraulikowi, chociaż podobno rzemieślnik nie był całkiem bez winy.

– Więc policja znowu nikogo nie podejrzewa? – zagadnęła, pragnąc skierować rozmówczynię na główny wątek opowieści.

– Chyba ducha – uśmiechnęła się złośliwie Rączkowska. – W zeszłym tygodniu był u mnie Piotrek Nowicki, nasz dzielnicowy. Znam go od małego, to spytałam, czy nie słyszał czegoś, jak był na komendzie w Suwałkach. Ale podobno sprawa trafiła aż do Białegostoku i tam pewnie utknęła. No bo kogo niby mają aresztować?

Kogo łapać? Jakiegoś zwierzaka, co przenika przez ściany? Teraz to i ja zgadzam się ze starą Kucową. Zresztą wszyscy sądzą, że we wsi grasuje wilkołak. Nawet ksiądz proboszcz, chociaż głośno o tym nie powie. Że też pani nikt nic dotąd nie powiedział! A to właśnie pani, pani Magdo, nadstawia teraz karku.

– Ja tam, pani Mario, w żadne zjawy nie wierzę. – Żaboklicka usiłowała nadrabiać miną, ale jej buńczuczna wypowiedź wypadła nieco blado. – Zresztą mieszkam już trzeci miesiąc w domu nad jeziorem i jak widać, nawet nic nie wiem o żadnym potworze. Wszędzie spokój i cisza, że aż zęby bolą.

– I oby tak zostało – westchnęła nieco nieszczерze sklepowa. – Ale niech pani uważa. I dobrze drzwi pozamyka.

– A niby co to da, skoro ponoć drzwi to żadna przeszkoda dla upiora? – zadrwiła dziewczyna.

Do sklepu wtoczyło się dwóch miejscowych pijaczków, którzy poczęli wysupływać na ladę zachomikowane po kieszeniach drobniaki. Uwaga Rączkowskiej natychmiast skupiła się na nowych klientach, ponieważ uzbierana suma okazała się zbyt niska w stosunku do wartości butelki preferowanego przez kupców sikacza. Ciche „do widzenia!” Magdy utonęło w jazgocie podniesionych głosów, gdy ona sama chyłkiem wymknęła się ze sklepu.

– Skurczybyki – mruknęła, ładując zakupy do bagażnika.

Nie miała na myśli nikogo konkretnego. Raczej oberwało się całemu otoczeniu, które trwało aż dotąd w podstępnej zмовie milczenia. Poinformowanie pracownicy o ponurej historii domu nie leżało naturalnie w interesie Katarzyny Ołowik. Miejscowi mogli sądzić, że o wszystkim wie. Ale dlaczego żaden z pracowników nawet nie zająknął się o lokalnej legendzie? Przecież musieli znać historię tajemniczych zgonów, choćby dlatego, że kilku robotników pochodziło z sąsiednich miejscowości. Czyżby mieli swoją młodą „kierowniczkę” za idiotkę, która złąknie się duchów?

Bardziej wściekła na źle ukierunkowaną dyskrecję bliźnich niż przejęta opowiadaniem sklepowej przebiła się samochodem przez błotniste koleiny,

czerpiąc niezdrową satysfakcję z piłowania protestującego głośno silnika. Jednak droga przez zasnuty mżawką las dziwnie jej się tym razem dłużyła. A kiedy zajechała na podwórze, po raz pierwszy postanowiła zatrzasnąć za sobą wrota bramy wiodącej do posiadłości Wójtowicza. Jednak zadanie okazało się niewykonalne. Ciężkie kute skrzydła utkwily w naniesionym na podjazd błocie jak przyspawane. Nie przejęła się zbytnio. Dotąd zawsze były otwarte, więc niby co się zmieni?

Dopiero kiedy objuczona pakunkami stanęła w mrocznym holu, poczuła, że może być źle. W wielkim domu panowała przygnębiająca cisza, w której każdy szelest lub stukot obcasów budził niepokojące echa.

To dziwne – pomyślała Magda – że echo nigdy nie mieszka razem z ludźmi. Pogłos rozchodzi się tylko w opuszczonych budynkach. Kryptach, piwnicach i katakumbach. Wystarczy jedna osoba śpiąca gdzieś w odległym pokoju, żeby przepłoszyć echo. Wcześniej nigdy go nie słyszałam.

Idąc do kuchni, starała się nie patrzeć na podstawę dębowych schodów, gdzie ponoć spoczęło okaleczone ciało poprzedniego właściciela. Po drodze zapalała światło, ale podpięte do prowizorycznej instalacji gołe żarówki świeciły słabo, niechętnie rozpraszając szarawy półmrok późnojesiennego popołudnia.

Początkowo zamierzała usmażyć sobie kizkę ziemniaczaną, ale wrzuciła do mikrofalówki kartacze i przez parę minut rozkoszowała się łomotem i rżeniem, które wydawała z siebie sfatygowana maszyna. Kiedy kuchenka oznajmiła gotowość radosnym „bim!”, natychmiast nastawiła ją ponownie. A potem jeszcze raz. W głośnym buczeniu urządzenia było coś uspokajająco normalnego, co koło coraz bardziej napięte nerwy Magdy.

Zaniosła skwierczące cepeliny do jadalni. Przestronne pomieszczenie, znajdujące się w przecinającym zachodnią elewację wykuszu, z trzech stron otaczały wielkie okna, z których rozciągał się urzekający widok na jezioro. Dziewczyna uwielbiała ten pokój i cały tydzień wyobrażała sobie, jak konsumuje przy dębowym stole wykwintny posiłek, rozkoszując się rozległą panoramą, której

nie dane jest podziwiać nikomu oprócz niej. Miała nadzieję, że przez chwilę poczuje się jak księżniczka, a nie budowlaniec.

Ale w rzeczywistości wszystko układało się nie tak. Po pierwsze cepeliny, choć smaczne i z chrupiącymi skwarkami, trudno uznać za wykwintny posiłek. Stynki wydawały się jakieś kwaśne. Jezioro przybrało ołowiany odcień, a groźne granatowe chmury kłębiące się ponad czarnym masywem wieńczącej przeciwległy brzeg Góry Zamkowej co chwila pluły deszczem. Wielkie krople, miotane wyjąłym smętnie wichrem, spływały kaskadami po zakurzonych szybach i cały świat wydawał się zapłakany. A może udręczony? Przerażony?

Magda wstała od stołu i zaczęła szukać radia. Kiedy robotnicy pracowali, zawsze gdzieś głośno grało, nastawione na stację nadającą skoczne disco polo. Lecz teraz, jak na złość, przepadło. Wygrzebała więc z torebki telefon i słuchawki. Puściła ulubione nagranie i ukroiła sobie spory kawałek sękacza. Przeniosła się na ustawioną pod ścianą starą kanapę i pólżąc w demonstracyjnie niedbałej pozie, bez apetytu żuła ciasto. Po dłuższej chwili zdała sobie sprawę, że rozbrzmiewająca w uszach muzyka tylko jej przeszkadza, ponieważ cały czas usiłuje nasłuchiwać wyimaginowanych odgłosów płynących z głębi domu. Odłożyła słuchawki i włączyła głośnik. Pobzykująca w przygnębiającej ciszy melodyjka wydawała się jeszcze gorsza, więc Magda postanowiła skorzystać z ostatniej możliwości i zadzwonić do koleżanki. Wybrała numer i dopiero wtedy spostrzegła na ekranie mały napis: „Brak sygnału. Tylko połączenia alarmowe”.

Suwalski Park Krajobrazowy leży w rejonie silnej anomalii magnetycznej. Prawdopodobnie wywołują ją zalegające w głębi ziemi bogate złoża rud żelaza. A Szurpiły znajdują się w samym środku wzmiankowanej anomalii, więc sygnał radiowy płata różne figle. Czasem zanika na długie godziny. Magda przekonała się o tym fakcie natychmiast po przyjeździe, gdy bezskutecznie starała się skontaktować z szefową, krążąc z telefonem przy uchu po okolicy. Sygnał zawsze udawało się w końcu złapać na jakimś wzniesieniu, a przy dużym szczęściu nawet w innym kącie pomieszczenia, jednak wynik poszukiwań stanowił loterię. Z czasem owa powszechnie znana nieprzewidywalność łączności zaczęła przynosić

niejakie korzyści. Wystarczyło wyłączyć telefon, aby uwolnić się od natarczywej kontroli ze strony przełożonej, a potem można było zwalić wszystko na anomalie magnetyczną. Tego dnia jednak młoda projektantka dałaby wiele za możliwość kontaktu ze światem.

Za oknami wczesny zmierzch błyskawicznie przeistaczał się w nieprzenikniony mrok pochmurnej nocy. Dziewczyna zdecydowała, że nieco wcześniej, niż zamierzała, zrealizuje kolejny punkt swego hedonistycznego planu. Czas udać się do sypialni.

Pokój, który zajmowała Magda, stanowił jedyny, lecz niezaprzeczalny bonus w jej dobrowolnym wygnaniu. Robotnicy z często zmieniających się ekip nocowali w dwóch zbiorowych sypialniach na parterze, urządzonych w dawnym salonie i przestronnym gabinecie. Na piętrze mieszkała tylko „kierowniczka”. Jej lokal nie należał do największych, ponieważ te bardziej reprezentacyjne padły już ofiarą wstępnych prac remontowych, czyli – konkretnie mówiąc – uległy całkowitej dewastacji. Za to był bardzo przytulny i praktycznie umeblowany. Miał dwa narożne okna, z których jedno wychodziło na las, a drugie na jezioro, choć nie roztaczał się z niego widok równie spektakularny, jak z okien jadalni. Nie widoki ani umeblowanie przesądzały wszakże o luksusie.

Otóż bezpośrednio z sypialni drzwi prowadziły do przestronnej łazienki, wyłożonej marmurowymi płytkami i wyposażonej w olbrzymie lustro, toaletkę, prysznic z biczami wodnymi oraz gigantyczną wannę z hydromasażem. Sęk w tym, że Magda nigdy jeszcze z owej wanny nie skorzystała. Problem stanowiły drugie drzwi prowadzące z łazienki bezpośrednio na korytarz, zamykane nie na przekręcany łazienkowy zameczek, ale na zwykły klucz. I ten klucz gdzieś zaginął, więc znając realia budowy, w każdej chwili należało się spodziewać wtargnięcia wiedzionego zapałem stachanowca – hydraulika, glazurnika lub malarza. A prace trwały od świtu do późnej nocy. Co ciekawe, kobieta zupełnie nie przejmowała się taką możliwością, biorąc prysznic w przeszklonej kabinie. Nie zaliczała się do przesadnie pruderyjnych i potrafiłaby raz dwa popędzić kota mimowolnemu podglądaczowi. Stojąc twardo na nogach, wiedziała, że panuje nad sytuacją.

Zresztą jako dodatkowe zabezpieczenie podstawiała pod klamkę krzesło. Lecz nie wiedzieć czemu czułaby się strasznie głupio przyłapana przez robotników w pianistej kąpieli z bąbelkami.

Żaboklicka zgasiła światło w kuchni i zdecydowanym krokiem pomaszerowała do holu, który choć przestronny, wcale nie był taki wielki, jak wynikałoby z opowiadania Rączkowskiej. Owszem, przecinał dwie kondygnacje, a ciemne dębowe schody stylizowane na pałacowy antyk robiły wrażenie, jednak w porównaniu z pozostałymi pomieszczeniami, zwłaszcza gigantycznym salonem przypominającym salę balową, mógł uchodzić za klitkę. Miał jakieś pięć na sześć metrów, po jednej ścianie wiała się wachlarzowa klatka schodowa, w dwóch bocznych ścianach znajdowały się wysokie drzwi o masywnych futrynach prowadzące do salonu, gabinetu, korytarza i kuchni, zaś w czwartej dwa wąskie okna oraz dwuskrzydłowe drzwi wejściowe z górnym naświetlem wypełnionym kolorowymi szybkami. Te ostatnie otwierały się lekko i wyglądały na drewniane, jednak w rzeczywistości wewnątrz posiadały pancerną konstrukcję i sejfowy zamek z niezliczoną ilością zapadek. Nawet witraż osłaniała kuloodporna szyba. Wszystko to razem, w połączeniu z pretensjonalną i nieco tandetnie wykonaną angielską boazerią, sprawiało wrażenie pozbawionego gustu, nowobogackiego przepychu.

Projektantce podobała się tylko kamienna posadzka, którą jako jedyną zamierzała zachować w przyszłej aranżacji, choć właśnie jej los wydawał się najbardziej zagrożony. Podłogę wyłożono wielkimi nieregularnymi płytami wapienia jurajskiego, dobranego ze względu na zawartość malowniczych skamielin. Niestety, wapień jest dosyć miękki i bardzo źle znosił trudy przebudowy. Z początku Magda niemal codziennie własnoręcznie zabezpieczała posadzkę kartonami i folią, w końcu jednak musiała uznać swoje wysiłki za pozbawioną sensu syzyfową pracę. Pocieszył ją kamieniarz, który wykonawszy w kącie odkrywkę, stwierdził, że grubość płyt wynosi niemal dziesięć centymetrów i pozwala na ich wielokrotne szlifowanie w przyszłości. Więc jeżeli nikomu nie uda się poważnie wyszczerbić kamienia, na koniec budowy przywróci bez trudu posadzce jej pierwotny blask. Na razie jednak podłoga stanowiła obraz nędzy

i rozpaczy. Pokrywała ją warstwa naniesionego błota i gipsowego pyłu, poprzecinana zawijasami nieregularnych smug w miejscach, gdzie robotnicy przeciągali jakieś ciężkie przedmioty.

Zazwyczaj, przechodząc przez hol, Magda poświęcała chwilę melancholijnej zadumy na kontemplację owej ruiny, podświadomie poszukując wzrokiem nienaprawialnych ubytków, ale tego dnia interesowały ją jedynie pancerne wejściowe drzwi. Z obsesyjną starannością sprawdziła, czy aby na pewno są dobrze zamknięte, po czym westchnęła lekko, spoglądając na kłęb wyrwanych ze ściany kabli, w miejscu gdzie zapewne mieścił się niegdyś panel alarmu. Choć przecież Wójtowiczowi alarm w niczym nie pomógł. W głębi duszy cieszyła się, że nie musi sprawdzać drzwi prowadzących do garażu. Droga do nich wiodła przez całą szerokość domu labiryntem ciasnych i mrocznych korytarzy. Drzwi mogły być otwarte, ale i tak nikt nie dostałby się tamtędy do środka, ponieważ automatyczna brama garażowa niedawno zacięła się na tyle skutecznie, że trzech tęgich chłopów nie zdołało jej poruszyć nawet o centymetr. Cały parter ostatni właściciel wyposażył zaś w najwyższej klasy okna antywłamaniowe, których czujący dziwną abominację do świeżego powietrza budowlańcy nigdy nie otwierali.

Nikt, przynajmniej nikt materialny, nie zdołałby zakłócić spokoju samotnej lokatorce. Pozostawało udać się jak co wieczór do sypialni. Jednak przy obecnym stanie nerwów Magdy wejście na piętro stanowiło pewne wyzwanie. Niemal cała pierwotna instalacja oświetleniowa została zdemontowana i zastąpiona przez elektryków jakąś prowizorką na czas budowy. Na klatce nie było wyłączników schodowych. Zazwyczaj dziewczyna nie przejmowała się drobnym utrudnieniem, gasiła światło w holu i szła na górę, licząc wygodne stopnie. Przy siedemnastym, ostatnim, zapalała światło na korytarzu i po sprawie. Ale tego dnia nie chciała przebywać w mroku ani minuty. Nie w holu. Z drugiej strony za wszelką cenę pragnęła sobie udowodnić, że durne bajanie sklepowej nie zrobiło na niej najmniejszego wrażenia. Przecież nie jestem głupią panikarą – powtarzała sobie.

Zgasiła lampy. Czerń aż zakłuła ją w oczy. No nie, jeszcze sobie nogę zwiczną i kto mi pomoże? – przebiegło jej przez myśl, więc skorzystała z racjonalnego

wytłumaczenia i włączyła je z powrotem, oddychając z ulgą, gdy ciemność zrejterowała pod schody. W końcu nic się nie stanie, jeśli żarówka poświeci przez jedną noc – w dalszym ciągu usprawiedliwiała się w myślach. – A co, jeżeli nagle ktoś zapuka do drzwi i będę musiała lecieć na dół? Natychmiast przyszło jej do głowy, że takie pukanie w środku nocy na pewno nie zwiastowałoby niczego dobrego.

Szybko wbiegła po schodach, z nieznanym przyczyn przeskakując pierwszy stopień. Na górze bezwiednie obejrzała się za siebie, jakby musiała zyskać pewność, że żadna zła istota nie zmaterializowała się za jej plecami. Naturalnie nic się nie zmieniło, ale widziany z perspektywy galerii, zasnuty szarym całunem kurzu, hol emanował jakąś nieuchwytną grozą, niczym wewnątrz cmentarnej krypty. Porzucając wszelkie pozory opanowania, Magda popędziła korytarzem, wzbijając przy tym tumany wszechobecnego gipsowego pyłu. Wpadła do sypialni i z ulgą przekręciła klucz w zamku. Bezpiecznie ukryta w znajomym wnętrzu, rozjaśnionym ciepłym blaskiem nocnej lampki, natychmiast zaczęła się besztać za dziecinny atak paniki.

Zdecydowanym krokiem weszła do łazienki. Zobaczywszy w wielkim lustrze swoją bladą twarz, posłała pod adresem odbicia soczyste przekleństwo.

– Jednak jestem idiotką – powiedziała. – Niewiele brakuje, żebym zaczęła piszczeć, jak te głupie cipy z horrorów klasy B.

Odkręciła mosiężny kran i wsypała do wanny cały pojemnik drogiej soli do kąpeli, którą już dawno nabyła w drogerii z myślą o nadchodzącej chwili rozpusty. Zanim zaczęła się rozbierać, odruchowo chwyciła stojące w kącie krzesło i przysunęła do drzwi, blokując oparciem klamkę. Gdy tylko uświadomiła sobie, że podyktowana nawykiem zapobiegliwość jest całkowicie zbędna, z łomotem odstawiła mebel na miejsce. W istocie wcale nie podobało jej się, że drzwi pozostaną niezabezpieczone, ale chciała w jakiś sposób ukarać ową nieakceptowaną, lękliwą część swojej osobowości.

Kąpiel okazała się rozkoszna. Nareszcie jakiś element weekendowych planów w pełni odpowiadał wyobrażeniom. Zabawa różnymi funkcjami jacuzzi zupełnie

pochłonęła Żaboklicką, a jednostajny pomruk pompy przegnał nachalnie panoszącą się w opustoszałym domu ciszę.

Wszystko szło dobrze do momentu, gdy baraszkująca wśród pian miłośniczka spa zdecydowała się zanurkować w wodnej kipieli. Zatkaną palcami nos, mocno zacisnęła powieki i rozluźniona opadła na dno wanny. Przyczajona wyobraźnia tylko czekała, aż odcięta od bodźców dziewczyna znajdzie się w jej władaniu. Na oczekaniu wykreowała mroczną postać, która pochylała się nad wanną, wyciągając szponiaste łapy po nieświadomą niczego ofiarę. Wizja była tak dojmująca, że Magda aż zachłysnęła się wodą w rozpaczliwej próbie jak najszybszego wydobycia się na powierzchnię. I tak prysnął czar ostatniej z zaplanowanych przyjemności.

Samotna lokatorka nie miała siły dłużej walczyć z narastającą paranoją. Nie bacząc, jak śmieszne mogłoby się wydawać jej zachowanie komuś postronnemu, starannie sprawdziła, czy obie pary drzwi w jej pokoju są zamknięte na klucz, zasłoniła szczelnie okna i skuliła się pod kołdrą, nie gasząc nocnej lampki. Nie liczyła na spokojny sen, jednak nieustanne napięcie wyczerpało ją do tego stopnia, że już po chwili zapadła w niespokojną drzemkę, a po kwadransie chrapała w najlepsze.

Ocknęła się w kompletnej ciemności. Miała niejasne wrażenie, że coś ją obudziło. Coś niepokojąco realnego. Nie dręczyły jej przecież żadne koszmary. Odruchowo wyciągnęła rękę i namacała wyłącznik lampy. Dopiero kiedy bezproduktywnie zaklikał, przypomniała sobie, że zostawiła zapalone światło. Przepaliła się żarówka albo zabrakło prądu. Ta druga możliwość była, niestety, aż nadto prawdopodobna. Prowizorki elektryków powodowały częste wybicia korków. Nie miała jednak ochoty wstawać z bezpiecznego łóżka, aby sprawdzić, co w istocie zaszło. A już na pewno nie zamierzała wędrować po ciemku przez pół domu, żeby zerknąć na korki. Tablica rozdzielcza znajdowała się piętro niżej w pomieszczeniu technicznym obok garażu.

Tak oto przedstawiały się okoliczności, które spowodowały, że zdolna projektantka wewnątrz, Magda Żaboklicka, kuliła się w środku nocy pod kołdrą

i wydana na pastwę rozigranej wyobraźni, przeklinała po równi gadatliwą sklepową oraz przebywającą ponad trzysta kilometrów dalej Katarzynę Ołowik. Minuty pełnego udreki nasłuchiwania ciągnęły się w nieskończoność, więc może nie należy się dziwić, że kiedy nagle gdzieś z głębi budynku dobiegł głośny łomot, Magda poczuła coś na kształt ulgi.

Skonfrontowana z rzeczywistym zagrożeniem dziewczyna bez wahania przystąpiła do działania. Ku własnemu zaskoczeniu przestała majaczyć o niematerialnych zjawach, lecz pomyślała o zupełnie realnych włamywaczach. Wprawdzie plac budowy nie stanowił łakomego kąska dla potencjalnych rabusiów, ale przecież wszędzie znajdzie się garstka obiboków, dla których wartym zachodu łupem okaże się rozklekotana wiertarka.

Żaboklicka zdecydowanym ruchem odrzuciła kołdrę i odszukała telefon leżący na nocnym stoliku. Włączyła ekran. Zegar wskazywał trzecią siedemnaście, a poniżej nadal wyświetlał się przeklęty napis: „Brak sygnału”. Jednak jego dalszy ciąg – „Tylko połączenia alarmowe” – rokował pewną nadzieję. Magda wybrała 112. A co, jeżeli mi się tylko wydawało? – pomyślała i wyobraziła sobie kpiące spojrzenia policjantów z patrolu. Zaraz jednak zorientowała się, że ma poważniejsze zmartwienie. Głośnik cicho pisnął i połączenie nie doszło do skutku. To samo powtórzyło się przy drugiej i trzeciej próbie. Żaden patrol się nie pojawi.

Najrozsądniej byłoby pozostać we w miarę bezpiecznej sypialni, ale postępowanie pompowanej przez długie godziny adrenaliną dziewczyny dalece odbiegało od racjonalności. Wstała i walnęła z furią w wyłącznik żyrandola. Naturalnie żadnej reakcji. A więc nawaliły korki. Same z siebie albo uszkodził je włamywacz. Magda znowu zaczęła gmerać w telefonie, aż odnalazła odpowiednią aplikację. Bezużyteczny komunikator zamienił się w przydatną latarkę. Snop jasnego światła dodał samozwańczej strażniczce otuchy.

Zdecydowanym ruchem przekręciła klucz w zamku, przełożyła telefon do lewej ręki, a prawą sięgnęła po kryształowy wazon. Zahaczyła małym palcem o klamkę i z rozmachem otworzyła drzwi, oświetlając korytarz. Każdy czający się w mroku intruz, nawet przybyły z otchłani zaświatów, niechybnie oberwałby w łeb ciężkim

bibelotem, gdyby tylko się pokazał. Ale za drzwiami nikt się nie czał, jeżeli pominąć sporych rozmiarów pajaka wędrującego niespiesznie po zakurzonej podłodze. Człapiąc kapciami, Magda bez namysłu zagłębiła się w czeluść korytarza.

W ciasnym pokoju zaimprovizowana latarka wydawała się oślepić, jednak w rzeczywistości jej blask nie sięgał dalej niż na kilka metrów. W dodatku wszędzie panowało przenikliwe zimno. Zapewne prądu nie było już od jakiegoś czasu, więc piec olejowy nie miał prawa działać i kaloryfery ostygły. Ale Magdzie wilgotny chłód nasunął skojarzenie z opowieściami o duchach. Widocznie poziom adrenaliny opadał i chwilowo stłumione irracjonalne lęki znowu dochodziły do głosu. Co ja najlepszego robię? – naszała ją refleksja. – Zachowuję się jak ci idioci z horrorów, którzy wbrew logice włączają do pełnej potworów piwnicy. Jednak siłą inercji postawiła jeszcze kilka kroków, aż znalazła się na wieńczącej klatkę schodową galeryjce.

Wstrzymując oddech, dziewczyna oświetliła hol. Zarys pomieszczenia ledwie majaczył w gęstej ciemności. Wątki promień ledowej żarówki wsiąkał w czerń, wydobywając z niej zaledwie rozmyte kontury przedmiotów. Choć na pierwszy rzut oka nie ujawnił żadnych śladów intruza, to po chwili wywołał pewną reakcję. Z zewnątrz, spoza pancernych drzwi, dobiegło głośne szuranie. Jakby ktoś pospiesznie przesuwał jakieś ciężkie przedmioty po posadzce ganku.

Fakt, że podejrzana aktywność ma miejsce poza budynkiem, ośmielił Żaboklicką. Najpewniej przywałęsało się jakieś zwierzę. Bezpański kundel albo jakiś oportunistyczny mieszkaniec lasu, bobrujący w poszukiwaniu pozostawionych przez ludzi resztek jedzenia. Bo raczej nie należało spodziewać się na tym odludziu włóczęgów nocujących na świeżym powietrzu. Zresztą stojąca tuż obok stara stodoła zapewniała dużo lepsze schronienie przed deszczem niż przewiewny ganek. Mimo wszystko – skoro samotna lokatorka podjęła się już niewdzięcznej roli ochroniarza – należałoby sprawdzić, z czym ma do czynienia. Taki łoś, na przykład, mógłby do rana poczynić niezłe spustoszenie.

Magda starała się pokonać schody jak najciszej, ale kłapiące głośno kapcie i poskrzypujące stopnice nie ułatwiały jej zadania. Jeżeli ktoś jednak czał się za drzwiami, musiałby ją usłyszeć. Skoro podchody nie wypaliły, zrezygnowała z ostrożności i zdecydowanym krokiem przecięła hol. Skierowała snop światła w najbliższe z dwóch wąskich okien. Początkowo zobaczyła tylko odbitą w szybie plamę niebieskawego blasku. A potem nagle w zewnętrznej ciemności zmaterializował się najohydniejszy zwierzęcy pysk, jaki zdołałby uroić sobie chory umysł pogrążony w nocnym koszmarze. W ułamku sekundy zdążyła dostrzec czarne przepastne oczodoły, strzępy zmierzwionej sierści i sterczące z rozdziawionej paszczy mordercze kły. Potem zjawa zniknęła równie nagle, jak się pojawiła.

Przerażona dziewczyna zamarła. Szok przyprawił ją o dziwną halucynację. Miała wrażenie, że jej świadomość odłącza się od sparaliżowanego strachem ciała, aby z pozycji postronnego widza na chłodno obserwować całą sytuację.

Powietrze przeszywał przenikliwy pisk. Przecież to ja tak wrzeszczę! – zorientowała się po chwili. – No to brawka, głupia cipo.

Niski, łysawy mężczyzna pochyłał się nad oświetlonym pojedynczą żarówką blatem zasłanego papierami biurka. Przed chwilą wydobył z piętrzącej się obok sterty kolejną książkę i z uwagą studiował zakreślony ołówkiem fragment tekstu.

*W Prusach, Liwonii i na Litwie mieszkańcy doświadczają przez prawie rok cały wielkich szkód z powodu drapieżności wilków. (...) Nie uważają ich jednak za tak wielkie jak te, które ścierpieć muszą od ludzi przemienionych w wilki. W świętobowiem Narodzenia Pańskiego, tuż przed nastaniem nocy, w określonym miejscu, które między sobą umawiają, zbiera się moc wilków przemienionych z ludzi, którzy potem, tejsze nocy, z niesłychaną dzikością rzucają się na ludzi oraz inne zwierzęta, które nie są z natury drapieżne, i srożą się tak, że mieszkańcy tych okolic większe ponoszą szkody od przemienionych niżeli od prawdziwych wilków. Dokładnie wiadomo, że oblegają z niezwykłą dzikością domostwa ludzi, którzy mieszkają w lasach, i próbują wywazać drzwi, aby pożreć zarówno ludzi, jak i inne stworzenia tam żyjące. Włamują się do piwnic i wypijają tam tony piwa i miodu, stawiając puste beczki jedną na drugiej pośrodku, w czym różnią się od prawdziwych, rodzonych wilków. Miejsce zaś, gdzie ponoć tej nocy odpoczywają, mieszkańcy owych ziem uważają za wieszczę...**

Mężczyzna odsunął na chwilę tłumaczenie fragmentu szacownego dzieła Olaus Magnusa z 1555 roku, aby zanotować coś na świstku papieru, po czym z uwagą kontynuował lekturę.

Pomiędzy Litwą, Kurlandią i Żmudzią jest pewien mur, pozostałość zniszczonego zamku, gdzie w określonej porze zbierają się tysiące owych, by wypróbować nawzajem swoją sprawność w skokach; kto zaś muru przeskoczyć nie zdoła, co zdarza się często otyłym, takiego tną i okładają biczami. Jest też wreszcie

*dowodnie stwierdzone, że pośród tłumu przemienionych są także magnaci tej ziemi i mężowie z najprzedniejszej szlachty**.*

Raptem wytrwały czytelnik oderwał wzrok od pożółkłej strony i zaczął nasłuchiwać, zabawnie przekrzywiając głowę.

– Też to słyszałaś, myszko? – rzucił w kierunku ciemnego kąta, w którym od dłuższego czasu coś zawzięcie szurało. – Ktoś krzyczał. Jakaś przerażona kobieta. Chyba nareszcie jesteśmy na dobrym tropie!

Bez chwili namysłu poderwał się z krzesła i sięgnął do wieszaka. Chociaż w domku gościnnym ogrzewanie podłogowe pracowało pełną parą, nocny marek miał na sobie gruby sweter i ocieplane półbuty, jakby zawczasu szykował się do wyjścia. Narzucił tylko ciemny, sięgający kolan płaszcz, sprawdził mocną latarkę i pobiegł do drzwi. Zaraz jednak zawrócił, aby rozplaszczywszy się na podłodze, wpełznąć pod łóżko.

– Przepraszam, mała. – Spod mebla dobiegł jego skruszony głos. – Byłbym o tobie zapomniał.

Na dworze panował mrok gęsty jak melasa. Intensywna mżawka przesycająca powietrze pogłębiała pierwsze wrażenie, nadając ciemności niemal materialną konsystencję. Tuż za progiem niski mężczyzna przystanął, aby włączyć halogenowy reflektorek. Na głowę naciągnął wydobytą z kieszeni czapkę, przypominającą skarpetę. Snop jasnego światła przesunął się po przesłoniętych okiennicami oknach sąsiednich domków. Stały rozrzucone nieco bezładnie na polance ciągnącej się wzdłuż gruntowej drogi. W pewnym oddaleniu lśniła lampa nad gankiem zbudowanego na niewielkim wzniesieniu domu Andrzeja Złocickiego, właściciela gospodarstwa. Jasny punkt, samotnie unoszący się ponad wymarłą okolicą, stanowił jedyne świadectwo istnienia cywilizacji. Nieliczne latarnie oświetlające centrum odległej o niecały kilometr wsi zasłonięte były przez wysokie morenowe wzgórza piętrzące się wokół jeziora.

Mieszkaniec wynajętej kwatery wiedział, że w razie kłopotów nie może liczyć na ewentualną pomoc gospodarza. Pan Andrzej, jak zwykle poza sezonem,

poświęcał wolny czas na oddawanie się swojej pasji. Był znanym w środowisku „detektorowców” poszukiwaczem wojennych pamiątek. Przerobił nawet niewielki budynek gospodarczy na prywatne muzeum poświęcone drugiej wojnie światowej, pełne rzadkich artefaktów wydobytych z ziemi własnoręcznie lub pozyskanych na drodze wymiany. Ponieważ jego jedyny gość, którego nie odstraszyła późnojesienna aura, gorąco zapewniał, że doskonale sam sobie poradzi na gospodarstwie, gnany rządem odkrywcy wyruszył w teren z zamiarem bobrowania na pobojuwiskach aż do świąt Bożego Narodzenia. Zaś żona pana Andrzeja, aby uniknąć samotności, przeniosła się chwilowo do rodziny w Jeleniewie.

Jedynie prawdopodobne miejsce, z którego mogły dobiegać wrzaski przerażonej kobiety, stanowiła posesja Wójtowicza. Niski człowieczek doskonale znał ponurą sławę sąsiedniej posiadłości. Ba, nawet mógł uchodzić za eksperta, ponieważ od dwóch tygodni pilnie zbierał wszelkie plotki i pogłoski na temat mrocznej historii, która rozegrała się w jej progach. I niestrudzenie czekał na kolejny akt dramatu, który – jego zdaniem – powinien niebawem nastąpić. Gdy więc ów oczekiwany moment wreszcie nadszedł, poczuł się jak pies gończy na tropie i poskramiając uzasadniony lęk, pospieszył na spotkanie z Nieznanym.

Kiepska forma fizyczna uniemożliwiała mu obranie najkrótszej drogi, ponieważ wiązałoby się to z koniecznością sforsowania wysokiego parkanu. Aby dotrzeć do bramy, musiał okrążyć ogrodzenie, posuwając się zarośniętą ścieżką pośród gęstych chaszczy. Noc i niewidoczne wykroty nie ułatwiały zadania. Raz nawet zbczył z trasy i wylądował po kolana w gęstym bloku. Pas suchego gruntu oddzielający płot od bagniska był niewiele szerszy od samej ścieżki.

Kiedy w końcu dotarł do wrót, zdziwił się, że zastał je otwarte na oścież. Ów akt beztroski ze strony gospodarzy spotęgował jego niepokój. Nerwowo błyskając na boki latarką, wbiegł na ganek i załomotał w drzwi. Odpowiedziała mu cisza. Szarpnął za klamkę, ale dębowe skrzydła nawet nie drgnęły. Zbliżył twarz do okna i osłaniając czoło dłonią, próbował dostrzec coś w ciemnym wnętrzu. Gdy rozpląszczył nos na szybie, dobiegł go cichy pisk, jakby ktoś z trudem stłumił okrzyk przerażenia.

– Halo, jest tam kto? – zawołał. – Proszę się nie bać, mieszkam po sąsiedzku. Przybiegłem, bo wydawało mi się, że słyszę jakieś krzyki.

W domu coś zaszurało.

– Pan Złocicki? – odezwał się drżący kobiecy głos.

– Nie, ja tylko wynajmuję kwaterę u pana Andrzeja. Jestem letnikiem – wyjaśnił.

– Letnikiem? – W pełnym zdumienia pytaniu wyczuł podejrzliwość.

– No, turystą – zniecierpliwiał się człowieczek. – Wiem, że nie ma lata, ale tak się przecież mówi.

Zazgrzytał zamek i drzwi uchyliły się odrobinę. W szparze zamajaczył fragment bladej twarzy i jedno wytrzeszczone oko o szarej tęczówce.

– Jest pan sam?

– Sam jeden – przyznał przybysz. – W promieniu kilometra nikt więcej aktualnie nie mieszka, o ile wiem.

– Niczego pan nie widział na podwórzu? – spytała z wyczuwalnym napięciem ukryta za drzwiami osoba.

– Nie. A co mógłbym ewentualnie zobaczyć? Czyżby coś niezwykłego, odbiegającego od normy? – W tonie mężczyzny pojawiła się źle maskowana natarczywość.

– Proszę, niech pan wejdzie – westchnęła, cofając się od progu.

Nocny wędrowiec wkroczył do środka i uważnie zlustrował lokatorkę domu nad jeziorem. Miał przed sobą młodą, wysoką dziewczynę, której obfitych kształtów nie była w stanie zamaskować luźna nocna koszula. Nie sprawiała wrażenia puszystej, raczej odziedziczyła po przodkach masywną budowę. Jej sylwetka, choć potężna, posiadała klasyczne proporcje i mogła przypaść do gustu miłośnikom antycznej sztuki, jednak mocno odbiegała od współczesnych kanonów piękna. Kobieta przerastała przybysza o dobre piętnaście centymetrów, więc żeby zobaczyć jej twarz, musiał zadrzeć głowę. Na czubku imponującego ciała odkrył uroczą buzię o delikatnych rysach. Szare oczy przyjemnie kontrastowały z ciemną

czupryną ostrzyżoną na praktycznego boba. Nieznajoma sprawiałaby całkiem sympatyczne wrażenie, gdyby nie trupia bladość lic i rozbiegane spojrzenie paranoika.

– Ja pana już widziałam – wypaliła. – Omal nie wpadł mi pan pod samochód przy sklepie Rączkowskiej.

– Przepraszam... – bąknął nieśmiało gość, ale dziewczyna natychmiast mu przerwała.

– Nie, to ja najmocniej przepraszam, zachowałam się okropnie, ale tak się zdenerwowałam, że przestałam nad sobą panować. Przecież mogłam pana potrącić.

– A pani mnie wtedy źle zrozumiała. Bo ja wcale nie mówiłem do pani. Zaraz wszystko wyjaśnię, ale proszę pozwolić, że się najpierw przedstawię. Waldemar Mrocz, redaktor miesięcznika „Nie z tego świata”.

– Magda Żaboklicka, projektantka tego pensjonatu.

Traf chciał, że obydwójce ociupinę rozminęli się z prawdą, podając swoje stanowiska. Magda zajmowała się jedynie aranżacją wnętrz i nie miała uprawnień do sporządzania projektów budowlanych, lecz zaprezentowała się jako autorka całej przebudowy. Natomiast Mrocz reporterem co najwyżej bywał w czasie wolnym od prawdziwej pracy.

Żaboklicka uważnie przyglądała się Waldemarowi. Wątki osobnik miał niewiele ponad sto sześćdziesiąt centymetrów wzrostu, a i to jedynie w przypadku, gdyby ktoś życzliwie zechciał uwzględnić podejrzenie wysokie obcasy jego ubłoconych bucików. Jego wiek trudno było oszacować. Równie dobrze mógł liczyć czterdzieści, jak i pięćdziesiąt lat. Kiedy ściągnął z głowy dzierganą czapeczkę, dziewczyna spostrzegła, że przydługie, zaczesane do tyłu włosy nie znajdują właściwych warunków do egzystencji na jego ciemieniu, choć pomijając lokalną łysinę, pozostawały ciemne i lśniące. Pociągłą twarz okalał krótko przystrzyżony zarost, czyniąc ją na pozór mizerniejszą, niż była w istocie, natomiast pod orlim nosem krzewił się bujny, meksykański wąs. Całości stylizacji dopełniał zbyt obszerny, sięgający kolan płaszcz, litościwie maskujący liczne

niedoskonałości sylwetki. Jednym słowem: Waldemar w żaden sposób nie sprawdziłby się w roli modela. Mimo to raczej nie sprawiał wrażenia wariata. Co najwyżej ekscentryka.

Magdę ujęło ciepłe spojrzenie jego orzechowych oczu. Zwróciła też uwagę, z jaką emfazą podkreślił, przedstawiając się, literę „r” w nazwisku. Z łatwością potrafiła sobie wyobrazić, że w szkolnych czasach rówieśnicy, zwracając się do niego, często złośliwie pomijali tę głoskę.

– Przepraszam za to nieporozumienie z myszką. Nie przyszłoby mi do głowy, żeby tak poufale zwracać się do obcej osoby – usprawiedliwiał się redaktor. – Staralem się po prostu uspokoić Kasię. Wszędzie ją ze sobą zabieram. Nawet teraz jest ze mną.

Gestem magika podsunął Magdzie pod nos lewy rękaw, wspinając się przy tym lekko na palce. Poczowała ostry zapach piżma i już wiedziała, o co chodziło Rączkowskiej.

– No pokaż się pani, myszko. – Głos Waldemara znowu rozbrzmiewał nutą przesłodzonej czułości.

Niewiele brakowało, a Żaboklicka zmieniłaby zdanie na temat poczytalności swojego gościa. Nie dość, że miał niewidzialną przyjaciółkę, to w dodatku ochrzcił ją imieniem, które budziło u niej bardzo przykre skojarzenia. Ale w tym momencie materiał płaszcza zafalował i w okolicach łokcia małego reportera pojawiło się wybrzuszenie, sunące szybko w kierunku mankietu. Niebawem z czeluści rękawa wychynęły zaciekle węszący różowy, nakrapiany nosek i nastroszone wąsiki. Potem ukazał się rudobrązowy łebek małego zwierzątka. Krótkie futerko wokół pyszczka było białe, tylko wokół ciekawskich ślepek przybierało czarną barwę, tworząc zarys maski, jaką w komiksach noszą złoczyńcy.

– Tchórzofretka! – zawołała zachwycona Magda.

Widok zabawnej, zawadiackiej mordki działał jak balsam na jej skołatane nerwy. Poczowała, że prześladowający ją niczym koszmar na jawie obraz upiornego

pyska niebawem zniknie spod jej powiek, by stać się jedynie nieprzyjemnym wspomnieniem.

Tymczasem stworzonko niespodziewanie rozciągnęło się w powietrzu jak włochata żelka i zacisnęło drobne ząbki na nosie dziewczyny.

– Aj! – pisnęła zaskoczona projektantka, odskakując do tyłu, choć uścisk nie był mocny, a ostre jak szpileczki kły nawet nie zarysowały skóry.

– Proszę się nie bać. – Waldemar zręcznie złapał futrzanego rozrabiakę, zanim ten zdążył wyskoczyć z rękawa, by spektakularnie plasnąć na kamienną podłogę. – Ona po prostu tak się wita. Taki cmok w nos. Zwykle uważa, żeby nie zrobić krzywdy. Najwyraźniej panią polubiła. Bo jak kogoś nie lubi, to się nie przywita, tylko czeka na okazję i zniecka gryzie po kostkach. A wtedy nie ma zmiłuj.

– A od czego zależy, czy kogoś lubi? – zainteresowała się Magda, pocierając swój lepki od tchórzofreciej śliny organ powonienia.

– Nie wiadomo. – Mały redaktor wzruszył ramionami. – Ale podejmuje decyzję w ułamku sekundy i za nic nie zmieni zdania. Skreślony osobnik może się jej miesiącami podlizywać, a i tak będzie miał pogryzione kostki. Natomiast pani już nigdy nie napadnie. Chce ją pani wziąć na ręce?

Podał dziewczynie Kasię, zwisającą biernie z jego dłoni niczym wałeczek ciepłego ciasta. Po chwili patrzył z satysfakcją, jak przedstawicielki dwóch gatunków wymieniają czułości. Choć dziesiątki pytań cisnęły mu się na usta, cierpliwie milczał.

Mroczył miał szereg wad i dziwactw, które nierzadko doprowadzały jego otoczenie do szału, ale nie sposób było odmówić mu wrażliwości. Zorientował się, że samotna lokatorka domu nad jeziorem przeżyła przed chwilą szok i znajduje się na krawędzi załamania nerwowego. Dlatego gestem magika wydobył tchórzofretkę z rękawa, pomimo że zazwyczaj niechętnie pozwalał obcym na poufałości ze swą małą przyjaciółką. Jednak wiedział z doświadczenia, że przepełniająca zwierzątko radość życia w niemal czarodziejski sposób oddziałuje na otoczenie.

Tchórzofretki, stanowiące odrębny, mocno cuchnący klan wśród łasicowatych, to zdeklarowani łotrzykowie i mordercy, ale także, niczym filmowi piraci, pozbawieni jakichkolwiek trosk optymiści, dla których każdy bandycki wyczyn stanowi źródło niewypowiedzianej uciechy. Nieważne przy tym, jak tragiczny finał, w wymiarze osobistym lub społecznym, ma przygoda. Futerkowych flibustierów upaja życie. Jednym słowem: śmiało można stwierdzić, że wśród nieprzeliczonej mnogości bożych stworzeń, nie ma szczęśliwszego bytu od najedzonej i traktowanej z należnym szacunkiem tchórzofretki. Zaś absolutne, nieposzukujące żadnego uzasadnienia szczęście jest w swej istocie zawsze niewinne. Jak to słusznie skwitował ów fakt pewien rozsądny kapłan odwiedzający parafian po kolędzie, gdy masując pogryzione przez Kaśkę kostki, wyrzekł sakramentalne: „Nie ma tu grzechu!”. Tak więc miętoszony przez Żaboklicką mały łobuz, jako nosiciel bezgrzesznej radości stanowiącej przymiot aniołów, po trosze przejawiał ich moc rozpraszania człowieczego smutku, zwątpienia i lęku.

W ciągu pięciu minut blade policzki dziewczyny zaróżowiły się, a szare oczy odzyskały blask. Kiedy jeszcze ściągnięte kąciki ust uniosły się w uśmiechu, Waldemar doszedł do wniosku, że wreszcie nadeszła pora, by zaspokoić własną ciekawość.

– Czy mogłaby mi pani powiedzieć, co tu się właściwie wydarzyło? – zapytał, starając się nadać głosowi łagodne brzmienie. – Nie wygląda pani na osobę, która krzyczy bez przyczyny.

Magda z namysłem ściągnęła brwi i niespiesznym gestem oddała mu zwierzątko. Starła się zyskać na czasie. Nie chciała wyjść na wariatkę, która miewa zwidy. A czymże innym mógł być dostrzeżony w oknie potwór?

Redaktor, którego uwadze nie uszło wahanie dziewczyny, odezwał się uspokajającym tonem:

– Proszę pani, jestem reporterem pisma, które zajmuje się opisywaniem niezwykłych przypadków. Niewyjaśnionych, nienaturalnych zdarzeń z pogranicza rzeczywistości. Nie wszyscy traktują nas poważnie, ale to nie zmienia faktu, że takie zdarzenia mają miejsce. A ja rozmawiam z ich świadkami i często jestem

jedyną osobą, która chce tych ludzi uważnie wysłuchać. Dlatego wiem, jak trudno jest się im otworzyć w obawie przed niezrozumieniem i kpinami. Więc nie powinna pani lękać się nadmiernego sceptycyzmu z mojej strony. Proszę po prostu powiedzieć, co się stało. Dodam, że do Szurpił sprowadziła mnie sprawa Wójtowicza. Zamieszkałem w pobliżu domu nad jeziorem, ponieważ miałem przesłanki, by sądzić, że ta tajemnicza historia będzie miała swój dalszy ciąg.

Żaboklicka podjęła decyzję. Kiedy relacjonowała swoje spotkanie ze zjawą, jej głos znowu zaczął się w niepokojący sposób załamywać. Na szczęście nie musiała wiele mówić. Przecież całe zdarzenie rozegrało się w mgnieniu oka.

– Sądzę, że miała pani wiele szczęścia – stwierdził Mrocz. Starał się nie okazywać zadowolenia, ale trudno było mu ukryć satysfakcję. Rzadko udawało się trafić na świadka, który w równie plastyczny sposób potrafiłby opisać wymykające się percepcji zjawisko. – Proponuję na wszelki wypadek zamknąć z powrotem drzwi i zadbać o jakieś światło. Ewentualnych śladów na ganku poszukamy, kiedy się rozwidni. Gdzie jest tablica elektryczna?

– Proszę mi dać latarkę, zaraz pana zaprowadzę. – Magda sama nie mogła uwierzyć, jak bardzo jej ulżyło, kiedy podzieliła się z kimś koszmarnym przeżyciem.

– Nie jest pani zimno? – zapytał z troską mały redaktor, kiedy przemieszczali się labiryntem mrocznych korytarzy. – Może narzuci pani mój płaszcz.

Projektantka nagle poczuła, że faktycznie przeraźliwie zmarzła. Aż do tej chwili zupełnie nie zdawała sobie z tego sprawy. Jednak nie miała ochoty zakładać cuchnącego płaszczyka. Zapach tchórzofretki nie przeszkadzał jej zbytnio, kiedy pieściła zwierzaka, ale owijanie się w śmierdzące piżmem ciuchy budziło odrazę.

– Dziękuję, zaraz pobiegnę się ubrać. Dziwne – powiedziała, przystając przed szafką rozdzielczą – wydawało mi się, że drzwiczki były zamknięte.

Mrocz przesunął dźwignię głównego wyłącznika. W pomieszczeniu gospodarczym z cichym szumem ruszył piec olejowy.

– Proszę poczekać w kuchni – zaproponowała Magda, wracając do oświetlonego holu. – Za chwilę wrócę i zrobię panu her...

Słowa zamaryły jej na ustach. Kamienną posadzkę we wszystkich kierunkach przecinały krzyżujące się ślady ubłoconych buciorów. Wprawdzie śladów brudnych podeszew znalazłoby się w holu bez liku, ale te nie zdążyły jeszcze obeschnąć. Ktoś zostawił je dosłownie przed chwilą. Sprawcą nie mógł być jej gość, ponieważ Mrocz nie wchodził w głąb domu. Zresztą nosił buciki rozmiar czterdzieści.

– Odciski stóp – wyjąkała Magda. – Ktoś tu wchodził, kiedy spałam.

– Niech pani idzie założyć coś ciepłego, a ja się temu przyjrzę – nakazał redaktor. – Zapalenie płuc w niczym nam nie pomoże.

Kiedy roztrzęsiona projektantka wspięła się na schody, odetchnął z ulgą. Widok szerokich bioder i falującego pod cienką tkaniną biustu dziewczyny działał na Waldemara deprymująco. Czuł się zdominowany i przytłoczony przez nadmiar kobiecego ciała i próba okrycia go wytartym płaszczykiem nie do końca wynikała z troski.

Dochodzenie zaczął od starannego zmierzenia śladów wydobytą z kieszeni metrówką. Potem obszedł pomieszczenie, posuwając się wzdłuż ścian. Jednocześnie dokumentował wszystko, robiąc zdjęcia telefonem komórkowym wyposażonym w wysokiej klasy aparat. Kiedyś nosił ze sobą kamerę, ale zawsze kiedy działo się coś naprawdę interesującego, okazywało się, że nie ma jej pod ręką. Dlatego zainwestował w sprzęt, z którym współczesny człowiek nie rozstaje się nawet w toalecie.

Tropy zanikały, ponieważ ogrzewanie działało i temperatura rosła, szybko osuszając błoto, jednak starał się wykonywać czynności bez pośpiechu. Zanim z powrotem dotarł do miejsca, z którego rozpoczął wędrówkę, zdążyła wrócić Magda, ubrana w fioletowy dres.

– Drzwi na pewno były zamknięte? – zapytał raczej dla formalności.

– Trzy razy sprawdziłam przed pójściem spać – potwierdziła dziewczyna – a otworzyłam dopiero, kiedy pan zaczął się dobijać.

– Jednak ten ktoś trzy razy wchodził przez nie i wychodził – stwierdził beznamytnie Mrocz. – Kto jeszcze oprócz pani ma klucze?

– Nikt. – Magda rozłożyła ręce. – Jest tylko jeden komplet.

– Ale Wójtowicz musiał mieć co najmniej dwa. Przecież pod jego nieobecność przychodziła tu sprzątaczką. Ta, która odkryła zbrodnię – zastanawiał się głośno Waldemar. – Ktoś mógł wejść w posiadanie zaginionego kompletu, więc tajemnicę zamkniętych drzwi da się racjonalnie wyjaśnić. Zagadkę stanowi raczej fakt, że intruz buszował jedynie w holu i pomieszczeniu gospodarczym. Tam też prowadzą ślady, chociaż słabiej widoczne, bo zdążyły obeschnąć. Pewnie zaraz po wtargnięciu poszedł wyłączyć korki. Ale naprawdę interesował go jedynie hol. Czy coś stąd zginęło?

– Ależ skąd! – Żaboklicka odruchowo rozejrzała się po pomieszczeniu. – Tutaj po prostu nie było niczego do zabrania.

– Trochę dziwne te ślady – myślał na głos redaktor. – Nie prowadzą w żadne konkretne miejsce. Sądzę, że włamywacz celowo krążył, żeby nas zmylić. Zorientował się, że nabrudził i trop może zdradzić cel jego wizyty, więc przed wyjściem pobiegał z kąta w kąt.

– Skoro wchodził po coś trzy razy, to gdzieś powinno być więcej śladów – zauważyła rozsądnie projektantka.

– Na czystej podłodze zauważylibyśmy je bez trudu, ale tutaj jest mnóstwo naniesionego błota, a ja, niestety, nie jestem tropicielem – wzruszył ramionami Waldemar. Po czym nagle uśmiechnął się chytrze. – Ale znam jednego tropiciela. Niech pani pozamyka wszystkie drzwi.

Podczas gdy Magda posłusznie wykonywała polecenie, mały redaktor wyciągnął z rękawa zaspaną tchórzofretkę i ostrożnie postawił ją na ziemi.

– Strasznie się ubrudzi – westchnął – będę ją musiał wykapać, a ona tego nie lubi.

Faktycznie, Kaśka sunęła po brudnej podłodze niczym automatyczny odkurzacz. Stworzonko zgarniało tłustym brzuszkiem gipsowy pył i śmieci.

Z początku bobrowało bezładnie tu i tam, w końcu zniknęło w ciemnej wnęce obok klatki schodowej. Niebawem z mroku zaczęły dochodzić zaaferowane skrzeknięcia i drapanie.

Samozwańczy śledczy zbliżyli się, oświetlając kąś blaskiem latarki.

– Niech to szlag! – zakląła Magda. – Jakiś głąb jednak rozwalił posadzkę.

Duża prostokątna płyta miała w narożniku mały ubytek, który kamieniarze uzupełnili flekiem. I właśnie ów niewielki kawałek kamienia został wyrwany. Z dziury sterczał rozczapierzony ogon tchórzofretki, która zawzięcie drapała pazurkami betonowy podkład w płonnej nadziei utorowania sobie drogi do Chin.

– Czemu to zniszczyli? – złościła się projektantka, mając zapewne na myśli swoich budowlańców. Choć uszkodzenie było łatwe do naprawienia, dewastację posadzki, której ochronie poświęciła wiele wysiłku i uwagi, odbierała jako osobisty afront. – Przecież nie mieli tu nic do roboty!

Waldemar wyciągnął protestującą Kaśkę z otworu i przyklęknął obok, uważnie badając krawędzie kamiennej płyty. Potem podpiął do telefonu mały moduł i cofnąwszy się o kilka kroków, zapatrzył się w rozjarzony kolorowymi plamami ekran.

– Obawiam się, że to sprawka naszego nocnego gościa – powiedział w końcu. – Pod podłogą jest pusta przestrzeń.

– Niemożliwe. – Żaboklicka pokręciła głową. – Ten budynek nie ma piwnicy. Architekt, pan Marcel Gil, robił odkrywki fundamentów. Mają najwyżej metr głębokości.

– Proszę spojrzeć. – Redaktor podał telefon projektantce. – Włączyłem kamerę na podczerwień.

Oglądana w niewidocznym gołym okiem paśmie promieniowania podłoga miała bladożółty odcień. Tylko w kącie pomieszczenia widniała ciemnoniebieska plama.

– Pod spodem jest pustka wypełniona chłodnym powietrzem. Zawsze tak sprawdzam podłogi przy termomodernizacji... – Tu Mrocz ugryzł się w język.

Na szczęście zaintrygowana Magda nie zwróciła uwagi na techniczne sformułowanie. Redaktor omal nie ujawnił, że tak naprawdę on również pracuje w branży budowlanej. Przez cały sezon zatrudniał się przy realizacji dużych inwestycji, zaś późną jesienią i zimą przeistaczał się w wytrwałego reportera śledzącego niesamowite zjawiska opisywane na łamach niszowego miesięcznika „Nie z tego świata”. Jako doświadczony kierownik budowy zarabiał bardzo dobrze, więc bez przeszkód w wolnym czasie mógł inwestować zaoszczędzone środki w realizację swej niedochodowej pasji. Ale kiedy już wszedł na dobre w skórę nawiedzonego tropiciela kosmicznych zagadek, bardzo nie lubił, aby coś przypominało mu o szarej egzystencji, którą wiódł przez większą część roku.

– Pewnie znajdzie się tutaj jakiś łom? – zapytał.

Magda bez słowa podreptała do magazynku, by powrócić z metrowym kawałkiem zakrzywionego pręta. Z fascynacją obserwowała, jak Mrocz wsuwa łom w otwór w posadzce. Drobnym mężczyzną napał na dźwignię i kamienna płyta zadziwiająco lekko uniosła się w powietrze. Dziewczyna szybko podparła ją zrzuconym z nogi trampkiem. Stopniowo unosili kolejne krawędzie płyty, wtykając w szczelinę przypadkowe przedmioty, aż w końcu wspólnym wysiłkiem zdołali odsunąć blok wapienia na bok, odsłaniając zionącą wonią zgnilizny dziurę o średnicy czterdziestu centymetrów.

– Teraz wiemy, dokąd chodził intruz – oświadczył Waldemar, dotykając mokrych grudek błota, które przyłgnęły do skraju czeluści. Zajrzał do wnętrza, przyświecając sobie latarką. – Jest drabina!

– Wójtowicz wiedział o tej skrytce? – zastanawiała się Magda.

– Na pewno. – Z dziury sterczał już tylko czubek łysawej głowy redaktora. – Przecież to lepsze od sejfu. Można by tu trzymać słonia. Niech pani idzie za mną, tylko proszę założyć buty.

– Może ktoś powinien zostać na górze? – Dziewczyna nie miała najmniejszej ochoty penetrować zatęchłych podziemi. Noc dostarczyła jej już dosyć wrażeń.

– Lepiej się nie rozdzielać. – Spod podłogi dobiegł stłumiony głos rozsądku.

Żaboklicka z westchnieniem wzięła trampki, wymacała stopą pierwszy stopień drabiny i zaczęła wciskać swoje obfite ciało w wąski otwór. Biodra jeszcze jakoś przepchnęła, ale utknęła na wysokości biustu.

– Proszę się rozluźnić i zrobić wydech – zadudniło w otchłani.

Rada okazała się skuteczna i Żaboklicka z cichym „plomp!” zniknęła w dziurze, jak korek wtłoczony do wnętrza butelki. Pokonała jeszcze dwa szczeble i stanęła na gliniastym klepisku. Zrozumiała, dlaczego redaktor kazał jej włożyć buty. Śliskie błoto zakrywało podeszwy.

– To jakaś stara piwnica. – Waldemar oświetlił ścianę ze zmurszałej od wilgoci cegły.

– Ale strop jest betonowy. – Projektantka zadarła głowę, zastanawiając się, jak wyjdzie przez dziurę, która z perspektywy podziemi wydawała się jeszcze mniejsza niż w rzeczywistości. – Już wiem! – Klepnęła się w czoło. – Na starej mapie projektowej był naniesiony mały budynek w miejscu, gdzie wybudowano dom. Stara chałupa, którą wyburzono. Z reszty gospodarstwa została tylko stodoła. No i jeszcze ta piwnica. Wójtowicz jej nie zasypał, tylko przykrył stropem i urządził w niej zamaskowany schowek.

– Chyba nie zamierzał z niego często korzystać. – Mrocz starał się oszacować wymiary loszku. – Trudno sobie wyobrazić, żeby za każdym razem przesuwał ciężką kamienną płytę. To raczej coś w rodzaju schronu na czarną godzinę. Proszę spojrzeć, tam można przejść dalej.

W niskiej ościeżnicy nawet Waldemar musiał się lekko pochylić. Sąsiednie pomieszczenie w pewnym stopniu zagospodarowano. Klepisko przykrywały nieheblowane deski, wzdłuż ścian zawieszono toporne półki. Na środku stał okazałych rozmiarów stół przykryty nowym zielonym sukniem.

– Jak on wniósł tutaj stół? – zdziwiła się Żaboklicka.

– Pewnie mebel był tu już wcześniej, przed zalaniem stropu. Podobnie jak deski i słupy, które zostały z szalunków – domyślił się badacz zjawisk paranormalnych, skupiony na obmacywaniu muru wokół przejścia.

Nagle rozbłysła naga żarówka zwisająca z grubego kabla rozciągniętego pod sufitem.

– Znalazłem włącznik – ucieszył się Mrocz.

Magda ośmielona jasnym światłem, które odarło starą piwnicę z atmosfery niesamowitości, przekroczyła próg.

– Rety, ale tu śmierdzi, jak z rozmrożonej lodówki – jęknęła.

– Nigdzie nie widzę lodówki – zauważył poważnie redaktor. – Chyba się pomyliłem, bo ta nora niezbyt przypomina kryjówkę preppersa. Brak zapasów, latarek, leków...

– W ogóle nic tutaj nie ma – mruknęła Magda, lustrując najwyższe półki, na które Waldemar nie miał szansy zajrzeć.

– Ale było. Przynajmniej na stole. – Mrocz pochylił się nad zielonym materiałem. – Na suknie odcisnęły się jakieś ciężkie przedmioty. Pewnie zabrał je nasz nieproszony gość. To by wyjaśniało, dlaczego odbył aż trzy kursy. Niełatwo stąd wynieść coś nieporęcznego.

Dziewczyna przeciągnęła dłonią po suknie i uniosła ją do światła. Do jej skóry przylgnęły drobiny piasku i brunatny pył przypominający rdzę.

– Nieporęczne, stare i brudne – mruknęła. – Raczej nie biżuteria ani sztaby złota, bo one nie rdzewieją. Ale złomu nikt by nie ukrywał, a tym bardziej nie kradł.

Waldemar włączył latarkę i skierował jej promień na szerokie szczeliny pomiędzy tworzącymi prymitywną posadzkę deskami.

– Poszukajmy – zaproponował. – Może złodziej coś upuścił albo przeoczył, skoro musiał działać po ciemku. Sądzę, że ta żarówka zasilana jest z tej samej szafki co reszta domu. A on na wstępie wyłączył korki, utrudniając sobie zadanie.

Myszkowali wokół stołu z opuszczonymi głowami. Żaboklicka okrążyła mebel i wówczas dostrzegła głęboką wnękę w murze. Ceglany łuk miał około metra wysokości. Nisza, którą przesklepiał, tonęła w mroku.

– Niech pan tu poświeci – poprosiła.

Snop światła przeniknął ciemność. Niewiele brakowało, a Magda znowu zaczęłaby wrzeszczeć. Gwałtownie wciągnęła powietrze do płuc i tylko najwyższym wysiłkiem woli udało jej się powstrzymać przed wpompowaniem go w ściśniętą krtani. Pewna, że za chwilę usłyszy zniechęcony pisk, wstrzymywała oddech tak długo, że omal się nie udusiła. W końcu jedynie głośno sapnęła.

Wnętrze niszy wypełniała rozkopana ziemia, połyskująca tłusto w blasku latarki. Wilgotne grudy odsłaniały wielką bryłę gnijącego mięsa. W rojącej się od robactwa masie białły sterczące kości.

– Trup! – jęknęła Żaboklicka.

– Bardzo nieświeży trup – uściślił Waldemar. Schylony wpół nieomal wpełzł do wnęki. – Ale proszę na razie nie panikować. To nie człowiek.

Magda zaczęła dostrzegać w szczątkach pewien anatomiczny porządek. W końcu zorientowała się, że patrzy na truchło olbrzymiego zwierzęcia. Dostrzegła strzępki płowego futra, rząd potężnych żeber i długie piszczele przytwierdzone wiązką ścięgien do strupieszalnych łap wyposażonych w mordercze pazury.

– A kiedy powinnam zacząć panikować? – zapytała Magda nieco drżącym głosem.

– Kiedy stwierdzę, że to nie jest także zwierzę – powiedział poważnie redaktor.

– Niestety, do identyfikacji brakuje kluczowego elementu. Nigdzie nie widzę czaszki.

– A co chciałby pan zidentyfikować? – Dziewczyna poczuła, że chyba wcale nie chce poznać odpowiedzi.

– Wilkołaka – odparł po prostu Waldemar. – Po niego przyjechałem do Szurpił. Ale to chyba coś innego. Według przekazów martwy wilkołak traci zwierzęce atrybuty, tymczasem truchło wykazuje wszelkie cechy anatomiczne psowatych. Z drugiej strony dlaczego pogrzebano je w niedostępnym lochu? I czy ktoś je odkopał, czy wykopało się samo?

– Wychodzę – oświadczyła Magda. Powstrzymała się, żeby nie dodać „ty świrze”. Poziom jej sympatii dla małego redaktora drastycznie zmalał. Zwabił ją do

cuchnącej piwnicy, żeby straszyć opowieściami o duchach.

– Ja pani nie straszę. – Mrocz zdawał się czytać w myślach projektantki. – Po prostu wykonuję swoją pracę, a skojarzenia nasuwają się same. Wytłumaczę, dlaczego na serio podejrzewam przypadek likantropii, ale teraz faktycznie wyjdźmy stąd i zadzwońmy na policję.

Powtórne przejście przez dziurę w podłodze przysporzyło Żaboklickiej znacznie mniej trudności. Doszła do wniosku, że z nerwów musiała w rekordowym tempie stracić kilka kilogramów.

Mrocz bez najmniejszych problemów połączył się z numerem 112, gdzie przekierowano jego rozmowę do dyżurnego z komendy miejskiej w Suwałkach. Najwyraźniej anomalia magnetyczna nie prześladowała swoimi figłami nawiedzonych badaczy zjawisk paranormalnych. Albo mężczyzna korzystał z lepszej sieci komórkowej.

– Dlaczego zgłosił pan tylko włamanie? – zainteresowała się Żaboklicka. Jakoś nie potrafiła dłużej boczyć się na Mrocza, który podczas rozmowy w komiczny sposób walczył z tchórzofretką, usiłującą zagryźć gadające pudełko.

– Bo krótkie i jasne zgłoszenia odnoszą lepszy skutek. Jak policjanci zobaczą piwnicę na własne oczy, to dopiero wtedy opowiemy całą historię. Gdybym zaczął wyjaśniać wszystko przez telefon, mogliby się z góry sceptycznie nastawić do sprawy. Grunt to nie wyjść na wariata przy pierwszym kontakcie – wyjaśnił Waldemar, a Magda domyśliła się, że mały redaktor niejednokrotnie został w przeszłości sklasyfikowany przez organy ścigania jako niegroźny szaleniec.

Sama momentami miewała pewne wątpliwości, co do pełni władz umysłowych Mrocza. Choć z drugiej strony jak dotąd sprawnie rozwiązywał kolejne zagadki. Jedynie jego interpretacja faktów budziła niejake zastrzeżenia.

* Leszek Paweł Słupecki, *Wojownicy i wilkołaki*, Wydawnictwo ALFA, 1994.

** Tamże.

3

Młodszy aspirant Piotr Nowicki zdążył już się ogolić i właśnie parzył kawę w swojej ciasnej kuchni, kiedy odezwała się jego komórka. Wyświetlił się numer komisarza Korczakowskiego z dochodzeniówki w Suwałkach. Piotr na wszelki wypadek zerknął na zegar mikrofal. Do rozpoczęcia dyżuru na posterunku w Rutce miał jeszcze niemal godzinę, więc tym razem nikt nie miał podstaw, aby czepiać się o spóźnienie. Widocznie coś się stało.

– Aspirant Nowicki – zameldował się do mikrofonu.

– Cześć, Piotrek. – Korczakowski najwyraźniej nie zamierzał przejmować się protokołem. – Jesteś w domu?

– Tak – odparł niepewnie młody człowiek, zastanawiając się nerwowo, czy aby nie powinien znajdować się w jakiś innym miejscu. – Właśnie szykuję się na służbę.

– To nie jedź do Rutki, tylko od razu wał do Szurpił. Jesteśmy w willi Wójtowicza. – Komisarz rozłączył się bez słowa wyjaśnienia.

Piotr westchnął i pognął do sypialni po świeżą koszulę. Zdążył się już przyzwyczać, że nikt z komendy nigdy niczego mu nie wyjaśnia. Wydawano mu polecenia służbowe i tyle. Dobrze, jeśli choć potrafił się w nich doszukać jakiegoś sensu.

Po chwili, poprawiając służbową czapkę, zmierzał do zaparkowanego w kącie podwórza samochodu. Stary złom najwyraźniej powitał wstający dzień w znacznie lepszym nastroju niż jego właściciel, bo łaskawie zapalił już przy pierwszym podejściu. Nowicki westchnął na poły z ulgą, na poły z goryczą. Ostatnio coraz częściej obawiał się, że koledzy z drogówki w końcu przestaną zwracać uwagę na zawodową solidarność i ostatecznie odbiorą mu dowód rejestracyjny. Musiał

jednak jakoś dojeżdżać z Jeleniewa do Rutki. Przy posterunku nie było służbowych kwater, a kupno kilkunastoletniego rzęcha, choćby i raz do roku, opłacało się bardziej niż wynajęcie mieszkania.

W Jeleniewie przynajmniej miał własny kąt. Mały parterowy domek należał do matki aspiranta. Kobieta kilka lat temu zamieszkała u jego przyrodniej siostry w Suwałkach, pozostawiając synowi mocno zapuszczone gospodarstwo. Wszystko tutaj – od krzywego dachu, po jeszcze bardziej pokrzywiony parkan – gwałtownie domagało się remontu, ale Piotr przy swoich obecnych zarobkach musiał poprzestać na doraźnej łątaninie. Jednak i tak uważał się za szczęśliwca. Udało mu się dostać stanowisko w pobliżu miejsca zamieszkania, podczas gdy większość jego kolegów ze szkoły policyjnej tułała się po służbówkach i wynajętych kwaterach. Choć istniejący układ miał też swoją ciemną stronę. Większość mieszkańców rejonu znała go od małego, co w naturalny sposób budziło pewien brak szacunku dla noszonego przezeń munduru. Nieraz podczas interwencji zdarzało mu się usłyszeć od rówieśników: „A weź się Piotrek odp...dol!” lub krytyczne: „I na co cię matka wychowała, Piotrusiu?”, od przewożonych do izby wytrzeźwień leciwych alkoholików.

Droga do Szurpił, nawet w szarym półmroku przedświt, który ledwie rozpraszały zużyte reflektory, zajęła Piotrowi kilka minut. Niemal tyle samo czasu pochłonęło pokonanie niecałego kilometra rozmięklej gruntówki. Jego grat radził sobie na wertepach jeszcze gorzej niż sponiewierany opel Żaboklickiej.

Na podejździe domu nad jeziorem oprócz wzmiankowanego opla zastał nieoznakowany radiowóz dochodzeniówki i furgonetkę techników, którzy właśnie zbierali się do odjazdu. Jeden z nich, Zenek Malinowski, pomachał Nowickiemu ręką. Chodzili do tej samej podstawówki, lecz nieco starszy Zenek lepiej radził sobie z rodzimym systemem edukacji i ukończył studia w Białymstoku. No i na co mu przyszło? – pomyślał bez złośliwości, a raczej ze współczuciem Piotr. – Grzebie w tym samym szambie co ja, tylko głębiej. Nowicki przynajmniej nie musiał oglądać każdych rozkładających się zwłok ani zbierać odprysków tkanek i krwi. Co najwyżej mógł oberwać po mordzie od naćpanego wandal, ale to

wydawało się znacznie mniej przygnębiające od ciągłego obcowania z najcięższymi zbrodniami. Choć wbrew wykazanemu przed chwilą rozsądkowi marzył, że w końcu załapie się do Szczytna i zostanie komisarzem w dochodzeniówce, tym samym skazując się na egzystencję w świecie ekstremalnej przemocy.

Tymczasem obecny komisarz właśnie pojawił się na ganku i niecierpliwie postukiwał obcasem. Dzielnicowy natychmiast porzucił bezproduktywne rozważania i pospieszył na spotkanie szarży.

– Co się tu stało? – zapytał zaciekawiony po przepisowym powitaniu. Dom nad jeziorem obrósł już legendą, więc spodziewał się jakiejś rewelacji.

– Niby włamanie, ale jakieś dziwne – mruknął niechętnie Korczakowski. Na pooranej zmarszczkami twarzy potężnie zbudowanego mężczyzny malował się niesmak.

– Nic nie zginęło, drzwi nienaruszone, a ofiara to porąbana histeryczka – uzupełniła podkomisarz Rybińska, która pojawiła się za plecami swojego partnera. – Do tego jeszcze jakiś wariat się tu kręci, mataczy i wygaduje głupoty. Ale nie ma podstaw, żeby go przymknąć.

Choć znała Piotra jedynie z widzenia, czuła sympatię do grzecznego i pełnego werwy chłopaka. Zresztą Korczakowski też go lubił, tylko jakoś nie potrafił nikomu okazywać życzliwości.

– Słuchaj, Piotrek. – Przynajmniej zwracał się do aspiranta po imieniu, co stanowiło w jego mniemaniu objaw wyjątkowej serdeczności. – Nie wiem, co o tym wszystkim sądzić, ale istnieje prawdopodobieństwo, choć niewielkie, że zachodzi jakiś związek z nierozwiązaną sprawą śmierci Wójtowicza. Chyba że ta zakręcona dwójka sama wszystko zainscenizowała, diabli wiedzą po co. Chcę, żebyś częściej zaglądał do Szurpił. I niekoniecznie w samo południe. Może mógłbyś z rana i wieczorem po służbie przejechać się tą gruntową drogą i sprawdzić, czy nikt się tu nie kręci? – Wypowiedź brzmiała prawie jak służbowa

prośba, o ile istnieje coś takiego. – Nie mam kogo tu posłać, a ty mieszkasz niedaleko.

– I odwiedź czasem naszą poszkodowaną – dodała Rybińska – tę Żaboklicką. Cokolwiek się wydarzyło, nielecho wystraszyło biedaczkę. Obiecałam, że jakiś policjant będzie do niej zaglądał od czasu do czasu.

– A mógłbym po służbie wziąć radiowóz? – zapytał Piotr, któremu nawet nie przyszło do głowy, żeby odmówić wypełniania dodatkowych obowiązków. – Bo mój grat rozsypie się do reszty na tych wertepach.

– Ja nic o tym nie chcę wiedzieć – wzruszył ramionami Korczakowski, zerkając ze współczuciem na przekrzywiony na oklapniętych resorach zabytek. – Ale jakby co, jakoś cię wytłumaczę – dodał wspaniałomyślnie.

Śledczy ruszyli do radiowozu. Rybińska przystanęła jeszcze i zawołała:

– Jeśli chcesz wejść do domu, to się przedstaw od progu, żebyś przypadkiem nie oberwał czymś ciężkim! Strasznie nerwowa ta młoda.

Piotrowi nie trzeba było dwa razy powtarzać. Aż się rwał, żeby odwiedzić nawiedzone domostwo. Dochodzenie w sprawie tajemniczego zgonu Wójtowicza fascynowało go od samego początku, choć naturalnie nawet nie miał szans zapoznać się ze zgromadzonymi dowodami. Nigdy też nie był w domu nad jeziorem. Frustrował go fakt, że najbardziej zagmatwana sprawa w całym województwie rozegrała się w jego rejonie, a on nie miał na jej temat żadnych informacji. W dodatku wszyscy znajomi bezustannie wypytywali go o postępy w śledztwie. Tymczasem dla niego dom nad jeziorem mógłby znajdować się na Księżycu.

Zachwycony możliwością zobaczenia na własne oczy miejsca sławnej zbrodni zapukał do drzwi i nie czekając na zaproszenie, władował się do pustego holu.

– Halo, jest tu ktoś?! – zawołał, gdy stwierdził, że jego wtargnięcie nie wywołało niczyjej reakcji. – Policja! – dodał na wypadek, gdyby gdzieś faktycznie czaiła się nerwowa osoba uzbrojona w ciężki przedmiot.

– A to niespodzianka. – Dobiegł go zrzędlawy głos z głębi budynku. – Tutaj proszę! – zawołała już głośniejszą kobietą.

Kierując się słuchem, Nowicki dotarł do zdewastowanej kuchni, gdzie przy okrytym ceratą stole zasiadały, racząc się herbatą, dwie wyraźnie skwaszone osoby. Choć postawna brunetka o szarych oczach i łysawy pokurcz w wymiętym płaszczu stanowili komicznie dobraną parę, jedna cecha chwilowo ich do siebie upodabniała. Był to graniczący z wrogością niesmak, z jakim spoglądali na Bogu ducha winnego aspiranta.

– Domyślam się, że koledzy czymś sobie nagrabili – oświadczył Piotr, uśmiechając się przy tym promiennie.

Nowicki urodził się z rzadkim talentem do rozbrajania potencjalnie nieprzyjemnych sytuacji, który umożliwiał mu w miarę beztrudną nawigację po wzburzonych odmętach codziennej egzystencji. Nie należał do osobników specjalnie pracowitych, nie wykazywał też nigdy szczególnych uzdolnień w żadnej dziedzinie. Za to w prostoduszny sposób lubił ludzi, co ci w jakiś podświadomy sposób zdawali się wyczuwać i niemal odruchowo odpłacali mu podobną monetą. Nawet wypaczone i z pozoru pozbawione elementarnej empatii jednostki – które niestety aż nazbyt często spotykał z racji wykonywanego zawodu – niejednokrotnie, wbrew wyznawanym zasadom, ulegały owej swoistej magii.

– Napije się pan herbaty? – zapytała Magda, na którą roztaczany przez Piotra urok zadziałał niemal natychmiast.

– Dziękuję, chętnie – odparł aspirant z entuzjazmem, który w jego wykonaniu sprawiał wrażenie zupełnie naturalnej reakcji. – Nie zdążyłem wypić kawy.

Po czym szybko się przedstawił i wyciągnął na powitanie nieco spracowaną dłoń. Magdzie podobał się sposób, w jaki uściśnął jej rękę: oficjalnie, a zarazem serdecznie. Sam Piotr też jej się podobał. Nie dlatego, żeby był jakoś szczególnie przystojny, choć jego sylwetce nic nie można było zarzucić. Miał miłą, odrobinę pucołowatą twarz, której dominantę stanowił pokaźny nos nawiązujący formą do papuziego dzioba. Jednak ów element nie szpecił, a nadawał charakteru fizjonomii,

która bez niego wydawałaby się odrobinę nijaka. Kiedy usiadł i zdjął czapkę, okazało się, że ma ładne, gęste i ciemne włosy. Ale tak naprawdę liczył się tylko nieudawany, szeroki uśmiech i tańczące w piwnych oczach iskierki, znamionujące bystrość i pozbawione ironii poczucie humoru.

Jednak Waldemar nadal się boczył i podejrzliwie obserwował policjanta. Ale to w końcu jemu najbardziej nadokuczali stróże prawa. Szczególnie ów siwy grubas tytułowany komisarzem. Chorobliwie chuda szatynka, która towarzyszyła prześladowcy, początkowo siliła się na kulturę, ale tylko do chwili, kiedy postanowił przedstawić swoje podejrzenia dotyczące przypadku likantropii. Obcesowo przerwała wywody redaktora i zagroziła mu noclegiem na dołku. Potem było już tylko gorzej, aż w końcu czuł się jak podejrzany, chociaż przecież tylko pospieszył kobiecie z pomocą.

– Naprawdę jest tu ukryta piwnica? – wykrzyknął zaaferowany Nowicki, któremu Żaboklicka bez oporów relacjonowała nocne wydarzenia. Nawet ją samą nieco zdumiewał ów nagły przyływ szczerości, ale po prostu Piotr tak działał na ludzi.

Choć chyba nie na wszystkich, sądząc po tonie, jakim Mrocz warknął:

– Piwnica? Całe pieprzone katakumby, których policja nawet nie raczyła zauważyć po śmierci Wójtowicza.

– A w jaki sposób pan je znalazł? – Aspirant natychmiast pochylił się w stronę redaktora, a cała jego postawa wyrażała pełne podziwu zainteresowanie. – To nie lada wyczyn dostrzec ślad przeoczony przez całą armię techników.

– No cóż, odkrywanie tajemnic jest poniekąd moim powołaniem – mruknął mile połączony Waldemar. – W końcu od lat zajmuję się tropieniem niezwykłych zjawisk.

Gdy tylko wspomniał o swojej pasji, natychmiast rozwiązał mu się język i przestał zwracać uwagę na mundur chłopaka, który z uwagą słuchał opowieści o jego zmaganiach z mrocznymi zagadkami wszechświata. Zaaferowany nawet nie

spozrzegł, że z rękawa jego jesionki cichcem wypełza futrzasty wąż. Nagle szklanka przewróciła się z brzękiem.

– Łapcie ją – pisnął Mrocz.

Ale Kaśka już dorwała się do rozlanej herbaty i z lubością chłeptała aromatyczny napar.

– O rety, tchórz! – ucieszył się Piotr.

Magda złapała zwierzaka za tłusty brzusek i podała właścicielowi.

– No i co ty wyprawiasz, myszko?! – zganiał rozrabiakę Waldemar. – Przepraszam za bałagan – zwrócił się do Magdy – zaraz to powycieram. Ona strasznie lubi herbatę, jak wszystkie fretki, ale chyba jest na nią uczulona. Dostaje okropnej sraczkii. A sama pani rozumie, że w rękawie...

Obdarzony plastyczną wyobraźnią Piotr omal nie parsknął śmiechem.

– Może niech pan ją na chwilę wypuści – zaproponowała Żaboklicka, wzdrygając się na myśl, że mogła ulec propozycji i skorzystać z okrycia redaktora, kiedy marzła w nocnej koszuli. – Chyba nie ucieknie?

– Najwyżej zabunkruje się w jakiejś dziurze i zaśnie, a ja będę czekał na nią godzinami i siedział pani na głowie – westchnął Mrocz, czujnie nasłuchując dobiegających z rękawa odgłosów, gotów w każdej chwili wytrząsnąć defekującego pupila.

– I tak wolę nie zostawać sama. – Dziewczyna wzruszyła ramionami. – Najwyżej zdrzemnie się pan na kanapie w jadalni, bo chyba u Złocickiego nikt na pana nie czeka?

– W takim razie będzie bezpieczniej, jak sobie pobiega. – Waldemar postawił tchórzofretkę na podłodze.

Kaśka natychmiast zrobiła wielkiego kleksa i pobiegła przyjrzeć się butom policjanta.

– Tak szybko? – zdziwił się aspirant.

– One mają ekspresową przemianę materii – wyjaśnił publicysta, z napięciem wpatrując się w skarpetki Nowickiego.

Ale jeżeli miał nadzieję, że futrzak pomści afronty, których doznał ze strony organów ścigania, czekało go rozczarowanie. Widocznie Piotrek spodobał się również tchórzofretce, ponieważ zostawiła jego kostki w spokoju i ruszyła na zwiedzanie kuchni, znacząc szlak cuchnącymi plamkami.

– Nie rozumiem, dlaczego koledzy mieli jakieś zastrzeżenia do państwa relacji.
– Piotr wrócił do zasadniczego tematu, usiłując nie wyobrażać sobie, co zrobiliby mu Rybińska do spółki z Korczakowskim, gdyby usłyszeli, że nazywa ich kolegami. – Przecież wszystko się trzyma kupy. Ktoś wiedział o skrytce Wójtowicza i wtargnął do domu, korzystając z rozgardiaszu spowodowanego remontem. Pan Waldemar zapewne ma rację, że istnieje zaginiony komplet kluczy, który jakoś trafił do rąk włamywacza. Więc nieuszkodzony zamek nie powinien dziwić. A poza tym mają państwo zdjęcia odcisków ubłoconych butów pozostawione przez intruza. Na ich podstawie technicy na pewno zabezpieczyli właściwe ślady. Są dowody i zeznania, jedynie odkrycie piwnicy stanowi pewną rewelację.

– No, właśnie – przytaknęła Żaboklicka. – Tylko że ja coś jeszcze widziałam i pan redaktor uważa, że to może nie był taki zwykły włamywacz. A może i włamywacz był zwykły – dodała, jakby doskonale znała się na „zwykłych włamywaczach” – tyle że coś niezwykłego się za nim przywlekło.

– Że jak? – Piotr zmarszczył brwi, usiłując odnaleźć sens w wypowiedzi projektantki.

– Oho, już się zaczyna – sarknął Mrocz. – A taki był dotąd niby miły policjant.

– Przepraszam, ale ja po prostu nie wiem, o czym państwo mówicie. – Aspirant uniósł ręce w obronnym geście. – Jakie podejrzenia ma pan Waldemar i co pani widziała, pani Magdo?

Zapadła chwila krępującej ciszy. W końcu Magda przymknęła powieki, nabrała tchu i po raz trzeci tego dnia złożyła zeznanie na temat upiornej zjawy majaczącej za okienną szybą. Wyrecytowała je bardzo szybko, bo po pierwsze chciała już mieć

to z głowy, a po drugie zdążyła się nauczyć jego treści na pamięć i nie musiała szukać słów adekwatnych do opisywanej grozy.

– I co, jestem histeryczką? – zapytała zaczepnie, otwierając oczy.

Ale na twarzy Piotra, zamiast spodziewanego sceptycyzmu, malował się wyraz niekłamanej fascynacji.

– A pan Waldemar uważa, że ukazał się pani...? – urwał znacząco.

– Wilkołak! – wypalił Mrocz.

Z satysfakcją obserwował rezultat swojego oświadczenia. Aspirant wyraźnie oczekiwał dalszych rewelacji. Nareszcie trafił się przedstawiciel organów ścigania, który na wieść o pladze likantropii nie sięgał po kajdanki. Redaktorowi nie przeszkadzała niska ranga funkcjonariusza. Po raz pierwszy w życiu mógł poinformować służby odpowiedzialne za bezpieczeństwo publiczne o swoich podejrzeniach bez ryzyka, że skończy w kaftanie bezpieczeństwa. Rozpoczął wykład na temat okrytych wilczą skórą potworów.

Nowicki słuchał go z niekłamany zainteresowaniem, ale bez zdziwienia. Jako miejscowy znał krążące po okolicy plotki i orientował się, że Waldemar nie odkrył Ameryki. Nigdy jednak nie zetknął się z ujęciem tematu od strony, by tak rzec, naukowej, więc chętnie chłonał nowe dlań informacje. A Mrocz rozpoczął *ab ovo*, czyli właśnie od podań starożytnych Rzymian i Greków, by przedstawić poszczególne przypadki likantropii, które zostały opisane na przestrzeni dziejów.

W końcu to Magda zaczęła się trochę niecierpliwić. Redaktor umiał ciekawie opowiadać i dysponował rozległą wiedzą, ale nic z jego wykładu nie wynikało. Gdyby nagle zaczęła się pasjonować wilkołakami, a wszak nie przejawiała podobnych ciągót, mogłaby zaczerpnąć te informacje z jakiejś monografii lub internetu. Stare bajki miały się nijak do przerażającej wizji, z którą zetknęła się w nocy. Nawet nie wydawały się specjalnie straszne.

– Ale dlaczego uważał pan, że ataki się powtórzą? – zapytała w końcu. – Dlaczego przyjechał pan właśnie teraz, aby czekać na pojawienie się potwora?

Waldemar uniósł rękę, domagając się chwili cierpliwości, po czym niemal dosłownie zacytował z pamięci fragment dzieła Olaus Magnusa. Nie miał fotograficznej pamięci, po prostu czytał ów tekst już ze czterdzieści razy.

– Otóż, drodzy państwo, znajdujemy się mniej więcej na terenach, które opisywał szwedzki duchowny – zaczął wyjaśniać – przy założeniu, że używał nazw zwyczajowych, ponieważ granice polityczne zmieniały się w jego czasach bardzo dynamicznie. Dlaczego właśnie tutaj miałyby się panoszyć plaga wilkołactwa? Sądzę, że jest to ślad tradycji sięgającej korzeniami czasów pogańskich, sprzed krzyżackiej krucjaty. Wierzenia dawnych Prusów i Jaćwingów znamy bardzo powierzchownie. Nie wiemy, czy likantropia stanowiła ich istotny element. Jednak studiując źródła z szesnastego i siedemnastego wieku, natknąłem się na interesujący trop. Osobami oskarżanymi o wilkołactwo byli prawie wyłącznie autochtoni. Niektórzy z nich posługiwali się jedynie językiem pruskim i zbieranie zeznań wymagało obecności tłumacza. Co więcej, bardzo chętnie przyznawali się do zarzutów, jakby zdolność do przemiany w wilka stanowiła dla nich powód do dumy. Choć przeważnie przed sąd trafiali ludzie bardzo prości, a Magnus pisze o lokalnej szlachcie, jednak nie należy zapominać, że nie cała szlachta miała wówczas pochodzenie niemieckie, polskie czy szwedzkie. Wielu arystokratów wywodziło się z bardzo starych, miejscowych rodów. A szlachcica byłoby bardzo trudno postawić przed sądem. Możemy więc przypuszczać, że wilkołactwo stanowiło plagę jedynie wśród rodowitych Bałtów i wiązało się z jakąś linią szlachtetnej krwi, skoro przyczyniało się do swego rodzaju nobilitacji w przypadku osób niemogących wylegitymować się pochodzeniem z legalnego związku.

– Czyli wilkołactwo było dziedziczne? – zapytał Piotr.

– Tak sądzą – potaknął redaktor. – Można dyskutować, czy chodziło o realną przemianę w zwierzę, czy też o rodzaj przekazywanej z ojca na syna choroby psychicznej wiążącej się z atakami morderczego szału w określonych porach roku lub sytuacjach. To dopiero będę się starał rozstrzygnąć. Ale nie ulega dla mnie wątpliwości, że wśród miejscowych mężczyzn przez wieki szerzyła się plaga likantropii. Zakładam, że klątwę przekazywano jedynie w linii męskiej, ponieważ

nie natknąłem się na żadne wzmianki o kobietach-wilkołakach. Choć te może palono na stosach jako czarownice, nie zwracając sobie głowy subtelnościami.

– Więc sądzi pan, że jakiś daleki potomek właśnie teraz... – zrozumiała Magda.

– Ano właśnie. – Waldemar pokiwał głową. – U kogoś uaktywnił się jakiś gen albo duchowa skłonność, albo jakieś inne diabelstwo i ten ktoś przeszedł na ciemną stronę.

– Musiałyby pochodzić wprost od Jaćwingów, a ich od setek lat już nie ma – zgłosił zastrzeżenie Piotr.

– Nie ma jaćwieskiego etnosu, ale geny istnieją – wyjaśnił Mrocz. – Słowiańskie państwo wielkomorawskie zniknęło ponad tysiąc lat temu, ale jedna czwarta współczesnych Węgrów ma słowiańską haplogrupę R1a1. Pomimo wieków mieszania krwi, przesiedleń i rzezi jaćwieskie geny mogły przetrwać. Co więcej najnowsze badania dowodzą, że geny zapomnianych autochtonów niewiarygodnie długo mogą być przekazywane w ramach populacji zamieszkującej dany teren pomimo jej naturalnej zmienności. W Anglii znaleziono szkielet sprzed kilku tysięcy lat, z kości wyodrębniono DNA i w ramach eksperymentu przebadano ludność w najbliższej okolicy znaleziska. Okazało się, że miejscowy nauczyciel jest bezpośrednim potomkiem zmarłego. Więc jeżeli wilkołactwo wśród Prusów nie stanowiło zjawiska kulturowego, lecz odpowiadał za nie jakiś genetyczny fenomen, możemy mieć do czynienia z prawdziwym przypadkiem likantropii. A jak powszechnie wiadomo, likantropia ma ścisły związek z fazami Księżyca. Sprawdziłem w kalendarzu i okazało się, że do pierwszego wypadku doszło podczas pełni. Wprawdzie chłopiec nie zginął w nocy, lecz późnym wieczorem, ale w lipcu dni są długie i księżyc od dawna już wisiał na niebie. Sami się już chyba domyślacie, że na datę śmierci Wójtowicza również przypadała pełnia. To nie wygląda na przypadek. Nauczyłem się, że tropienie niewyjaśnionych zjawisk polega między innymi na doszukiwaniu się prawidłowości, które na pierwszy rzut oka nie wydają się oczywiste. Dlatego postanowiłem w grudniu odwiedzić Szurpiły.

– Dlaczego akurat w grudniu? – chciała wiedzieć projektantka.

– Ponieważ tradycyjnie grudzień to miesiąc wilków i wilkołaków – odparł poważnie Waldemar. – Zapewne dlatego na grudzień przypada wspomnienie Świętego Mikołaja z Miry. Albo też z racji terminu święta przypadł mu tak przedziwny patronat.

– Zaraz, co mają wspólnego mikołajkowe prezenty z wilkołakami? – zdziwił się Piotr.

– Młody człowieku – uśmiechnął się Mrocz – widzę, że Święty Mikołaj kojarzy ci się tylko z popkulturą. Ale ja nie mówię o grubasie w czerwonym wdzianku, tylko o potężnym świętym, otaczanym najwyższym kultem już w średniowiecznym Bizancjum, który po chrystianizacji słowiańszczyzny w obyczajowości ludowej przejął atrybuty pogańskiego boga Welesa. Wśród Bałtów jego odpowiednik stanowił Velnias lub Velinias. Weles był bogiem podziemnych zaświatów, magii oraz opiekunem bydła. Być może wiązało się to jakoś z jego funkcją pasterza dusz. W każdym razie kiedy zabrakło starodawnego bóstwa, Święty Mikołaj został patronem pasterzy, ale odziedziczona po pogańskim poprzedniku funkcja wymuszała na nim pełnienie nowych obowiązków w nieco przewrotny sposób. Otóż wprawdzie chronił stada przed drapieżnikami, ale jednocześnie dbał o wilki. Prawdziwe oraz te, w które przedzierzgnęli się dotknięci klątwą ludzie.

Magda i Piotrek słuchali w skupieniu, nie mogąc się nadziwić.

– Istnieją niezliczone podania o Świętym Mikołaju zwołującym raz do roku wilcze watahy z całego boru i rozdzielającym swoim krwiożerczym podopiecznym zadania na najbliższe dwanaście miesięcy. Pozwalał im pożerać grzeszników oraz określoną część wołów i owiec, lecz jako przykładowy chrześcijanin zabraniał napaści na cnotliwych prostaczków. Natomiast skalany grzechem bogacz mógł się wykupić i ograniczyć straty materialne, składając szóstego grudnia odpowiednią ofiarę na ręce plebana. Jednym słowem: w dawnej kulturze ludowej święty z Miry kojarzył się głównie z wilkami, a nie rozdawaniem prezentów. Dlatego wspomniałem o nim w kontekście grudnia jako wilczego miesiąca. Olaus Magnus, idąc za większością tradycyjnych opowieści, uważa, że wzmożona aktywność wilkołaczych watah przypada na okres świąt Bożego Narodzenia. Wynika to

z odwiecznej roli, jaką w obyczajowości odgrywało przesilenie zimowe. Ale istnieje równie wiele przekazów, które każą wilkołakom ujawniać się masowo właśnie w noc Świętego Mikołaja lub jej wigilię. Jest też trzecia grupa legend, która nie podaje konkretnej daty, lecz mówi ogólnie o grudniu lub po prostu zimowej nocy. I wcale nie pochodzą z Prus czy Litwy, ale spotykane są na terenie całej Europy. Więc jeżeli założymy, że jedynie pora roku ma związek z kalendarzem solarnym, to, moim zdaniem, moment wystąpienia nasilonego zjawiska likantropii wyznacza grudniowa pełnia. A tak się dziwnie składa, że w tym roku przypada ona na szósty dzień tego miesiąca. Jestem ciekaw, czy Święty Mikołaj przywoła swoją sforę.

– To już za trzy dni – zaniepokoił się Piotr i po raz pierwszy przestał się uśmiechać. Zasepiony, z profilu przypominał markotną papugę.

– Ale dzisiaj jeszcze nie ma pełni – zauważyła roztropnie Magda. – Poza tym cały czas niebo zasłaniają gęste chmury.

– Nie wiem, czy chmury mają jakieś znaczenie, księżyc przecież wciąż gdzieś tam świeci. – Waldemar podrapał się po łysinie. – Jak na razie nie nastąpił atak. Lecz pełnia się zbliża i może już to wystarcza do przeistoczenia, choć mordercze instynkty pozostają stłumione. To by tłumaczyło, dlaczego nic się pani nie stało.

– Założmy, że potwór naprawdę istnieje – odezwał się z namysłem aspirant. – Co sprawia, że pojawia się jedynie w okolicy willi Wójtowicza?

– Cholera wie. – Redaktor po raz pierwszy przyznał się do niewiedzy. – A dlaczego duchy nawiedzają wciąż te same miejsca, a UFO widuje się najczęściej w określonych rejonach? Tkwimy w strefie tajemnic. Możemy jedynie wychwytywać pewne prawidłowości i próbować na ich podstawie budować jakieś teorie. Ja na przykład sądzę, że gdzieś tutaj znajdowało się niegdyś owo „wieszczę” miejsce, o którym wspomina Magnus.

Żaboklicka pomyślała, że wyczuwała to od pierwszego dnia pobytu w Szurpiłach. Niby wszystko tu wyglądało normalnie, jak w tysiącach innych sielskich miejsc rozsianych po Polsce, a jednak w powietrzu wciąż wisiało

nieokreślone metafizyczne napięcie. Nawet w piękne, słoneczne dni urzekające skądinąd krajobrazy spowijała ulotna mgiełka stężącej grozy. Nie pozwalała swobodnie odetchnąć i bez żadnej racjonalnej przyczyny wprawiała nerwy w nieustanny dygot. Pośród morenowych wzgórz człowiek czuł się jak gryzoń spacerujący po łące, nad którą kołują niewidoczne dla jego oczu myszołowy.

– Auuu! – Przepelnione boleścią zawroźnienie przeszło powietrze, sprawiając, że siedząca przy okrytym ceratą stole trójka rozmówców podskoczyła na rozchwianych krzesłach.

– Rany boskie, co to?! – wrzasnęła Magda, odruchowo przysuwając się do policjanta.

Piotr zerwał się z miejsca, uspokajającym gestem kładąc jej dłoń na ramieniu.

– Kto tam jest?! – zawołał w stronę uchylonych kuchennych drzwi, starając się nadać swemu z lekka drżącemu głosowi surowe brzmienie.

– To tylko ja. – Drzwi otworzyły się na oścież, ukazując podskakującego na jednej nodze osobnika w berecie i wytartej kufajce. – Tolek Kołuda. Coś użarło mnie w kostkę.

Waldemar rzucił się w stronę przybysza jak tygrys. Ten zasłonił się odruchowo przed spodziewanym atakiem, ale redaktor tylko odepchnął go na bok i pobiegł w głąb korytarza, pokrzykując:

– Kasiu! Myszko, gdzie jesteś?!

Gość śledził jego poczynania okrągłymi ze zdumienia oczami. Po chwili odwrócił się w stronę kuchni, jakby poszukując wyjaśnienia, ale obraz, który ogarnął jego wytrzeszczony narząd wzroku, sprawił, że zrezygnował z pytań. Śmiertelnie blada Magda nieco bezwładnie zwieszała się z krzesła, trzymając się oburącz za serce, a policjant zastygł w groźnej postawie z ręką na wysokości pasa, jakby sięgał ku broni służbowej. Pistolet wprawdzie leżał w sejfie na komisariacie, ale pałę gliniarz miał.

Scena zachowała statyczny charakter aż do powrotu Waldemara. Redaktor zdołał wytropić i schwytać małą uciekinierkę, która teraz wiła się jak pluszowa

pijawka w nadziei na odzyskanie swobody.

– Dzień dobry panu. – Mrocz uklonił się odruchowo, mijając gościa, po czym zwrócił się do Magdy: – Dziwne, przysięgłbym, że drzwi były zamknięte.

– Najwyżej przymknięte. – Dziewczyna z wolna wracała do równowagi. – Nie mają klamki ani zamka.

– Otworzyłaś sobie, łobuziaro! – Pogromca pogroził palcem swojej pupilce. – W domu jest za dużo zakamarków. Musiałem ją szybko złapać, bo zwiedzałyby je dwa dni – wyjaśnił swoje gwałtowne zachowanie.

– Co pan tu robi, panie Tolku? – Projektantka zainteresowała się wreszcie osobą przybysza. – Przecież ma pan wolne.

Anatol Kołuda, niewykwalifikowany robotnik budowlany, mieszkał w pobliskich Kisajnach. Podczepiał się pod każdą kolejną brygadę zatrudnioną przy remoncie willi bez względu na specyfikę prowadzonych prac. Pomagał już murarzom, elektrykom, hydraulikom i specom od karton-gipsów. Określenie „niewykwalifikowany” nie oznaczało w jego przypadku, że na czymś się nie znał, tylko że w niczym się nie specjalizował. Po prostu umiał zrobić wszystko – od spawania po malowanie. W dodatku ów drobny, piegowaty blondynek, który niedawno przekroczył dwudziestkę, bez trudu dźwigał po kilka worków cementu naraz. Nic dziwnego, że na każdej budowie witano go z otwartymi ramionami.

– Majster, znaczy się pan Majek, nie mógł się do pani wczoraj dodzwonić – zaczął wyjaśniać Kołuda. Miał wysoki, trochę dziecinny głos i zabawnie zmiękczał samogłoski. – Prosił, żebym wpadł i uprzedził, że ekipa będzie dopiero w środę, bo im się samochód popsuł.

Normalnie Magda miałaby w stosunku do tej wiadomości ambiwalentne uczucia. Z jednej strony trafiłby ją szlag przez terminy, z drugiej w skrytości ducha cieszyłaby się z kilku dni spokoju. Tego dnia jednak zareagowała zdecydowanie negatywnie.

– Co oni sobie myślą, że się samo wybuduje? – warknęła do Bogu ducha winnego Anatola.

– Ja mogę przyjść i coś porobić – zadeklarował się budowlaniec.

Dobre i to – pomyślała Żaboklicka – przynajmniej w dzień nie będę całkiem sama. Zresztą „coś” w przypadku Tolka oznaczało całkiem dużo. Jednak aby dać upust złości, wyciągnęła telefon i upewniwszy się, że ma zasięg, wykręciła numer majstra, żeby mu trochę z rana pozrzedzić.

– Dlaczego od razu nie wszedłeś do kuchni? – zapytał chłopaka aspirant.

Znał reputację budowlańca znacznie lepiej niż Magda. Wprawdzie od jakiegoś roku Kołuda prowadził się niemal nienagannie, jednak w przeszłości zdarzały mu się różne głupie wybryki po alkoholu oraz drobne kradzieże. Obecnie nadal obracał się w nieciekawym towarzystwie, choć unikał kłopotów. Policjant podejrzewał, że młody skradał się cichcem w poszukiwaniu jakichś fantów do zwinięcia. Mógłby się z nimi ulotnić niezauważony i jak gdyby nigdy nic wrócić później, aby przekazać informację.

– Właśnie miałem zapukać, bo usłyszałem, że pani Magda ma gości, kiedy to małe cholerstwo mnie ugryzło – wybrnął gładko Anatol. – A co tu się stało? Bo po drodze widziałem radiwozy.

– Włamanie było – poinformował go Piotr. Następnie musiał odczekać dłuższą chwilę, ponieważ jazgotanie ściskającej telefon Magdy uniemożliwiało wymianę zdań. Gdy na moment ucichła, dodał: – Ale ekipa dochodzeniowa odjechała już z godzinę temu.

– To ja i z godzinę szedłem na piechotę, bo mi łańcuch w rowerze strzelił. – Wskazał na powalane błotem nogawki spodni.

Dopiero teraz aspirant spostrzegł, że Kołuda paraduje w samych skarpetkach.

– Dlaczego łazisz na bosaka?

– Jakbyś zobaczył moje gumofilce, tobyś nie pytał. Nawet w ten syf wstyd takie błoto nosić – odparł z godnością budowlaniec.

– Panie Tolku – wtrąciła się Żaboklicka, która właśnie zakończyła telefoniczną połajankę – to może położyłby pan glazurę w tej małej łazience na piętrze?

– Ale kleju nie ma.

– Z samego rana w poniedziałek pojedziemy do hurtowni. – Projektantka planowała już przyszłe posunięcia. – Do bagażnika zmieści się kilka worków.

– Może być. – Anatol skinął jasną głową i założył beret. – To ja będę leciał.

– Czekaj, podrzucę cię – zaproponował Piotr. – I tak się zasiedziałem, a przecież jestem na służbie. Do widzenia – zwrócił się do Magdy. – Muszę jechać do pracy, ale obiecuję, że będę miał na panią oko. Zresztą bardzo chciałbym wpaść tu jeszcze w wolnej chwili, żeby obejrzeć tę piwnicę.

– Zapraszam. – Dziewczyna, nie wiadomo dlaczego, poczuła się odrobinę zawiedziona, że policjant już wychodzi. – Niech pan zagłąda, kiedy tylko przyjdzie panu ochota.

– Panie Waldemarze, czy mógłby pan nas odprowadzić? – poprosił aspirant, mrużąc porozumiewawczo oko. Dopiero w holu przyciszonym głosem przedstawił redaktorowi swoją propozycję: – Czy mógłby pan na kilka dni przeprowadzić się do willi? Miejsca jest tutaj aż nadto, chociaż warunki pewnie nie są takie komfortowe, jak w domku u pana Andrzeja. Będę spokojniejszy, jeżeli pani Magda nie zostanie na noc zupełnie sama. Poza tym będzie miał pan tutaj znacznie lepsze warunki do... hmmm... obserwacji.

Jakby mimochodem przyglądał się jednocześnie Tolkowi naciągającemu na stopy ocieplane gumki. Buty faktycznie przypominały dwie niekształtne bryły błota. W dodatku ogromne, bo drobny robotnik miał nogi jak podolski złodziej.

– Sam już o tym myślałem – odparł z wyższością Mrocz. – Nie wiem tylko, czy ona będzie chciała gościć zupełnie obcego mężczyznę.

– Na pewno – uśmiechnął się Piotr. – Nawet jakby teraz nie chciała, to wieczorem zmieni zdanie. Gwarantuję. Zresztą budowlańcy przecież też nie są jej znajomymi, a jakoś przebywa z nimi pod jednym dachem. Niech pan mi poda swój numer telefonu, musimy być w kontakcie. Gdyby zauważył pan cokolwiek podejrzanego, proszę do mnie dzwonić bez względu na porę. Z domu przyjadę tu w piętnaście minut, a z posterunku droga zajmie mi najwyżej pół godziny. Gorzej, jeżeli będę gdzieś w terenie.

Przedzwonili do siebie nawzajem, zapisali kontakty i policjant ruszył w stronę drzwi, podziwiając gigantyczne ślady, które zostawił Kołuda. W progu przystanął jeszcze na chwilę i wskazał zamek:

– Proponuję jakieś dodatkowe zabezpieczenie.

Po czym wyszedł na podwórze, skąd niebawem dobiegło rżenie krztuszącego się silnika.

4

Siąpiąca nieustannie od kilku dni mżawka wieczorem przekształciła się w drobny deszczyk. W dodatku temperatura spadała w szybkim tempie. Nowicki stał pod daszkiem przed wejściem do komisariatu i obserwował kłęby pary unoszące się z ust przy każdym oddechu. Mleczne obłoczki opalizowały w mętym świetle latarni i utrudniały wybranie właściwego numeru na ekranie smartfona. W dodatku marzły mu palce. Na szczęście Mrocz zgłosił się już po pierwszym sygnale. Zameldował, że w willi wszystko jest w najlepszym porządku, a Żaboklicka poszła spać wczesnym popołudniem i jak dotąd nie zdołała się wyrwać z ramion Morfeusza. Tylko Kasia gdzieś przepadła, ale nie ma powodu do zmartwień, bo cały czas słysząc jej drapanie. Jednym słowem: nie zachodzą żadne okoliczności, które wymagałyby wizyty policjanta. W pierwszej chwili Piotr się ucieszył i już zamierzał wrócić na posterunek, żeby oddać kluczyki od niepotrzebnego radiowozu, ale gdy spojrzął na nowiutki samochód Kia w policyjnych barwach, zmienił zdanie.

W pracy miał parszywy dzień. Najpierw oberwał od kierownika za nieobecność na odprawie, chociaż Korczakowski lojalnie powiadomił jego przełożonego o przyczynie spóźnienia. Lecz aspirant sztabowy Remigiusz Szot uwielbiał się pieklić i nie potrafił sobie odmówić takiej przyjemności, skoro trafiła się okazja. Tym bardziej że poranne połajanki, których przyczynę stanowiły spóźnienia Piotra, można było uznać za swoistą tradycję posterunku w Rutce. Nikogo nie obchodziło, że aspirant niemal codziennie wstawał półtorej godziny przed terminem rozpoczęcia pracy, aby zapewnić sobie odpowiedni margines czasu na próby

uruchomienia swego zabytkowego pojazdu. Nikt też nie chwalił go, gdy przyjeżdżał na służbę godzinę wcześniej, kiedy udało mu się odpalić auto przy pierwszym podejściu. Odnotowywano jedynie przypadki przegranych zmagañ z techniką. Inna sprawa, że Nowicki, zafrapowany wynurzeniami Mrocza, siedział w domu nad jeziorem znacznie dłużej, niżby wypadało.

Potem była interwencja u Filipiaków. Narąbany jak stodoła, z racji wolnej soboty, Filipiak znowu tłukł swoją szpetną żonę na środku podwórza ku uciesze mieszkańców ulicy Suwalskiej oraz przypadkowych przechodniów. W końcu ktoś się zlitował i zadzwonił na prywatny numer Piotra. Takie nieoficjalne zgłoszenia również należały do tradycji. Wezwanie policji do sąsiadów uchodziło za czyn nadzwyczaj niehonorowy, więc kiedy zaczynało być naprawdę źle, ktoś zazwyczaj rzucał: „A weź tam który zadzwoń do Piotrka, bo łobuz zatłucze babę”. Wszak Piotrek to w końcu swój, miejscowy. Z kimś chodził do szkoły, z kimś na ryby albo dyskotekę, więc niby nie powiadamiano organów ścigania, tylko kumpla, który potrafi zapobiec tragedii. A że przychodził w mundurze, to już jego sprawa i jego wstyd. Tym razem szczególnie nasłuchiwał się uwłaczających komentarzy, bo zjawił się w towarzystwie sierżanta Radka Gralaka, do którego należał rewir w Rutce, więc zgromadzeni uznali, że łamie uświęconą obyczajem umowę społeczną, mieszając obcego do prywatnych spraw lokalnej społeczności. W dodatku Filipiak zareagował na interwencję nad wyraz agresywnie, o czym przypominała Nowickiemu rozcięta warga.

Najgorsze wyzwanie jednak dopiero go czekało. Nazywało się papierkowa robota i przeciągnęło się prawie do osiemnastej w ramach nadgodzin, za które nikt nie płacił. Teoretycznie Piotr mógłby je sobie odbierać w ramach dodatkowych dni wolnych, ale już widział wyraz twarzy Szota, gdyby beczelnie zgłosił się po należne trzy miesiące wypracowanych wakacji. Właśnie wypełniał ostatni idiotyczny formularz i dla rozrywki usiłował zwizualizować sobie wzmiankowaną minę przełożonego, gdy ów jak duch pojawił się przy jego biurku i położył na blacie kluczyki od radiowozu.

– Tylko jutro rano ma stać czyściutki na parkingu – rzucił groźnie kierownik.

A więc Korczakowski jednak się zlitował i załatwił dzielnicowemu transport na czas pełnienia dodatkowych obowiązków, choć zapowiadał, że umyje ręce.

Teraz kluczyki paliły Piotra w zgrabiałą dłoń. W końcu nikt nie słyszał jego rozmowy z Mroczem. Nikt nawet nie wiedział, że redaktor przeniósł się do domu nad jeziorem i Żaboklicka nie jest już sama. Zresztą nakazano mu, aby miał na oku willę oraz jej okolicę, a pojęcie „okolica” wydawało się bardzo pojemne. Na tyle pojemne, że pozwalało na przyjemną przejażdżkę nowiutkim radiowozem, który w odróżnieniu od stanowiącego własność aspiranta rzęcha, bez protestu jeździł do przodu, do tyłu, miał sprawne reflektory, wycieraczki, spryskiwacze i ogrzewanie. Ba, wyposażono go nawet w radio umożliwiające słuchanie muzyki w doskonałej jakości. Jednym słowem: odrobina luksusu na koniec parszywego dnia.

Nowicki, kuląc się przed lodowatym deszczem, przebiegł przez parking i wskoczył za kierownicę. Uruchomił silnik, rozkoszując się jego cichym i regularnym dźwiękiem, i zgodnie z rozkazem pojechał prosto do Szurpił. Tyle że przez Filipów, co oznaczało jakieś dwadzieścia kilometrów nadprogramowej wycieczki. Pora i pogoda może i nie dopisywały, ale Piotr nie zamierzał podziwiać krajobrazów, które mógłby narysować z pamięci, gdyby Opatrzność obdarzyła go choćby minimalnym talentem plastycznym. Chciał tylko jechać przed siebie. Uwielbiał prowadzić, a jego codzienne zmagania z kupą złomu trudno było nazwać jazdą. Nie mówiąc już o jakiegokolwiek przyjemności.

Wyszukał częstotliwość Radia Białystok, które właśnie nadawało jakąś audycję muzyczną, i mknął przez mętny mrok rozcinany ostrym blaskiem reflektorów. Po niecałych dwóch kwadransach zorientował się, że przestało padać, więc wyłączył wycieraczki, ale widoczność wcale się nie poprawiła. Wręcz przeciwnie. Nad szosą kłębiło się coś pośredniego pomiędzy mgłą a mżawką. W dodatku zbliżał się do Szurpił.

Zdjął nogę z gazu. W samą porę, bo nagle na środku drogi zamajaczył jakiś ciemny, szybko przemieszczający się kształt. Zanim zdążył go zidentyfikować, wcisnął hamulec. Radiowóz zatańczył na boki, kiedy koła straciły przyczepność, i zarzucając tyłem, popłynął w kierunku pobocza. Refleks Piotra, który

błyskawicznie skontrował kierownicą, nie zrobił wrażenia na rozpędzonej masie metalu. Auto przeskoczyło płytki rów, by utknąć ostatecznie na zaoranym polu. Silnik zgasł.

Nowicki odetchnął głęboko i wyłączył radio. W nagłej ciszy słyszał, jak grudki błota osypują się z nadkoli. Pierwszy raz w życiu kompletnie stracił panowanie nad pojazdem. Jak to się mogło stać? Jeszcze nieco oszołomiony wydobył ze schowka latarkę, otworzył drzwi i pobrnął przez rozmiękłą ziemię w kierunku szosy. Przede wszystkim chciał sprawdzić, co się stało z tym czymś na drodze. Poruszało się stanowczo zbyt szybko jak na człowieka, ale czy w ułamku sekundy miał możliwość właściwej oceny? Przeskoczył rów, lądując obunóż na asfalcie i wyciął orła rodem ze slapstickowego filmu, jakby buty nie miały w ogóle przyczepności.

Leżąc na wznak, pomacał ręką dookoła i odkrył, że całą nawierzchnię pokrywa warstwa zdradliwego lodu. Nic dziwnego, że wylądował na poboczu. Po jezdni nie dawało się chodzić, nie mówiąc o sportowej jeździe. Chyba i tak miał sporo szczęścia. Gdyby ujechał kawałek dalej, gdzie zaczynały się zabudowania, w najlepszym razie wyrznąłby w czyjś płot.

Przekręcił się na brzuch i stanął na czworakach. Na szczęście latarka nie potoczyła się daleko. Ostrożnie sięgnął po nią, balansując na trzech rozjeżdżających się kończynach. Poświecił dookoła. Żadnych zwłok ani śladów zderzenia. Cokolwiek widział, zniknęło w ciemności. Nagle uświadomił sobie, że teraz to on stwarza zagrożenie, klęcząc na pasie ruchu, więc czym prędzej zręcznym ślizgiem przemieścił się na skraj jezdni i zerwał na nogi, kiedy tylko udało mu się zakotwiczyć podeszwy w zapewniającej tarcie warstwie piachu. Wrócił do samochodu i dokładnie go obejrzał. Pojazd trochę się ubrudził, ale nie doznał żadnych widocznych uszkodzeń. Jeżeli zawieszenie nie ucierpiało, głupi wybryk ujdzie mu na sucho. Ufundowany przez gminę radiowóz pełnił służbę zaledwie od tygodnia. W poprzednią sobotę odbyła się wielka feta, na której w obecności miejscowych notabli ksiądz proboszcz poświęcił maszynę. Strach pomyśleć, co zrobiłby mu komendant, gdyby skasował wóz. Aż się spocił, wyobrażając sobie możliwe konsekwencje.

Teraz trzeba było jakoś wydostać się z błota, które również zaczynało podmarzać i cicho potrzaskiwało pod butami. Przymrozek złapał bez najmniejszego ostrzeżenia, ale Piotr, jako rodowity mieszkaniec Suwalszczyzny, powinien był uwzględnić podobny scenariusz. Tutaj temperatura potrafiła spaść o trzydzieści stopni w ciągu zaledwie dwudziestu czterech godzin.

Na szczęście silnik zaskoczył bez żadnych problemów, ale koła tylko zabuksowały w rozmięklej ziemi, chociaż wrzucił dwójkę i starał się naciskać gaz z wyczuciem. Do przodu, do tyłu, znowu do przodu, a rezultat cały czas taki sam. Czyli żaden. W dodatku drogą nic nie przejeżdżało. Widocznie bystrzejsi od policjanta mieszkańcy zorientowali się w sytuacji i woleli nie ryzykować życia. Pozostawało zadzwonić do któregoś z licznych właścicieli traktorów, którzy figurowali w jego spisie telefonów. Ale konsekwencją takiego posunięcia będzie fakt, że najdalej jutro rano plotki o przygodzie Nowickiego dotrą na posterunek.

Piotr westchnął i zdecydował się na desperacki krok. Powyciągał nowiutkie, pachnące gumą dywaniki i wsunął je pod przednie koła. Bez względu na rezultat czekało go sporo sprzątanina, ale warto spróbować. Delikatnie ruszył. Koła na chwilę złapały, więc dodał gazu. Samochód z rykiem pracującego na wysokich obrotach silnika wyrwał się z lepkiej pułapki i mieląc oponami glebę, dopełzył do utwardzonego pobocza. Tu na dobre odzyskał przyczepność i ukosem przeciął rów melioracyjny, który na szczęście w tym miejscu miał najwyżej trzydzieści centymetrów głębokości oraz łagodne spadki. Pomny czającej się na szosie pułapki, Piotr natychmiast wcisnął sprzęgło i ustawił kierownicę na wprost. Dopiero po chwili spróbował delikatnie skorygować kierunek, żeby nie wylądować w wykopie po drugiej stronie drogi. Udało się i po przejechaniu kilkunastu metrów wyhamował przy akompaniamencie głośnego grzechotu systemu ABS.

Nowicki włączył światła awaryjne i wysiadł przez prawe drzwi, unikając kontaktu z asfaltem. Zaczął przeczesać pole, przyświecając sobie latarką. Trzy dywaniki znalazł niemal natychmiast, ale czwarte koła wyrzuciły na dobre dziesięć metrów i stracił masę czasu, zanim go odzyskał. Wrzucił utyłane wycieraczki do bagażnika i tą samą niewygodną drogą wrócił na miejsce kierowcy. Ze zdumieniem

stwierdził, że dawno minęła dwudziesta pierwsza. Babrał się w błocie ponad godzinę. A musiał jeszcze doprowadzić do porządku radiowóz, odstawić go do Rutki i wrócić swoim gratem do Jeleniewa. To ostatnie uznał za zupełnie niewykonalne. Nie na łyśkich oponach po drodze śliskiej jak szklanka. Postanowił zmienić plany. Pojedzie bardzo ostrożnie prosto do domu, poświęci część nocy na pucowanie służbowego pojazdu i skoro świt, gdy ruszą piaskarki, uda się nim na posterunek. Mierziło go, że zacznie wolny dzień od wizyty w pracy, ale nie widział innego wyjścia. Ale się urządził przez głupie zamiłowanie do nocnych przejażdżek.

Wrzucił drugi bieg, z wyczuciem odpuścił sprzęgło i powolutku potoczył się skrajem szosy poprzez gęstniejące kłęby lodowatej mgły. Po chwili wjechał do wsi i w mlecznym oparze zamajaczyły pierwsze latarnie. Posuwając się w tempie trzydziestu kilometrów na godzinę, z nawyku lustrował mijane domy. Tylko w nielicznych oknach paliły się światła. Mieszkańcy Szurpił przeważnie wcześniej chodzili spać i wstawali o świcie. Minął centrum wsi i właśnie zaczynał się martwić, jak pokona położone kawałek dalej wzniesienie, kiedy spostrzegł coś niepokojącego. Lekko skręcił kierownicą i bardzo delikatnie nacisnął hamulec.

Dom Henryka Romanowskiego, emerytowanego nauczyciela, stał w pewnym oddaleniu od zabudowań sąsiadów. Od niecałych dwóch lat nie był już zupełnie prywatną siedzibą i obecnie mieścił na parterze lokalną instytucję kulturalną, czyli Izbę Pamięci Jaćwieskiej. Romanowski, podobnie jak Andrzej Złocicki, pasjonował się historią, z tym że jego konik stanowiły dzieje ludów bałtyjskich przed wiekami zamieszkujących Suwalszczyznę. Drugą wojnę światową traktował jak niewarte uwagi chwilowe zawirowanie dziejów, ale pozazdrościł krajanowi własnego muzeum. Z tym że rzadkie pamiątki po Jaćwingach spoczywały w salach oficjalnych placówek muzealnych i wydawały się niedostępne dla przeciętnego pasjonata. Nawet jeżeli pan Henryk coś znalazł podczas swoich wielogodzinnych spacerów po okolicy, nie mógłby tego nikomu legalnie pokazać. Dlatego postanowił stworzyć oficjalną placówkę we współpracy z gminą i grupą archeologów z Białegostoku. Wystarał się nawet o dofinansowanie z Unii Europejskiej. W ten sposób w trzech pokojach na pierwszej kondygnacji jego

skromnego domku zagościła ekspozycja składająca się z profesjonalnych makiet, zdjęć, historycznych map, a nawet małej gablotki zawierającej kilka autentycznych jaćwieskich artefaktów. Emeryt zaś zagnieżdził się na poddaszu, skąd z satysfakcją doglądał swego edukacyjnego królestwa.

Uwagę Piotra przyciągnęły otwarte na oścież drzwi miniaturowego muzeum. Otwarte drzwi, same w sobie, nie musiały od razu zwiastować jakiejś sytuacji wymagającej interwencji policjanta; sęk w tym, że w żadnym z okien nie paliło się światło. Pan Henryk zawsze czekał w swoim gołębniku na turystów zainteresowanych powierzoną jego pieczy kolekcją, a że trafiało się ich niewielu, to każdego zwiedzającego traktował jak osobiste trofeum i z błyskiem w oku oprowadzał po wystawie bez względu na porę przybycia. Trudno jednak było przypuszczać, że ktoś wybrał się do leżącej na krańcu świata wsi drogą przypominającą tor bobslejowy, aby w środku grudniowej nocy zgłębiać dzieje Jaćwieży. I to w dodatku po ciemku. Zaś w innym przypadku zamki powinny być starannie zaryglowane, ponieważ leciwy kustosz wprost przesadnie dbał o swoje skarby. Dla niego owa garść pamiątek spoczywająca w szklanej gablocie przedstawiała bezcenną wartość, więc sądził, że każdy oprych w okolicy ostrzy sobie zęby na gliniane przęśliki i wyprane z barw przez czas szklane paciorki.

Aspirant czuł, że sprawa wymaga wyjaśnienia. Przez chwilę czekał w samochodzie, w nadziei, że Romanowski wybiegł na chwilę z domu, na przykład aby przegonić kunę z kurnika, i zaraz pojawi się przy wejściu. Jednak minuty mijały, a smętny blask ostatniej we wsi latarni nie ujawniał żadnych śladów życia w gospodarstwie emerytowanego nauczyciela, więc Piotr z westchnieniem wysiadł z auta. Ślisko było jak cholera. Aby zbliżyć się do domu, musiał przeciąć szosę, co wymagało talentu łyżwiarza figurowego. W ostatniej chwili uniknął kolejnego upadku, chwytając się ogrodzenia. Zawisł wczepiony palcami w drucianą siatkę i nasłuchiwał. Cisza wydawała się tak głęboka, że aż nienaturalna. Jedynie gdzieś z bardzo daleka, z centrum osady, dobiegał przytłumiony jazgot czyjegoś telewizora. A przecież pies Romanowskiego dawno powinien zacząć szczekać. Mały kundel zawsze świetnie odgrywał powierzoną mu rolę alarmu.

Piotr zapalił latarkę i skierował snop światła na drzwi. Dopiero teraz stało się jasne, że nie da się ich zamknąć. Pokancerowane skrzydło zwisało na jednym zawiasie. W zasadzie od razu powinien wezwać wsparcie, ale kto wie, ile czasu musiałby w obecnych warunkach czekać na kolegów. Tymczasem gospodarz mógł wymagać natychmiastowej pomocy.

Ominąwszy skrajem trawnika równie zdradzieckie jak asfalt płyty chodnikowe, podbiegł do drzwi.

– Panie Henryku! – zawołał.

Głos utonął w czarnym prostokącie wyłamanych drzwi, nie wywołując żadnej reakcji. Policjant wszedł więc do pierwszej z trzech ciasnych salek i omiótł kąty światłem latarki. Wszędzie panował nieopisany bałagan. Gliniana makieta grodu na Górze Zamkowej, zajmująca niegdyś postument na środku pomieszczenia, poniewierała się po podłodze w trzech dużych częściach i około tysiącu drobnych odłamków. Jakby ktoś uniósł ciężki model i z furią cisnął go o posadzkę. Podobny los spotkał większość pozostałych eksponatów. Piotr nie tracił czasu na badanie rozmiarów demolki, tym mieli zająć się technicy. Interesował go jedynie los Romanowskiego, który był jego nauczycielem w suwalskim liceum. Wprawdzie wówczas nie zaliczał pana Henryka w poczet ulubionych pedagogów, ale obecnie, gdy młodzińcze urazy zatarły się w pamięci, darzył go swego rodzaju sentymentem.

Pobiegł do następnego pokoju, z którego kręte schodki prowadziły na poddasze. Do mieszkania emeryta wchodziło się bezpośrednio przez wystawę.

Drzwi na klatkę schodową ucierpiały jeszcze bardziej niż wejściowe. Były to stare, pamiętające socjalistyczną produkcję drzwi z cienkiej płyty pilśniowej rozpiętej na stelażu z drewnianych listewek, więc intruz nie marnował czasu na gmeranie przy zamku, tylko wywalił w nich wielką postrzępioną dziurę.

Policjant skorzystał z wyrwy i potykając się o nierówne stopnie, pognał na górę. Przez ciasną sypialnię o skośnym suficie również przeszło tornado, podobnie jak przez oddzielony od niej jedynie spłowiełą kotarą gabinet. Łóżko wyglądało,

jakby pod materacem eksplodował granat. Wszędzie walały się podarte książki i porozrzucane papiery. Tylko ciemna kuchnia ostała się w niemal nienaruszonym stanie. Ale Romanowskiego nigdzie nie było.

Piotr podszedł do szeroko otwartego okna, zastanawiając się, dlaczego hałas nie zaalarmował sąsiadów. Przecież podobna destrukcja nie mogła dokonać się w ciszy. Wychylił się za parapet, ale z tego miejsca nie mógł dojrzeć żadnych świateł. Szczytowa ściana wychodziła na spowite czernią morenowe wzgórza. Nagle w mroku zamajaczyło coś jasnego. Tuż pod okiennym parapetem znajdował się dach parterowej przybudówki, na którym białął jakiś prostokątny przedmiot. Nowicki sięgnął po niego i zorientował się, że trzyma w ręku oprawiony w czarną skórę notes. Nigdy by nie zauważył kajetu, gdyby zeszycik przypadkiem nie otworzył się na jednej z pokrytych pajęczym pismem stron. Pomyślał, że może to gospodarz wyrzucił go, żeby nie wpadł w ręce włamywaczy o wandalskich skłonnościach, więc odruchowo schował notatnik do kieszeni z zamiarem zwrócenia właścicielowi.

Zszedł na parter. Kiedy pochylony przeciskał się przez dziurę w drzwiach, poświecił pod nogi i spostrzegł pewien przeoczony uprzednio szczegół, który przyprawił go o gęsią skórę. Olejną farbę na skraju otworu znaczyły poszarpane bruzdy, sprawiające wrażenie śladów wyrytych przez zwierzęce pazury.

Mimo woli przypomniły mu się hipotezy Mrocza i poczuł się bardzo nieswojo w ciemności. Dopiero teraz przyszło mu do głowy, że przecież już na wstępie mógł po prostu zapalić światło. Poszukał na ścianie włącznika, ale jedyna ocalała z pogromu świetlówka zamigotała tylko przez chwilę, a potem gdzieś w głębi domu ze szczękiem wyskoczyły korki. W powietrzu rozszedł się swąd przypalonej izolacji.

Nowicki dla pewności zajrzał jeszcze do trzeciego pomieszczenia w głębi budynku i pospieszył do wyjścia. Lodowata mgła zgęstniała. Ledwie mógł dostrzec zaparkowany po drugiej stronie ulicy radiowóz. Może Romanowski ukrył się gdzieś w zabudowaniach gospodarczych? Pamiętał, że nauczyciel hodował kilka ras kur ozdobnych i miał mały warsztat.

Niechętnie zagłębił się w mrok za domem. Promień latarki nieco przygasał, pewnie wyczerpywały się baterie. I może dobrze, bo tego, co zostało z psa, na którego truchle spoczął wąty blask, lepiej było nie oglądać w pełnym świetle. Coś rozdarło kundelka niemal na pół, wszędzie poniewierały się trzewia. Czując gorzki posmak w ustach, aspirant przeskoczył ścierwo i szybko zerknął do kurnika. Większość drobiu chyba zbiegła, ale tych kilka sztuk, które wykazały się słabszym refleksem, spotkał los czworonożnego strażnika. Kojce były poprzewracane, a druciane siatki podarte.

Świecąc uważnie pod nogi, Piotr zaczął okrążyć dom. Wystarczająco już wytyłtał się w błocie, nie chciał jeszcze wdepnąć w jakieś paskudztwo. Nagle tuż przed twarzą zobaczył kraciasty papuś. Co gorsza, w kapciu tkwiła żółtawa, koścista stopa. Cofnął się jak oparzony i uniósł latarkę. Henryk Romanowski zdawał się lewitować jakieś półtora metra nad ziemią. Ubrany był w szlafrok i pasiastą piżamę, której nogawki przesiąknęły krwią. Bładosina, pomarszczona twarz zastygła w grymasie skrajnego przerażenia. A że głowa emeryta bezwładnie zwieszała się na piersi, zawieszony na wysokości nieszczęśnik wybałuszonymi ze zgrozy oczami wpatrywał się wprost w Nowickiego. Jednak w istocie dawny nauczyciel aspiranta niczego już nie widział. Nie żył.

Policjant zakrztusił się własną śliną, czując, jak wnętrzności splatają mu się w twardy supeł. Zaciskając zęby, wspiął się na palce i sięgnął do dyndającego bezwładnie nadgarstka w daremnej próbie poszukiwania pulsu. Szorstka skóra zmarłego była zimna jak lód. Zgon nastąpił chyba już dawno, choć tężejący mróz mógł bardzo szybko wyssać ślady ciepła ze starczego ciała. Upewniwszy się, że nic już nie może zrobić dla pana Henryka, Piotr przyjrzał się dolnej partii jego tułowia, pragnąc wyjaśnić przyczynę zdumiewającej pozycji, w jakiej zastygły zwłoki, przecząc powszechnemu prawu grawitacji. Gdy ją odkrył, poczuł się jeszcze gorzej.

Wokół podwórza ustawiono grube pręty zbrojeniowe zakotwione na sztorc w betonowych fundamentach. Każdy mierzył ponad dwa i pół metra wysokości. Gospodarz latem rozpiął na nich siatkę, tworząc zagrodę chroniącą pisklęta przed

skrzydlatymi drapieżnikami. Jeden z żebrowanych prętów tkwił między nogami trupa. Wbity głęboko w korpus utrzymywał nieboszczyka w pionie i nie pozwalał mu spocząć na ziemi.

Funkcjonariusz, porzuciwszy wszelkie pozory profesjonalnego opanowania, czmychnął z mrocznego podwórza i pognał ku zbawczemu światłu ulicznych lamp. Zapewne zatrzymałby się dopiero przy najbliższych zabudowaniach, gdyby nie fakt, że po asfalcie w żaden sposób nie dało się biegać. Jaka ogarnięta maniacką żądzą mordy istota dysponowała tak potworną siłą, by dźwignąć Romanowskiego na ponad trzy metry w powietrze i nadziać niczym szaszłyk na tępy karbowany drut o średnicy niemal trzech centymetrów? Schroniwszy się w samochodzie, który zapewniał złudne poczucie bezpieczeństwa, Piotr wreszcie skontaktował się z komisariatem i zwięźle zameldował o sytuacji. Kazali mu czekać na miejscu i nie podejmować żadnych działań. Gdyby mu kazali podjąć, i tak by nie posłuchał. Miał dosyć wszystkiego. Poczuł, że jest mu straszliwie zimno, a głucha cisza fatalnie działa mu na nerwy. Uruchomił silnik, włączył ogrzewanie i bardzo głośno nastawił radio. Po raz pierwszy w życiu żałował, że nie ma przy sobie butelki wódki.

Z powodu płynącego z głośników hałasu nie usłyszał nadjeżdżającego auta. Wielki czarny SUV zahamował z poślizgiem przed bramą Izby Jaćwieskiej i wyskoczył z niego mniej więcej czterdziestoletni mężczyzna w jaskrawej sportowej kurtce. Z gracją utrzymując równowagę na zdradliwym lodzie, podszedł do radiowozu. Piotr niechętnie opuścił szybę.

– Przepraszam, zobaczyłem radiowóz i pomyślałem, że coś się stało u pana Romanowskiego – zagadnął przybyły.

Nie, tak sobie stoję na zimnie – miał ochotę odpowiedzieć aspirant, ale grzecznie poinformował:

– Było włamanie do muzeum. Proszę odjechać, jutro wszystkiego się pan dowie.

Rozpoznał w przybyszu Ignacego Łosia, właściciela położonego kilka kilometrów od Szurpił pensjonatu. Ulokowany na malowniczym wzgórzu tuż nad

jeziorem ośrodek stanowił najbardziej luksusowy obiekt turystyczny w całej okolicy. Łoś dochodził do obecnej pozycji całymi latami, a zaczynał od małej bazy nurkowej na wydzierżawionym kawałku ziemi. Do dzisiaj zresztą prowadził szkolenia dla osób zainteresowanych podziwianiem zimnych i mętnych głębin suwalskich jezior, z tym że przeniósł tę część swojej działalności nad Czarną Hańczę, która posiadała najbardziej przejrzystą wodę wśród akwenów Suwalskiego Parku Krajobrazowego.

Nowicki nie znał za dobrze Ignacego, lecz na podstawie przelotnych kontaktów miał o nim jak najlepsze zdanie. Gdy przy jakiejś przypadkowej okazji policjant zdradził, że zawsze skrycie marzył o nurkowaniu, właściciel pensjonatu spontanicznie zaproponował mu udzielenie kilku bezpłatnych lekcji. Naturalnie Piotr nigdy nie skorzystał z propozycji, czując, że zaciągnąłby zbyt duże zobowiązanie, ale liczyły się intencje. Dlatego, choć gorąco pragnął jak najszybciej pozbyć się natręta, starał się być miły.

Łoś niepewnie zadreptał w miejscu i spojrzał na otwarte drzwi muzeum.

– Proszę tam nie iść, bo będę musiał pana zatrzymać – powiedział znużonym tonem Piotr, wyczuwając zamiary hotelarza.

Ale Łoś podjął decyzję. Odwrócił się i zdecydowanym krokiem skierował się w stronę domu Romanowskiego.

Jak on utrzymuje równowagę na tym lodzie? – pomyślał Nowicki. – Ma jakieś superpodeszwy czy co? Z niechęcią otworzył drzwi radiowozy, zamierzając przystąpić do interwencji. Na szczęście w tej samej chwili we mgle zamajaczyły błękitne światła kogutów. Nadciągała ekipa dochodzeniowa. Ignacy Łoś płynnie zmienił kierunek marszu i wrócił do swojego samochodu. Zanim radiowozy zatrzymały się przed muzeum, czarny SUV zniknął w ciemności.

Piotr nie miał czasu na rozważania, czego tak naprawdę chciał trener nurkowania, bo już przeżył się służbiście przed Korczakowskim, składając meldunek. Na szczęście nikt nie wymagał od niego, aby ponownie oglądał zwłoki. Jednak poczuł rozgoryczenie, kiedy zrozumiał, że w istocie nikt niczego od niego

nie chce. Jak zwykle. Sterczał na uboczu, czując się jak piąte koło u wozu, i w zasadzie mógłby pojechać do domu, tyle że nie bardzo wiedział, czy wypada tak po prostu zniknąć. Zapowiadało się, że czynności potrwać do świtu, więc dodatkowo martwił się, że nie zdąży zatrzeć śladów swojego niefortunnego wypadku. Właśnie zastanawiał się, jak by tu w oględny sposób zasugerować Korczakowskiemu, żeby odesłał w diabły bezużytecznego dzielnicowego, kiedy w jego kieszeni odezwał się telefon.

Zanim odebrał połączenie, sprawdził godzinę. Minęła dwunasta. Numeru nie znał, ale ogarnęły go złe przeczucia. Przysunął głośnik do ucha.

– Halo! – Rozpoznał głos Żaboklickiej. – Przepraszam, że dzwonię tak późno, ale chyba stało się coś złego... Nie, nie mnie. Chodzi o pana Waldemara.

Po wysłuchaniu krótkiej relacji Nowicki doznał bardzo ambiwalentnych emocji. Złakł się o Mrocza, zwłaszcza w kontekście makabry, której przed chwilą był świadkiem. Z drugiej strony ucieszył się, bo zyskał świetny pretekst, żeby ulotnić się z miejsca zbrodni.

– Coś zaszło w willi Wójtowicza – poinformował komisarza, który wyszedł na chwilę, żeby zapalić papierosa. – Pojadę zobaczyć, co się tam dzieje.

Korczakowski skinął z roztargnieniem siwą głową. Wyraźnie to, co śledczy zastali na podwórzu, wywarło na nim silne wrażenie.

– Przydzielić ci partnera? – spytał tylko.

– Nie, to chyba nic poważnego, w razie czego was wezwę. – Aspirant już odchodził.

– Tylko jedź ostrożnie! – zawołał za nim przełożony. – To nowiotki radiowóz!

Jakbym nie wiedział – pomyślał Piotr, szczęśliwy, że mgła skutecznie ukrywa stan pojazdu, i czym prędzej odjechał, żeby nikt postronny nie zdążył zbliżyć się do samochodu.

Magda obudziła się mniej więcej w tej samej chwili, gdy radiowóz Piotra lądował w szurpilskim rowie. Spała od wczesnego popołudnia i chętnie pozostałaby dłużej w krainie marzeń, ale monotonne, irytujące dźwięki dobiegające z parteru wykluczały dalszy wypoczynek.

– Znowu ten Mrocz – warknęła, gramoląc się spod kołdry.

W pierwszej chwili miała zamiar bezwzględnie eksmitować uciążliwego lokatora, ale gdy spojrzała w okno, za którym zagościła czerń wczesnej jesiennej nocy, zmieniła zdanie. Mrocz wydawał się odrobień lepszym towarzystwem od wilkołaka. Ale jedynie w takim sensie, że Waldemar nie zamierzał nikomu celowo wyrządzić krzywdy, ponieważ we wszystkich pozostałych aspektach współżycia okazał się wprost nie do wytrzymania.

Zaczął się od przeprowadzki. Najpierw odrzucił propozycję zamieszkania w jadalni. Mierzyły go duże okna, a w kanapie skrzypiały sprężyny. Godzinę szukał odpowiedniego miejsca do spania, wypróbował wszystkie dostępne łóżka i wersalki, a w końcu stwierdził, że najwygodniejszy mebel pozostaje w dyspozycji Żaboklickiej, i zasugerował wymianę. Odmowa wyraźnie go zaskoczyła, wywołując całą litanię utyskiwań i żali. W końcu został w jadalni, ale głośno margał za każdym razem, gdy przekraczał jej próg. Potem odkrył luksusową łazienkę na piętrze i postanowił dokonać w niej spóźnionych porannych ablucji, chociaż na parterze miał do dyspozycji aż dwa natryski. Kiedy Magda zobaczyła stan swojego ulubionego pomieszczenia po wizycie redaktora, omal nie pękło jej serce. Brudna podłoga, mydlana piana na szklanych ściankach kabiny prysznicowej, piach i kłaki w wannie. Swoją drogą co ten pokurcz robił jednocześnie w wannie i pod prysznicem? Doszła do wniosku, że lepiej nie dociekać. Przez miesiąc mieszkała z robotnikami budowlanymi i żaden nigdy nie

narobił takiego chlewu. W dodatku redaktor wytarł się jej ręcznikiem i rzucił go na spłuczkę klozetu, tak że koniec moczył się w muszli, ponieważ deska nie została opuszczona.

Kiedy rozeźlona projektantka zbiegła na parter, zamierzając mokrym ręcznikiem zdzielić Mrocza przez łyśawy łeb, ten właśnie nakrywał do stołu.

– Zapraszam na lunch! – zawołał niski człowieczek, bardzo z siebie zadowolony.

Trudno bić karmiciela, więc zaciskając zęby, Żaboklicka zajęła wskazane miejsce. Po chwili na przykrytym ceratą blacie wylądował garnek pełen brunatnej brei. Magda z niedowierzaniem przyglądała się potrawie. Wyglądało na to, że Waldemar ugotował makaron wraz z zawartością jakiejś konserwy mięsnej i okrasił wszystko skórką z bardzo czerstwego chleba, który od miesiąca spokojnie czuwał w kuchennej szafce. Niepowtarzalny aromat przysmaku w subtelny sposób przywodził na myśl woń roztaczaną przez wystraszonego tchórza.

Magda, jako zawołana kucharka, smakoszka i sybarytka nie była w stanie ogarnąć rozmiarów kulinarnej profanacji. Nawet złość jej przeszła. Po prostu opadały ręce.

– Jestem bardzo zmęczona – wymamrotała – muszę się zdrzemnąć. – I poszła prosto do łóżka.

Obecnie jednak bardzo pragnęłaby w nim pozostać, aby choć do świtu odciąć się od rzeczywistości nawiedzanej przez ponure zjawy i niechlujnych redaktorów. Ale dziwne buczenie nie ustawało, a poza tym gdy się już ocknęła, poczuła straszliwy głód. Miała nadzieję, że Mrocz nie dobrał się do jej zapasu kiszki ziemniaczanej. Zapewne ugotowałyby ją z ryżem i paprykarzem szczecińskim.

Wdziała wierny dres i podreptała do kuchni. W miarę jak zbliżała się do celu, niski, wibrujący dźwięk przybierał na sile. Przypuszczała, że szwankuje jedno z tajemniczych urządzeń, które łowca tajemnic porozstawiał po domu. Ale rzeczywistość okazała się dziwniejsza. Buczał Waldemar. Siedział po turecku na podłodze w jadalni, emitując z głębi trzewi przeciągły pomruk.

– Co pan... – zaczęła Żaboklicka, ale mały człowieczek przerwał pytanie, unosząc dłoń władczym gestem.

– Medytuję – bąknął półgębkiem, nawet nie otwierając oczu. – Proszę to uszanować.

Magda wzruszyła ramionami. Może to nawet i lepiej, że buczy, zamiast gadać. Buczenie, choć uciążliwe, wydawało się mniej irytujące od margania. Znalazła w kuchni kiszkę ziemniaczaną, na szczęście nietkniętą przez profanatora kulinariów, i wrzuciła do kuchenki mikrofalowej. Lokalny przysmak byłby smaczniejszy po odsmażeniu na patelni, ale palniki gazowe pokrywała gruba warstwa zaskorupiałego makaronu. Poza tym wysokie buczenie mikrofalówki, nakładające się na niskie buczenie Waldemara, stworzyło niepowtarzalną harmonię unikatowych dźwięków. Niestety, sielanka prysła, gdy tylko zapach podgrzewanej potrawy rozszedł się po domu.

– Co tak ładnie pachnie? – Redaktor objawił się w kuchni. – Widzę, że postanowiła pani odwdzińczyć się za lunch.

Całe szczęście, że Żaboklicka nie miała noża w ręku.

– Obżarstwo nie sprzyja uduchowieniu – warknęła.

– Ale jeść trzeba – westchnął sentencjonalnie Waldemar, niecierpliwie podsuwając brudny talerz po makaronie.

Do skromnego posiłku zasiedli w jadalni przy stole nakrytym obrusem. Na tym jednak luksus się kończył. Wystrój psuły fragmenty garderoby Mrocza porozkładane w dziwnych konfiguracjach.

– Muszę je jakoś wysuszyć. – Waldemar po raz pierwszy wydał się lekko zażenowany, gdy spostrzegł spojrzenie, jakim Magda lustrowała spodnie nadziane na ustawioną na sztorc szczotkę. – Wpadłem w bagno.

Projektantka machnęła ręką i w skupieniu pochłaniała kiszkę. Głód przeważył niesmak.

Niespodziewanie znowu coś zabuczało i tym razem dźwięku nie wytworzył Waldemar. Przynajmniej nie bezpośrednio, ponieważ pośpiech, z jakim zerwał się

od stołu, świadczył, że jednak ma coś wspólnego z jego emisją. Popędził do laptopa połączonego długim kablem z czymś w rodzaju modemu.

– Coś jest na podwórzu! – oświadczył triumfalnie.

Magdzie ostatni kawałek kiszki utknął w gardle.

– Co?! – wykrztusiła.

– Nie wiem. Było w zasięgu kamery tylko przez chwilę. Proszę spojrzeć.

Niechętnie zerknęła na ekran. Obraz z małej kamerki ukazywał schody prowadzące na ganek i fragment podjazdu. Słaba żarówka przed wejściem nie zapewniała dobrego oświetlenia, a jakość sprzętu również pozostawiała wiele do życzenia. Na samym skraju pola widzenia, tam gdzie mrok gęsty przechodził w nieprzenikniony, obiektyw uchwycił jakiś szybko poruszający się kształt.

– Jeszcze raz – zażądała Żaboklicka.

Mrocz posłusznie odtworzył zarejestrowany dzięki czujnikowi ruchu film. Znowu coś pojawiło się na mgnienie oka. Było duże i niewątpliwie zoomorficzne. Za duże na kota, lisa albo bezpańskiego kundla. Naprawdę wielkie.

– Może pan zatrzymać? – szepnęła Magda.

Rozmazany obraz zastygł w bezruchu.

– O, tu widać łapę – powiedział również szeptem Waldemar.

Faktycznie, łapa została uwieczniona w miarę wyraźnie. Paskudna, włochata kończyzna wyposażona w cztery potężne pazury. Magda aż wzdrygnęła się na myśl, że jej właściciel krąży obecnie wokół domu.

– No, to muszę iść – stwierdził bez entuzjazmu redaktor.

– Dokąd?! – zdziwiła się dziewczyna i zaraz zawstydzila się swojego pytania. Wiadomo, że w nerwach czasami człowiek przejawia skłonność do awaryjnego skorzystania z toalety.

Ale drobny człowieczek sięgnął po swój wymięty płaszcz rozścielony przy kaloryferze.

– Jak tylko wyjdę, proszę zaryglować za mną drzwi – poprosił. – Ale proszę czekać przy wejściu, żeby mnie, jakby co, szybko wpuścić z powrotem.

– Pan chyba nie zamierza tam pójść? – Oniemiała Magda sądziła, że czegoś nie rozumie. – Nie do tego czegoś.

– Właśnie zamierzam – uśmiechnął się smutno Mrocz. – Po to tu przyjechałem. Niech mi pani poda swój numer telefonu.

Projektantka automatycznie wyrecytowała dziewięć cyfr. Po chwili aparat brzęknął w jej kieszeni.

– Wysłałem pani numer do tego sympatycznego policjanta – powiedział nieustraszony łowca tajemnic. – Obiecał odbierać o każdej porze. Lepiej byłoby, gdybym to ja mu się wyświecił, ale będę potrzebował swojego telefonu. Jeślibym gdzieś utknął, pod żadnym pozorem proszę za mną nie iść, tylko za pół godziny zadzwonić do pana Piotra. No, może lepiej za kwadrans – dodał po krótkim wahaniu.

– Przecież jeżeli to jest... – Magdzie właściwe słowo najwyraźniej nie chciało przejść przez gardło, więc użyła eufemizmu – ...ten stwór, to nie ma pan najmniejszych szans, żeby wrócić cało. W tym przypadku ciekawość to nie pierwszy stopień do piekła, tylko winda ekspresowa. Proszę się opamiętać.

– Nie mogę zawieść moich czytelników! – Nie ulegało wątpliwości, że redaktor traktuje swoje obowiązki śmiertelnie poważnie. Z akcentem na śmiertelnie. – Od lat opisuję różne historie z drugiej ręki, ale nigdy nie stanąłem oko w oko z Nieznanym. Nigdy nie byłem tak blisko ostatecznego rozwiązania żadnej zagadki. Co zrobię, jeżeli ta istota nigdy więcej się nie pojawi? Jeżeli właśnie marnuję jedyną okazję, by udowodnić, że świat jest dziwniejszy, niż się powszechnie wydaje? Zresztą trochę się zabezpieczyłem.

Sięgnął do walizki i wy dobył najpaskudniejszą giwerę, jaką Żaboklicka kiedykolwiek widziała.

– Rany boskie, co to? – jęknęła. – Niech pan to szybko wyrzuci, bo tym razem ten sympatyczny policjant przymknie pana bez gadania.

– To w pełni sprawna replika pistoletu Howdah Hunter kaliber pięćdziesiąt osiem – odparł redaktor, majstrując przy wielkim dwulufowym pistolecie

z bocznymi kurkami. Spluwa przypominała nieco obrzyn, z jakiego czarne charaktery w filmach klasy B odstrzelują głowy Bogu ducha winnym obywatelom, po czym wiadro keczupu chlusta na obiektyw kamery. – Broń czarnoprochowa nie wymaga w Polsce pozwolenia. Szykując się do łowów na wilkołaka, doszedłem do wniosku, że warto zaopatrzyć się w coś dużego, a oryginalnie howdah służył brytyjskim oficerom w Indiach do polowań na tygrysy. Wcześniej myślałem przez chwilę o wyrobieniu pozwolenia na broń, ale to strasznie długo trwa, w dodatku i tak nie wiedziałbym, jak zrobić ze srebra standardowy pocisk. A tu wystarczy odlać srebrną kulkę i wcisnąć ją do lufy. Wszystkie akcesoria są dostępne w sklepie. Tylko srebrną łyżeczkę musiałem wziąć z rodzinnego serwisu.

– Ma pan srebrne kule? – Mimo całej odrazy do śmiercionośnych narzędzi Magda odczuwała rodzaj fascynacji.

– Uhm – potwierdził chrząknięciem rodzimy pogromca potworów. Akurat, przygryzając koniuszki wąsów, bardzo delikatnie zakładał kapiszony na kominki. – I to lane na święconą wodę. Tak na wszelki wypadek, gdyby to jednak miało znaczenie... Ale użyję tej armaty tylko w ostateczności. W końcu wilkołak to też człowiek, tyle że w nieco innej formie. Nie chcę go skrzywdzić.

Wsunął pistolet do obszernej wewnętrznej kieszeni płaszczyka, doszytej jako alternatywne schronienie dla tchórzofretki.

– Nie wystrzeli? – zaniepokoiła się Magda. Wygląd śmiercionośnego narzędzia sugerował, że w przypadku niezamierzonej eksplozji ładunku z mikrogo redaktora niewiele pozostanie do zbierania.

– Nie wiem –wzruszył niecierpliwie ramionami Mrocz. – Ćwiczyłem zaledwie raz na strzelnicy, ale kiedy kurki nie są odwiedzione, to chyba nic nie powinno się stać. Zresztą będę bardzo uważać.

Odetchnął głęboko i z zaciętą miną ruszył do drzwi. W tej samej chwili coś załomotało we wnętrzu gipsowo-kartonowej ścianki i ze szpary przy podłodze wystrzeliła niby futrzany pocisk Kaśka, wpadając wprost pod nogi redaktora.

– Nie mogę cię zabrać, myszko – powiedział z czułością szurpilski Van Helsing do odstawiającej łąsaczy taniec wojenny ulubienicy.

Ale Kasia miała inne zdanie. Wskoczyła na but właściciela i usiłowała się wdrapać na nogawkę jego spodni. Widocznie traktowała wytarty płaszczyk jak rodzinny dom i nie zamierzała pozostać bez dachu nad głową. Waldemar przez chwilę toczył wewnętrzną walkę, po czym z westchnieniem poddał się i wsadził tchórzofretkę do rękawa.

– Niech pan nie naraża zwierzątka – pisnęła Magda.

– Od miesiący razem ślęczymy nad tą sprawą – oświadczył z miną znużonego bojownika. – Kasia ma prawo wziąć udział w finalnej rozgrywce. Zapracowała na to.

Na takie *dictum* Żaboklickiej zabrakło argumentów.

Miarowym, rozkołysanym krokiem filmowego szeryfa redaktor podszedł do wejściowych drzwi. Brakowało tylko odpowiedniej muzyki. W prawą dłoń ujął latarkę, w lewą telefon z dodatkową lampą błyskową.

– Proszę otworzyć – rozkazał ponurym, zdecydowanym głosem.

Magda przekręciła klucz i chwilę się zawahała.

– Może lepiej niech pan wyciągnie tę armatę – zaproponowała.

Mrocz uniósł latarkę.

– To paralizator. Bardzo mocny. Broni palnej użyję tylko w ostateczności. Otwierać!

Dziewczyna nacisnęła klamkę i dębowe skrzydło bez jednego skrzypnięcia powoli wychyliło się w mrok. Redaktor, pochylając głowę jak szarżujący buhaj, zdecydowanie przestąpił próg. Natychmiast wpadł w poślizg i wyciął takiego orła, że wylądował aż na schodkach ganku. Pochwyciły go zimne macki gołoledzi.

– Nie wystrzelił! – ucieszył się Mrocz, z trudem gramoląc się na nogi. – Strasznie ślisko. Kasiu, myszko, cała jesteś?

Skontrolował stan swojej towarzyski broni. „Towarzyski” w dosłownym sensie, ponieważ tchórzofretka kulila się w bezpośrednim sąsiedztwie straszliwej

giwery.

– No to idę – mruknął i podążył w mrok.

Magda przez chwilę obserwowała Mrocza, dopóki blask jego latarki nie zniknął w ciemności za węglem budynku. Sunął na spotkanie nieznanego zdecydowanie, choć bez uprzedniej werwy. „Sunął” wydawało się adekwatnym określeniem dla kogoś, kto porusza się na szeroko rozstawionych nogach, niemal nie odrywając stóp od nawierzchni. Można byłoby przypuszczać, że się skrada, gdyby nie fakt, że bezustannie wymachiwał rękami w celu złapania równowagi.

Żaboklicka, zgodnie z poleceniem, starannie zaryglowała drzwi i sprawdziła godzinę na telefonie. Nie zamierzała dawać Waldemarowi ani sekundy ponad ustalony kwadrans. Piętnaście minut i dzwoni do policjanta. Co chwilę kontrolowała jakość sygnału. Na szczęście anomalia magnetyczna odpuściła i wskaźnik zasięgu niezmiennie pokazywał cztery kreski. Starła się nie patrzeć w okna, ponieważ wyobraźnia podsuwała jej obraz widzianego zeszłej nocy ohydneho łba, wzbogacony o makabryczny element w postaci głowy Mrocza tkwiącej w najeżonym zębami pysku. Czas włókł się niemiłosiernie, nawet oklepane porównanie z poczekalnią u dentysty nie wydawało się adekwatne do sytuacji.

Mijała właśnie trzynasta minuta oczekiwania, kiedy huknął wystrzał. A właściwie dwa, oddzielone interwałem tak krótkim, że niemal nieuchwytnym dla ucha. Mrocz nie przeceniał mocy czarnoprochowej armaty. Szyby w oknach wyraźnie zadrżały.

Pistolet wypalił gdzieś blisko. Magda miała nadzieję, że Waldemar lada chwila pojawi się na ganku. Złapała za klamkę, gotowa przekręcić klucz, ale nagle zamarła z przerażenia. Tuż za ścianą, zamiast wyczekiwanego tupotu stóp, rozległ się donośny zwierzęcy skowyt. Jak oparzona odskoczyła od drzwi i wybrała numer Nowickiego.

6

Radiowozem Piotr jechał do willi Wójtowicza niecałe pięć minut. Nie musiał przejmować się gołoledzią, bo gruntowa droga nie zdążyła jeszcze na dobre zamarznąć, a schłodzone błoto okrzepło, zapewniając oponom lepszą przyczepność, więc paradoksalnie warunki się poprawiły. W lekki poślizg wpadł dopiero, hamując na wyłożonym kostką podjeździe. Wyskoczył z samochodu i szurając podszwami, najszybciej jak się dało, podążył na ganek. Aż się wzdrygnął, gdy obok schodów spostrzegł plamy krwi. Miał dosyć horroru jak na jedną noc.

Żaboklicka otworzyła niemal natychmiast. Odetchnął z ulgą, widząc, że jest cała, choć blada i wystraszona. Chwycił dziewczynę za rękę i przytrzymał jej zimną dłoń w swojej, pragnąc w ten sposób dodać otuchy lokatorce odludnego domostwa.

– Więc co się stało z panem Waldemarem? – spytał, kiedy już napatrzył się w szare oczy dziewczyny i stwierdził, że rozszerzone źrenice wróciły do normalnych rozmiarów.

Magda pokrótce zrelacjonowała mu poczynania redaktora.

– Cholerny idiota! – skwitował aspirant. – I jeszcze zabrał broń! – Nie mógł się otrząsnąć. Policjantowi broń palna w rękach cywila nieodmiennie kojarzyła się z poważnymi kłopotami. – Pewnie się postrzelił! Jest pani pewna, że faktycznie tropił jakieś zwierzę, czy tylko poniosła go wyobraźnia?

– Na pewno. Ja też to widziałam, choć trudno powiedzieć, co to takiego. – Zdecydowanie pokiwała głową projektantka. – Chce pan obejrzeć film?

– Nie teraz, najpierw muszę znaleźć tego kretyna. – Piotr z niechęcią puścił rękę dziewczyny.

Ostrożnie schodząc po jednym schodku z ganku, miał nadzieję, że Mrocz odnajdzie się w nieco lepszym stanie niż nieszczęsny Romanowski. Choć w gruncie rzeczy byłaby to swego rodzaju niesprawiedliwość losu. Redaktor sam szukał kłopotów i zdaniem wyprowadzonego z równowagi Nowickiego zasłużył sobie na wszystko, co najgorsze. W odróżnieniu od Bogu ducha winnego emeryta, którego zło zaskoczyło we własnym domu.

Plamy krwi ciągnęły się krętą linią. Idąc ich śladem, mógł podążyć w dwóch przeciwnych kierunkach. Przez bramę w kierunku lasu albo w głąb podwórza. Na początek wybrał ten drugi kierunek, ponieważ Żaboklicka widziała, jak Mrocz znika na tyłach budynku.

Kiedy zszedł z podjazdu na wysypany żwirem plac rozciągający się pomiędzy domem a starą stodołą, poczuł się pewniej. Przestał się ślizgać i w razie czego zdołałby się poderwać do biegu. Żałował tylko, zresztą nie po raz pierwszy tej nocy, że zostawił służbowy pistolet na posterunku.

Rozejrzał się, podążając wzrokiem za snopem światła latarki. Pod ścianą willi piętrzyły się gruz i przykryte folią materiały budowlane. Tutaj raczej nikt nie dałby rady się schować. Za to w stodole mógł kryć się legion wilkołaków, ze cztery słonie oraz szalony redaktor niszowego miesięcznika. W dodatku spoza uchylonych wrót wysnuwał się krętą smugą sinawy skłębiony dym. Piotr zbliżył się i pociągnął nosem. Cuchnęło spalonym prochem.

– Panie Waldemarze! – zawołał, chociaż wolałby coś w rodzaju: „Jesteś tu, stary durniu?!”.

Z napięciem wpatrywał się w budynek. Stodoła, w przeciwieństwie do pretensjonalnej willi Wójtowicza, stanowiła piękny, choć podupadły, przykład tradycyjnego wiejskiego budownictwa. Podwalina z wielobarwnych granitowych głazów wznosiła się na metr ponad poziom podwórza, wyżej mur wykonano z czerwonej cegły, choć pojedyncze kamienie zakłócały ceglany wątek aż po okap stromego dachu krytego dachówką. Tylna ściana stanowiła obecnie fragment zewnętrznego ogrodzenia posiadłości, więc jeżeli redaktora nie było w środku, należało kontynuować poszukiwania w lesie.

– To pan, panie Piotrze?! – Słaby głos Waldemara ledwo dało się rozpoznać. Pobrzmiewały w nim piskliwe nuty hysterii.

Nowicki odetchnął z ulgą i wszedł do przestronnego wnętrza. Na środku wysypanego trocinami klepiska leżał telefon oraz dymiący jeszcze z obu luf howdah hunter. Niedaleko, obok szeregu okratowanych skrzyń, poniewierała się wciąż włączona latarka. Poza tym, nie licząc wielkich rozbryzgów krwi, pomieszczenie wydawało się puste.

– Tutaj – dobiegło gdzieś z góry.

Policjant zadarł głowę i doznał niepokojącego uczucia *déjà vu*. Zawieszony na wysokości Mrocz gapił się na niego wytrzeszczonymi oczami. W dodatku z nogawki jego spodni miarowo kapą krew. Dopiero po chwili dotarło do aspiranta, że Mrocz siedzi okrakiem na poziomej belce, w przeszłości stanowiącej element konstrukcji stryżku na siano.

– Wciągnąłem drabinę, ale nie mam siły jej opuścić – wyznał redaktor. – Boję się, że zaraz spadnę.

– Jest pan cały? – zaniepokoił się Piotr.

Nagle jego złość na domorosłego pogromcę potworów gdzieś się ulotniła. Czuł niewypowiedzianą ulgę. Nie będzie więcej zwłok.

– Cały? Nie bardzo. – Głos Waldemara wyraźnie zadrżał. – Trochę mnie pogryzł.

– To nie postrzelił się pan? – zdziwił się funkcjonariusz.

– Siebie? Nie. – Mrocz również się zdziwił. – Chyba oberwało to bydlę. Nie znalazł pan truchła?

– Niczego nie widziałem. Tylko trochę krwi.

– Więc nie jesteśmy tu bezpieczni. – Redaktor znowu zaczął panikować. – Proszę, niech pan mnie zdejmie.

– To niech pan zrzuci drabinę – zniecierpliwiał się Piotr.

– Nie dam rady, przecież mówię, że jak po nią sięgnę, to spadnę! – zawył Waldemar. – Słabo mi.

– Niech się pan trzyma – rozkazał Nowicki i wybiegł ze stodoły.

Popędził do zwałonych na kupę materiałów budowlanych i uniósł folię. Jakie to szczęście, że na każdej budowie zawsze znajdzie się jakaś drabina – pomyślał z ulgą, dostrzegając połyskliwe aluminiowe szczeble. Usłyszał, że Waldemar coś krzyczy, więc porwał sprzęt i pognał z powrotem.

– Kasiu, myszko, bohaterko ty moja! Nic ci się nie stało! – zawodził czule redaktor.

Pod belką, na której tkwił, podskakiwało radośnie małe stworzonko.

– Proszę złapać Kasię – zażądał, kiedy aspirant przystawiał drabinę. – Jakoś sam zejdem.

Tchórzofretka bez sprzeciwów pozwoliła Piotrowi wziąć się na ręce. Cała była w trocinach, a z kącika pyszczka sterczała jej kępka borych, sztywnych kłaków. Zaczęła się wrywać dopiero, kiedy jej właściciel znalazł się na ziemi. Bardzo chciała wrócić do bezpiecznego rękawa.

Mrocz wsparty na swoim wybawcy pokuśtykał do uchylonych wrót. Niespodziewanie przystanął i pojękując, spróbował się po coś schylić. Policjant ze wstrętem kopnął dymiący pistolet poza zasięg jego rąk.

– Telefon! – wyjaśnił z naganą w głosie sponiewierany łowca tajemnic.

Nieco zawstydzony funkcjonariusz podał mu aparat.

Kiedy mężczyźni dotarli w końcu do willi, Magda nie traciła czasu na okazywanie radości. Z całej trójki tylko ona znajdowała się w jakiejś takiej formie, więc to na nią spadł niecierpiący zwłoki obowiązek opatrzenia Mrocza, który niemal histerycznie zareagował na propozycję wezwania pogotowia. Dzięki Bogu apteczka na budowie została bardzo dobrze wyposażona w środki opatrunkowe przydatne nawet przy cięższych urazach. Kierownik Włodzimierz Majek wzorowo wypełnił swój obowiązek w tym zakresie. Redaktor miał lekko pokiereszowane lewe przedramię i paskudne głębokie ugryzienie na łydce, które w zasadzie wymagało szycia. Poza tym całą masę siniaków i zadrapań.

– Rano pojedziemy na SOR – oświadczyła tonem nieznoszącym sprzeciwu Magda, przyklejając ostatni plaster. – Musi to obejrzeć lekarz.

– Zastrzyk przeciwtężcowy też będzie nie od rzeczy – dodał Piotr – nie mówiąc już o bolesnej szczepionce przeciw wściekliźnie.

– Na to, co krąży w moich żyłach, nie istnieje żadna szczepionka – desperował redaktor.

– Byle do pełni, potem się panu polepszy.

Dziewczyna z niepokojem zerknęła na Nowickiego. Złośliwości do niego nie pasowały. Od razu zauważyła, że przyjechał bardzo zmęczony i w brudnym mundurze. Ale dopiero teraz dotarło do niej, że jego widoczne wyczerpanie miało raczej psychiczne niż fizyczne podłoże. Apatycznie siedział na kanapie w jadalni obok spowitego w bandażu Mrocza i wbijał zaszępiiony wzrok w jakiś nieokreślony punkt.

– Gdzieś jeszcze wydarzyło się coś złego. Prawda, panie Piotrze? – zapytała łagodnie.

Kiwnął głową i potarł palcami powieki, jakby chciał spod nich wydusić jakiś natrętny obraz. Potem zaczął opowiadać o makabrze w Izbie Pamięci Jaćwieskiej. Początkowo z niechęcią, ale w miarę jak mówił, rozkręcał się, aż niespodziewanie poczuł, że relacja przynosi mu ulgę.

– To pomaga. Powiedzieć komuś – stwierdziła Magda, ze współczuciem patrząc na aspiranta.

Wyraźnie się ożywił, ale daleko mu było do pogodnego chłopaka, który rano z szerokim uśmiechem wkroczył do kuchni. Co dziwne, Magda sama wcale nie czuła się ekstremalnie wstrząśnięta. Wydarzenia w Szurpiłach mogły przyprawić o szcęknięcie zębami, ale widocznie groza potrafi rosnąć tylko do pewnego nieprzekraczalnego poziomu nasycenia, który w przypadku projektantki już dawno osiągnął swoje maksimum.

Za to Mrocza sprawozdanie funkcjonariusza zafascynowało do tego stopnia, że zapomniał o własnych kłopotach. Przestał desperować i wciąż domagał się nowych

szczegółów. Kazał podać sobie notatnik i pilnie zapisywał każde słowo. W końcu Piotr trochę się zniecierpliwił.

– Romanowski niczego nam już nie wyjaśni, ale może pan mógłby zdradzić, co zaszło w stodole?

– Trochę trudno mi uporządkować sekwencję zdarzeń – westchnął Waldemar. – Wszystko działo się bardzo szybko. Ale po kolei. Najpierw straciłem trochę czasu na przeszukanie tej kupy gratów pod ścianą willi, chociaż w gruncie rzeczy przeczuwałem, że stwór czai się w stodole. Chyba po prostu niezbyt się kwapiłem, żeby tam wchodzić. Jednak w końcu zebrałem się na odwagę. Wszystkie znane mi relacje podkreślają krwiożerczość, szybkość i nadludzką siłę wilkołaków, ale ja miałem nadzieję, że jakoś uda mi się nawiązać kontakt z tą istotą. W końcu gdzieś w głębi wilczej formy tkwi przeobrażony człowiek. Okazało się, że byłem bardzo naiwny. Nawet nie zdążyłem się dobrze rozejrzeć, a już się na mnie rzucił. Wydaje mi się, że siedział w jednym z tych dziwnych kojców, które ciągną się wzdłuż szczytowej ściany stodoły. Usłyszałem głucho warczenie i nim skierowałem promień latarki we właściwą stronę, już wystrzelił jak pocisk, żeby mnie chwycić za gardło. Kątem oka spostrzegłem tylko ciemny kształt w powietrzu, ale zdążyłem mu błysnąć w ślepią fleszem aparatu, co go chyba trochę zdezorientowało. Walnął mnie w pierś jak kafar, a ja grzmotnąłem o ziemię. Gdyby nie amortyzująca warstwa trocin na podłodze, pewnie od razu byłoby po ptakach. Upuściłem latarkę-paralizator, więc nic nie widziałem i straciłem broń. Mogłem jedynie naciskać migawkę w nadziei, że lampa błyskowa go odstraszy. W stroboskopowym migotaniu widziałem stwora raz tu, raz tam, jak krążył, szykując się do kolejnego ataku. Zdaje mi się, że właśnie wtedy Kasia uciekła z rękawa, bo ona bardzo się boi błyskawic i wszystkiego, co je przypomina. I całe szczęście, bo kiedy potwór w końcu zaatakował, to chwycił mnie paszczą właśnie za lewą rękę, w której trzymałem telefon. Zaraz odskoczył ze wstrętem, ale aparat wypadł mi z dłoni.

– Dlaczego pana puścił? – wtrąciła się Magda, jakby Mrocz mógł znać intencje kierujące poczynaniami pożerającego go stwora.

Ale okazało się, że znał.

– Bo chapnął za rękaw, w którym mieszka Kasia. On już i tak wydziela specyficzną woń, a że biedaczka bardzo się podczas ucieczki zestresowała, więc musiał jechać jak sto pięćdziesiąt. A psy alergicznie reagują na zapach wydzielany przez tchórze. Widocznie ów wstręt podziеляją także wilkołaki. Przynajmniej tak sędzę, ponieważ atakujący mnie okaz wypluł moje przedramię z wyraźnym obrzydzeniem, a potem zaczął prychać i kichać w ciemności. Dało mi to kilka sekund wytchnienia. Zwinąłem się w kłębek i zacząłem logiczniej myśleć. Przypomniałem sobie, że mam w kieszeni nabity pistolet. Wszelkie opory, które żywiłem uprzednio co do użycia broni, prysnęły. Wszak walczyłem o życie. Sięgnąłem za pazuchę, ale on znowu się na mnie rzucił. Wgryzł się kłami w moją łydkę i tarmosił tak, że nie miałem szans dosięgnąć kolby. Godziłem się już ze swoim losem, kiedy nagle potwór zaskowyczał boleśnie i wyskoczył na jakieś dwa metry w górę. Wylądował mocno zdezorientowany, a tymczasem howdah tkwił już w moich rękach. Dziękować niebiosom, że wilczy syn nie zabrał się za mnie od razu z powrotem, tylko chwilę skomlał i coś tam sobie wylizywał, bo w stresie trochę zapomniałem, jak należy obsługiwać moją armatę. Lecz mimo małej zwłoki kiedy ponownie się zbliżył, zdążyłem już odwieść kurki i pociągnąłem za spust. To znaczy chciałem pociągnąć za jeden spust, ale w nerwach nacisnąłem oba. Ten pistolet ma straszego kopa, więc wyrwał mi się z dłoni i druga kula poleciała w dach, ale pierwsza chyba trafiła do celu. W każdym razie kiedy się ocknąłem, stwora już w stodole nie było.

– Zemdlął pan? – zapytała z troską Żaboklicka.

– Niezupełnie, trochę mnie tylko ogłuszyło, kiedy oberwałem kolbą w czoło. – Waldemar wskazał na sinawego guza pokaźnych rozmiarów. – Mówiłem przecież, jakiego kopa ma howdah. Potem ze strachu wlałem na belkę i czekałem na pomoc.

– Ciekawe, co spowodowało, że ta istota znowu poniechała ataku w decydującym momencie – zastanawiał się Piotr, który już chyba zdążył nieco odzyskać formę. W każdym razie na puciołowate policzki wróciły mu rumieńce, a nos jakby mniej przypominał dziób zaszępionej papugi.

– Och, w tym akurat nie ma nic dziwnego – odparł redaktor, głaszcząc tchórzofretkę, która zwinięta w puszysty kłębuszek spała na jego kolanach. – Każdy samiec by tak podskoczył, gdyby Kasia ugryzła go w jaja.

– Co? – Piotr wybałuszył oczy na słodki pyszczek pogrążonego w sennych marzeniach stworzonka.

– Z oczywistych przyczyn nie widziałem szczegółów akcji w stodole, ale rozpoznaję technikę Kasi – uśmiechnął się Waldemar. – W mojej obecności załatwiła w ten sposób kilka naprawdę wielkich psów. Oczywiście żaden z nich mnie nie atakował, ale przypuszczam, że w kryzysowej sytuacji zastosowała utarty schemat działania. Nie mam pojęcia, jak wpadła na pomysł, że ukąszenie w moszną sprawia dotkliwy ból. Przecież jest dziewczynką. W każdym razie zaczęło się od doga kanaryjskiego. Sąsiad odwiedzał mnie regularnie z tym swoim śliniącym się bydlęciem, które bryzgało flegmą na meble i wycierało ryj o moje spodnie. Aż kupiłem tchórzofretkę. Przy pierwszym spotkaniu Kasia zrejterowała pod kredens. Nic dziwnego. Z jej perspektywy musiało się wydawać, że do pokoju weszła Godzilla. Jednak natura najwyraźniej wyposażyła tchórze w lwie serca. Kiedy minął początkowy szok, zebrała się w sobie i na sztywnych łapkach wylazła z kryjówki. W życiu nie widziałem tak rozczapierzonego ogona. Cuchnąc ze stresu, powolutku zbliżyła się do doga, który w końcu zainteresował się maleństwem na podłodze i postanowił mu się bliżej przyjrzeć. Poczekała, aż pies pochyli pysk, podskoczyła na jakieś trzydzieści centymetrów, co w jej przypadku stanowi niebagatelną wysokość, i z całej siły ugryzła przeciwnika w nos. A potem z powrotem uciekła do dziury. Jednak musiała dojść do wniosku, że bohaterska taktyka polegająca na bezpośredniej konfrontacji na dłuższą metę nie zda egzaminu. Wprawdzie olbrzym zaskowyczał i na chwilę zgłupiał, ale już niebawem wrócił do gry, pałając rządzą zemsty. Należało wyeliminować go ostatecznie.

Magda zaśmiała się na myśl o zabójczej tchórzofretce i rzuciła Nowickiemu rozbawione spojrzenie. Mrocz kontynuował:

– Kasia cierpliwie czekała na kolejną wizytę sąsiada, dopracowując strategię. Postawiła na styl walki skorpiona, czyli po cichu, po ciemku, nożem w plecy.

Następnym razem w ogóle nie pokazała się Godzilla na oczy. Niczym ninja zaszła giganta od zady, błyskawicznie wdrapała się po jego tylnej łapie i zdradziecko ukąsiła w jądra. Efekt był taki, że dog kanaryjski już nigdy nie wszedł do mojego domu. Choćby sąsiad nie wiem jak go zachęcał i nęcił, pies kładł się przed progiem i cichutko skomlał. A sąsiadowi się upiekło, bo Kasia go polubiła. Potem jeszcze niejednokrotnie powtarzała ten numer z dużymi psami, chociaż nigdy nic jej nie zrobiły, bo jak mówiłem, nie cierpią jej zapachu. Sądzę, że w głębi śmierdzącej duszyczki trochę się ich jednak boi. A że strach to okropny wstyd dla każdego tchórza, więc znęca się nad nimi z powodu kompleksów. No ale tym razem ocaliła mi życie.

– Niesamowite – sapnęła Żaboklicka zupełnie oszołomiona opowieścią. Jej zdaniem nawiedzający odludne stodoły wilkołak to był pikuś w zestawieniu z bohaterskimi wyczynami małego stworzonka.

Piotr tylko patrzył z szacunkiem na tchórzofretkę.

– Zajmie się pani Kasią? Kiedy ja już... no, kiedy trzeba mnie będzie uspić albo coś takiego – zaczął nieśmiało i trochę płaczliwie Waldemar. – Ona jest bardzo wierna i miła na swój sposób.

– Co też pan, panie Waldemarze! – zdenerwował się policjant. – Nic panu nie będzie. Zresztą skąd ten pomysł, przecież nie usypia się ludzi.

– Ale mnie ugryzł WILKOŁAK! – wrzasnął Mroczyński. – A wilki się usypia! Przecież sam pan mówił, że przeistoczę się podczas następnej pełni. Czyli pojutrze – dodał już cicho, z głębokim smutkiem.

– No co pan, ja tylko tak żartowałem... – jękał się Nowicki, czerwieniąc się mimo woli pod pełnym nagany spojrzeniem Magdy.

– To były bardzo głupie żarty – powiedziała dziewczyna. – A pan Waldemar jest w szoku i też wygaduje głupoty. Nie trzeba wierzyć we wszystko, co pokazują w filmach.

– To niestety nie jest film. – Redaktor wyraźnie balansował na krawędzi załamania nerwowego. – Teraz już chyba nikt nie ma wątpliwości, że likantopia

realnie istnieje. A informacje o przeistoczeniu pod wpływem ukąszenia, choć rzadko, występują w historycznych przekazach. Wprawdzie znacznie częściej przemiana w wilkołaka dokonuje się pod wpływem rzuconego uroku lub za sprawą magicznego pasa podarowanego przeznaczonemu do roli bestii osobnikowi przez tajemniczego czarnoksiężnika, ale może wszystkie sposoby są równie dobre, by zwilzczyć. Skoro jeden element legendy okazał się prawdą, to dlaczego miałbym lekceważyć pozostałe? Nie ulega wątpliwości, że choć do pełni jeszcze trochę brakuje, to już teraz w okolicy grasuje wilkołak. Albo nawet cała horda tych stworów, do której niebawem, wbrew woli, dołączę.

– A skąd pomysł, że mamy do czynienia z watahą? – zainteresował się mimo woli Piotr.

– Ponieważ Olaus Magnus pisał o stadach likantropów, a ja już się przekonałem, że nie zmyślał. – Poraniony badacz zaczął z lekka dygotać. – Poza tym wątpię, aby muzeum Romanowskiego zdołał równie dokumentnie zdemolować pojedynczy osobnik.

– Czemu łączy pan włamanie do Izby Pamięci Jaćwieskiej ze swoją przygodą? Nie widzę ku temu podstaw. – Aspirant starał się wykazać brak logiki w majaczeniach redaktora.

Sądził, że jeżeli uda mu się podważyć choć jeden element nawiedzanej teorii, to zdoła obalić cały tok rozumowania Mrocza i ten w końcu trochę się opamięta. Najbardziej jednak martwiło go, że sam, wbrew woli, zaczyna poważnie traktować możliwość wystąpienia wilkołaczej inwazji. W świetle ostatnich wydarzeń jawiła się jako zupełnie realna opcja. Więc może kierował argumenty sam do siebie?

– A jak pan powiedział? – Teraz już całym mizernym ciałem dziennikarza wstrząsały gwałtowne dreszcze. Szok wkraczał w niebezpieczną fazę. – Jakiej izby? Jaćwieskiej! A przecież wykazałem, że likantropia ma związek z Jaćwingami. Zaraz, zaraz... Tam chyba były jakieś oryginalne artefakty! To one przyciągnęły potwory. Bestie wyczuły starodawną moc! Zaś po napadzie sfera rozproszyła się i jakaś zabłąkana sztuka, jeszcze dysząca rządzą mordy, przybiegła na nasze podwórko.

– Proszę, panie Waldemarze, niech pan się uspokoi – błagała Magda, poważnie zaniepokojona stanem swojego pacjenta. – Zrobię panu herbaty z miodem albo melisy, tylko proszę się tak nie ekscytować. Cały się pan trzęsie.

– Faktycznie! – Waldemar zaszczękał zębami. – Jakoś mi zimno.

Projektantka pognała do kuchni nastawić czajnik. Rozpuściła dwie tabletki musującej aspiryny, do drugiej szklanki wrzuciła saszetkę z herbatą. Czekwała, aż woda się zagotuje, kiedy Piotr cicho stanął za jej plecami.

– Przepraszam, że sprowadziłem pani na głowę tego czubka, ale nie przypuszczałem, że tak się to skończy – wyszeptał.

– Cóż, teraz go nie wyrzucę – odpowiedziała równie cicho dziewczyna. – Nie w tym stanie. Zresztą nie sądzę, żeby miał jeszcze ochotę na jakieś głupie wybryki. A jeżeli zmieni się w wilkołaka, z satysfakcją go zastrzelę.

Odwróciła się do aspiranta i delikatnie położyła mu dłoń na policzku.

– A pan jak się czuje? – spytała z troską.

– Dam sobie radę – uśmiechnął się ciepło mężczyzna. – Już się trochę pozbierałem. I to dzięki pani.

Stali tak nieruchomo przez chwilę, aż czajnik zaczął gwizdać.

– Cóż... – Piotr otrząsnął się z uroku rzucanego przez szare oczy dziewczyny. – Muszę już lecieć. I to pędem. – Zerknął na zegarek. – Bo nie zdążę doprowadzić do porządku radiowozu. Proszę pożegnać ode mnie pana Waldemara.

Ale pan Waldemar właśnie wkraczał do kuchni. Drżący jak osika, okutany w bandażę niczym mumia i blady na podobieństwo upiora mały człowieczek przedstawiał widok godny politowania.

– Chciałem właśnie poprosić o spodeczek herbaty dla Kasi. Niech sobie sra, zasłużyła – mruknął. – Ale usłyszałem, że pan Piotr już nas opuszcza, więc mam jeszcze jedną prośbę. Niech mi pan zostawi swoje kajdanki.

– No co pan! – Znowu udało mu się zaskoczyć policjanta. – Zresztą nie mogę, to służbowy sprzęt.

– Błagam! – jęknął Mrocz i przykucnął, jakby zamierzał paść na kolana, ale tylko skrzywił się z bólu. – Nie zmrużę oka, jeżeli nie przykuję się do kaloryfera. Boję się samego siebie!

– Może niech mu pan da te kajdanki. – Magda nieoczekiwanie poparła żądanie redaktora. – Bardzo bym chciała, żeby pan Mrocz wreszcie zasnął.

Wymiana argumentów trwała jeszcze przez chwilę, ale koniec końców Nowicki uznał, że to drobne ustępstwo pomoże załagodzić obsesję redaktora, i pojechał do domu bez kajdanek, a uszczęśliwiony Mrocz popędził przykuć się do kaloryfera. Pokrzepiony herbatą i rozgrzany aspiryną wkrótce smacznie zachrapał. Tylko Magda jeszcze długo siedziała sama w kuchni, przetrawiając wydarzenia, które zaszły tej niezwyklej nocy. No, może niezupełnie sama. Przepelniona poczuciem dobrze spełnionego obowiązku Kasia beztrosko srała po kątach.

Aspirant Nowicki w niedzielę zwlókł się z łóżka bardzo późno. Na dworze już zmierzchało. Nie znaczy to bynajmniej, że się wyspał. W nocy nie zmrużył oka. Do szóstej rano pucował radiowóz raz od zewnątrz, raz od środka, aż mu dłonie posiekało na zimnie. Kiedy skończył porządki, drogę do Rutki posypano już solą, więc na posterunek dojechał bez przeszkód. Gorzej było z powrotem. Akumulator w jego szrotowym ferrari padł, więc musiał poczekać, aż pojawi się któryś ze zmotoryzowanych kolegów, żeby odpalić na kable. Służbowego pojazdu nie chciał już nawet dotykać.

Nie dość, że się nie wyspał, to jeszcze złapał katar. Trąc zapuchnięte oczy, podszedł do okna sypialni. Chciał zobaczyć choć finał krótkiego dnia. Krajobraz za szybą go zaskoczył. Wprawdzie kiedy wracał z Rutki do domu, z nieba prószyły białe bryłki o konsystencji drobnutkiemu gradu, ale sądził, że to jakaś przejściowa anomalia. Teraz walił regularny śnieg, który zdążył pokryć okolicę warstwą grubą na kilkanaście centymetrów. Spojrzał na termometr. Pokazywał osiem stopni poniżej zera. Na Suwalszczyznę zawitała zima.

Przygotował sobie kawę i dwie bułki z kiełbasą, potem usiadł przed telewizorem. Ale nie potrafił się skupić na żadnym programie. Ciągłe analizował wydarzenia ostatniej nocy. Po pierwsze – powtarzał sobie w duchu – wilkołaki nie istnieją. To twierdzenie przyjął jako motto swoich rozważań. Podczas wizyty w domu nad jeziorem czuł się rozbity do tego stopnia, że gotów był przystać na szalone teorie Mrocza. W dodatku nie skonfiskował jego pistoletu. Choć zapewne sponiewierany redaktor nie będzie miał tego dnia ochoty na żadne wybryki.

Więc jeżeli nie była to sprawka wilkołaków, to co się właściwie stało? – wrócił do zasadniczego tematu swoich przemyśleń. Uważał, że należy rozpatrywać napad na muzeum i atak w stodole jako dwa zupełnie niezależne od siebie zdarzenia. Wtedy przygodę Waldemara dawało się wyjaśnić bez trudu. Mrocz natknął się po prostu na jakiegoś zdziczałego psa albo nawet wilka. Z tym że w przypadku tego drugiego sprawa przedstawiała się nieco gorzej, bo zwierzę faktycznie mogło okazać się wściekłe. Ale wilka w Szurpiłach nikt od stu lat nie widział. A w gruncie rzeczy mikrego redaktora zdołałby tego sponiewierać nawet wyrosnięty pudel. W końcu co to za wilkołak, którego załatwiła tchórzofretka?

Gorzej ze sprawą Romanowskiego. Tutaj nie potrafił ułożyć żadnej sensownej koncepcji. Emeryt nie miał wrogów, żadnemu z niegdysiejszych uczniów na pewno nie zaszedł za skórę na tyle poważnie, żeby sprowokować krwawą zemstę po latach. Jego edukacyjną pasję szanowano albo traktowano jak nieszkodliwe dziwactwo, ale nikomu nie przeszkadzała. W muzeum nie posiadał niczego naprawdę cennego, zresztą placówkę raczej zdemolowano, niż okradziono. Przynajmniej tak podejrzewał aspirant, ponieważ bez dostępu do materiałów dotyczących dochodzenia nie mógł z całą pewnością stwierdzić, czy z domu coś nie zniknęło.

Pod wpływem tej ostatniej myśli Nowicki zaklął i mocno klepnął się w czoło. Jasne, że przynajmniej jeden przedmiot zaginął. Nawet wiedział który, bo sam go wyniósł. Pognał do korytarza, gdzie na wieszaku suszyła się jego służbowa kurtka, i sięgnął do kieszeni. Spokojnie leżał w niej znaleziony na daszku notatnik. W natłoku zdarzeń aspirant zupełnie o nim zapomniał. Aż się spocił na myśl, co mu zrobi Korczakowski, kiedy się dowie, że dzielnicowy zataił potencjalnie istotny dowód. Jednak teraz było już wszystko jedno, czy natychmiast odwiezie własność Romanowskiego do Suwałk, czy też uda się na komendę dopiero jutro. Tak czy siak, zdrowo oberwie. Zważył czarny notes w dłoni. Skoro bez względu na postępowanie czekała go bura, a może nawet nagana, to chyba nie pogorszy sprawy, zaspokajając własną ciekawość. A nuż natknie się na jakiś trop i błysnie tak, że jego przewinienie pójdzie w niepamięć.

Zapalił światło, usiadł przy stole i zabrał się do lektury. Na wstępie upewnił się, czy notes faktycznie stanowił własność Romanowskiego. To nie stanowiło problemu, ponieważ emeryt podpisał się na pierwszej stronie. Niestety, dalej było już tylko gorzej. Piotr szybko przekonał się, że notatki dotyczą najróżniejszych spraw i składają się najczęściej z jakichś skrótów zrozumiałych jedynie dla autora. Wyglądało na to, że pan Henryk zmagał się z mocno posuniętą demencją i zapisywał większość zarówno zaszłych, jak i planowanych posunięć, aby przypadkiem o czymś nie zapomnieć. Należało zastosować jakiś klucz do tej enigmy. Kiedy odrzuciło się elementy zupełnie nieczytelne, błahe oraz oczywiste, jak na przykład listy zakupów, niektóre partie tekstu stawały się przynajmniej po części zrozumiałe, jednak pod warunkiem, że znało się autora, miejscową topografię i realia. Na przykład: „Dziś g. cmen. kabłaczek skroniowy. Skąd tu Słowianie? Wtorek gkość. k/ołtarza.” Jako miejscowy, Nowicki orientował się, że notatka dotyczy historycznej pasji emeryta. Zapewne prowadził w tajemnicy nielegalne wykopaliska. „G. cmen.” oznaczało Górę Cmentarną leżącą w sąsiedztwie Góry Zamkowej, na której wznosiło się grodzisko. „Gkość.” prawdopodobnie kolejne wzniesienie, zwane Górą Kościelną, a ołtarz to wielki gład narzutowy, na którym dopatrywano się rytu przedstawiającego twarz jaćwieskiego bóstwa. Dla kogoś obcego owe hasła nie miałyby sensu.

Jednak całość przyprawiała o ból głowy. Piotr z rosnącą niechęcią przerzucał kartki. Chyba nieświadomie zaczynał przysypiać. „Wójtowicz to oszust!” Podkreślone. Natychmiast się ocknął. Nie miał pojęcia, że coś łączyło Romanowskiego z Wójtowiczem. Cofnął się o kilka stron. Znowu odnośnik do właściciela willi „Wójt. szuka art. sam. Łże”. I znowu „Wójt. + Łoś nur. w. Szurp. dziś”. Na dodatek padło kolejne znajome nazwisko. Ignacy Łoś kręcił się feralnej nocy koło muzeum. Nowicki poczuł, że wpadł na jakiś trop, ale skala trudności go przerastała. Nie wszędzie występowały nazwiska lub ich skróty. Trudno było dociec, czy podkreślone i opatrzone wykrzyknikami hasła typu: „Znaleźli!”, „Ciągną dwa dni!”, dotyczą Wójtowicza i jego tajemniczych współników czy też bandy miejscowych meneli i skrzynki wódki. Pewną wskazówkę mogły stanowić

przewijające się sporadycznie daty. Na przykład pod datą śmierci biznesmena, dziesiątego sierpnia, zapisano: „Zgoda. Spotkanie 18.00. A jednak”. Poszlaka czy może emeryt wybierał się do znajomych, „a jednak” odechciało mu się wychodzić z domu?

Gdzeniegdzie wśród pajęczków chybotliwego pisma pojawiały się niezdarne, choć szczegółowe rysunki. Z początku przedstawiały bardzo proste, drobne przedmioty, jak choćby wzmiankowany kabłączek skroniowy. Jednak na końcowych kartkach roiło się od ozdobnych włóczni i toporów oraz pokrytych geometrycznymi szlaczkami mis. Znajdowały się tam również pokreślone szkice jakichś obiektów o skomplikowanych kształtach, których brak talentu nie pozwolił emerytowi odwzorować.

Wszystkie zagadki blakły jednak wobec tajemniczego zapisu na ostatniej stronie. W odróżnieniu od pozostałych został wykonany bardzo starannie i bez skrótów. Kojarzył się z projektem nagłówka w gazecie. „4 grudnia. Skarb wikingów odnaleziony w obrzędowej sadzawce pod Górą Zamkową przez emerytowanego nauczyciela, Henryka Romanowskiego”. Można byłoby przypuszczać, że Romanowski dokonał historycznego odkrycia i wyobrażał sobie, jak jego nazwisko będzie wyglądać na łamach prasy, gdyby nie fakt, że czwarty grudnia wypadł akurat tego dnia. Pasjonat historii od wczoraj spoczywał martwy w policyjnej kostnicy. Jeżeli zaś antycypował swój sukces, to okazał się bardzo kiepskim prorokiem.

Nowicki namyślał się w skupieniu. Istniała jeszcze trzecia możliwość. Romanowski nie przepowiadał przyszłości, tylko ją planował. Cały notatnik wypełniały informacje o planowanych czynnościach. Choćby tak drobnych, jak wykaz książek, które zamierzał wypożyczyć z biblioteki. Zapisywał tytuły, a potem szedł i wybierał je z półek. Czyli następnego dnia zamiar stawał się rzeczywistością. Ale czy można zaplanować odkrycie historycznego skarbu? Naturalnie. Jeżeli się wie, gdzie on jest schowany.

Teraz Piotr również wiedział gdzie. Przez Górę Zamkową biegnie ścieżka edukacyjna, którą aspirant niejednokrotnie spacerował. Wzdłuż szlaku ustawiono

tablice informujące, jakie funkcje poszczególnym elementom obecnej topografii terenu przypisują archeolodzy. Według naukowców błotniste zagłębienie u podnóża góry w średniowieczu, gdy jeszcze wypełniała je woda, Jaćwingowie otaczali religijnym kultem. Obecnie świętą sadzawkę Jaćwingów można było eksplorować w zwykłych gumiakach, może jedynie poza okresem wiosennych roztopów. W każdym razie zadanie nie przekraczało możliwości emeryta.

Automatycznie nasuwało się pytanie, czy ktoś jeszcze oprócz Piotra dysponuje podobną wiedzą. Jeżeli tak, to znajdował się w niebezpieczeństwie, ponieważ nareszcie stawało się jasne, czego włamywacz szukał w domu Romanowskiego. Wskazówek wiodących do skarbu. Widocznie znalezisko przedstawiało na tyle wielką wartość, że opłacało się dla niego w bestialski sposób zabić. Chyba że to wilkołaki próbują odzyskać swoją dawną własność – w głowie aspiranta zakiełkowała, nie wiadomo skąd, zupełnie idiotyczna myśl.

Natychmiast skarcił się w duchu za nedorzeczne majaczenia i skupił się na planowaniu kolejnych posunięć. Mógł poczekać do jutra, stawić się u Korczakowskiego z zawłaszczonym notesem i poinformować przełożonych o wnioskach, które wysnuł na podstawie nielegalnej lektury. Z pewnością czekała go bura, a jeżeli jego przypuszczenia co do skarbu w sadzawce okażą się błędne, to dodatkowo narazi się na śmieszność. Mógł też bez zwłoki wybrać się na krótką wycieczkę i sprawdzić, czy w błotnistym zagłębieniu u stóp Góry Zamkowej faktycznie spoczywają jakieś artefakty. Skoro datę odkrycia skarbu wyznaczono właśnie na dzisiaj, nadal powinny znajdować się w bajorku. Ale jeżeli Romanowski podczas poszukiwań korzystał z czyjejś pomocy, to prawdopodobnie niebawem znikną. Przecież nie każdy zechce, kierując się szlachetnymi pobudkami lub żądzą sławy, przekazać cenne zabytki państwu. Sprawa przedstawiała się jeszcze gorzej, jeżeli emeryt wyjawiał swoją tajemnicę brutalnym napastnikom. Ich cel wydawał się jasny.

Emeryt zginął w nocy. Nim minęło południe, cała okolica musiała już huczeć od plotek o niesamowitych okolicznościach jego zgonu. Ale za dnia nikt nie ryzykowałby eksploracji w pobliżu uczęszczanego szlaku. Pomimo niesprzyjającej

pogody w wolnym od pracy dniu popularna ścieżka edukacyjna z pewnością przyciągnęła kilku wytrwałych piechurów. Jednak po zmroku okolica grodziska całkowicie pustoszała. Piotr doszedł do wniosku, że na miejscu nielegalnych poszukiwaczy skarbów postarałby się zbadać sadzawkę, zanim przestanie padać śnieg, skutecznie maskujący ślady ich ewentualnych poczynań. Zatem należało działać natychmiast.

Aspirant westchnął i otworzył szafę w poszukiwaniu gumofilców. Na grubym sweter przywdział kurtkę mundurową, żeby wyglądać bardziej oficjalnie, na wypadek gdyby sprawy miały się skomplikować. W końcu tylko on wiedział, że działa nie całkiem służbowo. Pod czapką ukrył wydziergane przez matkę nauszники.

Niebawem przygotowany na każdą ewentualność Piotr zasiadł za kierownicą samochodu i przekręcił kluczyk. Raz, drugi i trzeci. Nie doczekał się żadnej reakcji. Lampki kontrolne nawet nie zamigotały. Westchnął powtórnie, z nieco większą rezygnacją, i wydobył z kieszeni telefon.

8

Magda miała za sobą zadziwiająco spokojny dzień. Wprawdzie ranek nie zapowiadał pomyślnego rozwoju wydarzeń, ale w rezultacie wszystko ułożyło się jak najlepiej. Wstała z niezłomnym postanowieniem doprowadzenia Mrocza przed oblicze oficjalnej medycyny. Ponieważ pukanie, a następnie łomotanie do drzwi jadalni nie przyniosło efektów, nieśmiało zajrzała do legowiska redaktora.

Waldemar chrapał rozwalony na wznak w skotłowanej pościeli. Zaskoczona Żaboklicka na moment zamarła. W opowieściach o nieuchronnej przemianie na skutek ukąszenia wilkołaka kryło się widocznie coś więcej niż ziarno prawdy, ponieważ oblicze pogromcy potworów okalała gęsta rudawa broda, która rozkrzewiła się w ciągu jednej nocy. Na szczęście demoniczny zarost niespodziewanie oddzielił się od szyi śpiącego i w podskokach popędził na spotkanie projektantki. Kasia odstawiła łasiczy taniec wojenny i pozwoliła wziąć się na ręce swojej nowej przyjaciółce. Po nocnych przeżyciach nadal intensywnie śmierdziała, ale najwidoczniej ów aromat działał kojąco na zmysły jej właściciela, ponieważ pozbawiony jego terapeutycznego wpływu redaktor sapnął głośno przez nos i otworzył oczy. Natychmiast jęknął i złapał się za czoło.

– Rety, ale mnie głowa łupie. Aspiryny! – zawył.

Odrzucił zmiętą kołdrę i spróbował zerwać się na nogi, ale grzmotnął z hukiem na podłogę. Jego lewa noga przykuta kajdankami do kaloryfera zawisała w powietrzu.

– Ratunku! – wybełkotał z twarzą wtuloną w podłogę. – Niech mnie pani odepnie!

– Gdzie jest kluczyk? – zapytała z rezygnacją Magda, jednocześnie myśląc: O rany, znowu się zaczyna. Niech ktoś usunie z mojego życia tego upierdliwego

kurdupla...

Mrocz, naturalnie, nie miał zielonego pojęcia, gdzie schował klucz od kajdanek. Poszukiwania zajęły Żaboklickiej dobry kwadrans, podczas którego Waldemar na przemian błagał ją o pośpiech lub beształ, wijąc się bezradnie po posadzce. Co gorsza, bandaż na jego łydce się poluzował i od nowa nasiąkał krwią. W końcu dziewczyna znalazła zgubę w kubku po herbacie i uwolniła redaktora pomstującego na feralny początek dnia.

Nieprzyjemne zdarzenie przyniosło jednak pewien pozytywny efekt. Przejścia z kajdankami wyczerpały konusa do tego stopnia, że nie miał energii, żeby się stawiać, kiedy Magda zawlekła go do samochodu i powiozła na izbę przyjęć do Suwałk.

Solarki zlikwidowały oblodzenie, ale sypał coraz gęstszy śnieg, tworzący na jezdni rzadkie błoto, z którego usuwaniem nie nadążały pługi. Na szczęście szpital znajdował się tuż przy wjeździe do miasta. Z trudem znaleźli miejsce na parkingu, a kiedy wkroczyli do poczekalni, obydwójce wydali zgodny jęk zawodu. Gołoledź zebrała obfite żniwo. Pod ścianami tłoczyło się ze dwudziestu uszkodzonych nieszczęśników. W zestawieniu z niejednym połamańcem Mrocz prezentował się jak okaz zdrowia.

Projektantka dokonała formalności rejestracyjnych i bez żalu porzuciła swojego podopiecznego skulonego na końcu kolejki. Postanowiła skorzystać z okazji, że Opatrzność niejako wbrew jej woli zawiodła ją do lokalnej metropolii. Akurat wypadła handlowa niedziela, więc bez zwłoki ruszyła na zakupy. A że wydarzenia ostatnich dni uświadomiły jej kruchość egzystencji, nie zamierzała oszczędzać.

Podjechała do centrum i dała się w pełni ponieść konsumenckim instynktom. Bagażnik opla wypełniły przeróżne dobra luksusowe w postaci drogich smakołyków i nie najtańszych ciuchów. Kiedy już się wyszalała, poczucie obowiązku kazało jej zadzwonić do Waldemara. Redaktor nadal czekał na badania. Korzystając z wolności, postanowiła uczynić coś dla ducha i wstąpiła do katedry pod wezwaniem Świętego Aleksandra. Wprawdzie nie trafiła na mszę, ale jakiś ukryty na chórze mistrz ćwiczył właśnie grę na organach. Zasłuchana w przepiękne

barokowe brzmienia spędziła pełną spokoju godzinę, nim zdecydowała się wrócić do szpitala.

– Gdzie się pani podziewała? – przywitał ją czekający przy wejściu Waldemar.

Coś z nim musiało być nie tak, ponieważ swoją kwestię wygłosił bez agresji, za to jakoś dziwnie płacząco. Magda spostrzegła, że pielęgniarka z recepcji daje jej rozpaczliwe znaki. Wręczyła kluczyki od auta redaktorowi, który aż rwał się do ucieczki, i pospieszyła w stronę recepcjonistki.

– Pani znajomy ma założone szwy i dostał pierwszą dawkę szczepionki przeciw wścieklicznie, ponieważ zwierzę, które go pogryzło, nie zostało zidentyfikowane – poinformowała ją dziewczyna w białym fartuchu. – Potrzebne będą jeszcze dwie dawki. Proszę przypilnować, żeby pacjent stawił się w terminie, ponieważ wydaje nam się, że zalicza się do bardzo trudnych przypadków. Na tyle trudnych, że pan doktor musiał mu zaaplikować dodatkowo środek uspokajający. Czy pan Mrocz leczy się psychiatrycznie?

– Nic o tym nie wiem – westchnęła Magda, siłą woli powstrzymując się od zgrzytania zębami. – Raczej słabo go znam.

– Wygadywał bardzo dziwne i niepokojące rzeczy. – Pielęgniarka przypatrywała się podejrzliwie Żaboklickiej. – Może to rezultat szoku, ale jeżeli jego urojenia będą się pogłębiać, nie powinien zwlekać z konsultacją u specjalisty. Na razie proszę mu podawać te lekarstwa. – Położyła na blacie dwa blistry z tabletkami. – Zazwyczaj nie wydajemy pacjentom leków, ale nie widzę szans, żeby nakłonić pana Mrocza do wizyty w aptece. Te pigułki to antybiotyk, a te... No cóż, wyciszą go, jeżeli nadal będzie niestabilny psychicznie.

– Te? – upewniła się Magda, nie zaprzatając sobie głowy antybiotykiem. Potem w nagłym odruchu wdzięczności ucisnęła dłoń pielęgniarki. – Dziękuję! – wyszeptała. – Serdecznie pani dziękuję!

Droga powrotna przypominała przeprawę przez Alaskę, ale za to Mrocz nie sprawiał najmniejszych kłopotów. Cały czas spał jak kamień. Mimowolna opiekunka poważniejszy problem napotkała dopiero na progu domu. Ocucony

z niemałym trudem Waldemar nie potrafił wysiąść z samochodu. Rozeźlony jego zachowaniem lekarz chyba przesadził z dawką głupiego jasia. W końcu jednak redaktor nieco otrzeźwiał na zimnie i potulnie dał się zaprowadzić do łóżka, gdzie czekała na niego wygrzana i odpowiednio okadzona przez tchórzofretkę poduszka. Niezgrabnie pogładził małą przyjaciółkę, której oszczędzono wizyty w sterylnym szpitalu, wtulił twarz w wonne piernaty i natychmiast z powrotem zasnął. W ubraniu, ponieważ współlokatorka nie zamierzała przebierać go w pasiastą piżamkę, choć litościwie zdjęła mu buty.

Teraz, w ów pierwszy zimowy wieczór, Magda pośród ciszy i spokoju rozkoszowała się plonem swojej wyprawy. Ubrana w nową szalową spódnicę pałaszowała grzanki z dojrzewającym serem i śliwki zasmażone w chrupiącym boczk. Wprawdzie najpierw musiała wyszorować kuchenkę i zasiadała przy pokrytym ceratą stoliku, ale za kuchennym oknem malowniczo wirował śnieg, a w uszach wciąż jeszcze pobrzmiwały jej dźwięki organowych gam, co dawało jej jakieś takie poczucie luksusu. Nieco zakłócone pochrapywaniem Waldemara, jednak i tak czuła się wspaniale. Nawet podzieliła się smakołykami z Kasią, która znudzona brakiem jakiegokolwiek interakcji ze strony właściciela snuła się bez celu po domu. Dziewczyna właśnie zastanawiała się, czy poczęstować futrzaną towarzyszkę wonną herbatą, która parzyła się w fajansowym czajniczku, kiedy zadzwonił jej telefon. Z niechęcią sięgnęła po aparat, spodziewając się, że to znana z braku taktu pracodawczyni postanowiła zakłócić jej niedzielny wypoczynek, ale na ekranie wyświetlił się numer dzielnicowego.

– Pani Magdo – mówił wyraźnie skrepowany Piotr – przepraszam najmocniej, że zawracam głowę, ale czy mogłaby mi pani pożyczyć samochód na jakieś dwie godziny? Mam strasznie pilną sprawę, a mój grat ostatecznie odmówił współpracy. Z tym że musiałyby pani po mnie przyjechać do Jeleniewa. Wiem, że warunki są koszarne, ale nie mam się do kogo zwrócić. – Tu nieco rozminął się z prawdą, bo znał kilku sąsiadów, którzy chętnie udostępniliby mu swoje pojazdy, ale nie chciał, by ktoś z miejscowych spekulował na temat celu jego nocnej wyprawy. – Odwiozę panią do domu, załatwię swoje sprawy, a na koniec odstawię samochód i jakoś

wrócę do Jeleniewa. Jeżeli zrobi się późno, kluczyki wrzucę do skrzynki pocztowej.

Magda przez chwilę zwlekała z odpowiedzią. Bardzo polubiła Piotra i ciekawiła ją jego nocna misja, która – jak słusznie przypuszczała – musiała mieć coś wspólnego z ostatnimi wydarzeniami, ale potwornie nie chciało jej się ruszać z domu. Poza tym wracając z Suwałk, doświadczyła próbki tego, co działo się na drogach, a teraz na domiar złego zapadła ciemność, natomiast śniegu zapewne przybyło. Postanowiła się wykręcić, zasłaniając się kiepskim stanem technicznym swojego opla. W zasadzie nie zamierzała kłamać, jedynie podkreślić rzeczywiste mankamenty leciwego wehikułu.

– Panie Piotrze... – zaczęła powoli, próbując starannie dobierać słowa. Nie chciała urazić młodego dzielniczowego ostentacyjnie asertywnym zachowaniem. – Warunki faktycznie są fatalne, a mój samochód prezentuje formę niewiele lepszą od pańskiego auta. Mam całkiem zużyte opony i kiepsko prowadzę po zmroku. Zresztą reflektory ledwie świecą, więc...

– Więc zastąpię panią i pojadę swoim samochodem. – Usłyszała za plecami podejrzenie dziarski głos redaktora.

Waldemar wygrzebał się w końcu ze swojej gawry. Dreptał po kuchni w dziurawych skarpetkach, tuląc do piersi rozczochraną tchórzofretkę. Sam zresztą też był nieludzko rozczochrany, ale przytomny i już nie jęczał przy każdym kroku.

– Niech pani przełączy na głośnomówiący – poprosił.

– To pan ma samochód? – Z głośnika popłynął zdumiony głos policjanta, który widocznie usłyszał propozycję Mrocza.

Magda miała właśnie zadać dokładnie takie samo pytanie. Dlaczego Mrocz chodził na piechotę po zakupy i po co targał swoje rzeczy z domku Złocickiego błotnistą ścieżką, zamiast przewieźć je pod ganek? A przede wszystkim gdzie ukrywał swój pojazd?

– Naturalnie, że mam samochód. A jak bym inaczej pracował? – powiedział niecierpliwie Waldemar. – Nie rozumiem, czemu wszyscy zawsze się tak dziwią?

Czy wyglądam na debila, który nie potrafi zrobić prawa jazdy? Mam je już od niemal czterdziestu lat. Ja po prostu strasznie nie lubię prowadzić, więc staram się to robić jak najrzadziej. Ale pani Magda dosyć już się dzisiaj namęczyła, a jej opel faktycznie nie gwarantuje nawet minimum bezpieczeństwa.

– Dobrze już, dobrze – uspokajał go dzielnicowy. – Za ile może pan do mnie podjechać?

– Za dwadzieścia minut, tylko niech pan poda dokładny adres. – Redaktor zanotował coś na skrawku papieru i zakończył połączenie. – Nasz gliniarz myśli, że mnie wykiwa. – Mrugnął chytrze do projektantki. – I pojedzie rozwiązywać zagadki beze mnie, za to moim samochodem. Niedoczekanie! Przyczepię się do niego jak rzep. Na pewno wpadł na jakiś nowy trop, bo gdzie by się nagle wybierał po nocy? Gdzie są moje trzewiki? – wskazał swoje stopy, jakby obucie ich należało do obowiązków przymusowej opiekunki.

W Magdę nagle wstąpiła dziwna energia.

– Ja też jadę! – stwierdziła i pobiegła na górę.

Wróciła dwie minuty później ubrana w dżinsy i puchową kurtkę z kapturem, podczas gdy rozkudłany Waldemar nadal szukał swoich butów. W milczeniu wskazała mu szafkę w korytarzu i w wyczekującej pozie stanęła przy drzwiach, obserwując, jak badacz tajemnic kontroluje stan baterii w latarkach.

Sama nie potrafiła odgadnąć, co ją nagle opętało. Zaledwie pięć minut wcześniej na myśl o wyjściu z domu robiło jej się niedobrze, a teraz wprost rwała się do nocnej akcji. Wprawdzie opieka nad niechlujnym redaktorem mogła każdego doprowadzić do szału i sprowokować do nieracjonalnych posunięć, jednak sedno sprawy tkwiło chyba gdzie indziej. Aż dotąd nie chciała przyznać, jak bardzo obrzydła jej rola panikującej panienci, którą co chwila jakiś rycerz musi ratować z oparów. Niefortunnym zrzędzeniem losu od dwóch dni na zmianę piszcząca albo trzęsła się ze strachu, wyglądając pomocy szlachetnego wybawiciela. Niewiele brakowało, żeby zupełnie straciła poczucie własnej wartości. Jako osoba z natury waleczna, musiała wreszcie udowodnić, że jest w stanie zmierzyć się

z niebezpieczeństwem. Przede wszystkim sobie, choć chyba nieświadomie pragnęła odrobinę zaimponować również sympatycznemu policjantowi.

Samochód redaktora od wielu dni tkwił w kępie krzaków za domkami Złocickiego i obecnie przypominał wysoką zaspę. Żaboklicka, która niezbyt znała się na motoryzacji, podczas odgarniania białego puchu zauważyła tylko, że był to wielki, czerwony i całkiem nowy SUV. Na pewno nadawał się do jazdy po zawianych drogach. Jednak kiedy usiadła na tylnej kanapie, aż się wzdrygnęła. Wnętrze przypominało śmietnik na zapleczu McDonalda. Puste kubki po kawie, plastikowe butelki po napojach, tacki z resztkami zaschniętego keczupu i pomięte wydruki kasowe poniewierały się po siedzeniach oraz podłodze. Ponadto przyjemny zapach nowej tapicerki zdążyła przytłumić zastała woń tchórzofretki, która chyba na równi ze swoim właścicielem nie przepadała za samochodami. W każdym razie dała temu wyraz, dostarczając nową porcję odoru w chwili, gdy Waldemar nacisnął przycisk „start engine”. Hybrydowy SUV bezszelestnie potoczył się przez zaspę.

– O rety, lexus RX! – wykrzyknął Piotr, który czekał na nich uzbrojony w latarkę i łopatę. – Naprawdę mi go pan pożyczy?

– Nie, ja pana tylko podwiozę – odparł cierpko Waldemar. – Nie dlatego, żebym panu nie ufał jako kierowcy, ale chcę wziąć udział w pana wycieczce. Jak przypuszczam, nasza mała wyprawa ma coś wspólnego z obiektem moich badań, a inaczej nigdy mnie pan ze sobą nie zabierze. Proszę wrzucić łopatę do bagażnika, tam się wszystko zmieści.

Zrezygnowany aspirant otworzył klapę.

– Faktycznie jest tu wszystko – powiedział zdumiony. – Czy segreguje pan czasem te śmieci? – dodał retorycznie.

Magda nie zdążyła sobie wyobrazić, jakie rodzaje pleśni lęgną się za oparciem jej fotela, bo Piotr, który już zajmował miejsce obok redaktora, właśnie spostrzegł jej obecność. Bynajmniej nie okazał radości. Zmierzył dziewczynę kosym spojrzeniem i z przekąsem zauważył:

– Jak widzę, jesteście w komplecie.

– No, cała ekipa pogromców wilkołaków zwarta i gotowa do akcji – zaszczebiotała Żaboklicka ze sztucznym entuzjazmem. – Fajnie, prawda?

Chłodne powitanie ze strony policjanta wyraźnie ją ubodło i właśnie siła się na jakąś bardziej kąśliwą uwagę, ale Mrocz przerwał dobrze się zapowiadającą wymianę złośliwości rzeczowym pytaniem:

– A więc po pierwsze dokąd, a po drugie dlaczego?

Zrezygnowany Piotr podał cel podróży i zaczął relacjonować swoje domysły, wysnute na podstawie lektury zapisków Romanowskiego. Widocznie pogodził się z faktem, że jest zależny od lokatorów domu nad jeziorem. Chyba zresztą, pomimo wszelkich formalnych zastrzeżeń, czuł się różnie w towarzystwie nowych przyjaciół.

Jak na osobę żywiącą abominacją do osiągnięć motoryzacji, Mrocz radził sobie za kierownicą nadspodziewanie dobrze. Nie zwolnił tempa, nawet gdy zjechał ze sporadycznie odśnieżanej szosy na gruntową drogę przysypaną miejscami niemal półmetrową warstwą puchu. Był to zresztą ten sam zjazd, który pokonali przed kwadrans, wyruszając z gospodarstwa Złocickiego. Aby dostać się do Góry Zamkowej należało na krzyżówce nieopodal wzgórza Walik skrócić w lewo, pozostawiając włości pana Andrzeja po prawej stronie, i skierować się ku zachodniemu brzegowi jeziora. Po pięciu minutach dotarli do polowego parkingu, na którym spacerowicze pozostawiali swoje auta, i Mrocz zaczął hamować, ale policjant zakomenderował:

– Niech pan jedzie dalej.

Od parkingu krótki odcinek gruntówki prowadził do dwóch gospodarstw, które zajmowały grzbiet morenowego wzniesienia. Przed wiekami teren ów gęsto zasiedlali mieszkańcy jaćwieskiego podgrodzia, obecnie na wypiętronym cyplu pały się krowy i rosło trochę starych drzew owocowych. Musieli zaparkować samochód obok wielkiej obory, od której bił odór gnojówki, rozpełzający się przy ziemi, jakby mróz nie pozwalał mu się mieszać z rześkim powietrzem. Jeszcze

niedawno droga prowadziła dalej. Opadała stromo w kierunku małego jeziora Kluczysko, by wąskim przesmykiem pomiędzy nim, a zatoką Szurpił, zwaną Jeziorem Czarnym, powieść do podnóża Góry Zamkowej. Jednak kiedy wytyczano ścieżkę edukacyjną, zagrodzono przejazd słupkami, rezerwując szlak dla rowerzystów i pieszych wędrowców. Więc także nasi łowcy wilkołaków zmuszeni byli pokonać go na własnych nogach.

Opuszczenie ciepłego wnętrza lexusa wiązało się z lekkim szokiem termicznym. Nim uszli parę kroków, zerwał się lodowaty wiatr, który wił się bezładnie pomiędzy wzgórzami, atakując wędrowców ze wszystkich stron. Siekł twarze zmrożonym śniegiem niczym odłamkami szkła. W dodatku skłębiony biały tuman odbijał blask latarek, ograniczając widoczność do kilku metrów. Nie upłynęło pięć minut, a na nierównościach terenu utworzyły się zasy głębokie do połowy uda. Spacer zamienił się w imitację antarktycznej wyprawy Scotta.

– To bez sensu. – Piotr zatrzymał się w połowie drogi.

Właśnie omal nie ześlizgnął się ze ścieżki w ciemną otchłań Kluczyska. Przed zimną kąpielą uratowała go łopata, której użył w charakterze czekanu. Teraz oparty na stylisku gapił się na czarną powierzchnię wody, kalkulując, jak też głęboko mogło być przy brzegu. Znając suwalskie jeziora – bardzo głęboko. Niezamarznięta sfalowana tafla sprawiała dziwne wrażenie. Tylko ona w polarnym krajobrazie przypominała, że jeszcze wczoraj światem rządziła wilgotna jesień.

– Przy tej pogodzie niczego nie znajdziemy w sadzawce – kontynuował nurtującą go myśl policjant. Musiał wyteńczyć głos, aby przekrzyczeć ryk szalejącej wichury. – Nawet sadzawki nie znajdziemy, bo zagłębienie pewnie przykrywa metrowa zaspą.

– Fakt – poparł policjanta Mroc, poszczękując zębami w przewiewnym płaszczku. Czuł, jak skulona w wewnętrznej kieszeni Kasia trzęsie się z zimna. – Nie ma też szans, żeby ktoś nas dziś ubiegł. Trzeba przeczekać śnieżycę i wrócić tu przy lepszej pogodzie.

– Już niedaleko – zaprotestowała Magda. – Przejdźmy jeszcze te kilkadziesiąt metrów, przynajmniej upewnimy się, że nikt nie kradnie skarbu.

O dziwo Magda, od kiedy już zdecydowała się uczestniczyć w nocnej wyprawie, świetnie się bawiła. Czuła się trochę jak na harcerskich podchodach, które uwielbiała w dzieciństwie. Ponadto cieszyła ją zimowa aura, bo miała już serdecznie dość wlokącej się w nieskończoność zgniłej jesieni. Ciepła puchowa kurtka i kozaki na futerku dobrze chroniły dziewczynę przed mrozem, tylko uda trochę jej drętwiały, bo nie pomyślała, żeby pod dzinsy włożyć rajstopy.

– Panie Piotrze, niech się pan nie poddaje. – Wdzięczyła się do aspiranta, zdecydowana kontynuować zabawę. – Może żaden skarb nie istnieje, ale jeżeli zawrócimy, to do końca życia będziemy się zastanawiać, czy nie przepadł dlatego, że nie chciało nam się przejść jeszcze kilkadziesiąt kroków. Nie musimy kopać, sprawdzimy tylko, czy nikt się tam nie kręci.

– No dobrze. – Policjant poddał się i ruszył w dalszą drogę, przezornie trzymając się z dala od brzegu jeziora.

Po chwili minęli rozwidlenie ścieżki. Prawa odnoga prowadziła ku terenowym schodom wiodącym na koronę dawnego grodowego wału, lewa – którą wybrali – okrążała od zachodu podstawę wzgórza. Szło im się źlej, ponieważ skraj szlaku porastały gęsto drzewa, osłaniając ich od wiatru i śniegu. Tylko Mrocz nagle zaczął pozostawać w tyle. Leki przeciwbólowe przestawały działać i pogryziona noga przypominała mu o dwudziestu świeżo założonych szwach. W dodatku było mu potwornie zimno. Nie zmarzł tak nawet podczas wyprawy na północ Szwecji, gdzie wśród białych pustkowi poszukiwał trolli. Gdyby nie miał umysłu przyćmionego przez środek uspokajający, może domyśliłby się, że odczuwa skutki uboczne przyjętej szczepionki. Choć zapewne owa świadomość nie skłoniłaby go do rezygnacji z udziału w wyprawie. Uparcie włókł się kilka kroków za towarzyszami, psując swoim marudzeniem całą przyjemność, jaką Magda dotychczas czerpała z nocnej przygody.

Kiedy okrążyli wzniesienie i wyszli na łąkę rozciągającą się pomiędzy jego północnym stokiem a Górą Kościelną, znowu zaatakowała ich zamieć. Jednak

pomiędzy kłębami śniegu, wirującymi jak białe zjawy w blasku latarek, widzieli już kępę drzew porastających skraj błotnistego dołu, który w zamierzchłej przeszłości pełnił funkcję obrzędowego stawu. Brnęli więc wytrwale przez zaspy, które na otwartej przestrzeni spiętrzył krążący pomiędzy trzema jeziorami wichler.

Piotr pierwszy dotarł na miejsce. Wymacał łopata niewidoczny pod puchem brzeg zagłębienia, a potem oparł stylisko pomiędzy dwoma sąsiednimi pniami i przechylił się przez nie jak przez barierkę.

– Wolę tam nie wpaść – powiedział do czającej się za jego plecami Magdy. – Muł pod śniegiem pewnie jeszcze nie zamarzł i mogę utknąć jak w ruchomych piaskach.

Metodycznie oświetlał fragmenty okolonego zaroślami terenu.

– O cholera! – zaklął nagle. – Niech mi pani poda latarkę pana Waldemara. Jest silniejsza.

Kiedy dziewczyna spełniła prośbę, gapił się jeszcze przez chwilę w mrok, a w końcu kopnął ze złością śnieg i odwrócił się do przyjaciół.

– No to chuj bombki strzelił! – Po raz pierwszy usłyszeli, jak używa niecenzuralnych wyrazów. – Ktoś tu jednak był przed nami.

Magda wyrwała policjantowi halogenowy szperacz i zajęła jego stanowisko obserwacyjne. Nieopodal przeciwległego brzegu bajora w białej gładkiej powłoce ziała czarna dziura. Miała jakieś półtora metra średnicy i była na tyle głęboka, że śnieg nie zdążył jej jeszcze przysypać. Obok piętrzyła się ledwo muśnięta bielą góra wykopanego błota.

– To bez sensu – mruknęła dziewczyna. – Staw ma ze dwadzieścia metrów długości, a ten ktoś wykopał tylko jedną dziurę.

– Bo nie musiał niczego szukać – wzruszył ramionami Piotr. – Pewnie dowiedział się od Romanowskiego, gdzie należy wbić łopatę. Przecież pan Henryk nie byłby pewien istnienia skarbu tylko na podstawie własnych spekulacji. Zlokalizował go dokładnie przy pomocy sondy albo wykrywacza metalu i pewnie

nawet już wykopał część artefaktów. A potem zagrzebał z powrotem w tym samym miejscu.

– Ale dlaczego? – zdziwiła się dziewczyna.

– Ponieważ nie pragnął zostać bogatym szabrownikiem, tylko słynnym odkrywcą – wyjaśnił dawny uczeń Romanowskiego. – Zapewne chciał dokonać odkrycia przy świadkach, popisując się przy tym swoją przenikliwością i dogłębną znajomością historii. Wtedy nikt nie przywłaszczyłby sobie jego zasług. Dlatego tak precyzyjnie wyznaczył datę.

– Więc nie wszystko stracone. – Na zaczerwienionej od mrozu twarzy projektantki odmalował się grymas głębokiego namysłu. – Skoro wyznaczył datę, to znaczy, że tych niby przypadkowych świadków również umówił zawczasu. Przecież nie mógł liczyć, że w grudniową niedzielę spotka tu ludzi, którzy zechcą cierpliwie przypatrywać się poczynaniom jakiegoś marudzącego o Jaćwingach dziadka. A gdyby trafił na złodziei? Na pewno dogadał się z grupką znajomych i wśród nich należy szukać osoby, która tak precyzyjnie знаła położenie skarbu. Może nawet więcej niż jednej, choć nie sądzę, żeby wszyscy zdawali sobie sprawę z mistyfikacji. Ci, którzy nie mieli o niczym pojęcia, chętnie przyznają się do zaplanowanej na dziś wycieczki i może wskażą pozostałych członków fanklubu pana Henryka.

– I co dalej? – Piotr zdawał się nie nadążać za jej tokiem rozumowania.

– To pan jest policjantem – wzruszyła ramionami. – Chyba lepiej mieć małą grupkę podejrzanych, niż szukać na oślep. Na początek wystarczy wykluczyć tych bardziej cherlawych. Trzeba mieć krzepę, żeby wykopać taką dziurę.

Podczas gdy rozważali różne sposoby wytopienia odpornego na mróz złoczyńcy, Waldemar kuśtykał, myszkując pomiędzy krzakami. Okrążył w ten sposób sadzawkę i zbliżył się do nich z drugiej strony.

– Myślałem, że znajdę jakiś trop – westchnął – ale nic nie widać.

– Niczego więcej nie zobaczymy, bo wiatr od razu zaciera ślady. – Policjant pokręcił głową. – Wracajmy.

W tym momencie gdzieś niedaleko huknął wystrzał. Broń musiała wypalić naprawdę blisko, ponieważ ryk wichru przedzierającego się przez korony porastających Górę Zamkową drzew skutecznie stłumiłby każdy, nawet najgłośniejszy, dźwięk dochodzący z oddali.

– Myśliwi? – zdziwił się redaktor. – W taką pogodę?

– Nie – zaprzeczył aspirant, który mając pewne obycie ze strzelnicą, lepiej orientował się w odgłosach wydawanych przez różne rodzaje amunicji. – To broń krótka, mały kaliber.

„Pach, pach” ponownie rozległo się w zamieci.

– Jakby dalej. – Mrocz nasłuchiwał.

– Raczej wyżej. – Magda trzymała ręce przy uszach, formując kaptur w rodzaj anteny parabolicznej. – Wchodzi na górę – powiedziała, analizując poczynania niewidocznego strzelca.

– Strzela do nas?! – wystraszył się Waldemar.

– Niemożliwe – uspokoił redaktora Piotr. – Nikt nie wypatrzyłby nas nawet z noktowizorem. Zresztą teraz jest gdzieś między drzewami. Cel musi mieć w zasięgu kilku metrów. Na co on poluje?

– A może to raczej coś poluje na niego? – zasugerował Mrocz.

– Wracajcie do samochodu – zakomenderował policjant. Miał dosyć nieustannych fantazji Waldemara i chciał wyjaśnić potencjalnie niebezpieczną sytuację bez narażania cywilów. – Sprawdźę, co się dzieje, i za chwilę do was dołączę.

Lokatorzy domu nad jeziorem nawet nie drgnęli. Ich buntownicze miny wyrażały kompletny brak szacunku dla władzy. Piotr sięgnął do kabury i wyciągnął służbowy pistolet, który przezornie zabrał z posterunku, kiedy rano odstawił wypucowany radiowóz. Jeżeli sądził, że widok służbowej broni doda mu autorytetu w oczach niepokornej dwójki, to srodze się zawiódł.

– O, tym razem ma pan prawdziwą spluwę! – rozpromienił się Waldemar.

– Ale klawo! – pisnęła Magda, podskakując z uciechy.

Piotr z politowaniem pokiwał głową, odwrócił się i pobrnął przez zaspę w kierunku Góry Zamkowej.

– Do samochodu! – wrzasnął jeszcze, znikając w zamieci.

Tumany wirującego śniegu stłumiły niebawem blask jego latarki. Magda i Waldemar kręcili się w miejscu, przytupując.

– I co robimy? – zapytała dziewczyna.

– Nie możemy go zostawić samego – stwierdził zdecydowanie Mrocz. Po czym nieco się zawahał: – Z drugiej strony głupotą byłoby się pchać pod kule. W tej ćmie nawet pan Piotr mógłby nas przez pomyłkę postrzelić. Nie mówiąc już o jakimś pomyleńcu, który bawi się w kowboja.

Jakby na potwierdzenie jego słów znowu gdzieś ponad ich głowami rozległ się stłumiony wystrzał.

– Nawet gdybym chciał, nie wlaźłbym na górę. – Redaktor nerwowo przygryzł wąsa. – Strasznie boli mnie noga.

– Wróćmy na drugą stronę wzniesienia – zaproponowała Magda. – Znajdziemy się bliżej samochodu, ale nie oddalimy zbyt od pana Piotra. Jeżeli zejdzie ze szczytu, to i tak będzie kierował się w tamtą stronę.

Mrocz kiwnął głową, podniósł porzuconą przez właściciela łopatę i podpierając się nią jak laską, pokuśtykał u boku Żaboklickiej. Ścieżka, którą się posuwali, wcinała się w stok wzgórza. Po ich lewej stronie piętrzyły się pozostałości wałów jaćwieskiego grodu, po prawej naturalna pochyłość opadała stromo jeszcze o kilka metrów. Wszędzie tłoczyły się czarne pnie pozbawionych listowia drzew. Na ich nagich konarach wicher wygrywał ponurą melodię złożoną z poświstywań i jęków. W gęstwinie jak widma chwiały się okryte bielą okiści świerki. Śnieg na zboczach piętrzył się w fantastyczne kształty w miejscach, gdzie z ziemi sterczały granitowe głazy. W blasku latarek groteskowe formacje wyglądały jak leśne gnomy, ukradkiem obserwujące wędrowców. Sceneria nie napawała otuchą, więc niemal zamarli, gdy dodatkowy element spotęgował grozę.

Byli mniej więcej w połowie drogi, kiedy usłyszeli warczenie. Przystanęli niepewni, czy stworzenie wydające głuchy odgłos biegnie ich tropem, czy też czai się gdzieś na dalszym odcinku szlaku.

– Już to przerabiałem – wymamrotał pobladłymi wargami Waldemar – i nie chcę powtórki.

– Myśli pan, że to ten stwór ze stodoły? – Magda poczuła, że pomimo mrozu robi się jej gorąco.

– Nie wiem. Warczy podobnie. Chociaż, w gruncie rzeczy, każde warczenie zwiastuje coś niedobrego.

– Może wejdziemy na drzewo? – zaproponowała dziewczyna, rozglądając się rozpaczliwie na boki.

– A da pani radę? – zapytał z przekąsem redaktor. – Bo ja nie.

Magda otaksowała wzrokiem oblodzone, gładkie pnie i w duchu przyznała mu rację. Nie wspiełaby się na żaden z nich nawet wyposażona w raki. Przesunęła się więc na skraj drogi i postanowiła, że w razie ataku zjedzie na tyłku po pochyłości. Powinno się udać, jeżeli nie trafi na żaden ukryty pod śniegiem ostaniec, który połamie jej nogi. Potem może tylko liczyć, że wilkołaki nie gustują w tego typu zimowych igraszkach. Właśnie miała podzielić się z redaktorem nowym planem, kiedy warczenie powtórzyło się, znacznie głośniejsze i wyraźniej przed nimi. Tracili czas, a należało się od razu wycofać.

– Nadchodzi! – krzyknął Waldemar i uniósł nad głowę łopatę. Jakby zapomniał, że poprzednim razem nie pomógł mu nawet wielkokalibrowy obrzyn.

Wydarzenia, które rozegrały się później, utrwaliły się w pamięci Żaboklickiej jako szereg klatek mocno niedoświetlonego filmu. Latarka dziewczyny ledwie rozpraszała mrok, zaś Mrocz, pochwywszy oburącz ogrodnicze narzędzie, upuścił swój halogenowy reflektor. Szperacz utkwiał w zaspie i rzucał poziomy snop światła jakieś dziesięć centymetrów nad ziemią. W strudze blasku mignęły połyskliwe pazury otoczone rojem śnieżnych iskier. Ponad nimi unosiła się czarna masa, która z furią runęła na drobnego badacza tajemnic. Nieustraszony redaktor na oślep

zamachnął się łopata. Naturalnie nie trafił napastnika, ale jego chybiony cios przyniósł nieoczekiwany skutek. Gdy stylisko ze świstem przecinało powietrze atakujący stwór wydał przeraźliwy skowyt i skulony uskoczył w bok. Wpadł na Magdę, zbijając ją z nóg, i pognał dalej drogą, skomląc rozpaczliwie. Zniknął w ciemności równie nagle, jak się pojawił.

Odepchnięta projektantka zjechała po zboczu, choć w sposób znacznie mniej kontrolowany, niż pierwotnie zamierzała. Na plecach, głową naprzód i z nogami w górze. Na szczęście kopny śnieg okazał się niezbyt nośny, więc poszusowała najwyżej dwa metry i utknęła w tej niewygodnej pozycji. Rozpaczliwie próbowała się wygrzebać, ale dłuższą chwilę tylko przebierała w powietrzu kończynami, jak przewrócony na grzbiet żółw. Jednak nagle biodra przeważły i wykonała fikołka do tyłu. Opadła na kolana i pomasowała obolały kark. Teraz mogła na czworakach wdrapać się po zboczu.

Kiedy jej oczy znalazły się na poziomie drogi, zobaczyła plecy Mrocza, który oddalał się, podążając tropem napastnika.

– Panie Waldemarze!

Usłyszał jej sceniczny szept i natychmiast zawrócił.

– Tu pani jest! – Pochylił się, wyciągając rękę. – Dzięki Bogu! Myślałem, że panią porwał.

– Tylko otarł się o mnie i zepchnął do rowu – odparła, nadal ścisząc głos.

– Otarł? W takim razie proszę się nie ruszać. Może coś tu zostało.

Zaczął delikatnie strzepywać śnieg z jej spodni, przyświecając sobie z bliska szperaczem.

– Co pan wyprawia?

– Szukam próbek sierści – odparł dociekliwy badacz.

– Zgłupiał pan? – Magda jak zwykle nie wykazała zrozumienia dla jego odkrywczej pasji. – Zmywajmy się stąd, i to szybko.

Pognała drogą, byle dalej od przyczajonej w ciemnościach grozy. Mrocz nie tylko nie zatrzymywał jej, ale chwilami nawet ją wyprzedzał, pomimo bolącej nogi.

Przystanęli dopiero na rozwidleniu szlaku z drugiej strony góry.

– Nie goni nas? – zapytała zziębnięta dziewczyna. Właśnie zorientowała się, że zgubiła latarkę.

– Może być pięć metrów za nami, a i tak go nie zobaczymy w zamieci. – Mrocz wzruszył ramionami, po czym dodał bez związku: – Już mi cieplej, tylko Kasia strasznie się trzęsie.

Magda poczuła, że i ona cała drży. Raczej z zimna niż ze strachu. Adrenalina opadła, a ona miała pod kurtką i kapturem pełno topniejącego śniegu.

Nagle Waldemar palnął się w czoło i aż zwinął się z bólu, bo trafił w potężną śliwę, która wyrosła mu w miejscu, gdzie oberwał kolbą howdaha.

– Że też wcześniej o tym nie pomyślałem – syknął. – Przecież możemy zobaczyć więcej, niż z pozoru widać.

Sięgnął za pazuchę, stoczył krótką potyczkę z ukrytym w kieszeni futerkowym symbiontem i wyciągnął swój wzbogacony o moduł termowizyjny telefon. Ściągnął zębami rękawiczkę, uruchomił odpowiedni tryb i skierował obiektyw na przebytą drogę.

– Jeżeli sprzęt działa poprawnie, to nic za nami nie lezie – oświadczył. Odwrócił się w kierunku Góry Zamkowej i uniósł aparat. – Nie wiem, jaki zasięg ma kamera w śnieżycy, ale może zdołam dostrzec pana Piotra.

W miarę jak lustrował stok, jego twarz, oświetlona sinym blaskiem padającym z ekranu, stopniowo zmieniała wyraz, aż zastygła w grymasie grozy. Magdą, która obserwowała z boku reakcję Waldemara, owa pantomima wstrząsnęła silniej niż niedawny atak potwora. Tym bardziej że ona sama nic nie widziała.

– Coś jest nie tak? – spytała, czując, że zaschło jej w gardle. Podchody zupełnie przestały się jej podobać.

Waldemar przesunął smartfon tak, żeby i ona mogła popatrzeć na ekran. Przechyliła głowę nad jego ramieniem. Przez chwilę sądziła, że urządzenie się popsuło. Otoczenie było tak zimne, że kamera pokazywała tylko granatowe plamy, przecięte gdzieś smugami zgaszonych fioletów. Nagle na moment błysnął

żywo żółto-czerwony punkt. Potem, niemal równocześnie, zobaczyła drugi i trzeci. Punkty znikwały i pojawiały się w różnych miejscach, nie była w stanie ich dokładnie policzyć. Zrozumiała, że to jakieś stałocieplne istoty poruszają się wśród drzew z nieprawdopodobną szybkością. Ludzie nie zdołaliby tak śmigać nocą w kopnym śniegu. W dodatku wszystkie przemieszczały się zakosami w górę, gdzie na krawędzi oznaczającej niebo czerni tkwiła jedyna nieruchoma kropka.

Waldemar, jakby odgadując jej myśli, przesunął palcami po ekranie, powiększając obraz. To mógł być człowiek, choć kontury rozmazały się w zielonkawej poświacie, pozostawiając szerokie pole do wszelkiego typu domysłów. Naraz w centrum żółto-zielonej zjawy wykwitła biała plamka. Stłumione „paf” dotarło do nich poprzez świst wichury ułamek sekundy później.

– O mój Boże, pan Piotr... – wyszeptała Magda.

– Niekoniecznie – przerwał jej Waldemar i przesunął obiektyw w lewo, przywracając jednocześnie obrazowi właściwą skalę.

Po zachodnim stoku góry sunął mozolnie migotliwy kształt. Jego trasę zasłaniał gęsty las, więc tylko od czasu do czasu rozjarzał się słabo, za każdym razem bliżej polującej watahy i strzelca.

– Przecież on nie wie, w co się pakuje. Musimy go jakoś ostrzec – jęknęła dziewczyna.

– Przykro mi. Możemy tylko patrzeć i się modlić – odparł Mrocz.

9

Piotr naprawdę sądził, że zaraz dołączy do swoich towarzyszy. Przeanalizował sytuację i doszedł do wniosku, że jacyś gówniarze postanowili wypróbować nielegalnie zdobytą broń w bezludnej okolicy. Pewnie liczyli, że ciemności i pogoda już dawno wypłoszyły wszelkich potencjalnych świadków. Miał świeżo w pamięci podobne zdarzenie. Syn jego kolegi z pracy podprowadził ojcu służbową broń i poszedł z kolegami postrzelać. Naturalnie właśnie na Górę Zamkową. Miejsce idealnie nadawało się na tego typu zabawy, ponieważ leżało z daleka od ludzkich siedzib i umożliwiała podgląd na całą okolicę. Intruzów było widać jak na dłoni, więc w porę można było prysnąć. Aspirantowi, który automatycznie założył podobny scenariusz, jakoś nie przyszło do głowy, że w tę zawianą śniegiem noc, aby zachować anonimowość, nie trzeba się przesadnie wysilać. I raczej trudno wyobrazić sobie precyzyjne mierzenie do celu. A komu by się chciało leżać na odległe uroczysko, żeby kilka razy kropnąć na oślep?

Na zarośniętym drzewami zboczu śniegu było znacznie mniej niż na polu, gdzie wiatr nawiewał zasy, więc aspirant szybko wspiał się do podstawy wału. Tutaj robiło się naprawdę stromo.

Nie chciał oberwać zabłąkaną kulą, więc przystanął i ile sił w płucach wrzasnął:
– Policja, rzuć broń!

Taki okrzyk powinien wystraszyć smarkacza. O ile go usłyszy. W żadnym razie policjant nie spodziewał się reakcji, która niebawem nastąpiła. Padł strzał. Zapewne nieprzypadkowy, ponieważ, sądząc po intensywności huk, strzelec znajdował się w zasięgu głosu.

Dzięki policyjnemu wyszkoleniu Piotr zareagował odruchowo. Przykucnął i wyciągnął przed siebie broń i latarkę. To już nie była zabawa. Nie ścigał

niegroźnych małolatów. Choć z drugiej strony uzbrojony małolat zawsze stanowił zagrożenie. Przecież dlatego zawczasu wyciągnął z kabury pistolet.

Dzielnicowy poszukał schronienia za potężnym pniem pobliskiego drzewa i powtórnie zawołał:

– Policja!

Nic. Tym razem nikt nie strzelał, ale też nie wyszedł z podniesionymi rękami. Choć na to ostatnie Piotr jakoś nie liczył. Powolutku, zataczając łuk, policjant zaczął się zbliżać do miejsca, gdzie, jak sądził, odezwała się broń. Kiedy przebył połowę szacowanej drogi, zgasił latarkę. Postanowił, że przejdzie dwadzieścia kroków i dopiero wtedy powtórnie ją włączy. Wprawdzie przypuszczał, że strzelec już dawno się przemieścił, jeżeli jednak czyha w zasadzce, to może uda się go na moment oślepić. Osiem, dziewięć, dziesięć... – liczył w myślach kolejne ostrożne stąpania. Lewą ręką macał ciemność przed sobą, żeby nie rozkwasić nosa o jakieś drzewo.

Właśnie doszedł do czternastu, kiedy nadepnął na coś miękkiego, choć znacznie mniej ustępliwego niż śnieg. Usłyszał cichy pisk i na jego kostce zacisnęły się kolczaste kleszcze. Zapomniał o ostrożności i przesunął wyłącznik latarki. Jego stopa tkwiła w najeżonej zębami paszczy potwornie wielkiego psa.

Piotr rozpaczliwie rzucił się w tył. O dziwo, bez większego trudu wyszarpnął nogę ze straszliwego pyska. Dopiero kiedy od zwierzęcia oddzieliła go migotliwa kurtyna śniegu, przypomniał sobie o pistolecie. Wycelował w mrok, ale spodziewany atak nie nastąpił. Nie usłyszał także odgłosów ucieczki. Dodając sobie otuchy, mocniej ścisnął kolbę i dał krok do przodu. Pies leżał spokojnie w zaspie. Na boku, jakby ucinął sobie drzemkę. Śnieg wokół tułowia z wolna nabierał intensywnie czerwonej barwy. Boki zwierzęcia uniosły się jeszcze w spazmatycznym oddechu, po czym ostatecznie znieruchomiały. Stworzenie nie żyło. Konało, kiedy przypadkiem nadepnął na nie Piotr, dlatego ugryzienie nie pociągnęło za sobą poważniejszych konsekwencji. Bo gdyby czworonóg dysponował pełnią sił, spotkanie mogłoby zakończyć się znacznie gorzej.

Aspirant okrążył wielkie truchło, zdumiony rozmiarami mięśni piętrzących się pod płowym futrem. Zwierzaka chyba od małego szprycowano sterydami. Piotr nie potrafił określić rasy. Miał do czynienia z jakimś przedziwnym mieszańcem, którego pogmatwany zestaw cech genetycznych skutkowało wyjątkowo paskudnym wyglądem. Stwór bez charakteryzacji mógłby zagrać w wysokobudżetowym filmie grozy. Jeżeli na coś podobnego natknął się w stodole Mrocz, należało rozgrzeszyć redaktora z użycia wielkokalibrowego czarnoprochowca. I pomyśleć o nabyciu podobnej armaty, gdyby istniał choć cień prawdopodobieństwa, że po świecie krąży rodzeństwo potwora. W każdym razie stało się jasne, że kryjący się w ciemności uzbrojony osobnik nie strzelał do policjanta, lecz do upiornego psa. Dlaczego jednak nie wzywał pomocy? Ponieważ albo nie usłyszał nawoływań stróża prawa, albo miał coś na sumieniu. Być może coś poważniejszego od posiadania niezarejestrowanej broni.

Dotychczas aspirant nie dostrzegł żadnego powiązania pomiędzy grasującym w zawiei strzelcem a zaginionymi artefaktami. Jego zdaniem złodziej wziął, co nie jego, i już dawno uciekł. Jednak obecność truchła zmieniała sytuację. Atak wrednego psiska mógł pokrzyżować plany złoczyńcy i zatrzymać go w pobliżu miejsca kradzieży. Człowiek w obliczu zagrożenia ma tendencję do szukania schronienia na wyżej położonych terenach. Dlatego opryszek wspiał się na Górę Zamkową.

Piotr oświetlił śnieg na stromiźnie wału i dostrzegł wyraźnie odcisnięte w białym puchu ślady. Nie łap, a trekkingowych butów. Biegły zakosami pod górę. Nie namyślając się, ruszył po świeżym tropie.

Już po kilku krokach zdał sobie sprawę, że nie ma szans na schwytanie strzelca. Gumofilce nie nadawały się do wspinaczki. Nie dość, że podeszwy zjeżdżały po śniegu, to jeszcze stopy dodatkowo ślizgały się wewnątrz zbyt obszernych butów. Szczególnie ta pogryziona zachowywała się jakoś dziwnie. Przykucnął i zdjawszy rękawiczkę sięgnął za cholewkę. Kiedy wyciągnął dłoń, palce miał lepkie od krwi. Widocznie ostre kły przebiły grubą gumę.

– No fajnie, to mamy już dwóch kandydatów na wilkołaka – mruknął do siebie.

Ukąszenie nie wydawało się poważne, zraniona skóra nawet niespecjalnie go bolała, więc zdecydował się kontynuować pościg. Jeżeli zorientuje się w poczynaniach ściganego, to w końcu trafi na coś, co pozwoli go zidentyfikować. To z pewnością był ktoś miejscowy, znany przynajmniej z widzenia.

Na szczęście strzelec też się chyba trochę zmęczył, bo strawersował stok niemal poziomo i dotarł do zachodniego odcinka ścieżki edukacyjnej. Ale nie poszedł w dół, tylko w stronę szczytu. Policjant zaklął i znowu zaczął się wdrapywać. Za chwilę zaklął jeszcze szpetniej, ponieważ nagle rozdzwoniła się jego komórka. Odniósł wrażenie, że radosna melodyjka niesie się echem po całej górze. Aparat miał schowany głęboko w wewnętrznej kieszeni, więc żeby go wyciszyć, musiał schować pistolet do kabury, aby oswobodzić prawą dłoń. Wyłączył przyciskiem dźwięk, ale rzucił okiem na ekran. Telefonowała Magda. Wystraszony, że coś się stało dziewczynie, odebrał połączenie, dziobiąc zmarzniętym nosem w ikonkę. W głośniku słychać było tylko jakieś niewyraźne trzaski. Anomalia magnetyczna ocknęła się z uśpienia.

Niespodziewanie na z pozoru opustoszałym grodzisku zrobiło się całkiem głośno. Na szczycie wzgórza padł kolejny strzał, jego telefon znowu zaczął brzęczeć, a w mroku ktoś krzychał z furją:

– Już nie żyjesz, skurwysynu!

Jednocześnie coś przedarło się z chrzęstem przez krzaki i skoczyło na policjanta.

Piotr nie zdążył nawet zobaczyć napastnika, bo już leżał w zaspie, rozpaczliwie łapiąc oddech po miażdżącym ciosie w mostek. Nie wiedział nawet, czy istota, która przypuściła atak, przemieszcza się na dwóch nogach czy na czterech łapach. Jednak bez względu na ilość kończyn, jaką wykorzystywała do poruszania się w kopnym śniegu, była piekielnie szybka. Zaraz wróciła i runęła na aspiranta, przygniatając mu klatkę piersiową i szarpiąc za szyję.

Telefon od Magdy wcześniej zdradził przeciwnikowi pozycję Piotra, ale teraz okazał się czynnikiem, który ocalił mu skórę. Gdyby trzymał broń w ręku, straciłby

ją przy pierwszym starciu, tak jak upuścił latarkę i smartfon. Ale pistolet tkwił w kaburze, więc po omacku wydobył go i wypalił w ziemię.

Na huk wystrzału napastnik w ułamku sekundy zrejterował. W jednej chwili siedział na swojej ofierze, zaś w następnej dosłownie wyparował. Choć chyba szybkość nie szła u niego w parze ze zdolnością do widzenia w ciemności, ponieważ w pobliżu rozległo się głucho łupnięcie w pień i przeciągły jęk bólu.

Policjant zerwał się na klęczki i rozpaczliwie macał śnieg w poszukiwaniu latarki, która zgasła zaraz po upadku. Bez światła mógł tylko skulić się i modlić o ocalenie, ponieważ zupełnie stracił orientację w przestrzeni. Nagle znowu zadzwoniła jego komórka. Ekran rozjarzył się tylko na moment, ale to mu wystarczyło, by dopaść do telefonu. Dysponując odrobiną sinawego blasku, bez trudu namierzył latarkę.

Nie myślał już o niczym więcej, jak tylko o ucieczce z przeklętej góry. Nie potrafił rozgryźć sytuacji, ale zrozumiał, że podjął się zadania, któremu przy panującej pogodzie nie podołałaby chyba nawet brygada antyterrorystyczna. Samotny funkcjonariusz był bez szans. Na szczęście Piotr wiedział już, gdzie się znajduje – u szczytu zachodniej, niższej części wału. Strzelec zajmował stanowisko na wyższym wschodnim krańcu starodawnych umocnień, ale musiał sobie radzić sam. Tym bardziej że aspirant dotąd nie stwierdził, czy ma do czynienia z ofiarą napaści czy z groźnym przestępcą, który sam sprowokował nocne starcie z jakimiś bliżej niezidentyfikowanymi mocami.

Nowicki ile sił w pokaleczonych nogach przedzierał się przez obsypane śniegiem zarośla. Choć pilnie nasłuchiwał wszelkich dźwięków mogących uprzedzić go o kolejnym ataku, w uszach miał tylko ryk wichru i własny zziębnięty oddech. Góra Zamkowa znowu pograżyła się w złudnym spokoju.

Raptem w śnieżycy zamajaczył jakiś regularny kształt, sugerujący wytwór cywilizacji. Dzielnicowy dotarł do tablicy informacyjnej ustawionej u szczytu schodów prowadzących na wzgórze od strony południowej. Stopnie zniknęły, grubo zawiane białym puchem. Południowego stoku nie porastały drzewa, więc wiatr szalał tutaj, nie natrafiając na żadne przeszkody.

Piotr przystanął na chwilę, walcząc z irracjonalnym poczuciem obowiązku, które nie pozwalało mu tak po prostu poddać się i zrezygnować z interwencji. Zerknął po raz ostatni przez ramię ku arenie niezrozumiałych wydarzeń. Wtedy kątem oka spostrzegł coś, co zmusiło go do gwałtownej reakcji.

W powietrzu szybował czarny cień, gotów runąć zniechęca policjantowi na plecy. Nowicki cudem uniknął ataku, w ułamku sekundy padając na ziemię. Instynkt zadziałał szybciej niż świadoma myśl. Atakujący chybił celu i z łomotem wyrznął w drewnianą tablicę, aż wokoło poleciały drzazgi. Najwyraźniej nie potrafił latać. Skoczył na aspiranta z korony wału, choć trzeba przyznać, że ów sus kwalifikowałby go do kadry olimpijskiej, naturalnie pod warunkiem, że był człowiekiem. Bowiem Piotrowi z coraz większym trudem udawało się utrzymać w ryzach rozigraną wyobraźnię, która nie znajdując przeciwwagi w racjonalnych wyjaśnieniach, podsuwała mu scenariusze rodem z horroru. Niewiele brakowało, by z całym przekonaniem zaakceptował teorię Mrocza o zmasowanej inwazji demonicznych bestii.

Skoczek, który pokoziołkował gdzieś w mrok, strzaskał podpierające tablicę słupki. Prostokątny kawał solidnej sklejki wylądował tuż obok Piotra płaską stroną do dołu. Nowicki w nagłym przebłysku geniuszu zauważył, że przykręcone z drugiej strony fragmenty słupków mogą posłużyć za solidny uchwyt dla rąk. Zanim pomyślał, już leżał na zaimprovizowanych sankach i na złamanie karku szusował w dół stoku, byle dalej od hulających po Górze Zamkowej istot.

Zjazd „na śledzia” wzdłuż spadku stromych terenowych schodów zaliczał się do kategorii desperackich wyczynów potencjalnie skutkujących śmiercią lub kalectwem. Tym bardziej że aspirant niewiele widział, choć ścisnął w zębach zapaloną latarkę. W dodatku pleksiglasowa płyta, która niegdyś zabezpieczała edukacyjne treści, a obecnie spełniała rolę płozy, okazała się nad wyraz nośna. Ślizgała się po białym puchu, niemal nie natrafiając na opór. Jediną pocięchę stanowił fakt, że toporne gumofilce nieźle sprawdzały się w roli steru, choć niekoniecznie hamulców.

U podstawy wału znowu gęsto rosły drzewa. Jediną przesiekę w ich masywie stanowił końcowy odcinek ścieżki edukacyjnej. Wąski i kamienisty, ponadto nadal stromy jak cholera. Piotra uratowała znakomita znajomość terenu. Wędrował szlakiem dziesiątki razy, więc udało mu się w wyobraźni zwizualizować otoczenie i jakimś cudem skierować niezwykle pojazd we właściwe miejsce. Kiedy dykta załomotała o ukryte pod śniegiem głązy, odzyskał nadzieję, że uda mu się ujść cało z karkołomnej przejażdżki.

Magda klęła szpetnie niczym rasowy budowlaniec, potrząsając jednocześnie telefonem, jakby brutalne traktowanie aparatu mogło sprawić, że nagle pojawi się sygnał sieci. Starła się ostrzec Nowickiego, pomimo słusznych obiekcji Waldemara, który przewidział, że dzwonek ujawni obecność policjanta. Redaktor obserwował na ekranie położenie świetlnych punktów. Już po pierwszej nieudanej próbie kontaktu zachowanie watahy uległo zmianie. Ale przerażona dziewczyna raz po raz wybierała numer Piotra.

– Coś pędzi w naszą stronę! – ostrzegł raptem towarzyszkę Mrocza, wciąż wpatrzony w obraz z kamery. – Gna, jakby staczało się z góry.

– Uciekamy? – Żaboklicka poderwała się do biegu.

– Za późno – jęknął redaktor, podając jej telefon i szperacz. Wyćwiczonym ruchem uniósł łopatę. – Niech mi pani przyświeci, to tym razem trafię skurczybyka.

Na ścieżce wiodącej na Górę Zamkową pojawił się podługowaty ciemny kształt, który zdawał się spełzać po stromiźnie. Dziwny, gadzi sposób poruszania się nie przeszkadzał stworowi rozwinąć zawrotnej szybkości. Spod jego cielska strzelały w powietrze odkosy śniegu, niczym piana spiętrzona przed dziobem okrętu. Co gorsza, z pyska poczwary bił jasny blask, jakby ziała ogniem.

– Boziu! – pisnęła Magda i zacisnęła powieki.

Lecz trwający u jej boku niezłomny badacz tajemnej strony bytu bez cienia trwogi zadał morderczy cios ogrodniczym narzędziem. I znowu nie trafił, bo mu się trzymane w mokrych rękawiczkach stylisko omsknęło. Jednak niewiele brakowało, a odpowiadałby za bestialski mord na uprawiającym sporty zimowe policjancie.

Nowicki, bowiem to on wychynął z mroku na swoich edukacyjnych saniach, ściał redaktora z nóg i wytraciwszy w ten sposób pęd, zatrzymał się u stóp Magdy.

Nieświadomy, że o włos uniknął dekapitacji, wypłuł latarkę, którą nieomal przegryzł na pół, podskakując na wertepach, i wrzasnął:

– A wy jeszcze nie w samochodzie?!

Poderwał się z ziemi, wyszarpnął z kabury pistolet i z trwogą popatrzył na górę.

– Pryskajmy, dopóki nas nie gonią! – zakomenderował. – Biegnijcie przodem, ja będę osłaniał tyły.

Uradowanych jego widokiem lokatorów domu nad jeziorem nie trzeba było zachęcać do pośpiechu. Nawet noga Waldemara w cudowny sposób odzyskała sprawność. Potykając się w zaspach, gnali brzegiem Kluczyska. Piotr trzymał się kilka kroków za nimi, wciąż zerkając za plecy.

– Co tam było?! – wysapała Magda, kiedy poczuła bijący z obory odór zwiastujący bliskość miejsca, w którym zostawili samochód. Zaczynała wierzyć, że wyjdą z przygody cało.

– Cholera wie! – odkrzyknął nie mniej zziajany Nowicki. – Ale proponuję stąd szybko odjechać.

Zatrzymał się i obserwował przebytą drogę, dając przyjaciołom czas na bezpieczne dotarcie do pojazdu.

Magda i Waldemar mijali już budynek gospodarczy, kiedy oślepił ich blask ksenonowych reflektorów. Zaskoczeni przystanęli, trąc oczy. Tymczasem auto z rykiem silnika zawróciło i zarzucając tyłem, pomknęło w mrok.

– Ukradli mi samochód? – spytał Waldemar, który nadal nie widział nic prócz błękitnych powidoków.

– Czemu stoicie? Wsiadajcie! – zawołał Piotr, wybiegając na drogę. – Już myślałem, że zwialiście beze mnie.

Na szczęście lexus stał tam, gdzie go zostawili, choć znowu wydawał się raczej biały niż czerwony. Drzwi od strony pasażera blokowała pokaźna zaspą.

– Kto odjechał tym drugim samochodem? – zastanawiała się Magda.

– Raczej uciekł – poprawił ją Waldemar, sadowiąc się za kierownicą.

Odpalił silnik i wyszarpnął pojazd ze śnieżnej uwięzi.

– Wskakujcie, może ich dogonię – zawołał, otwierając drzwi.

– Czemu chce pan ich gonić? – zapytał Piotr, gdy Mrocz ruszył po świeżo odcisniętych śladach opon.

– Bo mają coś na sumieniu. Widział pan, jak pryskali na nasz widok.

– Pewnie ukradli skarb! – stwierdziła dziewczyna, która wciąż nie mogła odżałować marzeń o klejnotach i złotej biżuterii.

– Niemożliwe! – Aspirant próbował uspokoić towarzyszy. Sam miał już serdecznie dosyć wszelkich pościgów i podchodów. Szczerze mówiąc, był wykończony. – Przecież natknęlibyśmy się na złodzieja, gdyby wracał szlakiem znad sadzawki. Poza tym parkując, nie widzieliśmy tu żadnego samochodu. Przyjechał później. Pewnie ktoś zabłądził w śnieżycy.

Waldemar cisnął gaz, driftując z gracją po zaśnieżonej drodze.

– Przecież mówił pan, że nie umie prowadzić – jęknął policjant, kiedy na prostej przyspieszenie wgniotło go w fotel.

– Mówiłem, że nie lubię prowadzić, a nie, że nie potrafię – warknął Mrocz. – To dwa zupełnie różne pojęcia. Znam wielu ludzi, których ambitni rodzice nauczyli pięknie grać na pianinie, a tymczasem oni, mimo zdolności i nabytych umiejętności, do dziś brzydzą się brzdąkaniem w klawisze. I ja się im wcale nie dziwię. Prowadzę od czterdziestu lat, mam do tego dryg, a robi mi się niedobrze za każdym razem, kiedy siadam za kierownicą.

Znowu dodał gazu, aż koła zabuksowały na śliskim podłożu. Opad chyba tracił na intensywności, ponieważ w oddali rozbłysły wyraźnie światła stopu ściganego pojazdu. Po chwili lexus również musiał przyhamować. Dotarli do asfaltowej szosy. Tutaj trop się urwał. Nawierzchnię niedawno oczyściły pług.

– W prawo czy w lewo? – zapytał ponagląco Waldemar. Widzieli tylko niewielki fragment krętej drogi – zupełnie pusty. Nic nie sugerowało, w którą stronę skręciło umykające auto.

– Niech pan da spokój – jęknął Piotr. – Wystarczy przygód jak na jeden wieczór. Nawet jeżeli dogonimy kogoś na publicznej drodze, to nie udowodnimy,

że kręcił się wcześniej pod Górą Zamkową. A ja muszę jak najszybciej skontaktować się z komendą. Na wzgórzu trwa przecież strzelanina. Powinni interweniować. Niech pan podjedzie pod kościół w Jeleniewie. Na parkingu zawsze można złapać sygnał.

– Nie trzeba nigdzie jechać – odezwała się z tylnego siedzenia Magda. Wprawdzie pościg bardzo jej się podobał, ale zgadzała się z argumentami policjanta. – Zasięg wrócił. Przynajmniej ja mam cztery kreski.

– Faktycznie. – Nowicki ze zmarszczonym czołem spoglądał na swój telefon. Westchnął ciężko. – Cóż, dzwonię. Niech mi już zmyją głowę.

– A to niby czemu? – zdziwił się redaktor, którego instynkt gończy zdawał się nieco stygnąć. – Przecież usiłował pan chronić artefakty, a potem ścigał uzbrojonych przestępców z narażeniem życia. To nie pana wina, że w pojedynkę nie dało się opanować sytuacji. Przełożeni nie mają prawa wymagać od funkcjonariusza desperackiego heroizmu.

– Nie o to chodzi. Zataiłem dowód i bez upoważnienia prowadziłem prywatne dochodzenie – mruknął aspirant i szczegółowo wyjaśnił znajomym kwestię zawłaszczzonego przypadkowo notesu. Najwyraźniej podświadomie zwlekał ze złożeniem meldunku. – W dodatku nawet nie jestem na służbie. Zresztą, pomijając wymienione okoliczności, nikt nie lubi posłańców przynoszących złe wieści, a ja już drugi raz z rzędu zawiadamiam po nocy o poważnym przestępstwie. Wyjdzie na to, że sam prowokuję niebezpieczne sytuacje. Tak czy siak, oberwę – zakończył.

– Czasem łgarstwo bywa usprawiedliwione – stwierdził sentencjonalnie Waldemar – a nawet konieczne, jeżeli ma się do czynienia z ludźmi pozbawionymi wyobraźni i empatii. Nie ma sensu, żeby pan się podkładał. Proszę wszystko zwalić na mnie. Mi pańscy przełożeni mogą naskoczyć.

– Jak to? – zdziwił się Piotr.

– Racja. – Magda widocznie lepiej nadążała za tokiem rozumowania redaktora. – Niech pan powie, że sami pojechaliśmy nad sadzawkę, a dopiero potem zadzwoniliśmy do pana po pomoc. Kiedy stwierdziliśmy, że ktoś ukradł artefakty.

Albo jak usłyszeliśmy strzały. Chociaż kradzież artefaktów będzie lepsza, bo tłumaczy, dlaczego przyjechał pan sam, poza służbą. Po prostu nie chciał pan zawracać nikomu głowy, ponieważ sprawa wydawała się zbyt błaha. Amatorzy zobaczyli jakąś dziurę w ziemi i biją na alarm.

Nowicki wahał się z aparatem przy uchu. Nigdy dotąd nie zdarzyło mu się kręcić w meldunku. Z drugiej strony nie czuł się niczemu winny, starał się, jak mógł, a w rezultacie czekała go nagana.

– A co z notesem? – zgłosił ostatnie zastrzeżenie. – Skąd niby wiedzieliście o skarbie?

– Tu nie uda się pana całkiem wybielić. – Magda zmarszczyła brwi. – Faktycznie nieco bezmyślnie zabrał pan notatnik z domu Romanowskiego. Kiedy przyjechał pan wczoraj w nocy, widziałam go w pana rękach. Nawet wołał pan od progu, że musi jak najszybciej oddać kolegom dowód. Ale potem była cała ta akcja z wilkołakiem w stodole i w zamieszaniu pan Waldemar gwizdnął notes.

– Ja? – zapytał podejrzliwie Waldemar.

– Pana i tak będą podejrzewać o wszystko, co najgorsze, więc czemu nie? – Projektantka wzruszyła ramionami. – Nikt nie uwierzy, że to ja go schowałam. Bo niby po co? Zresztą notes mógł tylko wypaść panu Piotrowi z kieszeni, a pan go znalazł, ale zamiast zwrócić, rozwiązał zagadkę skarbu. Taki przymus wewnętrzny badacza tajemnic. Zaś pan Piotr w nawale zdarzeń miał prawo zapomnieć o takim drobiazgu, skoro stracił przedmiot z oczu. Będzie się solennie kajać i każdy zrozumie, że padł ofiarą perfidnego redaktora. Szkoda tylko, że zamiast błysnąć zdolnością dedukcji, wyjdzie na niezbyt bystrego naiwniaka.

– Czyli opinia komendanta o mojej osobie jedynie się ugruntuje. – Piotr, któremu pomysł zaczął się podobać, zaśmiał się gorzko.

Lekko manipulując faktami, mógł uniknąć kłopotów i zachować swój wizerunek mało lotnego, lecz obowiązkowego funkcjonariusza. Bez trudu przyszło mu przekonanie samego siebie, że i tak nikt nie doceniłby przenikliwości, z jaką

rozszyfrował notatki emeryta. A gdyby tak jeszcze, nie daj Boże, wzbudził w kimś zawiść?

– Niestety, opinia o mnie również nie ulegnie zmianie – mruknął Waldemar, postukując nerwowo palcami w kierownicę. – Chyba mnie nie zamkną, co?

– Jakby co, załatwię panu najlepszą celę – powiedział poważnie Nowicki, wybierając numer komendy.

Złożył meldunek, trzymając się ułożonej na poczekaniu wersji. Sprawozdanie wzbogacił o informację, że pod Górę Zamkową podrzucił go znajomy, który wracał na noc do Filipowa. Spreparował to dodatkowe kłamstewko z obawy, że najbliższy test sprawnościowy nie potwierdzi u niego kondycji, umożliwiającej przebiegnięcie pięciu kilometrów w szalejącej śnieżycy.

– Ruszą brygadę interwencyjną, a mi kazali zaczekać w domu nad jeziorem – poinformował przyjaciół, kiedy skończył rozmowę. – Chyba chcą, żebym miał was na oku.

– Bardzo dobrze – ucieszyła się Magda. – Dopracujemy szczegóły. Poza tym wszyscy musimy coś zjeść i się rozgrzać.

Kiedy lexus zatrzymał się przed willą Wójtowicza, śnieżycy wydawała ostatnie tchnienie. Nieliczne białe gwiazdki opadały pionowo w lodowatym powietrzu, którego krystalicznego spokoju nie mącił już najlżejszy podmuch wiatru. Zrobiło się przeraźliwie zimno. Temperatura spadała w zastraszającym tempie.

– Rety, dwadzieścia dwa stopnie poniżej zera – jęknęła Żaboklicka, zerkając na umocowany pod okapem ganku termometr.

Najpierw pobiegła do kuchni i nastawiła wodę na herbatę, dopiero później poszła się przebrać z mokrych ciuchów. Kiedy ściągnęła džinsy, z przerażeniem stwierdziła, że jej przemarznęte uda nabrały malinowego koloru. Niewiele brakowało, a nabawiłaby się odmrożeń.

W jadalni Waldemar na zmianę masował obolałą kończynę i chuchał na tchórzofretkę. Stworzonko miało zjezoną sierść i wciąż jeszcze nieco się trzęsło.

– Na przyszłość muszę postarać się o jakąś cieplejszą podszewkę do mojego płaszcza – oświadczył na widok wracającej z sypialni Magdy – bo mi się Kasia rozchoruje. Czy ta niesympatyczna pielęgniarka dała pani jakieś środki przeciwbólowe na moją nogę?

– Niestety, tylko antybiotyki, ale coś powinno się znaleźć w apteczce.

– A został w niej jeszcze jakiś bandaż? – Z korytarza wkroczył w skarpetkach Piotr. Jego prawa stopa zostawiała na posadzce czerwone ślady.

Jednocześnie w kuchni zaczął gwizdać czajnik.

Przez kwadrans Magda miotała się, wydając leki, opatrując rany i w międzyczasie parząc mocną herbatę, zaś rozwaleni na kanapie mężczyźni dzielili się spokojnie relacjami z przeżytych przygód. Kiedy w końcu przycupnęła na krześle z parującym kubkiem w dłoni, stwierdziła, że w zasadzie jest jej całkiem ciepło. Nawet trochę się spociła.

Na chwilę zapadła cisza, podczas gdy wszyscy w milczeniu z lubością popijali gorący napój. Tylko Kasia głośno chęptała z ustawionego na podłodze spodeczka.

– Chyba nic jej nie będzie – stwierdził z ulgą Mrocz, kiedy zadarła ogonek, żeby zrobić kleksa. – A pana, panie Piotrze, pocieszę, że zastrzyki nie są już takie bolesne, natomiast poprawiać się panu zacznie już jutro wieczorem. Tylko golenie będzie panu teraz zabierać znacznie więcej czasu.

– Proszę mi już mówić po imieniu – uśmiechnął się aspirant.

– A ja, jakby co, jestem Waldek – odwzajemnił uśmiech redaktor.

– A ja mam wam dalej mówić na pan? – zapytała Magda. – To jakiś taki wilkołaczy *savoir-vivre*?

– No co też pani... – zawstydził się Piotr.

– Dobra, poczekajcie chwilę. – Dziewczyna wybiegła z jadalni, by niebawem powrócić z pozbawioną banderoli butelką i trzema literatkami.

– Pracownicy chyba myślą, że ja nie wiem, gdzie bunkrują gorzałę – oświadczyła, z wprawą nalewając równe porcje ukraińskiej percowki, choć mężczyźni próbowali protestować, że to do nich należy tak odpowiedzialny

obowiązek. – No więc brudzia i na zdrowie! – wzniosła zwięzły toast. – Magda jestem.

– Zazwyczaj nie pijam alkoholu, ale dzisiaj chyba rzeczywiście kieliszeczek wyjdzie mi na zdrowie – zastrzegł Waldemar, wychylając zawartość swojej literatki.

– Mocna rzecz – stwierdził Piotr, gdy jego pucołowate policzki nabrały rumieńców. – Strzelimy jeszcze po jednym? Waldek nie musi, jeżeli nie ma ochoty. – Mrugnął łobuzersko do Magdy.

Ale Waldemar miał ochotę, co więcej, wydobył ze swoich bagaży wielką puszkę mielonki na zagrychę. Humor wszystkim nieco się poprawił. Nawet Kasia, wyczuwając ogólną zmianę nastroju, zaczęła podskakiwać na sztywnych łapkach i skrzecząc, domagała się zabawy, co w jej przypadku oznaczało bezlitosne tarmoszenie ludzkich palców ostrymi ząbkami.

– Szczerze mówiąc, po raz pierwszy w życiu nie rozumiem nic z tego, co się dookoła mnie dzieje – westchnęła raptem Magda. Jej usposobienie po alkoholu zazwyczaj zaczynało gwałtownie oscylować pomiędzy beztroską a melancholią.

– Nie przejmuj się, ja też jestem w kropce – pocieszył ją Piotr, który w stanie lekkiego upojenia zwykł bagatelizować bieżące problemy. – Tylko Waldek ma jasny obraz sytuacji, ale miejmy nadzieję, że jednak się myli.

– Weźcie pod uwagę, że jedynie moje przypuszczenia tłumaczą wszystkie wydarzenia i porządkują je w logiczny ciąg – zamamlał niewyraźnie redaktor. Właśnie ssał kciuk mocno poharatany przez rozigranego zwierzaka. – Musiałeś chyba zauważyć, że mamy do czynienia z wilkokszałnymi stworami, które strzegą jaćwieskich artefaktów. Dzisiaj całą watahą ścigały złodzieja. Dlatego na nas chwilowo nie zwróciły uwagi.

– Ja tam wyraźnie widziałem zdechłego psa – uciął aspirant. – Wielkiego, ale jednak tylko psa. Zresztą zaraz będzie dochodzenie, więc może specjaliści stwierdzą, co to za paskudny mieszaniec.

– Nie liczylibym, że technicy znajdą truchło – mruknął Mrocz. – A jeżeli już, to mogą się zdziwić.

– Ja to tylko nie rozumiem jednego. – Magda jakoś zupełnie nie zwracała uwagi na niekonsekwencję swoich wypowiedzi. Jej najnowsza deklaracja stała w jawnej sprzeczności z poprzednim stwierdzeniem, jakoby nie ogarniała absolutnie niczego z zaistniałej sytuacji. – Dlaczego kustosz muzeum pisał o skarbie wikingów, a my ciągle mówimy o Jaćwingach? Zresztą zupełnie słusznie, bo przecież żyli tutaj Jaćwingowie i to ich gród stał na Górze Zamkowej. Czyżby emerytowanemu historykowi coś się pomieszało?

– Niekoniecznie. – Waldemar pokręcił głową. – Może właśnie dysponował głębszą wiedzą, dającą mu pełniejszy ogląd sytuacji politycznej u zarania drugiego tysiąclecia. Gród na Górze Zamkowej stanowi unikatowy przykład średniowiecznych fortyfikacji. Zastosowano w nim rozwiązania niespotykane w innych bałtyjskich umocnieniach, świadczące o niezwykle zaawansowaniu technicznym. Pamiętasz rozwidlenie ścieżek na skraju Kluczyska, gdzie czekaliśmy na powrót Piotra?

Magda kiwnęła głową.

– Właśnie w tym miejscu morenowe wzniesienie, na którego północnym krańcu wznosił się gród, zostało przekopane. Ten jar, do którego zjeżdżał na zaimprovizowanych sankach Piotrek, jest po części sztucznym tworem. Dawni budowniczowie stworzyli kanał łączący dwa jeziora, których poziom różni się o kilka metrów. Do dzisiaj dnem wąwozu płynie wartki potoczek. Woda z Kluczyska przepływa do Jeziora Szurpilskiego, a w zasadzie do jego rozległej zatoki, zwanej Jeziolem Czarnym. Niegdyś system grobli i jazów zamykał całą zatokę, umożliwiając regulację poziomu wody w pełniącym rolę fosy wykopie. Gród z położoną za fosą osadą łączył jedynie łatwy do zniszczenia most. Całe rozwiązanie nawet współcześnie imponuje rozmachem, wiedzą techniczną i poziomem organizacji. Jednak konstrukcje Bałtów na ogół nie charakteryzują się nowatorstwem technik budowlanych. Bywają raczej tradycyjne, żeby nie rzec: zachowawcze. Stąd część historyków przypuszcza, że przy założeniu grodu doszło

do jakiejś kooperacji z przybyszami z północy, którzy wówczas dysponowali znacznie rozleglejszą wiedzą i znajomością tradycji różnorodnych europejskich i bliskowschodnich kultur. Podobne przypuszczenie w niczym nie umniejsza osiągnięć Jaćwingów. Po prostu korzystali z usług wysokiej klasy specjalistów. Choć mogło się zdarzyć i tak, że w pewnym momencie Skandynawowie uzyskali dominację na okolicznych terenach.

Piotr wbijał w Waldemara wzrok wskazujący na niezwykle zainteresowanie, chłonał każde jego słowo.

– Wikingowie intensywnie infiltrowali wszystkie ościenne plemiona, a także morskie wybrzeża oraz zlewnie wielkich rzek całej Europy i zachodniej Azji. Założyli Ruś Kijowską, Normandię we Francji, Dageland w Brytanii, liczne kolonie w Italii. Niektórzy sądzą, że odegrali znaczącą rolę w powstaniu Polski. Na ziemiach zamieszkałych przez Prusów posiadali liczne faktorie handlowe, pełniące rolę przyczółków militarnych. Na przykład słynne Truso, niedawno zlokalizowane w okolicach Elbląga. Niektóre nadmorskie społeczności stanowiły trwałe konglomeraty elementów skandynawskich, pruskich i niekiedy słowiańskich, więc obecność wikingów w Szurpiłach nie powinna nikogo dziwić. A jakie artefakty, poza równie oczywistymi, jak kamienie runiczne, świadczą niezbicie o pobycie wikingów w danej okolicy? – spytał retorycznie Mrocz, skinieniem głowy dziękując za kolejną szklaneczkę alkoholu, którym aspirant starał się podsyć jego elokwencję. Nieco bezrefleksyjnie wychylił trunek i kontynuował swoje wynurzenia: – Wytwory skandynawskiej techniki w postaci uzbrojenia i biżuterii nie stanowią niezbitego dowodu, chyba że występują w znacznej ilości i nagromadziły się w ciągu trwania kilku pokoleń. W przeciwnym wypadku można sklasyfikować je jako przypadkowe importy, ponieważ Skandynawowie prowadzili handel na wielką skalę. Niepodważalny dowód przedstawiają charakterystyczne pochówki, lecz również w większej liczbie, jako że wikingowie niejednokrotnie znajdowali przypadkowe miejsce wiecznego spoczynku na trasach swych dalekich podróży. Także srebrne skarby zwykle naprowadzają na właściwy trop, gdyż występują najczęściej w miejscach stałego pobytu przybyszów z północy. Co

ciekawe, srebrnych monet, a czasem po prostu kruszcowego złomu, nie zakopywano z myślą o lokacie kapitału, po który można byłoby sięgnąć w ciężkich czasach. Miały pozostać w ziemi, ponieważ traktowano je jako inwestycję w przyszłe życie pozagrobowe lub dar dla przodków. I tu dochodzimy do meritum.

Mrocz odchrząknął, sugerując, że nadchodzi najważniejsza część wywodu. Nawet Kasia usiadła spokojnie przy jego nogach i w skupieniu czekała na dalszy ciąg.

– Oprócz darów składanych przodkom występują również dary dla bóstw. A te składano w miejscach uświęconych, a więc obrosłych jakąś, choćby krótkotrwałą, tradycją. Wikingowie zmuszeni zapuścić w danej okolicy korzenie nie mieli możliwości lub ochoty na pielgrzymowanie do kultowych ośrodków w Skandynawii, dlatego z czasem zakładali je w miejscach swojego pobytu. Takie ukryte w ziemi skarby przedstawiają zbiór przedmiotów znacznie cenniejszych niż garść pokruszonych dirhemów. Najczęściej są to kunsztownie sporządzona ceremonialna broń, ozdobne misy, rzadziej biżuteria. Nie powierzano ich ziemi bezpośrednio, lecz ciskano w wodną toń, kojarzoną z mrocznym uniwersum zamieszkanym przez pozaświatowe moce. Wybierano akwen posiadający jakieś charakterystyczne cechy, które w świadomości ludów północy predestynowały go do bycia siedzibą bóstwa. Taki skarb, odkryty na dnie Jeziora Lednickiego, w pobliżu pozostałości jednego z drewnianych mostów, stanowi argument świadczący o długotrwałym pobycie skandynawskiej załogi na ostrowie, gdzie znajdował się ośrodek polityczny pierwszych Piastów.

– A tutaj wikingowie, którzy zaprojektowali gród, skorzystali z ceremonialnej sadzawki Jaćwingów – domyśliła się Magda.

– Właśnie – potaknął Waldemar. – Chociaż nie wiem, jak Romanowski na to wpadł. Ja stawiałbym raczej na samo jezioro. Na Lednicy wikingowie zrzucali dary z mostów, a tutaj mieli do dyspozycji cały system przepraw i grobli przecinających rozległą i tajemniczą otchłań zamieszkiwaną przez potężne bóstwa. W zamulonym stawie mógł się gnieździć co najwyżej jakiś podrzędny bożek. Ale nie jestem ekspertem.

– Dziwne, że archeolodzy niczego nie znaleźli – wtrącił Piotr. – Od dziesięcioleci prowadzą z przerwami wykopaliska na całym przygodowym terenie, więc chyba zainteresowali się również sadzawką.

Niespodziewanie w holu rozległ się łomot gwałtownie otwieranych drzwi i po chwili do jadalni wtargnęła bez pukania podkomisarz Adrianna Rybińska. Oblepiona śniegiem, z wściekłością malującą się na czerwonej od mrozu twarzy, sprawiała wrażenie zimowej furii wywabionej jakimś mrocznym zaklęciem z głębi szurpilskich borów. Aspirant z trudem oderwał wzrok od przełożonej i z niepokojem zerknął na stół. Odetchnął z ulgą, stwierdzając, że na białej serwecie poniewierają się jedynie talerzyki z resztkami mielonki. Niemal pusta flaszka oraz szklaneczki wyparowały w ciągu kilku sekund, jakie zajęło Rybińskiej przebycie kuchni i krótkiego korytarza. Magda, która w niedbałej pozie opierała się o krzesło, ukradkiem puściła do niego oko.

– Nowicki, udusiłabym cię, gdybyśmy nie mieli już wystarczająco dużo trupów. Zdajesz sobie sprawę, że na Górze Zamkowej zamordowano człowieka? – warknęła Adrianna.

– O Boże, znowu... – jęknął Piotr, bardziej przejęty faktem śmierci, której nie zdołał zapobiec, niż wściekłością pani komisarz.

– Na szczęście nie znowu. – Rybińska nieco złagodniała na widok jego zatroskanej miny. – Zgon Romanowskiego spowodował nieszczęśliwy wypadek.

– Jak to? – Dzielnicowy sądził, że się przesłyszał.

– Technicy ustalili, że Romanowski wyszedł na daszek przybudówki, który znajduje się pod oknem jego sypialni. Zapewne chciał się ukryć przed włamywaczami. Była gołoledź, więc stracił równowagę i zsunął się po oblodzonej połaci jak po zjeżdżalni tak nieszczęśliwie, że nabił się na jeden z prętów ustawionych wokół podwórza. Co nie zmienia faktu, że włamywacze są pośrednio odpowiedzialni za makabryczną śmierć starszego człowieka. Ale teraz nie ma wątpliwości, że doszło do zbrodni. Ignacego Łosia pobito i zastrzelono.

– Łoś? – wyjąkał tylko policjant. Po dłuższej chwili dodał: – Kolejna osoba z notatnika pana Henryka.

– No właśnie. Co z tym notatnikiem? – uniosła się znowu Rybińska. – Dlaczego go dotąd nie mamy?

– To nie była wina pana Piotra, tylko mojej niczym nieusprawiedliwionej ciekawości – zadeklarował bohaterstwo Mrocz.

– Panie Waldemarze – syknęła pani komisarz – dobrze panu radzę, niech się pan lepiej w ogóle nie odzywa. Chyba że o coś pana wyraźnie zapytam.

Piotr bez słowa wyciągnął czarny notes z kieszeni i podał go Rybińskiej.

– Znaleźliście jakieś ślady, które sugerują, co tam zaszło, albo świadków? – zapytał nieśmiało.

– Piotrek, to ty byłeś na górze, kiedy mordowano Łosia. – Komisarz nadal nie potrafiła opanować wzburzenia. – Kiedy my przyjechaliśmy na miejsce, wszystko przykrył już śnieg, a sprawcy zniknęli. Czekam jeszcze na techników. Zresztą zamiast brygady szybkiego reagowania przydzielono mi tylko trzech ludzi, bo reszta odmraża sobie tyłki, odśnieżając drogę i podjazd do willi ministra Zielińskiego. To cud, że trafiliśmy na zwłoki. Teren jest ogromny i gęsto zalesiony. Trzymając się twoich wskazówek, podeszliśmy pod górę od strony sadzawki i tam, gdzie zaczyna się stromizna, leżał w zaspie martwy właściciel pensjonatu. Zastrzelony.

– A pies? – zapytał Piotr i widząc wybałuszone ze zdumienia oczy przełożonej, wyjaśnił: – Ja u podnóża wału widziałem martwego psa. Wielkiego, zastrzelonego psa.

– Piłeś coś?

Aspirant aż się wzdrygnął, na szczęście pytanie Rybińskiej miało raczej retoryczny charakter.

– Pomyliłeś człowieka ze zwierzęciem?

– Człowiek by go tak nie chapnął. – Magda poczuła, że powinna interweniować, więc wskazała na obandażowaną nogę dzielnicowego. – To na

pewno psie zęby, już się trochę na tym znam.

– Pogryzł cię zdechły pies? – Komisarz Adrianna już nawet nie była zła. Po prostu się zdziwiła.

– On jeszcze trochę żył – jęknął Piotr, czując, że wysiłki Waldemara, żeby wziąć wszelkie winy na siebie, na nic się nie dadzą. – A właściwie dopiero zdychał, kiedy na niego nadepnałem...

– Dobra, już nie mać, wszystko to opiszesz w raporcie, tylko postaraj się, żeby swoje wypociny sformułować nieco logiczniej. – Rybińska machnęła ręką. – W każdym razie nie widziałeś Łosia? Ani jego samochodu? Ugrzązł w zaspie kilkadziesiąt metrów od sadzawki.

– Tam nic nie było widać nawet na kilka metrów – wtrąciła Magda, ale szybko zamilkła pod karcącym spojrzeniem policjantki. Zrozumiała, że zakaz dotyczący Mrocza został rozciągnięty również na jej osobę.

– Nie przyszło mi do głowy, żeby sprawdzić dalszy odcinek drogi – przyznał aspirant.

Droga, którą na fragmencie przekształcono w szlak turystyczny, w okolicach sadzawki łączyła się z inną gruntówką. Nią również można było dotrzeć do Góry Zamkowej, z tym że od strony przeciwnego krańca jeziora. Co więcej, ów trakt prowadził wprost do pensjonatu świętej pamięci Ignacego Łosia.

– Dobra, jeszcze tylko jedno. Strzelałeś dzisiaj? – Wzrok policjantki spoczął na kaburze przewieszzonej wraz z pasem przez oparcie krzesła.

– Raz. Oddałem strzał ostrzegawczy – przyznał z rezygnacją Piotr.

– Mam nadzieję, że to się potwierdzi. Łoś oberwał dwa razy w klatkę piersiową. Ale i tak muszę skonfiskować twoją broń do badania. – Adrianna wyciągnęła rękę.

– Piotrek nikogo nie zastrzelił – uniosła się Magda. – Nikogo nie skrzywdził. Sam cudem uszedł z życiem.

– Ja go o nic nie oskarżam, ale takie są procedury – westchnęła Rybińska, odbierając pistolet od aspiranta. – Przecież wiem, że to przyzwoity chłopak. Jednak

przez wasze towarzystwo niedługo skończy na bezrobociu albo i gorzej. Dobrze wam radzę, nie pakujcie go więcej w kłopoty, bo będziecie mieli do czynienia z całą komendą. Pana Waldemara w zasadzie już mogłabym przymknąć za kradzież dowodów. Nie wstyd panu, że oszukał pan jedyne go policjanta, który gotów był bez zastrzeżeń pospieszyć panu z pomocą?

– Wstyd. – Waldemar ze skrucną pokiwał głową. – To było niewybaczalne, ale zupełnie nie mogłem się powstrzymać, kiedy zobaczyłem notes na podłodze. Niechże pani zrozumie, ta żądza wyjaśniania tajemnic jest jak straszliwy nałóg.

Dla osoby postronnej jego wyznanie brzmiało całkiem szczerze.

– Dobra, dosyć tych bzdur na dzisiaj – ucięła Rybińska. – Muszę wracać na miejsce zdarzenia, pewnie zaraz przyjadą technicy i patolog. Jutro rano macie się stawić na komendzie w Suwałkach celem złożenia zeznań.

– Mam jechać z panią, pani komisarz? – zapytał Piotr.

Adrianna rzuciła okiem na jego zabandażowaną nogę i podrapaną szyję.

– Nie trzeba, ale też masz być jutro punkt ósma w Suwałkach z gotowym szczegółowym raportem. I dobrze się zastanów, czy na pewno widziałeś tego psa.

Z tymi słowami na ustach zimowa furia zniknęła równie nagle, jak się pojawiła.

Magda sięgnęła do walizki Mrocza i wydobyła z jej czeluści pustą flaszkę.

– Chyba trochę się wylało na twoją bieliznę – mruknęła.

– To niedobrze, bo ta wódka jest jakaś zółta. – Waldemar nie wyglądał na bardzo zmartwionego. – Ale przecież nikt mi w spodnie nie będzie zaglądał. Chyba że mnie jutro poddadzą rewizji osobistej, w ramach represji za sprowadzanie Piotrka na złą drogę.

– Odwieszysz mnie do domu? – poprosił redaktora Piotr. – Muszę się zabrać za pisanie raportu. Jak ja to wszystko poukładam do kupy? I jeszcze muszę zgrabnie nałgać. Cała noc mi na tym zejdzie.

– Nie ma sensu jeździć w kółko. – Żaboklicka miała inne plany. – I tak musimy wszyscy rano udać się do Suwałk. A ja jeszcze dodatkowo powinnam kupić klej w hurtowni. Tolek pewno przyjdzie jak zwykle koło siódmej, więc zabierzemy się

dwoma samochodami. Jeżeli sprawa się przeciągnie, zostawię Kołodzie kluczyki do mojego auta i wrócę z Waldemarem. Tutaj Piotrek ma gdzie spać, a mundur mu odprasuję, żeby schludnie wyglądał na dywaniku. Jeżeli zaraz zabierzemy się do roboty, we trójkę migiem napiszemy taki raport, że mucha nie siada. Mam drukarkę, więc wszystko wykonamy profesjonalnie.

– A jak ja się na komendzie w gumofilcach pokażę? – Aspirant zgłosił uzasadnione zastrzeżenie.

– Buty zabierzemy po drodze. Przecież i tak będziemy przejeżdżać przez Jeleniewo.

Dwie godziny później, około pierwszej w nocy, gotowy raport leżał na stole w jadalni. Gruby plik gęsto zadrukowanych stron przypominał maszynopis obszernego opowiadania. Okazało się, że Waldemar nie tylko błyskawicznie pisze na klawiaturze, ale ma jeszcze niezwykły talent do formułowania okrągłych, mądrze brzmiących zdań, które w gruncie rzeczy nic nie znaczą. Każde z osobna. Natomiast ich suma w przemyślnie nienachalny sposób kreowała Nowickiego na współczesnego supermena. Każdy czytelnik musiał odnieść wrażenie, że ma do czynienia z opisem zachowań jednostki wybitnej, obdarzonej niezwykle sprawnością, odwagą i przepełnionej altruizmem, chociaż w tekście nie znalazłoby się nawet jednego zdania, które odnosiłoby się bezpośrednio do przymiotów autora raportu.

– Czy myśmy aby trochę nie przesadzili? – zapytał Piotr i szeroko ziewnął.

– Nic a nic – zaprzeczyła Magda i zwróciła się do redaktora: – Masz świetny styl, Waldku. Nie wiem, jak ci się udało spłodzić takie arcydzieło po całej tej gorzale, którą wypiliśmy. Mnie strasznie przymuliło.

– Niestety, mój talent literacki wybucha po alkoholu – mruknął Mroc. – I dlatego w zasadzie w ogóle nie piję. To straszna pułapka. Wypijesz kieliszek i piszesz jak szatan. Za jakiś czas wypijasz dwa, potem więcej, jednak idzie ci jakoś gorzej. A w końcu niczego już nie jesteś w stanie napisać i zaczynasz się staczać. Dlatego proponuję odespać tę wódę. Nie mamy zbyt wiele czasu.

Sugestia była słuszna i niebawem w domu nad jeziorem pogasły światła. Kasia jak zwykle spała z Waldemarem w jadalni. Piotr zajął świeżo posłany przez Żaboklicką tapczan w salonie zamienionym w zbiorową sypialnię dla robotników.

Magda długo przewracała się w łóżku, przepełniona dziwnym poczuciem, że jej przytulny pokój jest jakiś pusty i niepotrzebnie położony tak daleko od parteru. W końcu, nasłuchując, czy w korytarzu nie zabrzmiały ostrożne kroki zbliżającego się mężczyzny, i ona zasnęła.

Mroźna, cicha noc objęła w posiadanie okolicę, choć jej spokój dla wielu miał okazać się złudny. Raz obudzone zło krążyło po okolicy, zamierzając maksymalnie wykorzystać spowijające ośnieżoną ziemię ciemności.

Pomimo późnej pory profesor Zbigniew Peradzyński czuwał, rozmyślając, jak powinien się zachować w zaistniałej sytuacji. Wsłuchany w regularny oddech żony podciągnął pod brodę puchową kołdrę i po raz setny przewrócił się na z boku na bok. Wprawdzie wykupił pobyt w pensjonacie Dolina Marzeń na dwa tygodnie, ale czy wypadało kontynuować pobyt po nagłej śmierci jego jedyne go właściciela? I kto niby miałby się teraz zajmować gośćmi, skoro wszyscy pracownicy *de facto* znaleźli się na bezrobociu? Dziwna sytuacja. Dwanaście osób spędzało urlop w nagle bezpańskim budynku. Choć kiedy późnym wieczorem zjawili się policjanci, przynosząc hiobową wieść o zgonie Ignacego Łosia, chyba jedynie profesora naszły podobne refleksje. Pozostali wczasowicze naturalnie przeżyli wstrząs, ale najwyraźniej niezbyt głęboki, skoro rozeszli się do pokoi jak gdyby nigdy nic, planując sposoby na skorzystanie z nagle zawitałej zimowej aury. A właśnie głównie owa aura powstrzymywała pana Zbigniewa przed natychmiastowym powrotem do Warszawy. Warunki na drogach zapowiadały się koszmarnie. Choć i zainwestowana w pobyt suma, niebagatelna z punktu widzenia nauczyciela akademickiego, stanowiła pewien czynnik, który musiał brać pod uwagę w swoich rozważaniach. W gruncie rzeczy Peradzyński dawno już doszedł do wniosku, że bez konsultacji z małżonką nie zdoła rozstrzygnąć trapiącego go dylematu z pogranicza etyki i ekonomii. Niestety, pani Peradzyńska spała wyjątkowo mocno, nie reagując na wiercenie się i ostentacyjne pokasywanie męża.

Profesor znał niezawodne remedium na bezsenność. Szklanka mleka, koniecznie gorącego. Niestety, po lekarstwo trzeba było udać się do kuchni zlokalizowanej w suterenie dwa piętra niżej. Westchnął i usiadł na łóżku. Wzdrygając się, obmacał bosymi stopami zimną posadzkę w poszukiwaniu kapci. Odnosił nieprzyjemne wrażenie, że tej nocy ogrzewanie w pensjonacie działa

znacznie gorzej niż zazwyczaj. Może palacz miał mniej problemów z podejmowaniem decyzji i bez zbędnych dywagacji porzucił stanowisko pracy, z którym nie wiązała go już żadna umowa. Takim posunięciem dostarczyłby profesorowi koronnego argumentu na korzyść niezwłocznego wyjazdu.

Peradzyński owinał się grubym szlafrokiem i postanowił, że przy okazji wizyty w suterenie rzuci okiem do kotłowni. Ale już na parterze zorientował się, że żywił bezpodstawne podejrzenia. Nocny stróż, pan Antoni, do którego licznych obowiązków należała również obsługa starego węglowego pieca, drzemał pochylony nad ladą recepcji. Nocny marek nie zamierzał budzić portiera. Najciszej jak potrafił, szedł jedną kondygnację niżej i bezszelestnie otworzył drzwi do kuchni. Poza porami przygotowywania posiłków każdy z pensjonariuszy mógł do woli korzystać z kuchennych sprzętów oraz zgromadzonych w spiżarni zapasów. Miało to niewiele wspólnego z wymogami sanepidu, ale Łoś uważał, że najważniejsze jest dobre samopoczucie i wygoda jego gości. Jeżeli ktoś miał ochotę wyżerać o północy kiełbasę z lodówki, to proszę bardzo. Nawet nie trzeba było zmywać po sobie naczyń, wystarczyło wrzucić brudny talerzyk do zlewu.

Peradzyński nie włączył światła. Pod okapem wyciągu paliła się słaba lampka, rozpraszając mrok na tyle, że bez trudu znalazł poręczny rondel. Kontener z mlekiem stał jak zwykle w chłodnym przedsionku, przez który po zewnętrznych schodkach wnoszono dostawy. Ten sam przedsionek prowadził do kotłowni, więc profesor dał upust ciekawości i wsunął głowę do sąsiedniego pomieszczenia. Stary węglowy piec aż huczał od buzujących w jego wnętrzościach płomieni. Ogrzewanie działało poprawnie, lecz widocznie nie mogło poradzić sobie z trzaskającym mrozem na zewnątrz.

Pan Zbigniew, uspokojony, że nie grozi mu zamrożenie, przykucnął, usiłując wymacać w skrzynce butelkę białego nektaru, kiedy tuż przy jego uchu rozległ się jakiś podejrzany chrobot. Rozejrzał się z niepokojem. Delikatny ruch klamki dostrzegł tylko dlatego, że zamek prowadzących na zewnątrz drzwi znajdował się niecałe pół metra od jego oczu. Niepewny, czy w gęstym mroku wzrok nie płata mu figli, przysunął twarz do framugi. Klamka ponownie opadła, a zaraz potem

zasuwka zazgrzytała, wykonując opornie pół obrotu. Albo ktoś skrajnie wyczerpany nie radził sobie z przekręceniem klucza, albo profesor był świadkiem działań włamywacza. Po chwili stało się jasne, że tajemniczemu przybyszowi krzepy bynajmniej nie brakuje. Naparł na drzwi z taką siłą, że metalowe skrzydło wyrzuciło się z jękiem, a z ościeży posypały się okruchy tynku. Jednocześnie dało się słyszeć gorączkowe, jakby zwierzęce ziajanie.

Profesorowi resztki siwych włosów zjeżyły się na czaszce. Potworna siła i nieludzkie dźwięki sugerowały obecność czegoś nienaturalnego. Nie wiadomo dlaczego Peradzyński – choć nie należał do miłośników horrorów – wyobraził sobie martwego właściciela pensjonatu, który przeobrażony w krwiożercze zombi, chyłkiem powraca na swoje ziemskie włości. Zapewne pod wpływem owej wizji, niezwykle sugestywnej ze względu na ponurą atmosferę mrocznej piwnicy, zamiast pognać do recepcji i powiadomić stróża o próbie włamania, ukradkiem wycofał się do kotłowni. Zresztą cały czas w półprzysiadzie, jakby obawiał się, że przyjęcie pionowej postawy ujawni potworowi jego obecność.

Irracjonalne działania rzadko przynoszą pozytywne skutki, ale tym razem zdarzył się niezbyt częsty wyjątek od reguły. Ledwie profesora spowiła gęsta ciemność królująca za progiem pomieszczenia technicznego, atakowane z uporem drzwi rozwarły się z impetem, wpuszczając powiew lodowatego powietrza. Wraz z mroźnym podmuchem do sutereny wtargnęło kilka ciemnych postaci, które z niewiarygodną prędkością pognały w kierunku wiodących na piętro schodów. Ich ruchy w niczym nie przypominały nieskoordynowanych podrygiwań zombi, raczej kojarzyły się ze zwinnością ninja. Jednak w przygarbionych sylwetkach i gwałtowności poczynań przejawiało się coś nieludzkiego. Jakaś pierwotna zwierzęca dzikość. Peradzyński nie zdążył nawet dobrze przyjrzeć się intruzom. Nie potrafiłby powiedzieć, czy poruszali się na dwóch, czy na czterech kończynach. Miał wrażenie, że nieobce były im obydwa sposoby. Oniemiały wpatrywał się w ciemną czeluść klatki schodowej, gdzie zniknęli agresorzy, i gdyby nie przenikliwy chłód napływający przez sforsowane wejście mógłby

przysiąc, że padł ofiarą halucynacji. Ocknął się do działania dopiero, kiedy z recepcji dobiegł stłumiony okrzyk i głuchy łomot walącego się ciała.

Zadrzał z lęku o żonę, która nieświadoma niebezpieczeństwa spała w pokoju na piętrze. Wychodząc, nie myślał o zamknięciu drzwi na klucz. W przypływie desperacji postanowił, że wymknie się na dwór i będzie tak długo walił w okno śnieżkami, aż zdoła obudzić połowicę. Znając jej zdecydowany charakter, wiedział, że kobieta nie omieszkła wychylić się z zamiarem zbesztania żartownisia, a wówczas zdoła ją jakoś ostrzec. Niech się zabarykaduje i dzwoni po pomoc. Mogłaby też rzucić mu kluczyki od auta.

Natychmiast zaczął wprowadzać zamiar w czyn, lecz już na samym początku natrafił na nieprzewidziane trudności. Zewnętrzne schodki prowadzące pół kondygnacji poniżej poziomu terenu przykrywała gruba warstwa śniegu, który wiatr nawiewał do otaczającej zejście betonowej studzienki. Intruzi dodatkowo ubili biały puch, aż utworzył rodzaj stromej pochylni, pod którą nie sposób było wymacać stopni. A Peradzyński miał na nogach rozczłapane papucie. Po kilku nieudanych próbach sforsowania przeszkody doszedł do wniosku, że nigdy nie uda mu się jej pokonać w niepraktycznym obuwiu. Bohatersko zrzucił kaptcie i zaatakował zaspę bosymi stopami. Wkrótce okazało się, że ręce też będą potrzebne, więc piął się na czworakach, ściskając w zębach cuchnące pantofle. Wiedział, że bez nich nie zajdzie daleko – szybko tracił czucie w przemarzniętych kończynach. Jednak gdy już wydawało się, że osiągnął sukces i ostatkiem sił wypełzł z podziemnej pułapki, zrozumiał, że całe jego poświęcenie poszło na marne. Napastnicy pozostawili na zewnątrz strażnika.

W mdłym świetle słabej żarówki, która w teorii miała oświetlać zewnętrzne schodki, widać było tylko czarny zarys zwierzęcej sylwetki. Połyskujące krwistym blaskiem ślepią znajdowały się znacznie wyżej niż głowa wciąż stojącego na czworakach profesora, który struchlał, usłyszawszy gardłowe warczenie. Ale atak nie nastąpił. Mroczny stwór ze zdziwieniem obwąchał niezwykłą istotę. Czworonożną, nieco niezdarną i niosącą w zębach parę starych kaptci. Najwyraźniej poczuł z nią jakąś więź, ponieważ przestał warczeć i z wahaniem zamerdał

ogonem. Niestety Peradzyński nie mógł się zrewanżować podobnym gestem. Za to poczuł przyływ desperackiej energii. Gwałtownie rzucił się do tyłu, zjechał na tyłku po schodach, w dwóch susach dopadł kotłowni i zatrzasnął za sobą ciężkie przeciwpożarowe drzwi. Zorientował się, że drzwi nie mają zasuwki, więc zapalił światło – wszak i tak został zdemaskowany – porwał pozostawioną przez palacza łopatę i zaczął zwałać na próg węgiel ze stosu piętrzącego się pod okienkiem zsypowym. Nim ustało działanie adrenaliny, zdążył usypać wysoką na ponad metr barykadę. Potem, skrajnie wyczerpany, wyciągnął się przy piecu i zrezygnowany czekał na ratunek.

Zuzanna Nowak wypłakiwała sobie oczy. Nie do końca wiedziała, czy rozpacza po stracie ukochanego, czy cierpi, widząc, jak rozwiewa się jej marzenie o zarządzaniu pięknym pensjonatem. Dlaczego Ignacy nie zdecydował się na ślub? Dlaczego tak długo zwlekał? Przecież byli razem tacy szczęśliwi. Lecz on z uporem powtarzał, że papierek nie jest najważniejszy. Może i nie, ale skoro już zdarzyło się nieszczęście, znacznie łatwiej byłoby jej znosić żałobę w roli legalnej wdowy i gospodyni Doliny Marzeń. Teraz nawet nie wiedziała, czy wypada jej zająć się przygotowaniami do pogrzebu. A Łoś chyba nie miał żadnej bliskiej rodziny.

Sięgnęła na toaletkę do niemal pustej paczki chusteczek i spostrzegła w lustrze swoją zapuchniętą twarz. No, teraz to już na pewno zostanę starą panną – pomyślała i łzy znowu ciurkiem popłynęły po bladych policzkach, znacząc je czarnymi strużkami rozmazanego tuszu. Kilka godzin wcześniej, kiedy z hiobową wieścią zadzwonił portier, pan Antoni, właśnie robiła makijaż, szykując się na kolację z Ignacym, który miał przyjechać po nią nieco później niż zazwyczaj, ponieważ wybierał się na jakąś wycieczkę organizowaną dla wczasowiczów przez kustosa Romanowskiego. Nikt nie poinformował jej o śmierci pana Henryka, więc nie miała żadnych podstaw do niepokoju. Niedzielne kolacje stanowiły prywatny rytuał pary. Zwykle jeździli do Suwałk do hotelu Velvet, ale czasem jadali tylko we dwoje przy świecach w pensjonacie. Właśnie tak mieli spędzić ten wieczór. Zuzanna była przekonana, że stół w prywatnym gabinecie gospodarza został już przygotowany, a kucharka przyrządza wykwintny gulasz z jelenia. Uwielbiała te ich intymne posiłki. W suwalskim hotelu czuła się jakoś niezręcznie. A raczej nieprzyzwoicie – jak utrzymanka, choć przecież miała status niemal oficjalnej narzeczonej. Zaś w pensjonacie nikt nie śmiał podważać jej pozycji.

Wspomnienie szczęśliwych chwil sprawiło, że dziewczyna zaczęła głośno chlipać i zawodzić. Wybuchy gorzkiej rozpaczyny nawiedzały ją cyklicznie od chwili, gdy dotarł do niej straszny sens nieco nieskładnej paplaniny Antoniego. Wciąż tkwiła tam, gdzie ugodził ją grom, na niewygodnym krześle przy toalecie, chociaż od dłuższego czasu strasznie chciało jej się siku. Jednak nie miała pewności, czy nogi zdołają ją zanieść do łazienki. Poza tym jakoś nie potrafiła pogodzić się z faktem, że ludzie dotknięci miażdżącym nieszczęściem nadal w prostacki sposób muszą zaspokajać potrzeby fizjologiczne. Wreszcie uświadomiła sobie, że niepodobna zwlekać, i chwiejnie stanęła na wysokich obcasach. W tym momencie zgasło światło.

Dom, który Nowakówna odziedziczyła po rodzicach, położony był na obrzeżach wsi Kazimierówka, graniczącej z gminnym Jeleniewem. Niewielka willa została zbudowana na samym końcu krętej gruntowej drogi odchodzącej od głównej szosy. Budynek od najbliższych zabudowań dzieliło kilkadziesiąt metrów i tyle samo długości miała zasilająca gospodarstwo napowietrzna linia elektryczna. Kabel zawieszono prowizorycznie na zbyt rzadko rozstawionych słupach, nic więc dziwnego, że wszelkie gwałtowniejsze zjawiska atmosferyczne notorycznie powodowały jego uszkodzenie. Naprawa zwykle zajmowała elektrykom kilka godzin, ale w przypadku gdy okolicę nawiedzał poważniejszy kataklizm, odcinając od zasilania większą liczbę gospodarstw, mogła potrwać nawet kilka dni.

Zuzanna przestała chlipać i ordynarnie zaklęła. Ze zdziwieniem spostrzegła, że przeklinanie przynosi jej znacznie większą ulgę niż płacz, więc kontynuowała wiązankę, gdy objając się o meble, na oślep szukała drogi z garderoby do toalety. W końcu dotarła do niewielkiego, przeznaczonego dla gości ustępu obok sieni. Normalnie skorzystałaby ze swojej wymuskaney łazienki na piętrze, ale po ciemku nie chciała wspinać się po schodach. W dodatku ciasna wygodka, za sprawą fantazji architekta, miała w obecnej sytuacji poważny atut w postaci nieproporcjonalnie wielkiego okna. Trudno powiedzieć, co skłoniło projektanta do umieszczenia go w lokalizacji powodującej różne krępujące sytuacje, ale teraz się przydało. Na zewnątrz śnieg roztaczał jasną poświatę, która bez przeszkód wpadała

do wnętrza, a Nowakówna nie miała czasu szukać świec albo latarki. Wciąż głośno rzucała kurwami pod niebo, z mściwą satysfakcją licząc, że ktoś tam ją usłyszy. Zamilkła dopiero, kiedy podciągając rajstopy, przypadkiem wyjrzała na zewnątrz.

Przed domem, na zasłanym białym całunem podjeździe, tkwiła nieruchomo grupa ciemnych postaci. Dziewczyna zamruwała zapuchniętymi od płaczu oczami, sądząc, że wzrok się jej zmacił, ale pokraczne sylwetki nie chciały zniknąć. W skład zwartej gromady wchodziły chyba istoty człękokształtne, jak i nieproporcjonalnie wielkie wilkopodobne zwierzęta, a wszystkie te stworzenia wydawały się porośnięte czarnym, zmierzwionym futrem. Zarysy sztywnej szczeciny wyraźnie odcinały się na lśniącem tle śniegu, ale inne szczegóły pochłaniał mrok. Równie dobrze mogły to być jakieś hybrydy. Zwierzo-ludzie. Zwierzołaki. Wilkołaki! – błysnęło w głowie Zuzanny, która aż nazbyt dobrze znała krążące od lata po okolicy plotki.

W tym momencie, jakby na niesłyszalne hasło, stwory ruszyły. W ułamku sekundy, niczym na przyspieszonym filmie, dopadły ganku, samym impetem forsując niezbyt solidne drzwi, które wyrwane z zawiasów z hukiem grzmotnęły o podłogę. Łomot zagłuszył histeryczny pisk dziewczyny, która pomimo szoku wykazała się odrobiną rozsądku i przekreśliła wąty zameczek blokujący klamkę wygodki. Niebawem do jej uszu dobiegły odgłosy, jakie zazwyczaj towarzyszą totalnej demolce. Brzęk tłuczonego szkła, wyrzucanych na oślep z szuflad sztucców, rumor przewracanych mebli i szelest dartego na strzępy papieru. Ale skrajne, zapierające oddech przerażenie ogarnęło Nowakównę, kiedy raptem hałasy ustały i zapadła mrożąca krew w żyłach cisza. A w owej nagłej ciszy, niczym dźwięk pogrzebowych dzwonów, rytmicznie zabrzmiały ciężkie kroki czegoś, co zbliżało się nieuchronnie, aby zatrzymać się u progu jej schronienia.

Usłyszała gorączkowe, zwierzęce dyszenie. Drzwi zatrzeszczały. Otwierały się na zewnątrz, jak zwykle w pomieszczeniach sanitarnych, ale agresor nie tracił czasu na szarpanie klamki. Wypełniająca drewnianą ramę płycina wystrzeliła do środka, odrzucając kobietę na przeciwległą ścianę. Sedes podciął jej nogi i wyrzuciła potylicą w mur.

Świat wirował, a wszechobecna ciemność nabrała krwistej barwy. Nowakówna nie mogła zogniskować wzroku. Niby w sennym koszmarze bezsilnie obserwowała, jak pochyła się nad nią zwałista, kosmata postać. Błysnęły kły i chrapliwy głos zapytał:

– Gdzie to jest?

Sękata garść chwyciła dziewczynę za bluzkę na piersi i zaczęła potrząsać jej ciałem niczym szmacianą lalką.

– Gdzie to schowaliście? Gadaj, dziwko!

Cienki materiał trzasnął i głowa Zuzanny po raz drugi brutalnie zetknęła się z twardą powierzchnią. Uderzenie o pokrytą kafelkami podłogę zakończyło koszmar. Ofiara straciła przytomność.

W poniedziałkowy poranek Piotr obudził się z potwornym bólem głowy. Chciał jęknąć, ale przekonał się, że suche jak wiór gardło uniemożliwia mu wydawanie wszelkich, nawet nieartykułowanych dźwięków. Choćby nie wiadomo jak się starał, nie zdołałby obwieścić świata: „Mam potwornego kaca, chyba umieram”.

Zwłókł się z łóżka i niepewnie poczłapał do kuchni, gdzie wpadł na rozneglizowanego Mrocza, który łapczywie wysysał wodę wprost z dzióbka czajnika. Aspirant klepnął redaktora w ramię i na migi dał mu do zrozumienia, żeby zostawił nieco zbawczego płynu dla towarzysza niedoli. Waldemar niechętnie oderwał wargi od imbryka. Otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, ale jedynie beknął gromko i zgięty wpół pognął do łazienki.

Policjant porwał czajnik, ale na jego język skapnęła zaledwie pojedyncza, ostatnia kropelka przegotowanej wody, jakby starożytni bogowie, ocknąwszy się z letargu, złośliwie postanowili wytypować dzielnicowego na następcę mitycznego Tantalą. Rad nierad Piotr odkręcił kran i napełnił szklanę mętą cieczą. Do położonej na uboczu willi nie doprowadzono wodociągu. Wójtowicz latami wiercił coraz głębsze studnie, ale nigdy nie udało mu się trafić na warstwę oligoceńską, więc kranówce daleko było do źródłanych zdrojów, choć ponoć jej spożycie bez obróbki cieplnej w niczym nie zagrażało zdrowiu. Nowicki właśnie po raz trzeci duszkiem opróżniał naczynie, kiedy z oddali dobiegło go ostrzegawcze charczenie Mrocza:

– Nie pij za dużo, bo...

Dalszego ciągu nie dosłyszał, ponieważ z hukiem wyrzwał czołem w kuchenny blat. Splątane raptem w bolesny węzeł trzewia zmusiły go do wykonania gwałtownego skłonu. Kilka sekund później przepychał się przy muszli z Waldemarem, którego wątlym ciałkiem również miotały nieopanowane torsje.

– Rety, co to za trucizna była? – wysapał w końcu, bezwładnie opierając się o wykafelkowaną ścianę. Czuł się zdecydowanie gorzej niż tuż po przebudzeniu, ale przynajmniej mógł już mówić.

– O to trzeba by spytać naszej Lukrecji Borgii – mruknął sponiewierany redaktor. – A raczej trzeba było, wczoraj, kiedy nas uczęstowała. Bo teraz to musimy się całkowicie skupić na podtrzymywaniu podstawowych funkcji życiowych.

W korytarzu obok łazienki rozległy się czyjeś podniesione głosy. Ofiary bezakcyzowego alkoholu wychyliły spoza drzwi pozieleniałe twarze, aby zobaczyć swą trucicielkę, hożą i rumianą, pogrążoną w gwałtownym sporze z Anatolem Kołudą.

Magda nie tylko wyglądała świeżo, ale wydawała się całkiem wypoczęta. Ze swadą i elokwencją usiłowała wyperswadować Tolkowi zamiar porzucenia fuchy przy remoncie willi Wójtowicza.

– No nie mogę, pani Magdo, nijak nie mogę robić choćby dnia dłużej – sumitował się robotnik. – Stryj mi zmarł w Olecku. Muszę się zająć pogrzebem i dopatrzeć majątku, bo mi coś tam zostawił staruszek. Dziś przyleciałem, bo żeśmy się już umówili, a ja słowny jestem, ale na wieczór muszę jechać. I tak przez jeden dzień dużo nie zrobię, a we środę już Majek z ekipą wróci.

– No trudno – westchnęła Żaboklicka. – Ale pomoże mi pan jeszcze dzisiaj z tą glazurą?

– Jedźmy zaraz po klej, to oblecę do siedemnastej tę małą łazienkę na piętrze. – Kołuda skinął głową. – Tylko niech mi pani policzy całą dniówkę.

– Jasne, przecież wyjazd do hurtowni to też praca.

Magda odwróciła się od pracownika i ogarnęła zdumionym wzrokiem dwójkę swoich współlokatorów. Ich godny politowania wygląd musiał ją z lekka zszokować.

– O rety, co wam się stało? Grypa?

– Nie grypa. Wóda – warknął Mrocz. – Ta ukraińska berbelucha próbuje nas wywrócić na nice.

– Dlaczego tobie nic nie jest? – zapytał oskarżycielsko Piotr, ukradkiem sprawdzając, czy aby nie ubrudził sobie podkoszulka.

– Zdrowa wątroba? Predyspozycje genetyczne do pracy w budownictwie? – Ze złośliwym uśmiechem dziewczyna podsunęła mu możliwe wyjaśnienia.

– Piliście gorzałę, którą Walek wozi z Ukrainy? – domyślił się Kołuda. – On czasem dolewa do firmowych butelek bimbru z własnego pędzenia. Ta księżycowa dziwnie działa na ludzi. Jeden wypije i nic, a inni trzy dni rzygają jak koty.

– Rany, trzy dni... – jęknął Waldemar.

– Poczekajcie chwileczkę – zawołał Anatol, oddalając się korytarzem. – Tylko nie pijcie wody!

Po chwili wrócił z pordezwiąłym termosem. Zdjął nakrętkę i napełnił ją burym płynem o dosyć przenikliwym zapachu.

– Ziółka mojej babci – wyjaśnił, wręczając naczynie redaktorowi. – Zawsze mi parzy na poniedziałek, nawet jak nigdzie w niedzielę nie zabaluję.

Mrocz podejrzliwie pociągnął nosem, jednak nie widząc lepszej alternatywy, wypił napar duszkiem. Przez chwilę spięty czekał na efekt eksperymentalnej kuracji, ale niebawem odprężył się, a na jego zsiniałe lica wystąpił lekki rumieniec.

– Dzięki Bogu, lepiej – westchnął.

– Ja też – jęknął Piotr. – Ja też chcę...

Dekokt babci Kołudowej okazał się prawdziwym panaceum na toksyczną miksturę rozprowadzaną wśród robotników budowlanych przez tajemniczego Walka. Po niecałym kwadransie męska część lokatorów domu nad jeziorem czuła się na siłach, by stawić czoła suwalskim organom ścigania.

Mrocz podwiózł Piotra do domu, aby aspirant mógł się ogolić, zmienić buty i założyć świeżą koszulę. Na parkingu przed wielkim, beżowo-pomarańczowym gmachem suwalskiej komendy miejskiej zaparkowali kilka minut po ósmej, ale musieli jeszcze czekać na Magdę, która w końcu zostawiła Anatola w hurtowni i przybiegła na piechotę. Dzielnicowy narzekał na spóźnienie, lecz za nic nie chciał wejść do środka bez obstawy nowych znajomych.

Jednak niebawem okazało się, że nikt na nich niecierpliwie nie czeka, a to za sprawą całej kolejki poszkodowanych, którzy składali zeznania w pokoju Korczakowskiego. Kiedy gabinet opuścił znany Piotrowi z widzenia pan Antoni z grubo obandażowaną głową, natychmiast do środka wepchnął się jakiś inny skrajnie roztrzęsiony starszy pan podtrzymywany troskliwie przez nie mniej zdenerwowaną małżonkę.

– To nie do uwierzenia, panie komisarzu, byłem świadkiem jakiegoś horroru...
– zdołali jeszcze usłyszeć lokatorzy domu nad jeziorem, nim za parą zatrzasnęły się dźwiękoszczelne drzwi.

– Rety, co tu się dzieje? – mruknął dzielnicowy. – To chyba jakieś pokłosie zabójstwa Łosia. Ten z rozwaloną głową jest portierem w Dolinie Marzeń, a ci tutaj wyglądali na wczasowiczów. W ciągu całej mojej kariery, pomijając *casus* Wójtowicza, w naszym powiecie mieliśmy do czynienia z jedną sprawą kryminalną z prawdziwego zdarzenia, kiedy ktoś splądrował zbiory Złocickiego, a teraz taki wysyp.

– Co nie powinno dziwić w okolicy opanowanej przez watahę wilkołaków – uświadomił go natychmiast Mrocz. – Ale, ale – dodał po chwili – więc do muzeum pana Andrzeja także było włamanie? Czyżby miał coś jaćwieskiego?

– Skąd – wzruszył ramionami Piotr. – Przecież on nie widzi świata poza drugą wojną światową. Poza tym włamanie miało miejsce dawno, jeszcze w lecie, zresztą ostatecznie uznaliśmy je za chuligański wybryk. Z początku traktowaliśmy sprawę bardzo poważnie, ze względu na tę całą broń. Karabiny, pociski, miny, noże. Wprawdzie pan Andrzej bardziej od zarazy boi się konfiskaty zbiorów, więc dba

o to, żeby wszystko było rozbrojone i niezdatne do użytku, ale i tak co rusz któryś z sąsiadów składa na niego donos i musimy wszystko kontrolować.

– A co w takim razie zginęło? – zainteresowała się Żaboklicka. Raz z nudów odwiedziła przybytek Złocickiego i nie zobaczyła w nim nic, co uznałaby za godne pożądaniami. Zardzewiałe hełmy, pistolety, maski gazowe, trochę pożółkłych papierów i zaśniedziałych medali. Przedmioty te mogły za to silnie oddziaływać na mężczyzn o mentalności przerośniętych chłopców.

– Właściwie nic cennego oprócz ceremonialnego sztyletu SS. – Opinia Nowickiego na temat zbioru militariów w stu procentach pokrywała się z odczuciami Magdy. Świadectwa ogólnoświatowego szaleństwa zupełnie go nie fascynowały. – Według opinii pana Andrzeja złodzieje pozostawili najrzadsze okazy. Po prostu nie wiedzieli, co kraść, więc zapewne nie włamali się dla zysku. Może chcieli się pobawić w wojnę?

– Mnie u Złocickiego najbardziej podobają się różne drobiazgi związane z życiem codziennym żołnierzy – wtrącił redaktor. – Paczki papierosów, racje żywnościowe, pasta do zębów, sztucce i menażki. No i latarki. Ma całą masę różnych latarek i do tego jeszcze stare baterie.

– A z kolei sam pan Andrzej chyba najbardziej ceni dokumenty, fotografie i plakaty. Pamiętam, jak się cieszył, kiedy udało mu się zdobyć wielki transparent z okresu referendum poprzedzającego anszlus Austrii przez III Rzeszę. Dlatego najbardziej wściekał się o jakiś pamiętnik, który zwinęli mu złodzieje. Nawet ten sztylet gotów był odzłować. Dopiero zaczął tłumaczyć dokument, który według jego opinii wydawał się fascynujący. W dodatku było to jego własne znalezisko. Wykopał na Jesionowej Górze szczelnie zamkniętą metalową apteczkę i znalazł w niej zeszyt z zapiskami frontowego lekarza, oficera Wehrmachtu. Wiecie, że na Jesionowej Górze, tu niedaleko, odbyła się jedna z najkrwawszych bitew II wojny światowej?

Ale nim Piotr doczekał się odpowiedzi, drzwi gabinetu otworzyły się i para starszych ludzi opuściła przybytek komisarza.

– Jest tam Nowicki?! – Spoza uchylonych drzwi dobiegł gromki głos Korczakowskiego.

Aspirant westchnął, zebrał się w sobie i dziarskim krokiem wkroczył do pokoju. Po chwili prężył się przed biurkiem zwierzchnika.

– Oto mój pełny raport z wydarzeń ostatniej nocy – powiedział, kładąc na biurku gruby plik gęsto zadrukowanych stron.

Korczakowski niechętnie szturchnął kartki końcem długopisu. Wydawał się bardziej wrogo nastawiony do świata niż zazwyczaj. Ale Piotr zauważył jeszcze coś w jego zachowaniu. Jakąś niepewność nielicującą z władczą zazwyczaj postawą komisarza.

– No i co? – zapytał nieco ogólnikowo oficer, mierząc podkomendnego wzrokiem, w którym zamiast spodziewanej pasji objawił się rodzaj melancholijnej zadumy.

Na szczęście Piotr nie musiał poszukiwać właściwej odpowiedzi, ponieważ do gabinetu wpadła podkomisarz Rybińska. Cienie pod oczami świadczyły, że nie spała za wiele ubiegłej nocy.

– Ta Nowak faktycznie odzyskała przytomność, ale dalej bredzi od rzeczy – wypaliła od progu. – Twierdzi, wyobraź sobie, że napadła ją banda wilkołaków! Straciłam tylko czas na odwiedzin w szpitalu.

Korczakowski ciężkim skinieniem głowy skwitował rewelacje koleżanki, ale nie spuszczał wzroku z Nowickiego.

– Czy i w twoim raporcie znajdę coś o... hmmm... widmowych psach, zmutowanych wilkach albo obdarzonych nadprzyrodzonymi mocami wojownikach ninja?

– Wilków nie widziałem – wyznał Piotr równie szczerze, co naiwnie. – A co do ninja, no, to nie jestem pewien, ale chyba nie. Już raczej jakieś mutanty tam były, ale takie człowiekowate bardziej. Ręce miały...

– Kurwa mać! – zaklął z pasją komisarz. – I wszystko to szczegółowo opisałeś?

– No, jakby, ale tak ogólnie bardziej – plątał się aspirant, do którego zaczęło docierać, że szarża źle reaguje na śledztwo z zakresu zainteresowań archiwum X.

– W dodatku Piotrek twierdzi, że nieboszczyk Łoś zamienił się w psa – jątrzyła Rybińska – albo na odwrót, bo nie do końca zrozumiałam.

– Ja Ignacego Łosia w ogóle nie widziałem – zdenerwował się dzielnicowy. – Tylko psa. I ten pies wcale nie był widmowy, tylko zdechły!

– Ale ten zdechły pies ponoć ugryzł cię w nogę – zauważyła jadowicie pani komisarz. – Andrzej, musisz przyznać, że to raczej niecodzienny przypadek – zwróciła się do kolegi.

– Najchętniej uznałbym, że Nowicki zwariował, a tę Nowak i stróża ktoś za mocno puknął w głowę. Ale mamy jeszcze zeznania trójki pensjonariuszy, którzy widzieli dziwne stwory plądrujące gabinet Łosia. Wprawdzie filowali tylko przez dziurki od klucza, żaden nawet nie wyjrzał ze strachu na korytarz, lecz ten cały Peradzyński twierdzi, że mógłby dotknąć włamywaczy czy co tam wlazło przez kotłownię. Tak samo psa. A przecież to profesor, przytomny człowiek, do cholery! Nie ma najmniejszych powodów, żeby konfabulować!

– A ja to niby mam?! – wrzasnął aspirant. Było mu wszystko jedno, jak na jego wybuch zareagują przełożeni. Miał już dosyć traktowania w kategoriach wsiowego półgłówka. Dosyć bycia piątym kołem u wozu. – Przecież nie twierdzę, że napadły mnie wilkołaki. Zdaję tylko rzetelnie relację z tego, co się zdarzyło. Jeżeli chcemy zrozumieć okoliczności, to nie można przebierać w faktach, bo niektóre się komuś nie podobają. A nawet jeżeli ostatecznie miałyby się okazać, że wilkołaki istnieją, to co? Będziemy patrzeć, jak zżerają ludzi, i mówić: „O, to się na pewno nie dzieje naprawdę, ktoś tu chyba konfabuluje”?!

– A kiedy nas jeszcze pogryzą te zdechłe psy, to... – zaczęła kpiąco Rybińska, ale Korczakowski przerwał jej zdecydowanym tonem.

– Dosyć. Nowicki, ja udam, że nie zauważyłem twojego zachowania, a ty ochłoń, przypomnij sobie, że jesteś funkcjonariuszem, i opowiedz po kolei wszystko, co wiesz. Jeżeli masz jakieś pomysły, nie zachowuj ich dla siebie. Byle

nie o wilkołakach, na litość! A ty, Adrianna, przestań dogryzać chłopakowi i też weź się w garść. Przykro mi, że zarwałaś noc, ale takie jest życie. Chcę wiedzieć dokładnie, co zeznała Zuzanna Nowak, nawet jeżeli, według ciebie, nie trzyma się to kupy. A potem przemaglujemy tę Żaboklicką i Mrocza. I tym razem założymy, że nie zmyślają.

– Dobrze już, dobrze – Adrianna Rybińska ugodowo skinęła głową. – Ale Mrocza przesłuchasz sam, bo mogę przypadkiem użyć broni służbowej. *À propos* broni. Piotrek może jutro odebrać swoją klamkę. Łosia zastrzelono z innego pistoletu. Laboratorium nie przeprowadziło jeszcze szczegółowych badań, ale już wiadomo, że kaliber się nie zgadza. Hotelarz miał pozwolenie i zarejestrowany HK 45, którego nigdzie nie znaleźliśmy, więc pewnie okaże się, że ktoś kropnął go z jego własnej broni.

Determinacja komisarza, zdecydowanego za wszelką cenę dociec prawdy i wydobyć jakiś sens z pozbawionych logiki zeznań, sprawiła, że kiedy lokatorzy domu nad jeziorem wsiadali do lexusa, dawno już minęło południe. Magda i Waldemar faktycznie czuli się, jakby ktoś przepuścił ich przez maglownicę, za to Piotr tryskał entuzjazmem. Wreszcie poczuł się doceniony. Korczakowski nie dość, że zachęcał go do przedstawiania własnych wniosków, to jeszcze wprowadził w nieznanne mu dotychczas aspekty śledztwa. Potraktował Piotra niemalże jak równorzędnego partnera. Dochodzeniowca. I to wszystko nie dzięki mętным wypocinom redaktora zawartym w raporcie, lecz za sprawą zdecydowanej postawy aspiranta i jego profesjonalnego podejścia do wykonywanych obowiązków.

Przynajmniej tak się Nowickiemu wydawało. Nie domyślał się, że komisarz jest po prostu w kropce, więc chwyta się brzytwy. Kolejna nierozwiązana sprawa mogła go pogrążyć. I nikogo nie obchodziło, że również ta sprawa, jak w przypadku śmierci Wójtowicza, może nie mieć żadnego racjonalnego wyjaśnienia.

– Nie muszę dzisiaj jechać na posterunek, Korczakowski usprawiedliwił mnie u Szota. I tak zanimbym dotarł do Rutki, byłoby po służbie. Zresztą chyba szarża woli, żebym miał was na oku, więc może wpadniemy gdzieś na obiad? – zaproponował Piotr.

Mrocz tylko z rezygnacją skinął głową, a Magda westchnęła. Nużące przesłuchanie odebrało im apetyt i bardzo skwasiło humory. Przez cały czas odnosili wrażenie, że policjanci podejrzewają ich o ukrywanie jakichś niezwykle istotnych informacji, które mogłyby przyczynić się do wyjaśnienia zagadkowych zdarzeń. W sumie znacznie bardziej uciążliwe okazało się składanie zeznań, kiedy

śledczy usiłovali brać ich spostrzeżenia za dobrą monetę, niż wówczas, gdy zakładali, że redaktor do spółki z projektantką plotą jakieś koszałki-opałki.

Na szczęście wizyta w małej knajpce U Alika, którą zaproponował Nowicki, okazała się skuteczną kuracją na chwilowe zniechęcenie. Pyszna i oryginalna tatarska kuchnia szybko zatarła przykre wspomnienia związane z wizytą w komendzie miejskiej. Lokal może nie należał do luksusowych, ale różnorodność potraw serwowanych po przystępnych cenach tuszowała braki wystroju.

– Więcej nie dam rady – wymamlał Mrocz, wpychając do ust ostatni kawałek chrupiącego czebureka.

– Chyba pęknę – zawtórowała Żaboklicka, odsuwając talerz z kuskusem.

Natomiast Piotr beknął głośno w niekontrolowany sposób.

– O rany, przepraszam, ale znowu mi się tą wódą odbiło – tłumaczył się zażenowany.

– A wiesz, że i mnie po jedzeniu zaczęła się przypominać? – zaniepokoił się redaktor. – Jest coraz gorzej.

– Wracamy do domu – zdecydowała Magda. – Przejdzie wam po gorącej herbacie.

– A może Tolek ma jeszcze trochę tych babcinych ziółek? – zastanawiał się z nadzieją Waldemar.

Tym razem nadzieja nie okazała się płonna. Anatola już wprawdzie w willi nie zastali, jednak na cierpiące z powodu powracających symptomów zatrucia ofiary bimbrownika czekał w kuchni upragniony prezent. Poobijany termos stał na środku przykrytego ceratą stolika.

Mrocz niecierpliwie potrząsnął naczyniem.

– Dzięki Bogu, prawie pełny!

W drodze powrotnej kilka razy zatrzymywał samochód, pewien, że zaraz będzie musiał zwrócić smakowity posiłek.

– Dziwne – zauważył Piotr, który czuł się całkiem nieźle, jeśli pominąć pewien dosyć obrzydliwy syndrom: regularnie i donośnie bekał, rozsiewając wokół silny

aromat fermentujących drożdży. – Wydawało mi się, że rano wypiliśmy prawie wszystko. Jakieś cudowne samonapełniające się naczynko?

– Pewnie Tolek przywiózł nowy zapas z domu – domyśliła się Magda, która zdążyła przeprowadzić małą inspekcję na piętrze i właśnie wróciła, żeby nastawić wodę na herbatę. – Porządny chłopak. Wiedział z doświadczenia, że się wam jeszcze ta woda przypomni.

– Prawdziwy samarytanin – sapnął Mrocz, szukając w kredensie szklanek. Ale że wszystkie oczekiwały w zlewie na mycie, zdecydował się na literatki.

– Jak on się z tym uwinął? – zastanawiała się Żaboklicka. – Bo jeszcze łazienkę zdążył wykończyć na błysk.

Waldemar napełnił dwie szklaneczki i szybko pochłonął swoją porcję.

– Zdrowie Tolka – zażartował Piotr, idąc w ślady redaktora. Spojrzał podejrzliwie na Magdę: – A ty na pewno nie potrzebujesz nawet łyżeczka?

– Skąd. – Dziewczyna wzruszyła ramionami. – Mnie nawet głowa nie zabolą. Zresztą cholera wie, co ta babcia warzyła dla Tolkowego dziadka. Jeszcze mi wąsy wyrosną.

– Ja już mam wąsy, więc nie będę sobie żałował – stwierdził Mrocz, z zadowoleniem masując żołądek. – Cudowne lekarstwo, chyba muszę zdobyć przepis. Działa na jelita jak balsam. A smakuje dużo lepiej niż rano.

W tym momencie rozległ się brzęk tłuczonego szkła. Zamaskowany bandyta zakradł się chyłkiem na stół i przewrócił termos, tłukąc przy okazji literatki. Upojona skalą demolki Kasia podskakiwała radośnie, tocząc przed sobą blaszany cylinder, z którego bury płyn tryskał na wszystkie strony.

– Pokaleczy łapki! – pisnął redaktor, choć jako właściciel futrzanego łobuza powinien doskonale wiedzieć, że tchórzofretki niemal nigdy nie odnoszą obrażeń podczas swych dzikich ekscesów.

Złapał zwierzaka dosyć niefortunnie w okolicach ogona i próbował zabrać ze stołu, ale Kasia wpiła się pazurkami przednich łapek w ceratę i łapczywie chłeptała rozlany napar.

– A niby nic wczoraj nie piła! – zażartował Piotr.

– Nie ma się z czego śmiać – mruknął Waldemar, kiedy opanowawszy sytuację tulił do piersi wytyłane w fusach stworzonko. – Nie wiadomo, jak zareaguje na te ziółka. Po herbacie tylko sra, a teraz? Strach pomyśleć. W dodatku zmarnowała prawie cały zapas cudownej mikstury. Liczyłem jeszcze na dwie, trzy szklaneczki, żeby stanąć na nogi.

– No i dobrze – wtrąciła Magda. – Przystaniecie się szprycować tym podejrzanym wywarem. Może to jakieś grzybki halucynki? Napijcie się lepiej świeżo parzonej herbaty.

– Wypiję i będę się zbierał – oświadczył Nowicki. – Waldek, odwieziesz mnie?

– Co? Dlaczego? – Dziewczyna tak przyzwyczaiła się do obecności policjanta, że niemal zapomniała, iż dysponuje on własnym lokalem mieszkalnym. – Przecież masz gdzie spać, a Waldek może cię odwieźć prosto do pracy.

– Ale ja muszę jakoś uruchomić swój samochód. – Piotr uznał za wskazane, by wytłumaczyć się z chęci powrotu do domu. – Waldek nie będzie mnie woził całe życie. I tak będę mu jutro zawracał głowę, jeżeli grat nie ruszy.

– A o której zaczynasz służbę? – zaniepokoił się Mrocz, który nie przepadał za rannym wstawaniem.

– Nie bój się. Na posterunek jakoś dotrę. Będę potrzebował pomocy później, żeby ewentualnie pojechać po części zamienne do Suwałk.

Wszyscy w milczeniu dopili herbatę, po czym mężczyźni wyszli.

Magda poczuła rodzaj zawodu przeradzający się w trudną do zdefiniowania irytację. Czyżby wyprowadził ją z równowagi taki drobiazg jak fakt, że Piotr zbyt zdawkowo pomachał jej ręką na pożegnanie? A może niezrozumiała skwapliwość, z jaką aspirant pospieszył reanimować kupę złomu, choć mógł spędzić uroczy wieczór w towarzystwie błyskotliwej projektantki wnętrz? Uznała, że to niemożliwe, bo niby co ją obchodziły poczynania jakiegoś policjanta, ale i tak trochę sobie połomotała garami przy zmywaniu.

Przestała dopiero, kiedy zorientowała się, że wystraszona hałasem Kasia kuli się w kącie. Zawstydzona wzięła zwierzątko na ręce i zaczęła głaskać puszyste futerko. Natychmiast spostrzegła, że coś jest nie tak. Tchórzofretka przelewała się bezwładnie, ale nie przypominało to stanu hedonistycznego rozluźnienia, w jaki popadała pod wpływem pieszczot. Wydawała się półprzytomna. Dziewczyna dotknęła palcem nakrapianego noska. Zazwyczaj lepki i wilgotny organ teraz przypominał pergamin. Zwierzak z pewnością zachorował.

Żaboklicka, wciąż tuląc tchórzofretkę do piersi, pobiegła do pokoju po torebkę. Zostawiła w niej smartfon, a należało jak najszybciej wyszukać w internecie adres całodobowej kliniki weterynaryjnej. Jednak w holu zatrzymał ją głośny łomot dochodzący z podwórza. Spanikowana wyjrzała przez okno. Dawno zapadł już zmrok, ale nie dało się przegapić reflektorów lexusa, który zarył zderzakiem w jedną z kolumn podtrzymujących daszek ganku. Nie wyglądało to na celowy manewr. Jej najgorsze przypuszczenia potwierdziły się, kiedy spostrzegła właściciela pojazdu gramolącego się niezdarnie na czworakach przez uchylone drzwiczki.

– Co się stało, panie Waldemarze?! – krzyknęła, wybiegając na ganek.

– Waldek – wybełkotał redaktor, chwiejnie dźwigając się na nogi. – Przecież jesteśmy na ty.

– Dobrze, Waldku, ale dlaczego wjechałeś na schody?

– Na schody? – Mrocz potoczył wokół nieprzytomnym wzrokiem. – A, rzeczywiście. Dobrze, że to tylko trzy stopnie. Myślałem, że przywaliłem w bramę. Strasznie mi się w głowie kręci.

– Uderzyłeś się w głowę?

– Nie. W nic się nie uderzyłem. – Redaktor zatoczył się i z trudem odzyskał równowagę. – Lekko puknąłem, nawet poduszki nie wystrzeliły. Kiedy przejeżdżałem przez bramę, nagle cały świat zaczął wirować i straciłem kontrolę. Zresztą dalej wszystko jakby wiruje. I co chwila ziemia na mnie skacze.

Magda chwyciła Waldemara pod ramię i ostrożnie poprowadziła do domu. Kiedy w holu chciała otrzepać mu kolana ze śniegu i na chwilę stracił oparcie, natychmiast poleciał na ścianę. Choć Mrocz ważył niewiele więcej od dobrze odżywionego trzynastolatka, dziewczyna ledwie radziła sobie z podtrzymywaniem jego wątego ciała, ponieważ w jednej ręce wciąż ścisnęła bezwładną tchórzofretkę. Kiedy dowlekała badacza tajemnic do łóżka, była u kresu sił. Położyła Kasię na poduszce obok łysawej głowy jej półprzytomnego pana i popędziła zrealizować swój pierwotny zamiar, z tym że teraz przede wszystkim zamierzała zadzwonić po pogotowie. Weterynarz musiał poczekać.

Naturalnie anomalia magnetyczna tylko czekała na podobną okazję, aby zademonstrować swą władzę nad falami radiowymi. Żaboklicka miotła się po domu, na próżno szukając zasięgu. Już miała wybiec na zewnątrz, kiedy na ekranie pokazała się jedna kreska. Przystanęła na środku holu, aby wybrać 112.

– Do kogo dzwonisz?

Na dźwięk głosu Waldemara, który rozległ się tuż za jej plecami, podskoczyła na dobre dziesięć centymetrów.

– O Boże! – Przyłożyła dłoń do serca. – Ale mnie wystraszyłeś. Myślałam, że masz wylew.

– Ja też. Ale teraz czuję się rewelacyjnie. Aż chce mi się skakać.

I aby zademonstrować nagły przypływ formy wybił się obunóż na dobry metr w górę. A potem jeszcze raz i jeszcze, jakby rozsmakował się w dziwnym masajskim tańcu. Najwyraźniej roznosiła go energia. Zresztą nie tylko jego, ponieważ nagle ozdrowiała Kasia wpadła do holu niczym futrzany piorun kulisty i galopowała, zataczając kółka wokół swego rozhasanego pana. Aż Magdzie zaczęło się kręcić w głowie.

– Waldek, nie boli cię już noga? – wrzasnęła niemal, pragnąc przekrzyczeć rytmiczny łomot przytupów.

– Nic mnie nie boli! – odkrzyknął i wbiegł na schody, przeskakując po trzy stopnie naraz.

Tchórzofretka dzielnie starała się dotrzymać mu kroku, lecz oszczędnie zaprojektowane przez Matkę Naturę łapki uniemożliwiały jej podobne wyczyny. Choć trzeba przyznać, że dotarła do połowy trasy, nim zgubiła rytm, wyrznęła pyszczkiem w podstopień i potoczyła się, a raczej spłynęła, w dół, dość udolnie naśladowując ruch zrzuconej ze schodów zabawkowej sprężyny. Jednak nim zetknęła się z kamienną posadzką holu, redaktor zdążył złapać ją na ręce, zjeżdżając w jakiejś nieprawdopodobnej pozycji po poręczy. Jego wykręcony tułów i głowa zwisały z jednej strony pochwytu, pośladki gładko sunęły po wypolerowanym drewnie, zaś uniesione z drugiej strony nogi wykonywały nożycowe ruchy, stabilizując mknące z jednostajnym przyspieszeniem ciało. Gdy wydawało się, że już nic nie uchroni wyszczerzonych w szaleńczym uśmiechu kłów Mrocza przed destrukcyjnym kontaktem z jurajskim wapieniem na posadzce, domorosły akrobata wykonał zapierające dech w piersi salto i wylądował pewnie na ugiętych kolanach. Bez zwłoki wykorzystał nagromadzoną energię potencjalną, prostując gwałtownie kończyny, i rozpoczął nową serię podskoków, teraz urozmaiconą podrzucaniem zwierzątka, któremu ta niebezpieczna zabawa w żonglerkę najwyraźniej bardzo się podobała.

Żaboklicka przez chwilę wytrzeszczała oczy na ów niespodziewany pokaz, stanowiący zwariowaną krzyżówkę cyrku i rodeo, po czym mocno zacisnęła powieki, usiłując wmówić sobie po raz kolejny, że padła ofiarą halucynacji. Nawet kot na haju nie byłby zdolny do podobnych wyczynów, a Waldemar dotychczas sprawiał wrażenie zakompleksionego intelektualisty odnoszącego się z pogardą do wszelkich rodzajów aktywności rozwijającej sprawność i tężyznę fizyczną. Dzikie harce musiały się zakończyć poważnymi obrażeniami.

– Proszę, uspokój się! – Chwyciła redaktora za ramię, lecz natychmiast cofnęła się wystraszona.

Łagodna zazwyczaj twarz Mrocza ściągnęła się w groźnym grymasie, aż spierzchnięte wargi odsłoniły zęby. W piwnych oczach błysnęło szaleństwo. Dziewczyna gotowa była przysiąc, że z jego gardła wydobyło się głuche warczenie. Odruchowo uniosła ręce w obronnym geście.

Nieskrywane przerażenie Magdy sprawiło, że Mrocz, choć z wysiłkiem, zdołał opanować pierwotny odruch, który kazał mu zareagować morderczą agresją na najmniejszą nawet zaczepkę. Na krótko odzyskał jasność myśli, które od chwili wypadku chaotycznie tłukły mu się po głowie. Trzeźwo ocenił własne zachowanie i szybko postawił jedyną, jego zdaniem, prawdopodobną diagnozę.

– Zaczyna się – wyszeptał drżącym głosem. – Dopadła mnie!

– Co cię dopadło? – jęknęła Żaboklicka, w głębi duszy spodziewając się odpowiedzi.

– Likantropia! – wypalił Waldemar. – Ta nadludzka energia, zwierzęce odruchy, otumanienie... Wszystko się zgadza! To straszne, choć jednocześnie na swój sposób wspaniałe! Nawet jeżeli trzeba mnie będzie zastrzelić, przejdę do historii! Szybko, kajdanki i mój notatnik! Będę prowadził zapiski, dopóki długopis nie wypadnie mi z wilczych łap.

Tym razem Magda nie zamierzała perswadować redaktorowi nieracjonalnych zachowań. Poczowała wręcz ulgę, przykuwając jego lewy nadgarstek do kaloryfera. Kajdanki wciąż jeszcze zwisały z aluminiowego grzejnika, który jej zdaniem średnio nadawał się do roli solidnej kotwicy. Jednak nie traciła czasu na szukanie stabilniejszego uchwytu. Pamiętała, że Waldemar nieźle się napocił, nim zdołał w jakiś sprytny sposób przesunąć obręczkę przez wąskie szczeliny w górnej części urządzenia, więc wyciągnięcie jej mogło spowodować zwłokę, na którą absolutnie nie mogła sobie pozwolić. Szokujące zachowanie chuderlawego badacza tajemnic spowodowało, że zaczęła zupełnie poważnie podchodzić do możliwości jego przemiany w mitycznego potwora. Tym bardziej że przez wielkie okna jadalni zaczynało wpadać coraz jaśniejsze światło pnącego się ku zenitowi księżyca.

Niespokojnie wyjrzała przez oszronione szyby. Intensywne lśnienie idealnie okrągłej tarczy sprawiało, że pokryta warstewką lodu tafla jeziora zdawała się jarzyć trupio sinym blaskiem. Lecz cienie na skraju lasu stały się przez to jeszcze mroczniejsze. Przypominały smoliście czarne dziury wiodące w niezbadaną otchłań.

W tej samej chwili srebrzysty krąg odbijał się również w piwnych tęczęwkach Piotra, śledzącego z chorobliwą fascynacją niespieszną wędrówkę satelity. Jednak dziki wyraz przekrwionych oczu nie przypominał łagodnego zazwyczaj spojrzenia aspiranta. Najwyraźniej działo się z nim coś bardzo niedobrego. I choć Nowicki niejasno zdawał sobie sprawę, że jego samopoczucie dalece odbiega od normy, nijak nie potrafił zapanować nad ogarniającą jego zmysły gorączką.

Niecały kwadrans wcześniej wyszedł przed dom przebrany w robocze ciuchy, podłączył do przedłużacza przenośny halogen i zaczął odgarniać śnieg z maski samochodu. Nagle poczuł gwałtowne zawroty głowy. Zatoczył się w miejscu, machając rozpaczliwie rękami, ale nie zdołał utrzymać równowagi i upadł, przewracając lampę. Żarówka z trzaskiem eksplodowała w kontakcie ze śniegiem i zapadła ciemność, zbyt głęboka nawet jak na zimową noc. Chyba stracił na moment przytomność. A kiedy rozchylił powieki, zobaczył lśniący owal wypełzający na ciemnogramatową kopułę nieba i już nie potrafił oderwać od niego wzroku. Jednocześnie zaczęło wzbierać w nim poczucie... No właśnie, czego? Wszchemocy? Nieujarzmionej zwierzęcej siły? Czy może szaleństwa?

– Co jest, do kurwy nędzy? – wymamrotał.

Dźwięk własnego głosu nieco go otrzeźwił, chociaż towarzyszące mu wrażenia akustyczne stały się nowym źródłem niepokoju. Doskonale słyszał wszelkie ulotne echa, jakie chrapliwy szept wzbudził w najdalszych zakamarkach podwórza. Nastawił uszu i niebawem wychwycił ciche szmery wydawane przez buszujące w gospodarczej szopie myszy. A gdzieś na strychu wierciła się niespokojnie kuna.

Nowicki poderwał się na nogi. Dosłownie. Jednym zrywem uniósł ciało do pionu, jakby przestała je krępować grawitacja. Zyskał nadludzką krzepę, ale chyba kosztem resztek rozsądku. W głowie miał kompletny bałagan. Myśli tłoczyły się

jedna przez drugą, lecz żadna z nich nie prowadziła do logicznych wniosków. Wylatywały z nicości jak błyskawice i zaraz gasły, pozostawiając po sobie jeszcze gęstszy mrok.

Piotr czuł, że powinien koniecznie coś zrobić, ale kompletnie nie wiedział, co by to miało być. W dodatku dręczył go nieodparty przymus aktywności fizycznej. Wpadł do domu, pokręcił się chwilę po kuchni, ale nieznośny upał i drażniąca mieszanina przeróżnych woni wygnały go z powrotem na podwórze. Z lubością sapał, wdychając mroźne, wyjałowione z zapachów powietrze. Potem wziął krótki rozbieg i jednym susem przeskoczył ponad dachem samochodu. Zaraz powtórzył manewr, tym razem już bez rozbiegu. A potem skoczył jeszcze raz, dodając salto. Tu trochę przeliczył się z siłami, ponieważ solidnie wyrznął ciemieniem w karoserię. Potencjalnie groźny uraz przyniósł zbawienny skutek. Naraz jego chaotyczne dotąd myśli ułożyły się w logiczny ciąg i zaczęły nadążać za rozszalałym ciałem. W nagłym przebłysku świadomości właściwie zdiagnozował swój stan. Zarazem przejrzał motywy oraz strategię, którą posłużył się nieznany przeciwnik, zastawiając chytrą pułapkę. Choć nadal działał chaotycznie, to jego postępowanie nabrało znamion celowości.

Wrócił do domu i złapał telefon. Kiedy uzyskał połączenie, wyrzucił z siebie gorączkowy potok słów. Potem, tak jak stał, wybiegł na drogę i pognął w noc, wzbijając przy każdym kroku tumany śniegu.

Magda niewiele zrozumiała z telefonu Piotra. Po pierwsze panosząca się w eterze anomalia magnetyczna tłumiła lub zniekształcała większość słów. Po drugie zazwyczaj konkretny aspirant przemawiał strasznie nieskładnie. A po trzecie nie mogła się skupić, ponieważ miała mnóstwo kłopotu ze swoimi lokatorami. Mrocz dawno zapomniał o swoim żelaznym postanowieniu dotyczącym prowadzenia notatek i szarpał się wściekle w kajdankach, gromkim głosem domagając się kluczyków. Na szczęście pozostawał uziemiony. Co innego Kasia. Przemieniona w miniaturowego potwora zajadle i podstępnie atakowała kostki Żaboklickiej, a w jej przekrwionych ślepkach błyszczało szaleństwo dalece przekraczające normatywną dla tchórzofretek dawkę. Dziewczynie właśnie udało się złapać małego prześladowcę, kiedy zadzwieczała komórka. Prowadziła rozmowę, przyciskając głośnik do lewego ucha, a jednocześnie w prawej dłoni usiłowała utrzymać wijący się kłębek sierści, który z determinacją próbował poodgryzać jej palce. W końcu wrzuciła zwierzątko do kuchenki mikrofalowej i zatrzasnęła drzwiczki.

– To wszystko jest... żebyś została sama. Niedługo przyjdą... Zabarykaduj drzwi. Lecę do... – Brzmiały ostatnie słowa Piotra wplecione w elektroniczne szумы.

Próbowała oddzwonić, lecz Nowicki nie odbierał. Oparła się o kuchenny blat, obserwując, jak podskakuje przemieniona w prowizoryczny areszt kuchenka. Najwyraźniej zagrażało jej coś jeszcze poza Kasią i Waldemarem. Wprawdzie „leczę do...” zapewne należało interpretować jako „leczę do ciebie”, ale przecież Piotr nie miał samochodu, a znalezienie jakiegoś środka transportu o tej porze mogło nieco potrwać.

Magda podreptała do holu i sprawdziła frontowe drzwi. Wyjrzała też przez okno na ganek wciąż jasno oświetlony reflektorami zawieszzonego na schodkach lexusa. Nie spostrzegła niczego niepokojącego, ale przecież widziała tylko ganek, zaś w atramentowej ciemności podwórza mogłaby uwijać się cała armia głodnych zombi.

Zawróciła do jadalni, licząc, że alarmująca wiadomość od Piotra zdoła się jakoś przedrzeć przez spowijający Mrocza amok i przywróci mu szczyptę zdrowego rozsądku. Bardzo potrzebowała czyjegoś wsparcia. Niestety, już po minucie zorientowała się, że do redaktora nic nie dociera. Miotał się na kanapie, obrzucając ją inwektywami. Interesowały go jedynie kluczyki od kajdanek, a wołała nawet nie spekulować, jak Waldemar zamierzał wykorzystać ewentualną swobodę. Nawet skuty okazał się niebezpieczny. Z maniacką przebiegłością zdołał zahaczyć obutą w skarpetkę stopą o rączkę poniewierającej się na podłodze torby podróżnej i silnym wykopem posłał bagaż w kierunku głowy projektantki. Dziewczyna uchyliła się w ostatniej chwili, ale i tak oberwała w pierś ciężką puszką, która wysunęła się z pakunku. Schwyciła przedmiot, zanim upadł na podłogę, i już miała wyrzucić nim w łysawy łeb szalonego redaktora, kiedy zorientowała się, że trzyma w dłoni kilogramowe opakowanie prochu strzelniczego.

Wprawdzie według posiadanej przez Magdę wiedzy czarny proch nie powinien eksplodować wskutek uderzenia, jednak zrezygnowała z okładania Mrocza wybuchową substancją. Jednocześnie przyszło jej do głowy, że skoro ktoś zamierza ją skrzywdzić, to korzystając z tradycyjnego środka bojowego, dałoby się zorganizować jakąś skuteczną obronę. Albo chociaż zastraszyć napastnika.

– Gdzie masz pistolet? – spytała ostro Mrocza.

Waldemar popatrzył na nią baranim wzrokiem.

– No, gdzie ta twoja armata? – powtórzyła.

– A gdzie jest klucz od kajdanek, zdiro? – padło w odpowiedzi.

– Strasznie schamiałeś przez to zwilczenie – westchnęła Żaboklicka, kręcąc z ubolewaniem głową.

Niespodziewanie Waldemar jakby nieco oprzytomniał i zaczerwienił się po same uszy. Zasmucona mina Magdy zadziałała skuteczniej niż złość i pokrzykiwanie.

– Przepraszam – wybełkotał – faktycznie nie jestem już sobą. Nigdy w życiu nie obraziłem kobiety. Ani nie skrzywdziłem. Ale czuję, że jeżeli zaraz gdzieś nie pobiegnę, to jakaś moc mnie rozsadzi od środka. To potworne, co się ze mną dzieje.

Moralny upadek ofiary likantropii budził litość, jednak dziewczyna nie traciła czasu na słowa otuchy. Musiała wykorzystać moment poczytalności redaktora. Teatralnie gestykulując, wolno i wyraźnie wycodziła:

– To jest proch. Chcę go wsypać do lufy. Gdzie jest twoja dwururka?

– Aaaa! O to chodzi! Howdah chyba został w stodole. – Waldemara zupełnie nie zainteresowała przyczyna, dla której jego współlokatora postanowiła nagle się uzbroić. Zresztą, wnioskując z dalszego ciągu jego wypowiedzi, chwila względnej jasności umysłu właśnie minęła. – Ale ja już nie potrzebuję broni palnej. Teraz będę miał kły i pazury. Nie będę strzelał, tylko gryzł i szarpał, a potem wył do księżycy. O tak: auuuuu!

Zszargane nerwy Magdy nie wytrzymały przeraźliwego wycia, które wydobyło się ze spierzchniętych ust opętanego badacza tajemnic. Zakrywając rękami uszy, uciekła do kuchni i zatrzasnęła za sobą drzwi. Ale i tutaj nie zaznała spokoju. Podjudzona przykładem swego pana tchórzofretka głośno skrzeczała, łomocząc w drzwi swojego więzienia.

– Ja też zaraz zwariuję – jęknęła z rozpaczą Magda.

Chyba właśnie skrajna desperacja sprawiła, że wbrew zdrowemu rozsądkowi postanowiła pójść do stodoły po pistolet Waldemara. A może po prostu, nie bacząc na konsekwencje, pragnęła znaleźć się jak najdalej od nawiedzonego towarzystwa.

– Pieprzyć to wszystko! – warknęła i zdecydowanym krokiem pomaszerowała do holu. Po drodze zgarnęła z półki latarkę Waldemara. Przekręciła klucz i szarpnięciem otworzyła na oścież drzwi.

– Was też pieprzę! – wygarnęła nocnym widmom, przekraczając próg.

Ale nocne widma jakoś nie dążyły do konfrontacji. Za to siarczasty mróz owszem. Natychmiast wpił się w jej ciało setką ostrych zębów. Reakcją Magdy było kolejne, jeszcze bardziej soczyste przekleństwo, które poszybowało w mrok wraz z towarzyszącym mu kłębem pary.

Dziewczyna wślizgnęła się za kierownicę lexusa i zgasiła światła, których oślepiający blask cały czas działał jej na nerwy. Dopiero teraz włączyła latarkę. Stała na ganku i omiotła jasnym promieniem podwórze. Ani śladu potworów. Przez chwilę wahała się, czy zamknąć za sobą drzwi, ale nie potrafiła się na to zdobyć. Czuła, że jeżeli pancerne skrzydło odetnie ją od wnętrza domu, wnet straci całą zrodzoną z desperacji odwagę.

– Wilkołaki im krzywdy nie robią. Kruk krukowi i tak dalej... – mruknęła, mając na myśli opętanych współlokatorów. – Zresztą nie będzie mnie najwyżej pięć minut.

I mężnie potruchtała w kierunku stodoły.

Dziwny amok, który niespodziewanie ogarnął Mrocza i jego pupilkę, przyprawił Magdę o taką traumę, że spacer przez mroźną ciemność nie wywarł na niej większego wrażenia. Paradoksalnie nawet pomógł jej odzyskać wewnętrzną równowagę. Kiedy dotarła do uchylonych wrót, doszła do siebie na tyle, żeby stwierdzić, że jak idiotka brnie przez kopny śnieg w samych kapciach. Ponadto zadała sobie fundamentalne pytanie, dlaczego dotychczas nie zrealizowała pierwotnego zamiaru i nie zadzwoniła po pogotowie. Albo na policję? I dlaczego Piotr, skoro wykrył jakieś zagrażające mieszkańcom domu nad jeziorem niebezpieczeństwo, nie wysłał im na pomoc swoich kolegów, zamiast kombinować coś na własną rękę? Przecież willa Wójtowicza nie leżała na końcu świata, więc co sprawiało, że wszyscy zachowywali się jak zagubieni w sercu Transylwanii tułacze rodem z kart dziewiętnastowiecznej gotyckiej powieści?

Zdumiona bezmiarem własnej głupoty, siłą inercji przekroczyła próg i niemal potknęła się o porzuconą przez redaktora dwururkę. Wzruszyła gniewnie ramionami i przyłożyła do ucha telefon, wybierając numer alarmowy. Anomalia magnetyczna wydusiła z głośnika żaloszny skowyt, uświadamiając Magdzie, że

w gruncie rzeczy jej sytuacja nie różni się aż tak bardzo od położenia gościa błąkającego się po krużgankach zamku Drakuli. Choć od jasno oświetlonej drogi w Szurpiłach dzielił ją niecały kilometr, projektantka równie dobrze mogłaby znajdować się w niedostępnych karpackich ostępach. Chyba że zdecydowałyby się porzucić szalonego Mroczka na pastwę nocnych zgróź i pognać swoim starym oplem ku zbawczej cywilizacji. Zdusiła tę ponętą myśl w zarodku i skruszona sięgnęła po antyczną spluwę. Cóż, gdy zawodziła technologia dwudziestego pierwszego wieku, zawsze pozostawała strzelba nabita srebrnymi kulami.

Z jednego z boksów pod przeciwległą ścianą stodoły wychynęło coś wielkiego i ostrożnie zaczęło skradać się w kierunku pochylonej dziewczyny. Żaboklicka kątem oka dostrzegła ciemny kształt dopiero, kiedy znalazł się na środku wysypanego jasnymi trocinami klepiska. Odruchowo skierowała nań snop światła latarki i zamarła z przerażenia. Czworonóg, który w dziwacznych podrygach kuśtykał w jej stronę, przypominał psa mniej więcej w równym stopniu, co waran z komodo kameleona. Na nieproporcjonalnie wysokich łapach spoczywało karykaturalnie umięśnione cielsko pokryte zmierzwioną sierścią, której barwy nie dawało się rozpoznać, ponieważ lepiała się od zakrzepłej posoki. I w dodatku ten pysk! Taki sam Magda widziała w oknie willi, tyle że wówczas straszył pustką oczodołów, w których teraz tkwiły przekrwione ślepia, jarzące się złowrogo w zimnym ledowym świetle. Czarne wargi stwora ściągnęły się, odsłaniając pożółkłe kły.

Dziewczyna uniosła ręce w obronnym geście, nieświadoma, że w dłoni wciąż dzierży podniesiony z ziemi pistolet. Nawet nie zdawała sobie sprawy z ciężaru broni, która nienabita i tak nie mogła powstrzymać ataku. Lecz oto stał się cud! Gdy ohydny stwór dostrzegł matowe lśnienie oksydowanych luf, zaskomlał i powłócząc zadnią łapą, czmychnął w mrok.

Magda też czmychnęła. I to w jakim tempie! Zniknęła z progu stodoły jak zdmuchnięta, zostały po niej tylko przemoczone różowe papucie. Gnała przez śnieg na bosaka, a Usain Bolt nieźle by się zasapał, usiłując dotrzymać jej kroku. Inna

sprawa, że nikt nie sprawdził, jak wychowany w karaibskim klimacie sprinter poradziłby sobie w suwalskich zaspach.

Ale Żaboklicka sobie poradziła. Przerwała się przez kopny puch niczym pług wirnikowy z turbodoładowaniem, trójskokiem pokonała ganek, z piskiem mokrych stóp wyhamowała w holu i zatrzasnęła za sobą pancerne drzwi. Omal nie złamała klucza, bo wydawało się jej, że zamek powinien się przekręcać co najmniej o kilka obrotów więcej. A najlepiej sto obrotów. Przydałaby się również żelazna sztaba. Teraz rozumiała, jak wiele racji miał Piotr, polecając jej, by zabarykadowała się w willi. W dodatku powiedział „przyjdą”. Czy to możliwe, żeby świat zasiedlały całe watahy podobnych monstrów? Że Mrocz miał jednak rację?

Na wspomnienie opętanego lokatora obejrzała się nerwowo i szybko podniosła z kamiennej posadzki pistolet, który upuściła wraz z latarką, kiedy mocowała się z zasuwą. Teraz trzymała go za lufę, z przyjemnością przekonując się po raz kolejny, że jest wyjątkowo ciężki i solidnie wykonany. W ostateczności na pewno sprawdziłby się jako broń obuchowa. W dodatku wilkołaki najwyraźniej się go bały.

Na paluszkach przemknęła przez kuchnię, pełna obaw, że podstępny minipotwór uwięziony w mikrofalówce wyczuje jej obecność i głośnym skrzykiem ogłosi alarm. Ale z urządzenia dobiegało tylko monotonne zgrzytanie, sugerujące, że zdesperowana tchórzofretka usiłuje przegryźć się przez blachę. Żaboklicka delikatnie uchyliła drzwi i jednym okiem zerknęła do jadalni. Na szczęście redaktor nie upodobił się jeszcze do stwora ze stodoły. Jeśli pominąć dziki oraz niechlujny wygląd, zachował humanoidalną formę. Choć nie maniery. Właśnie gmerał zębami przy obrączce kajdanek. Widocznie dotknięte szurpilskim szaleństwem istoty zaczynały przeceniać możliwości własnych szczęk.

Magda głośno syknęła. Krew dopłynęła do jej zmrożonych stóp, powodując bolesne mrowienie. W reakcji na cichy dźwięk Mrocz wściekle rzucił się w kierunku jego źródła, nie bacząc, że przy gwałtownym ruchu boleśnie wywichnął sobie skute ramię.

Niedoszła ofiara zamarła. Teraz mogła się przekonać, że Waldemar jednak się zmienia. W groźnym spojrzeniu przymrużonych oczu nie sposób było doszukać się choćby śladu człowieczeństwa. W identyczne ślepia zaglądała zaledwie parę minut wcześniej, w stodole.

O ile dotychczas Magda żywiła niejake wątpliwości, czy zdołałaby przełamać wewnętrzny opór i strzelić do jakiegokolwiek żywej istoty, to teraz przestała się wahać. Instynkt przetrwania okazał się silniejszy od moralnych obiekcji. Czuła, że w obronie życia wygarnęłaby nawet do Waldemara. Podjęła decyzję i zdecydowanie wkroczyła do legowiska bestii, jednocześnie bacznie kontrolując stan kaloryfera, który jakby nieco się przekrzywił w wyniku ataku furii zakotwiczonego przy nim badacza tajemnic. Zgarnęła ze stołu puszkę z prochem, chwyciła torbę Mrocza i tyłem wycofała się z jadalni. Cała scena rozegrała się w niepokojącej ciszy.

W kuchni przetrząsnęła dokładnie bagaż redaktora w poszukiwaniu reszty utensyliów służących do obsługi czarnoprochowca. Znalazła kapiszony, jakieś irchowe szmatki, małe plastikowe próbówki i grajcar, którego właściwej nazwy ani przeznaczenia nawet nie usiłowała się domyślać. Ale ani jednej kuli. Widocznie łyżeczka z zastawy Waldemara była bardzo mała i srebra wystarczyło tylko na dwa pociski. Trzeba było improwizować.

Żaboklicka, może nieco mętnie, ale orientowała się w zasadzie działania ładowanej odprzodowo broni palnej i zdawała sobie sprawę, że cokolwiek wsadzi do lufy, eksplozja ładunku wyrzuci to ze śmiercionośnym impetem. Otworzyła szufladę, w której robotnicy chomikowali różne drobiazgi, zakwalifikowane do kategorii „przydasów”, czyli przedmiotów chwilowo bezużytecznych, mogących przydać się do czegoś w bliżej nieokreślonej przyszłości.

Uważnie grzebała w drobnym złomie. Śrubki i gwoździe jej zdaniem raczej nie nadawały się na siekańce. Tu instynkt jej nie zawiódł, ponieważ zaklinowany ukośnie w lufie gwóźdź mógłby doprowadzić do jej rozsadzenia. Zwróciła natomiast uwagę na małe nakrętki wypełniające pudełko po paście BHP. Były mniej więcej okrągłe i wystarczająco ciężkie, aby imitować śrut. Zachwycona

własną inwencją wyłuskała garść niestandardowej amunicji. Nie domyślała się, że stalowe nakrętki mogły okazać się groźne tyleż dla celu, co i dla pociągającego za spust strzelca, właśnie z racji sprężystości materiału. Stal rykoszetuje w niemożliwy do przewidzenia sposób, tego jednak projektantka nie wiedziała.

Teraz pozostawało nabić pistolet. Ale jakiej ilości prochu należało użyć? Wiedziona intuicją Magda przyjrzała się próbówce i odkryła na jej dnie charakterystyczne czarne granulki. A więc fiolka służyła za miarkę. Pasjonatka rusznikarstwa nad zlewem napełniła lufy prochem, ale kiedy nieco przechyliła broń, ładunek po prostu się z nich wysypał. Przybitka – błysnęło w głowie dziewczyny niemal zapomniane słowo. Zetknęła się z nim prawdopodobnie podczas lektury powieści płaszca i szpady, którymi zaczytywała się w dzieciństwie. Proch trzeba czymś przytrzymać, czyli inaczej przybić. Co też się człowiekowi nie przypomina, kiedy wilkołaki depczą mu po piętach!

Nie namyślając się długo, sięgnęła po torebkę. Tampony o.b. okazały się niemal idealnie pasować do kalibru howdaha. Załadowała nową porcję prochu, wcisnęła na wierzch środki higieny osobistej i mocno, choć ostrożnie, ubiła trzonkiem drewnianej łyżki. Wsypała do obu luf po pół garści zaimprovizowanej amunicji i po chwili wahania dorzuciła po małym srebrnym kolczyku. Nie żeby żałowała tanich ozdób w celtyckie wzorki, które nosiła na co dzień do pracy. Po prostu sama przed sobą nieco wstydziła się przyznać, że zaczyna akceptować szalone teorie, którymi raczył ją Mrocz. Na koniec utwierdziła całość ładunków kolejną parą tamponów. Uważała, że poszło całkiem zgrabnie. Waldemar, gdyby oprzytomniał, mógłby jej wyjaśnić, że akurat ten egzemplarz pistoletu ma gwintowane obie lufy, więc wystrzał ze stalowego śrutu zniszczy je bezpowrotnie, ale zapewne niezbyt by się tym przejęła. Za to może zastanowiłby ją fakt, że należało użyć zawartości tylko jednej fiolki prochu podzielonej na dwie porcje. Cała miarka na lufę stanowiła grubą przesadę.

Założenie kapiszonów nie sprawiło już Magdzie problemów. Widziała, jak robił to Waldemar, a dzięki wrodzonej spostrzegawczości potrafiła powtórzyć podpatrzoną czynność. Następnie, przytomnie celując w gipsową ściankę, odwiodła

do końca oba kurki. Chodziły dość ciężko, więc bała się, że później, w krytycznej sytuacji, nie zdoła ich naciągnąć.

Wzięła kuchenne krzesło i wyniosła je do holu. Ustawiła mebel na środku kamiennej posadzki, po czym usiadła zwrócona twarzą do wejścia. W opuszczonych pomiędzy kolana dłoniach ścisnęła kolbę howdaha. Tłumiąc dygot napiętych mięśni, szykowała się do desperackiej obrony.

Dziewczyna trwała na warcie już ponad dwadzieścia minut. Nic się nie działo, więc zaczęła się powoli uspokajać. Wówczas zdała sobie sprawę, że odczuwa silny dyskomfort w dolnych partiach ciała. Zerknęła w kierunku podłogi i zobaczyła parę stóp o chorobliwie sinym zabarwieniu. Cały czas była na bosaka!

– Kretynka – mruknęła pod nosem i usiłowała wstać, żeby poszukać jakiegoś obuwia, co okazało się niełatwym zadaniem, bo zupełnie straciła czucie w kończynach.

Skupiona na niezdarnej walce z grawitacją w pierwszej chwili w ogóle nie zwróciła uwagi na dźwięk przekręcanego w zamku klucza. Przez cały czas oczekiwała jakiegoś brutalnego szturmu, więc ledwie słyszalny, dobrze znany z codziennej domowej praktyki odgłos z trudem utorował sobie drogę do jej świadomości. Zanim w pełni dotarła do niej cała groza sytuacji, drzwi były już na wpół otwarte, a w rozwierającym się na zewnętrzną czerń prześwicie majaczył zarys jakiejś kosmatej istoty. Gdyby Magda miała choć kilka sekund na zastanowienie, zapewne sparaliżowałyby ją paniczny strach, ale ona niemal odruchowo zrealizowała zamierzony scenariusz. Uniosła broń i pociągnęła za spust. A raczej spusty, ponieważ podobnie jak wcześniej Waldemar, niechcący wypaliła jednocześnie z obu luf. Jednak zanim kurki opadły na kominki, inicjując eksplozję ładunków, intruz wykazał się nadludzkim refleksem, z niewiarygodną szybkością uskakując w mrok.

Huk był potworny. Czarnoprochowiec wypluł długie na metr jęzory ognia, a kłęby siwego dymu spowiły wysoki hol aż po sufit. Chmara zaimprovizowanych śrucin uderzyła w uchylone pod kątem skrzydło drzwi, zdarła cienką warstwę dębowego forniru, skrzesała iskry na ukrytej pod spodem metalowej płycie i z piekielnym wizgiem zrykoszetowała w bok, niemal nic nie tracąc z pierwotnego

impetu. Śmiercionośny rój stalowych nakrętek jedynie bardziej się rozproszył, omiatając połowę ganku i spory fragment podwórza. W dodatku część pocisków odbiła się powtórnie od obłej karoserii lexusa, śmigając w zupełnie nieprzewidywalnych kierunkach. Chyba żaden z przyczajonych obok wejścia napastników nie uniknął trafienia. Tupotowi umykających stóp towarzyszyły głośne przekleństwa, skowyty i jęki.

Magda nie miała okazji zarejestrować skutków wystrzału. Eksplozja wprawdzie nie rozerwała dwururki, ale wywołała tak potężny odrzut, że dziewczyna fiknęła razem z krzesłem do tyłu i grzotnęła potylicą o podłogę. Leżała oszołomiona, wpatrując się w zamglone światło żyrandola. Jej pierwsza przytomna myśl nie napawała otuchą. Doszła bowiem do wniosku, że albo uszkodziła sobie wzrok, albo ma halucynacje. Widziała skłębione pod sufitem chmury, z których prószył śnieg. Jeden z płatków opadł jej na wargi i kiedy próbowała go zlizać poczuła na języku szorstkie tworzywo. Z ulgą domyśliła się, że to rozszarpane na strzępy resztki innowacyjnej przybitki wirują w prochowym dymie.

A więc z oczami wszystko w porządku. Właśnie zaczęła odzyskiwać również słuch, kiedy przez jękliwe szumy przedarł się do jej uszu jakiś gromki łomot dochodzący z głębi domu. Niechybnie intruzi sforsowali któreś z antywłamaniowych okien, gdyż coś z hałasem przedzierało się przez kuchnię, przy okazji demolując pomieszczenie. Żaboklicka słyszała coraz lepiej, więc bez trudu zidentyfikowała brzęk, z jakim wyzionęła ducha zrzucana na podłogę kuchenka mikrofalowa. Poskrzekiwanie uwolnionej tchórzofretki dołączyło do chrapliwego posapywania niezidentyfikowanego wandalą. Należało czym prędzej uciekać, ale Magda tylko zamajtała nogami w powietrzu. Wcale nie jest tak łatwo zerwać się do biegu, kiedy człowiek leży na wznak na przewróconym krześle. Zdecydowana stanąć twarzą w twarz z niebezpieczeństwem odchyliła obolałą głowę do tyłu i w odwróconej perspektywie zobaczyła... Waldemara Mrocza.

Zdziczały redaktor zerwał się z uwięzi. Choć nie całkowicie. Nadal był przykuty do kaloryfera, lecz chlustający mętną cieczą z popękanych przewodów grzejnik, oddzielony przemocą od ściany, zamienił się w obiekt mobilny. Ciężar

wody zgromadzonej w urządzeniu początkowo nieco hamował poczynania napędzanego diaboliczną energią Mrocza. Szalenciec włókł więc za sobą balast, dokonując zniszczeń w kuchni i korytarzu. Jednak obecnie, gdy ciężar nieco zmalał, Waldemar dźwignął metalowy radiator nad głowę, a nawet zakręcił nim młyńca, wykorzystując przypięte do nadgarstka kajdanki jako oś obrotu.

Żaboklicka szybko zamknęła oczy. Uwzględniając dotychczasowe postępowanie redaktora, oczekiwała, że furia spuści jej kaloryfer na głowę. Ale spodziewany cios nie nastąpił. W zamian rozległ się bojowy okrzyk dotkniętego likantropią badacza tajemnic:

– Drżycie, bracia wilcy! Jam renegat! Skruszę kły w obronie ludzkości!

A potem, już nieco ciszej, potępieniec dodał:

– Kasiu, bierz ich!

Zdumiona Magda zdążyła na czas uchylić powieki, aby spostrzec, jak nawiedzona para wybiega w mrok. Waldemar nadal wywijał poobijanym grzejnikiem, a zjeżona tchórzofretka galopowała u jego nóg, wznosząc w górę rozczapierzony ogon niczym bojowy sztandar.

– *Shit!* – projektantka płynnie przeszła na angielski, jakby w rodzimym języku zabrakło adekwatnych do sytuacji epitetów.

Przetoczyła się na prawy bok i na czworakach popęzła ku dymiącej spluwie, która wyrwała jej się z rąk, przy okazji boleśnie nadwyrężając nadgarstki. Złapała pistolet za wciąż gorącą lufę i poraczkowała dalej, aż dotarła do ściany. Opierając się o szorstki mur, zdołała wreszcie dźwignąć się na zdrętwiałe stopy. Chwilę dreptała w miejscu, nieświadomie parodiując rozgrzewającego się do biegu Strusia Pędziwiatra, po czym popędziła śladem swoich współlokatorów. Należy wątpić, czy jej skołowany umysł choć przez chwilę rozważył racjonalność takiego posunięcia, tym bardziej że nadal była bez butów.

Piotr wciąż biegł, taranując zaspę. Choć chwilami zdarzało mu się grzęznąć w zawianych śniegiem rowach i wykrotach, to dzika, chorobliwa energia napędzająca jego ciało zdawała się potęgować w obliczu przeciwności. Mięśnie pracowały z nadludzką siłą. Niemal słyszał, jak trzeszczą ponad miarę obciążone stawy i więzadła. Jednak teraz, gdy opętańcza moc znalazła ujście, a mroźne powietrze studziło rozpaloną głowę, myśli miał jasne i klarowne jak nigdy w życiu. I – w odróżnieniu od Mrocza – doskonale wiedział, co się z nim dzieje. Znalazł się pod wpływem jakiegoś narkotyku, nieco podobnego w działaniu do metamfetaminy, choć znacznie silniejszego.

– Pieprzone ziółka, pieprzony Tolek, pieprzony dziadek z babcią! – mamrotał co rusz, dając świadectwo, że domyśla się, w jaki sposób zaaplikowano mu specyfik.

Dotarł już do końcowego, wiodącego przez las odcinka drogi prowadzącej do willi nad jeziorem. Pod gęstymi koronami drzew śniegu było znacznie mniej, więc mógł zwiększyć tempo i wyrównać oddech. Przetarł załzawione oczy i ze zdumieniem wyczuł twarde łuski na powiekach. Gęste kłęby buchającej z ust pary osiadły mu na rzęsach grubą warstwą szronu. Zmierzwił włosy też miał białe. Złodziałe kędziory sterczały sztywno na wszystkie strony, jak igły niechlujnego jeża.

Narkotyk działał na wszystkie zmysły, choć w różny sposób. Z jednej strony znieczulał ciało na ból i zimno, z drugiej nadzwyczajnie wyostrzał węch, słuch oraz wzrok. Choć światło księżyca nie docierało pomiędzy pnie, Nowicki bez trudu spostrzegł świeży trop na białej wstędze drogi. Gromada jakichś istot zmierzała w tym samym kierunku co policjant. A na końcu szlaku znajdował się jedynie dom

Wójtowicza. Zaś w domu bezbronna Magda Żaboklicka, na której wspomnienie serce aspiranta jakoś dziwnie zatrzepotało.

Nie dopuszczając do świadomości poczucia, że przybywa za późno, Piotr jeszcze przyspieszył. Organizm biegacza widocznie usiłował jakoś skompensować skrajny wysiłek, ponieważ jego klarowny dotąd umysł znowu ogarnął zamęt. Jednak pomimo lekkiego zamroczenia nadal doskonale wiedział, dokąd zmierza i dlaczego liczy się każda sekunda. Musiał powstrzymać łajdaków, którzy poprzedniej nocy napadli Nowakównę i napędzili strachu mieszkańcom pensjonatu, zanim skrzywdzą mieszkańców willi.

Kiedy wieczorem Waldemar odwoził go do domu, jeszcze zanim zaczął działać narkotyk, Nowickiemu przyszedł do głowy scenariusz, który w logiczny sposób tłumaczył wydarzenia ubiegłej nocy. Jego zasadniczą oś stanowiło założenie, że to Łoś wykopał skarb, krzyżując tym samym plany jakiejś bliżej niezidentyfikowanej konkurencji. Najwyraźniej hotelarz zadarł z bezwzględnyymi i zdecydowanymi na wszystko ludźmi, którzy pozbawili go życia podczas nocnych podchodów na Górze Zamkowej – a przynajmniej Piotr zakładał, że to byli ludzie. Sęk w tym, że oprawcy nie znaleźli przy swojej ofierze spodziewanego łupu. W konsekwencji zaczęli szukać fantów, plądrując należący do Łosia pensjonat i dom jego narzeczonej. Takie przypuszczenie wydawało się logiczne i aspirant zamierzał podzielić się nim nazajutrz z komendantem, choć przewidywał, że Korczakowski sam dojdzie niebawem do podobnych wniosków. Nie widział więc powodów do pośpiechu. Poza tym nie dostrzegał w owym scenariuszu żadnych elementów wiążących go z mieszkańcami willi nad jeziorem. Dopiero pod wpływem psychoaktywnej substancji doznał nagłego olśnienia.

Bandyci zrazu prowadzili swoje poszukiwania na oślep, zaczynając od miejsc najbardziej dla nich oczywistych. I najprawdopodobniej ponieśli porażkę. Od poprzedniego dnia mieli czas przeanalizować sytuację i skupić się na dotychczas nieuwzględnionych możliwościach. A co, jeżeli to jakiś poplecznik złoczyńców siedział za kierownicą tajemniczego samochodu ściganego przez Waldemara? Przecież napastnicy musieli jakoś wrócić z Góry Zamkowej. Północnym odcinkiem

drogi nie dało się przejechać, co poświadczał tkwiący w zaspie pojazd hotelarza. Jeżeli niezidentyfikowany kierowca miał podobne problemy i postanowił okrążyć jezioro, aby podjąć kompanów z drugiej strony, to wyruszając w chwili, gdy rozpoczęła się strzelanina, dotarłby w pobliże obory właśnie wtedy, gdy pojawiło się tam umykające auto. Zaś kierowca widział Magdę i Waldemara, których nocna obecność pod Górą Zamkową musiała go zastanowić.

Lokatorzy domu nad jeziorem wydawali się jakoś wplątani w ciąg niezwykłych wydarzeń, które przetaczały się przez spokojną zazwyczaj okolicę. Wszak willa Wójtowicza od początku stanowiła ich wspólny mianownik. Nawet policja zakładała, że jej tymczasowi mieszkańcy nie ujawniają wszystkich znanych im faktów. Tym bardziej podejrzanie musieli jawić się oczom goniących za skarbem bandytów. Szczególnie Mrocz sprawiał wrażenie niezbyt udolnie zamaskowanej konkurencji dla kogoś, kto desperacko poszukiwał zaginionych artefaktów. Redaktor obnosił się ze swoją bzdurną pasją, jakby potrzebował kamuflażu dla zupełnie racjonalnych oraz potencjalnie niecnych poczynań. Osoby, które w zajadłym pościgu pozbawiły życia hotelarza, niechybnie doszły do wniosku, że ich ofiara również mogła zostać wykołowana przez kogoś sprytniejszego, a wówczas zainteresowali się Magdą i Waldemarem. Świadczyło o tym podstępne podanie narkotyku, który przy okazji miał wyeliminować z gry wścibskiego policjanta. Tylko dlaczego uraczono ich specyfikiem, który potęgował krzepę oraz bystrość?

Odpowiadając sobie na powyższe pytanie, Piotr mimowolnie zadrzał. Przecież zarówno on, jak i Waldemar zdążyli wypić zaledwie po kilka łyków trującej mikstury, nim tchórzofretka zdemolowała zastawę. Kto wie, jak by skończyli, racząc się „ziólkami” do woli. Mocodawcy Kołudy – aspirant ani przez chwilę nie miał wątpliwości, że Anatol nie podtruł ich z własnej inicjatywy – zapewne sami wzmacniali się narkotykiem i doskonale znali jego działanie, więc mogli go wykorzystać do realizacji ułożonego na poczekaniu planu. Gdyby wszystko poszło po ich myśli, obaj mężczyźni dawno byłiby nieprzytomni, a samotna dziewczyna nie stanowiła ich zdaniem żadnej przeszkody. Dlatego zmierzali w stronę willi

środkiem drogi, nie kryjąc się w żaden sposób. Nowicki miał tylko nadzieję, że Magda zrozumiała jego ostrzeżenie, a pancerny budynek będzie się przez pewien czas opierał zakusom łotrów.

Dlaczego nie zadzwoniłem po pomoc? – przeklinał się w duchu Piotr, z niepokojem usiłując oszacować liczbę napastników na podstawie ciągnących się u jego stóp śladów. Musiał przyznać, że choć na skutek działania stymulanta pod pewnymi względami zbystrzał, to w innych kwestiach zachowywał się zupełnie irracjonalnie. Po prostu zwodnicze poczucie mocy i przymus natychmiastowego, najlepiej brutalnego działania całkowicie nie sprzyjały obliczaniu sił w stosunku do zamiarów. Kiedy w szale wybiegał z domu, miał wrażenie, że rozniesie w puch każdego przeciwnika.

Nagła złość na samego siebie sprawiła, że nowa fala kipiącej furii przetoczyła się przez arterie aspiranta. Czerwona kurtyna przesłoniła mu wzrok, zamieniając spowity bielą świat w mieniącą się purpurą wizję z krwawego koszmaru. Mimo woli zawarczał. Znowu czuł się niepokonany, więc o ile wcześniej starał się zwalczyć wykluwającą się w głębi jaźni bestię, to teraz ją pielęgnował i sycić mrocznymi emocjami. Tylko potwór miał szansę w starciu ze zwyrodniałą hordą.

Kiedy Magda wypadła na ganek, Mrocz dobiegał już do osadzonej w wysokim parkanie bramy. Dziewczyna ledwie mogła dostrzec w mroku plecy swojego współlokatora, nie wspominając o jego miniaturowej towarzyszce. Parkan z betonowych paneli słabo jarzył się w księżycowej poświacie, ale przecinający wstęgę ogrodzenia prostokąt wychodzącej na las bramy wydawał się czarny niczym dwuwymiarowy ekran ukazujący nicość. Jednak zdziczały redaktor najwyraźniej dostrzegał tam coś niewidocznego dla bystrych oczu projektantki.

Magda nie poznała wyczulających wzrok skutków działania narkotyku, więc przez chwilę miała nadzieję, że Mrocz po prostu gna przed siebie, jak spuszczonej ze smyczy chart. Nie wiedziała, że w momencie gdy mały redaktor odzyskał możliwość dania upustu skumulowanej energii, doznał swoistego umysłowego *katharsis*. Wprawdzie nadal serio traktował swoją przemianę w wilkołaka, ale przestał histerycznie panikować i uporządkował wydarzenia, znajdując ich właściwy sens. Zorientował się, że zostali zaatakowani przez terroryzującą okolicę watahę, i postanowił opowiedzieć się po stronie gatunku, za którego przedstawiciela uważał się przez większą część swojego życia. Podobnie jak wcześniej Piotr, czuł się niepokonany i zatracił zdolność odczuwania strachu, a wyostrzone zmysły wiodły go wprost na przeciwnika.

Z czarnego prostokąta bramy wystrzeliły dwa masywne cienie. Czworonogi, równie monstrualne jak grasujący w stodole potwór, rzuciły się wściekle na redaktora. Magda aż pisnęła ze strachu, ale bohatercko gnała w sukurs chuderlawemu badaczowi tajemnic. Nie wątpiła, że filigranowy Mrocz, choć mentalnie przeistoczony w berserka, za chwilę zostanie rozerwany na strzępy.

Bum! – jakby głęboki dźwięk gongu przetoczył się przez podwórze. To Waldemar wirującym kaloryferem zdzielił jedno z atakujących zwierząt. Nie dość,

że trafił precyzyjnie w niekształtny łeb, to jeszcze zdążył zręcznie zasłonić się grzejnikiem przed kłami drugiego napastnika. Czarny cień przywarował, pragnąc dorwać się do patykowatych łydek redaktora, lecz niespodziewanie podskoczył z przeraźliwym skowyt. W okamgnieniu stracił zainteresowanie swoją ofiarą i zaczął zataczać opętańcze kręgi, kłapiąc paszczą w kierunku własnego ogona. Żaboklicka znajdowała się już na tyle blisko, że mogła dostrzec podługowaty kształt uwieszony nieco poniżej wzmiankowanego ogona, który się zręcznie wił, unikając straszliwych szczęk. Jednak tylko kwestią czasu pozostawało, kiedy Kasia, gdyż to właśnie ona wpiła się ostrymi ząbkami w słabiznę potwora, zostanie przegryziona na pół. Dziewczyna nie wahała się ani chwili. W kilku susach dopadła lutego zwierza i jęła energicznie okładać go gdzie popadnie kolbą ciężkiego pistoletu, aż dudniło. Atakowany z dwóch stron czworonóg, ogłupiały od potwornego bólu, wyraźnie znalazł się w defensywie.

Tymczasem nad głową zwycięskiego Waldemara zawisło nowe niebezpieczeństwo. Ugodzony przezeń wróg leżał bezwładnie w zaspie, ale do akcji zdecydowali się wkroczyć dwunożni sojusznicy napastników. Było ich trzech – wielkich, groźnych i kudłatych. Przypominali gromadę wściekłych bigfootów. Na szczęście tylko jeden prezentował sprawność godną legendarnej bestii. Jeżeli chodzi o dwóch pozostałych, to obaj mieli okazję posmakować Madzinego śrutu. Jeden mocno utykał, a jego noga pozostawiała w śniegu krwawe ślady, a drugi – zgarbiony, trzymał się oburącz za krocze i cichutko jęczał. Wyraźnie nie palili się do walki, lecz mimo obrażeń nie zamierzali uciekać w obliczu malutkiego publicysty.

Pełnosprawny wysforował się naprzód i błyskawicznym prostym, zdradzającym niezłą bokserską wprawę, wyrzwał Mrocza między oczy. Normalnie drobny człowieczek nie miałby szans podnieść się po takim ciosie, ale Waldemar tylko przekoziółkował do tyłu i sprężyste poderwał się na nogi. Niezłomnie stał naprzeciw zwalistego przeciwnika. Kolejny atak nastąpił natychmiast, a szybkość, z jaką poruszał się napastnik, miała w sobie coś nienaturalnego. Nawet Jackie Chan tak nie śmiga na ekranie. Z tym że refleks Waldemara w jego obecnym stanie wcale

nie prezentował się gorzej. W pierwszej chwili dał się zaskoczyć, ale teraz już wiedział, czego się spodziewać. Bam! – uderzająca pięść ugodziła w pogięty radiator. Stwór jęknął, chwytając się za nadgarstek. Pod wpływem ciosu lżejszy o kilka kategorii wagowych Mrocz przemieścił się o dobry metr do tyłu, ale to dało mu tylko lepszą pozycję do kontrataku. Kaloryfer zamocowany przegubowo na łańcuszku kajdanek do ręki redaktora zatoczył ze świstem łuk i niczym gigantyczny kiścień z hukiem dzwonu opadł na czaszkę wielkoluda. Ogłuszony Goliat klapnął tyłkiem w śnieg. Jego towarzysze, widząc porażkę kompana, rzucili się na Mrocza, ignorując tkwiące w ciele śruciny. *Nec Hercules contra plures*, a wszak Waldemar, nawet naćpany stymulantem po uszy, w niczym nie przypominał starożytnego herosa. Bohaterska potyczka redaktora miała właśnie zakończyć się sromotną klęską, gdy leśną drogą nadciągnęło białe widmo i bez wahania runęło w wir walczących.

Piotr nie należał do ułomków. W dodatku nadal aż buzował od generowanej przez narkotyk energii. Chociaż przebiegł pięć kilometrów przez zaspy, wciąż miał dość krzepy, żeby nieźle przysolić. A morale napastników, którzy zmierzając do willi, nie spodziewali się najmniejszego oporu, zostało już mocno nadszarpnięte. Od kwadransa doznawali kolejnych porażek i wiążących się z nimi bolesnych urazów. Kiedy poczuli na karkach młóćące z siłą cepów pięści aspiranta, opuściły ich resztki bojowego ducha. Postanowili zrejterować. Poderwali pod pachy swego na wpół ogłuszonego kompana i jęli czmychać niezdarnie, ale za to całkiem rączo.

Piotr przelotnie sprawdził, czy wprasowany w śnieg Mrocz jeszcze oddycha, i uskrzydłony zwycięstwem, już miał się rzucić w pościg za łotrami, kiedy przypomniał sobie o osobie, dla której na złamanie karku gnał wskroś zimowej nocy. Rozejrzał się po mrocznym podwórzu, ale widocznie jego organizm zaczynał wracać do normy, ponieważ zobaczył tyle, co na jego miejscu dostrzegłby przeciętny śmiertelnik, czyli praktycznie nic.

– Magda! – wrzasnął ochryple.

– Tutaj jestem! – odpowiedziało mu ciut piskliwe wołanie.

Z miejsca wszelkie plany schwytania złoczyńców zeszły na dalszy plan i Nowicki pospieszył w kierunku drżącego głosu. Choć raczej należałoby powiedzieć: pokuśtykał. Siły opuszczały go w zastraszającym tempie.

Żaboklicka klęczała w śniegu na skraju kręgu mdłego blasku roztaczanego przez zawieszoną na ganku lampę. Plecami opierała się o tylny zderzak przekrzywionego na schodkach lexusa, a załzawione oczy wlepiła w wyszczerzony pysk oddalony o centymetry od swoich kolan. Z pyska wypływał bezwładnie ośliniony jęzor. Potworny pies leżał na boku i tylko bardzo bystry

obserwator zdołałby dostrzec słaby ruch spazmatycznie unoszącej się klatki piersiowej. Damska koalicja niemal wyprawiła potwora na tamten świat. I, przynajmniej częściowo, nie ustawała w usiłowaniach mających na celu dokończenie dzieła. Kasia, wciąż jeszcze nabuzowana psychotropami, skakała po cielsku wroga, gryząc je zajadle tu i ówdzie. Właśnie dobrała się do kosmatego ucha i poskrzekując bojowo, usiłowała oderwać trofeum od niekształtnego łba.

– Magda – szepnął z ulgą Piotr i opadł na kolana obok dziewczyny, niezgrabnie obejmując jej drżące plecy.

Odwróciła się do niego i gwałtownym ruchem chciała zarzucić mu ramiona na szyję, ale tylko potężnie wyrznęła policjanta w skroń kolbą pistoletu. Wciąż jeszcze desperacko zaciskała palce na antycznej dwururce. Jak wykazały ostatnie wydarzenia, howdah rzeczywiście świetnie sprawdzał się w roli broni obuchowej, więc Nowicki w wyniku czułego powitania zobaczył wszystkie gwiazdy.

– Jego też walnęłaś w łeb? – domyślił się aspirant, wskazując znokautowanego psa.

– Nie raz. – Magda uśmiechnęła się blado i delikatnie musnęła wargami oszronione czoło chłopaka. – Tu boli?

– Wszędzie mnie boli – jęknął Nowicki i chytrze usiłował wykręcić twarz tak, żeby usta dziewczyny znalazły się bliżej jego ust, ale tylko szturchnął ją swoim wielkim lodowatym nosem.

– Zabieraj ten hamulec od karuzeli – syknęła, lecz jej dłonie, na przekór słowom, czule masowały mu kark.

Ich oczy w końcu znalazły się na jednym poziomie i Piotr z zachwytem wpatrzył się w migające w szarych tęczówkach figlarne iskierki. Najwyraźniej traumatyczne przeżycia nie wyrządziły Magdzie szkody. Nie wiedział, że dziewczynę z każdą chwilą coraz bardziej przepełnia dzięki poczucie triumfu. Nokautując przerażające zwierzę, odniosła upragnione zwycięstwo nad swoimi lękami. Już nigdy upiorny pysk nie przywidzi jej się w wypełnionym nocną czernią oknie. A niechby się i pojawił, to przecież zawsze znajdzie pod ręką coś

odpowiednio ciężkiego. Drżycie, nocne widma! Magda Żaboklicka potrafi ogniem i żelazem odeprzeć wasze ataki. I nigdy już nikt nie zarzuci jej, że piszczy jak panienka z filmu klasy B. Czuła się niepokonana i wolna. A wolność upaja niczym wino.

Biała para buchająca na mrozie z dwojga rozgorączkowanych ust zmieszała się w jeden tuman, lecz właśnie wtedy z drugiego końca podwórza doleciał słaby głos:

– Ratunku! Niech ktoś to ze mnie zdejmie! Zamarzam i nie mogę się ruszyć!

Kłęcząca para niechętnie pozbierała się na nogi i bez pośpiechu poczłapała po raz kolejny ratować skórę badacza tajemnic. Mrocz leżał na wznak w tym samym miejscu, gdzie powalili go agresorzy, i bez powodzenia usiłował zepchnąć z zapadłej piersi aluminiowy grzejnik, którym zaledwie parę minut wcześniej tak dziarsko wywijał. Magda podniosła kaloryfer, a Piotr dźwignął do pionu Mrocza. Pod każdym z piwnych oczu redaktora zaczynała dojrzewać fioletowa śliwa.

Ponieważ Waldemar nadal był przykuty do swego oręza, ruszyli do domu w niewygodnej formacji trójkowej. Nowicki podtrzymywał słaniającego się redaktora z prawej strony, a na lewej flance Żaboklicka dźwigała zdezelowane urządzenie. Przystanęli tylko na chwilę, żeby zabrać Kasię, która wyczerpana walką zasnęła na cielsku pokonanego wroga z ząbkami zaciśniętymi na jego pokancerowanym uchu.

W progu Piotr przystanął, aby zerknąć na posiekane pociskami drzwi.

– Jak wtargnęli do środka? – zapytał Magdę. – Wpuściliście ich?

Dziewczyna bez słowa przymknęła skrzydło tak, żeby mógł zobaczyć jego zewnętrzną stronę, i wskazała zamek, w którym wciąż tkwił klucz.

– O cholera, ale skąd... – zaczął Piotr i umilkł w pół słowa, bo właśnie wkroczył do wypełnionego prochowym dymem holu. – Strzelali do was?! – wystraszył się.

– To ja strzelałam do nich – oświadczyła z nieskrywaną dumą Magda.

– Z mojej spluwy – wtrącił Mrocz, jakby pragnął uszczknąć dla siebie cząstkę chwały. – Sama poszła po broń do stodoły. Dzielna dziewczyna.

– Nie wiem, czy to dobrze, czy źle, że żadnego nie trafiłaś – westchnął policjant.

– Nie byłabym taka pewna. – W głosie Żaboklickiej zadźwięczała bojowa nuta. – Waliłam siekającymi, więc równie dobrze wszyscy mogli oberwać.

Wkroczyli do zdezelowanej kuchni, gdzie Waldemar ciężko zwałił się na jedyne stojące krzesło.

– Ledwie żyję – wyznał, chrapliwie dysząc. – Ale chyba zwalczyłem w sobie to wilcze przekleństwo. Pewnie ustąpiło wtedy, kiedy zdecydowałem opowiedzieć się po stronie ludzkości w jej odwiecznej wojnie z bestiami. To był wielki triumf woli nad mrocznymi siłami.

– Wiesz Waldek, tak naprawdę to... – zaczął Piotr i spostrzegł, że Magda daje mu spoza pleców redaktora rozpaczliwe znaki. Rzeczywiście nie miał siły na jałowe spory z wyznawcą paranormalnych teorii, więc gładko dokończył: – Naprawdę szacun, stary.

Doskonale wiedział, jak musi czuć się Mrocz. Również jego skrajnie wyeksploatowany organizm gwałtownie domagał się wypoczynku. Zdał sobie sprawę, że ze zmęczenia zaczyna lekko bełkotać.

Żaboklicka na pewno to zauważyła, bo stanowczo oświadczyła:

– Wszyscy musimy odpocząć. Te dranie na pewno już nie spróbują niczego dzisiejszej nocy. Po kubku gorącej herbaty, aspiryna i spać. Spójrzcie, Kasia to się już chyba nawet na herbatę nie obudzi.

– Trzeba zadzwonić na komendę – westchnął niechętnie Piotr – zgłosić zajście.

– Ani mi się waż, głupi glino – syknęła dziewczyna. – W niczym nam teraz nie pomogą, a przesłuchanie tylko was wykończy. Ci twoi kumple jak dotąd do niczego się nie przydali.

– Racja. Żadnej policji – poparł ją bełkotliwie chuchający na tchórzofretkę Mrocz.

– Ale ci bandyci uciekną – zaproponował bez entuzjazmu aspirant.

– Wilkołaki – poprawił z naciskiem redaktor. – A przecież policja i tak nie wierzy w wilkołaki.

– Wilkołaki czy bandyci, dawno już się zmyli i zaszyli w jakiejś norze – ucięła Magda. – Jak ci tak zależy, to możesz się zameldować rano. Jakby co, zwalimy opóźnienie na anomalie magnetyczną, więc nikt się nie przyczepi.

– No dobrze – zgodził się Nowicki ze źle ukrywaną ulgą. – To ja pójde zamknąć te drzwi, chyba łobuzy nie mają więcej zapasowych kluczy.

– A ja nastawię wodę na herbatę. Na szczęście Waldek nie rozwalił kuchenki gazowej. – Projektantka już napełniała czajnik. – A potem poszukam kluczyka od kajdanek. Gdzie ja go wsadziłam?

Piotr nieco zamarudził przy drzwiach. Pomimo powalającego znużenia, które z każdą minutą rosło wykładniczo, musiał wykonać pewne zadanie, którego nie sposób było odkładać do rana. Właśnie uporał się z dodatkową robotą i z wrodzonej ciekawości oglądał fikuśny zamek Wójtowicza, rozważając, na jakiej zasadzie napastnikom udało się wypchnąć od zewnątrz skomplikowany klucz tkwiący w dziurce od strony holu, kiedy usłyszał głośny okrzyk Magdy:

– O matko i córko!

Podążając za jej głosem, wpadł do jadalni i omal nie wywinął orła na mokrej podłodze. Cały parkiet pokrywała gigantyczna kałuża. Na szczęście wody już nie przybywało, bo wysączyła się z instalacji centralnego ogrzewania do ostatniej kropli.

– Zamarzniemy przez tego małego furiata – desperowała projektantka. – Na dworze jest dobre minus dwadzieścia stopni.

– Na szczęście piec się automatycznie wyłączył – pocieszał ją Piotr. – Przed chwilą zajrzałem do kotłowni i zdziwiłem się, że nie działa. Wystarczy zatkać te dziury, napełnić instalację i gra muzyka. Zaraz się za to wezmę...

– Mowy nie ma. – Magda szybko dochodziła do siebie po kolejnej zgotowanej przez los niespodziance. – Wyglądasz jak z krzyża zdjęty. Dom ma dobrą izolację,

więc do rana jakoś wytrzymamy. Kołder i koców jest tyle, że można byłoby się opatulić i spać na ganku.

Zajrzała do kuchni i z rodzajem złośliwej satysfakcji oznajmiła:

– Nie chcę cię martwić, Waldku, ale musisz sobie poszukać mniej wygodnego łóżka. Trzeba było nie urywać tego kaloryfera.

Ale Mrocz wyraźnie nie miał siły się kłócić.

– Trudno – wybełkotał, kiedy odpinała mu kajdanki znalezionym w jadalni kluczykiem – jakoś sobie poradzę.

I nie czekając na herbatę, przytulił bezwładną tchórzofretkę do piersi, po czym chwiejnie poczłapał do salonu, gdzie mieściły się legowiska robotników. Po chwili dało się słyszeć skrzypienie sprężyn któregoś z wielu łóżek.

– Nie zmoczyłaś sobie... O rany! – Piotr wlepił przerażone oczy w bosc stopy Magdy.

O ile jakiś czas temu kończyny Żaboklickiej można było opisać jako chorobliwie sine, to teraz przybrały barwę kości słoniowej. Paznokcie otaczały ciemne obwódki.

– Zupełnie zapomniałam o butach – wyjąkała dziewczyna, podążając wzrokiem za spojrzeniem aspiranta.

– Nie było ci zimno?!

– Nie, w ogóle nic nie czuję – szepnęła Magda, do której zaczynało docierać, że coś jest bardzo nie w porządku. – Nawet jak wdepnęłam w tę wodę... nic.

– Szybko pod kołdrę. – Piotr porwał ją na ręce, zapominając, że przed chwilą nie miał nawet siły podrapać się po nosie. – Któreś do twojej sypialni?

Niebawem Magda leżała na swoim łóżku, a policjant delikatnie ogrzewał dłońmi jej stopy. Jednak jego wysiłki nie przynosiły spodziewanych efektów.

– Cholera, przez tego pokurcza nawet ciepłej wody nie ma – warknęła Żaboklicka, złością próbując zamaskować ogarniające ją przerażenie.

Na szczęście z parteru zaczął dobiegać gwizd czajnika. Nowicki popędził po zbawczy ukrop. Wracając, znalazł jakąś ubabraną zaschniętą farbą miednicę. Nalał

na dno odrobinę wrzątku, uzupełnił wodą z kranu i czekał na efekt, kiedy projektantka zanurzała nogi w kąpeli.

– I co? – pytał co chwilę, dolewając ostrożnie gorącej wody.

– Aj! – pisnęła nagle Magda i poruszyła palcami. A potem zawyła z bólu.

Przez następne dziesięć minut toczyli zacięte zmagania, tarzając się po łóżku. Piotr usiłował chwycić wierzgające stopy dziewczyny, zaś ona wiała się ze łzami w oczach. Miała wrażenie, że tysiące jadowitych mrówek obgryzają jej kończyny do kości. Stopniowo jednak przykre doznania ustępowały, aż w końcu leżała nieruchomo, rozkoszując się dotykiem silnych męskich dłoni, które z rozczulającą delikatnością ugniatały jej poduszeczki pod palcami. Nie mogła się powstrzymać i cichutko jęknęła z rozkoszy.

– Dobrze już? – zapytał Piotr.

– Jeszcze jak – wymruczała w poduszkę.

– To ja już sobie... – zaczął Piotr, wstając, ale raptem zakreśliło mu się w głowie. Bezradnie runął z powrotem w skotłowaną pościel. – O kurczę, nie mam siły – westchnął zdumiony. – Jestem słaby jak kot.

– Lubię koty – uśmiechnęła się przewrotnie Magda. – Nie ma nic lepszego na mróz niż taki futrzak pod kołdrą. Tylko ściągnij te brudne łachy.

Rzeczywiście łachy były paskudnie brudne, bo zabierając się do reperacji samochodu, aspirant przebrał się w ubabrane smarami robocze ubranie. Ale jakoś nie uważał, że niezamierzone uchybienie schludności obliguje do natychmiastowej zmiany garderoby, zwłaszcza w łóżku kobiety, z którą zaledwie wczoraj przeszedł na ty. Wprawdzie mętnie wyczuwał, że za poleceniem kryje się nieokreślony, dwuznaczny i niezmiernie kuszący podtekst, jednak jego popadający w senne otumanienie umysł nie potrafił doszukać się w dziwacznym żądaniu najmniejszego sensu. Nawet niewyraźnie wybąkał coś na kształt obiekcji, jednak w żaden czynny sposób nie zaprotestował, kiedy Magda zaczęła rozpinąć guziki jego kufajki.

Dopiero kiedy dziewczyna ściągnęła mu ostatnią, nieco przetartą skarpetkę, przekonała się, że absolutny bezwład policjanta nie wynikał ze spowodowanego

zawstydzieniem stuporu. Nie stanowił również elementu wyuzdanej gry erotycznej. Piotr po prostu spał jak beton. Nawet zaczynał pochrapywać.

– Cóż, deser odpakowany, ale to chyba jakaś mrożonka – westchnęła Żaboklicka.

Ułożyła głowę Nowickiego na poduszce i opatuliła jego szczupłe ciało puchową pościelą. Zrzuciła fioletowy dres i sama wsunęła się pod kołdrę.

– Nie szkodzi, trzeba go tylko trochę odgrzać – szepnęła, tuląc się do unoszonej regularnym oddechem klatki piersiowej policjanta. Całkiem fajnie umięśnionej klatki, z tym że niestety absolutnie niewrażliwej w tej chwili na jakiegokolwiek bodźce. – A to może trochę potrwać – dodała z żalem, czując, że gotowa jest skonsumować kuszący produkt, kiedy tylko znajdzie się w stanie choć odrobinę zdatnym do spożycia.

W końcu tak wielu przysmaków musiała sobie odmawiać przez te trzy miesiące wygnania.

Piotr obudził się potwornie obolały. Bolało go każde ścięgno, każde włókienko mięśni, nawet mieszki włosowe. Przez dłuższą chwilę próbował skojarzyć, przy jakiej okazji zdarzyło mu się wpaść do młockarni, aż w końcu z głębin otumanionego umysłu zdołał wydobyć nieco zatarte detale wydarzeń ubiegłej nocy. Zbiór przesiąkniętych mrokiem obrazów okazał się mętny, momentami niechronologiczny, a narkotyczne wizje bezładnie przeplatały się z realnymi wydarzeniami.

O dziwo dużo dokładniej pamiętał niepokojąco erotyczny sen, który nawiedził go w nocy. Ów majak, w kontraście do odpychającej jawy, wydawał się pogodny i bardzo miły, choć jego akcja również rozegrała się w ciemności. Co było o tyle dziwne, że przeważnie aspirant miewał wściekle kolorowe, niemal filmowo realistyczne sny. Jednak pozostałe wrażenia zmysłowe z nawiązką wynagradzały brak wizualnych doznań. Zdominowała je zaskakująca obfitość chętnego i żwawego kobiecego ciała, którego biegłość w *ars amandi* znacznie przekraczała skromny zasób doświadczeń, jaki we wzmiankowanej dziedzinie zdołał dotychczas zgromadzić Nowicki. Musiał przyznać, że własna wyobraźnia potrafiła go nieźle zaskoczyć. I skąd jego skrajnie wyczerpany organizm czerpał siły na podobne ekstrawagancje? Chyba że podświadome świntuszenie wiązało się z jakimś ubocznym działaniem zażytych psychotropów.

Dopiero po przetrawieniu bulwersujących wspomnień aspirant niechętnie zainteresował się otoczeniem. Odkrył, że znajduje się w jakimś kompletnie nieznanym mu pokoju, do którego przez uchylone zasłonki wpadają jasne

promienie porannego słońca. Co, uwzględniając porę roku, oznaczało, że z pewnością spóźnił się do pracy. Klnąc, odrzucił puchową kołdrę i zerwał się na nogi. Ból, który przy nagłym ruchu eksplodował pod czaszką aspiranta, sprawił, że dopiero po chwili zanotował on kolejne niepokojące fakty. Po pierwsze był całkiem nagi. Po drugie w pokoju było potwornie zimno. Najwyżej kilka stopni powyżej zera. A po trzecie jego trzewia skręcał wilczy głód, choć jednocześnie czuł wzbierające mdłości, jak w następstwie potężnego kaca.

Na szczęście ubranie znalazł porządnie złożone na krześle. Z lekkim wstrętem założył zimne robocze ciuchy i wypadł na korytarz, kombinując, w jaki sposób zdoła dotrzeć na posterunek. Niektóre elementy porozrzucanej układanki, jaką przedstawiały jego wspomnienia, stopniowo wskakiwały na właściwe miejsce, więc kojarzył już, gdzie jest, i prawidłowo identyfikował przyczynę wszechobecnego chłodu. Cholera, przed wyjściem powinien jeszcze naprawić ogrzewanie w willi. Przecież obiecał.

Jednak wszelkie trzeźwe rozważania aspiranta stłumiła woń jajecznicy, która przenikała do holu przez uchylone drzwi korytarza. Ślina napłynęła mu do ust, a wielki nos uniósł się jak u wężącego ogara. Niczym wiedziony przemożnym uczuciem głodu zombi podążył do kuchni.

– Tak, powiadomiłam już pana Szota i podkreślam, że dalsza obecność funkcjonariusza Nowickiego na miejscu nie podlega dyskusji. Boimy się o życie. – Usłyszał głos rozmawiającej przez telefon Magdy. I z niepokojem zorientował się, że dziewczyna właśnie beszta komisarza Korczakowskiego. – Nie zgłosiliśmy, bo sygnału nie było. Całą noc. Wie pan, jak to w Szurpiłach... A, że nie odbiera! Pewnie zostawił telefon w domu, jak tu pędził. Przecież mówię, że i tak nie było sygnału... Bo do aspiranta jakoś się jeszcze dodzwoniłam, dopiero potem nie było... Wcale nie mące! Co wy z tym mąceniem macie! Przecież mówię, że napadło nas co najmniej trzech byków z psami! Gdyby nie pan Piotr... Nie przywidziało mi się! I wcale nie zdechłe, tylko żwawe i zażarte. I tak, będę gadać o psach, kiedy mnie gryzą!... Nie, ale wilkołaki widział pan Waldemar. Chce pan z nim porozmawiać?... Z aspirantem? Nie, z aspirantem to chwilowo nie... No, bo

zabezpiecza. Znaczący mówił, że ślady zabezpieczenia. W zaspach biedaczek brodzi i zabezpiecza...

Piotr, słysząc ton, jakim Żaboklicka zwraca się do surowego komisarza, lekko się spocił pomimo panującego chłodu i nawet chwilowo zapomniał o głodzie. W dwóch susach znalazł się obok projektantki i żywiłowo gestykułując, usiłował wyrwać jej aparat.

– O, właśnie przyszedł! – zawołała dziewczyna. W jej głosie zadźwięczała szczerą radość. Jednocześnie, nie wiadomo czemu, mocno spąsowiały jej policzki.
– Już go daję do telefonu!

– Dzień dobry, panie komisarzu, melduje się aspirant Nowicki – przemówił słabym głosem do mikrofonu. Teraz z kolei Magda z zainteresowaniem przysłuchiwała się jego tłumaczeniom. – Tak, potwierdzam, było najście. Mrocz został pobity, pani Magda jakoś wyszła z tego obronną ręką... Około pierwszej w nocy, ale nie mogliśmy się dodzwonić. Wołałem nie zostawiać cywilów samych, ponieważ napastnicy uciekli i zachodziła możliwość, że spróbują szczęścia po raz kolejny... No cóż, chyba zostawiłem go w domu. Po prostu zapomniałem w zdenerwowaniu o telefonie. Zresztą to ja dzwoniłem do pani Żaboklickiej, żeby ją ostrzec... Po prostu domyśliłem się, o co tu chodzi, i miałem niemal pewność, że willa Wójtowicza jest na celowniku... A potem nie było już sygnału. Zresztą musiałem tu dobiec na piechotę. Ledwo zdążyłem... Nie. Cywile bez obiekcji posłuchali ostrzeżenia, ale bandyci mieli klucz od drzwi wejściowych... I tak, mieli też psy i nawet mogę to udowodnić... No tak, czekamy. Odmeldowuję się – zakończył służbiście aspirant, choć Korczakowski zdążył się już rozłączyć.

Przez cały czas trwania rozmowy Nowicki podejrzliwie przyglądał się projektantce. Wyglądała dziwnie promiennie i robiła do niego słodkie oczy. W dodatku te oczy podejrzanie błyszczały. Coś się zmieniło w ich wzajemnej relacji, ale dlaczego? Czyżby tak zaimponował dziewczynie swoim pełnym poświęcenia, choć bezsensownym, maratonem wśród zasp? Powinien uważnie przeanalizować tę kwestię, ale chwilowo nie miał czasu na bezproduktywne rozważania.

– Obawiam się, że Korczakowski będzie tu najdalej za czterdzieści minut – oznajmił. – A musimy jeszcze uzgodnić kilka spraw.

– Musisz to zjeść śniadanie, bo jajecznica zaraz całkiem wystygnie. – Dziewczyny zupełnie nie zraził oschły ton jego głosu. – Chyba że tylko Waldemar obudził się głodny jak wilk.

– No prawdę mówiąc, to aż mnie skręca. – Nowicki postanowił nie udawać bohatera.

Zresztą uporanie się z jajecznicą z pięciu jaj obficie okraszoną talarkami swojskiej kiełbasy nie zajęło mu dużo czasu. A właściwie pożarł ją w mgnieniu oka.

– Napij się szybko kawy. – Magda już podsuwała mu kubek. – Mrocz też tak pochłaniał, a zaraz potem się porzygał. Dopiero kawa pomogła.

– Czy resztki termosu Tolka jeszcze są gdzieś w śmieciach? – zapytał policjant, wyskrobując resztki z patelni skórką od chleba.

Na razie nie odczuwał żadnych przykrych sensacji, ale na wszelki wypadek siorbnął gorącego napoju.

– Tak, zmiotłam wszystko do plastikowej torby – powiedziała dziewczyna i otworzyła szafkę pod zlewem.

Piotr pogrzebał w resztkach i wydobył potłuczony termos. Ostrożnie wysączył resztki burego płynu na spodeczek.

– Wspominałaś komisarzowi, że nas odurzono?

– A gdzie tam! – Magda aż podskoczyła. – I tak nam nie wierzą. Jakbym mu jeszcze powiedziała, że ty i Waldek byliście naćpani, to pewnie nie uniknęlibyście badań w psychiatryku. A i ja pewnie też. Myślisz, że to Kołuda tak was załatwił babcinymi ziólkami?

– Nawet jestem pewien. – Nowicki gmerał w szufladach w poszukiwaniu jakiegoś czystego słoiczka. – I muszę się dowiedzieć, czym nas struł. Ale masz rację, nie informujmy o tym komendanta. Przynajmniej na razie. Muszę poprosić Mrocza, żeby póki co też trzymał dziób na kłódkę.

– Ja wszystko słyszę! – Słaby głos redaktora dobiegał gdzieś z głębi domu. – Wciąż jeszcze mam słuch jak nietoperz, tylko nie mam siły się ruszać. O rety, moja głowa!

– A więc tę sprawę mamy załatwioną – mruknął Piotr, który znalazł wreszcie zakręcaną buteleczkę po lekach i przelał do niej zawartość spodka. – Wiesz, nie sądzę, żeby Kołuda sam wymyślił ten podstęp – zwrócił się do Magdy. – Wprawdzie gość nie ma czystej kartoteki, ale to drobny krętacz. Nie ma dojścia do podobnych specyfików. A nas poczęstowano prawdziwą petardą. Gdybyśmy to – zaznaczył i uniósł buteleczkę – wypili z Waldkiem do końca, moglibyśmy nie przeżyć. A już na pewno nie obyłoby się bez szpitala. Nigdy nie słyszałem o narkotyku, który miałby podobne działanie, a byłem na różnych szkoleniach.

Krótko streścił Żaboklickiej swoje przemyślenia na temat przyczyn zamachu. Rozciągnięty w sąsiednim pomieszczeniu redaktor głośno dodawał swoje komentarze. Najwyraźniej porzucił już ostatecznie teorię o likantropii i przystał na bardziej racjonalne rozwiązanie zagadki swojej chwilowej niepoczytalności.

– I znowu Kasia uratowała nam skórę! – wrzasnął na koniec.

– Ten zwierzak jest wart dwa razy tyle złota, ile waży – zgodziła się Magda. – Bo też i waży niewiele. A jak ona się czuje?!

– Tak jak ja. – Odpowiedź Waldemara wyjaśniała, czemu nigdzie nie widać wszędobylskiego zwierzątka.

– Czyli zgadzamy się, że na razie milczymy w sprawie psychotropów. – Piotr wrócił do zasadniczej kwestii. – A z Anatolem sam sobie pogadam.

– Obawiam się, że Tolek prysnął – wtrąciła Żaboklicka. – Już wczoraj rano to zaplanował i stąd bajeczka o zmarłym wujku.

– Może nie całkiem bajeczka. – Nowicki podrapał się po nosie. – Przecież rano jeszcze nie miał żadnych złych zamiarów i poczęstował nas ziólkami z czystej życzliwości. Autorów spisku musiał spotkać później. W Suwałkach albo, co bardziej prawdopodobne, już na miejscu, w domu Wójtowicza. Pewnie przyjechali

zorientować się w sytuacji i trafili na Kołodę, podczas gdy my siedzieliśmy na komendzie.

– Więc musiał znać ich już wcześniej. Skoro wpuścił bandytów, dlaczego po prostu nie przeszukali domu?

– Założę się, że przeszukali. Ale niczego nie znaleźli, bo niczego do znalezienia nie było. Z tym że ci dranie są bardzo podejrzliwi. Może słyszeli, że w willi Wójtowicz urządził różne skrytki? Przecież to był zwyczajny gangster, więc obracał się w ich środowisku. A może Anatol powiedział im o waszym odkryciu? Stał w korytarzu, kiedy opowiadaliście mi o pomieszczeniu w piwnicy. Kołuda mógł coś usłyszeć o tajnym schowku, ale nie sądzę, żeby zauważył dziurę pod schodami.

– Ja zakryłem ten otwór, jak tylko wyszli policjanci – wtrącił się nieobecny Mrocz. – Bałem się, że Kasia wpadnie do piwnicy.

– Ano właśnie! – Piotr ucieszył się, że ktoś potwierdza jego przypuszczenia. – Bandyci sądzili, że gdzieś ukrywacie fanty, więc postanowili was napaść i wydusić informacje.

– Doprowadzając nas wcześniej do stanu niepoczytalności? – powątpiewała Magda.

– Chcieli tylko wyeliminować Mrocza – wyjaśnił Piotr – I ewentualnie mnie. Kołuda wiedział z własnego doświadczenia, że wypity bimber jeszcze nam się przypomni i będziemy rozpaczliwie szukać ratunku. A tobie nic nie zaszkodziło. Już rano nie chciałaś pić jego burej nalewki. Miałaś być sama, bezbronna i chętna do zeznań.

– No to się przekonali, jaka ze mnie bezbronna dziewczyna. – Dziewczyna nadal pęczniała z dumy na wspomnienie bohaterskiej obrony. – Tylko jak Tolek dał radę obrócić do domu i przywieźć nową porcję babcinego dekoktu? To kawał drogi, w dodatku po śniegu.

– Wcale nie przyniósł. – Aspirant na wszystko miał gotową odpowiedź. – Po prostu zaparzył herbaty zmieszanej z jakimś zeschniętym zielskiem spod płotu.

Przecież ten wywar i tak miał nam zaszkodzić, a nie pomóc. Wystarczyło, że odpowiednio obrzydliwie smakował, żeby zamaskować narkotyki.

– Który dały mu te łobuzy – dokończyła Magda. – Ale skąd wiedzieli, że będą go potrzebować?

– Bo zawsze mają przy sobie odpowiednią dawkę. Pamiętasz, jak śmigwały te stwory na Górze Zamkowej? Prawie fruwały w powietrzu. Czy to ci czegoś nie przypomina?

– Waldemar... – mruknęła Żaboklicka, wzdrygając się mimowolnie. – Bałam się, że zaczniesz biegać po suficie.

– A teraz wyobraź sobie brutalnego oprycha. Wystarczy wziąć dawkę przed robotą i będzie nie do zatrzymania – westchnął Piotr. – Nieustraszony, silny jak goryl i czujny jak tygrys. To wyjaśnia okoliczności poprzednich napadów. Powyrywane drzwi, ogólna demolka i zeznania świadków, którzy mieli wrażenie obcowania z czymś nadprzyrodzonym. Bo w zasadzie mieli. Ten haj jest nie z tej ziemi. Sam wczoraj czułem, że gdybym tylko zapragnął, mógłbym skopać tyłek całej armii ninja lub podskoczyć na Księżyc. I chyba niewiele się myliłem, skoro dałem radę tu przybiec w olimpijskim tempie.

– Ale cena jest straszna! – zajęczał głośno za ścianą Mrocz, nadal niezdolny do opuszczenia swego matecznika.

– Fakt – zgodził się Nowicki, dotykając obolałych nóg. – Wcześniej czy później ta używka musi wykończyć każdego.

– Ale nie ciebie. – Magda zupełnie naturalnym gestem ujęła twarz aspiranta w dłoń i bez skrępowania pocałowała go w usta. Z języczkiem. – Jesteś nie do zdarcia, ogierze.

Oszołomiony Piotr zdał sobie sprawę, że z całą pewnością umyka mu jakiś istotny element rzeczywistości. Magda od rana zachowywała się co najmniej dziwnie. Jakby... jakby uważała, że zostali kochankami?! Ale przecież dziewczyna niczego nie zażywała, więc skąd się wzięły u niej podobne omamy? Ona nie ćpała, ale ty tak – odezwał się jakiś chłodny głos w głowie policjanta – niewiele

pamiętasz, a to, co bierzesz za wspomnienia, przypomina film animowany puszczone od końca. W którym łóżku spałeś? Może wcale nie miałeś mokrych snów?

Na podwórzu zachrząścił śnieg i głośno trzasnęły drzwiczki samochodu.

– Przyjechała szarża – wykrztusił Nowicki i szybko pobiegł do drzwi.

Po raz pierwszy w życiu czuł ulgę, spiesząc na spotkanie komisarza Korczakowskiego – wszystko wydawało się lepsze od niezręcznej sytuacji, z jaką przyszło mu się mierzyć w kuchni.

Magdę uraziła nieco obojętność okazywana przez Piotra po cudownych chwilach, które wspólnie spędzili w zaciszu jej sypialni, ale starała się tego nie okazywać. Tłumaczyła sobie, że wszystko stało się trochę za szybko i Nowicki, jak większość facetów, nie potrafi się odnaleźć w nowej sytuacji. Poza tym miał sporo innych kłopotów na głowie. Wystarczyło zerknąć przez okno, żeby przekonać się, że aktualnie zmartwień aspirantowi nie brakuje. Biegał wokół podwórza, odtwarzając elementy nocnej potyczki i wymachując rękami, tłumaczył coś zawzięcie ponuremu komendantowi, któremu towarzyszyła Rybińska. Twarz tej ostatniej co rusz wykrzywiał cyniczny uśmiezek. Jednak kiedy aspirant przyklęknął, wskazując w śniegu wyraźny odcisk zwierzęcego cielska w miejscu, gdzie zarył w zaspę znokautowany kaloryferem przez Mrocza pies, nawet ona okazała pewne zainteresowanie.

Szkoda, że bydlę się pozbierało i zdołało czmychnąć – pomyślała Żaboklicka. – Ach, gdyby tak ocknęło się dopiero teraz i użarło wredną babę w kościsty tyłek.

Zaraz jednak cofnęła się od okna i poszła do kuchni przygotować kawę, bo trójka funkcjonariuszy zawróciła w kierunku domu.

– Co tu tak zimno? – zahuczał w holu niski głos Korczakowskiego.

– Ogrzewanie wysiadło – poinformował Piotr, nie wdając się w szczegóły. – Jeżeli nie miałby pan nic przeciwko temu, komisarzu, to może bym to naprawił, zanim pojedę na posterunek? Mrocz nie nadaje się do niczego, a do wieczora woda w rurach zamarźnie.

– Zobaczymy – warknął komisarz. – No i co takiego, oprócz dodatkowego klucza, chciałeś nam pokazać? A tego klucza to ile osób już dotykało?

– Nikt poza włamywaczem. Wyjąłem go ostrożnie z zamka i zabezpieczyłem w kopercie.

Zaciekawiona Magda zerknęła do holu przez uchylone drzwi. Piotr coraz bardziej jej imponował. Wyczerpany i otumaniony narkotykiem nie zapomniał o zabezpieczeniu dowodu.

Wcale nie nałgałam Korczakowskiemu z tym zabezpieczaniem dowodów – pomyślała. – Zabezpieczał, biedaczek, tylko że trochę wcześniej.

– A teraz proszę za mną. – Piotr wyraźnie zyskiwał na pewności siebie. – Coś specjalnego schowałem w kotłowni.

Żaboklicka nie wytrzymała i podążyła za grupką policjantów korytarzem prowadzącym do garażu. Nowicki nawet słowem jej nie pisnął, że zebrał jakieś namacalne pozostałości po bandytach. Oby tylko nie zamierzał zaprezentować przełożonym howdaha, który jakimś tajemniczym sposobem gdzieś zniknął.

Zaferowani oficerowie nie zauważyli, że cywil w fioletowym dresie depte im po piętach. Aspirant uchylił drzwi do kotłowni, a Rybińska ciekawie przysunęła oko do szpary. Coś wewnątrz ciemnego pomieszczenia poruszyło się i warknęło głośno.

– Rany boskie! – pisnęła komisarz Rybińska wcale nie jak wysoki rangą funkcjonariusz policji, lecz raczej jak spłoszona pensjonarka. I raptownie odskoczyła od drzwi, wpadając przy okazji na Magdę i tracąc równowagę.

– Dzień dobry – powiedziała słodko projektantka, podtrzymując kobietę. – To pewnie ten zdechły pies?

Pytanie skierowała do Piotra, ale pełen złośliwej satysfakcji wyraz twarzy aspiranta wystarczył jej za odpowiedź.

W nocy Nowicki nie tylko pamiętał, żeby bezpiecznie przechować feralny klucz, ale zdobył się na znacznie większy wysiłek. Wiedział, że nadarza mu się jedyna okazja na udowodnienie istnienia potwornych psów, więc z mozołem

zawłókł pokonanego przez damski duet potwora do kotłowni. A teraz efekt starań przerósł jego najśmielsze oczekiwania. Zwierzak, który podczas transportu sprawiał wrażenie, jakby wydawał ostatnie tchnienie, doszedł jakimś cudem do siebie na tyle, żeby śmiertelnie wystraszyć nieustannie pokpiwającą z aspiranta przełożoną.

– Co tam jest, do cholery?! – zagrział Korczakowski, który nie miał okazji przyjrzeć się okazowi, bowiem Rybińska w ataku paniki natychmiast zatrzasnęła drzwi.

Oficer szarpnął klamkę, ale gdy tylko skrzydło uchyliło się na wystarczającą szerokość, w szparze pojawił się zakrwawiony pysk, kłapiący wrednie ogromnymi zębiskami. Głuche warczenie poniosło się echem po korytarzu.

– Cholera jasna! – Komisarza najwyraźniej cechowało pewne ubóstwo w dziedzinie epitetów.

Mężczyźni z trudem, posiłkując się celnie wymierzonymi kopniakami, wpełnęli paszczę z powrotem w mroczną czeluść pomieszczenia.

– Jak zaciągnąłeś tu to bydlę? – Korczakowski zapytał Piotra z pewną dozą podziwu, opierając się mocno o drzwi.

– Cóż, nie było to takie trudne – odparł z niewinnym uśmiechem funkcjonariusz – bo jak wspomniała pani Magda, był w zasadzie zdechły.

– Nie rób sobie jaj, Piotrek – ostrzegła Rybińska, która zdążyła już trochę dojść do siebie.

– Wilkołaki bardzo szybko się regenerują. – Czyjś słaby głos przerwał jej dalszą połajankę.

Wszyscy jak na komendę odwrócili głowy, aby przekonać się, że praca redaktora w poświęconym badaniu paranormalnych zjawisk miesięczniku nie należy do bezpiecznych. A raczej okazuje się skrajnie niebezpieczna. Panujący w korytarzu półmrok nie pozwalał dostrzec wyraźnie wszystkich obrażeń, którym w ostatnim czasie uległo drobne ciało Mrocza, ale choć litościwie zacierał szczegóły, mały redaktor mógł obudzić współczucie w najtwardszym sercu.

Spowita białym bandażem dolna kończyna współgrała kolorystycznie z owiniętym szarpami nadgarstkiem, który poharatała stalowa obręczka kajdanek. Na twarzy miał trzy wielkie, sine śliwy, rozmieszczone symetrycznie niczym wierzchołki równobocznego trójkąta. Z tym że o ile wielki guz na czole zaczynał już trochę żółknąć, to świeżo nabite przez włamywaczy lima pod oczami wpadały raczej w granat. Spuchniętą wargę oraz naderwane ucho można by w zasadzie pominąć w kontekście dziwacznie skulonej sylwetki, przywodzącej na myśl upośledzonego dzwonnika z Notre Dame. Wywichnięty bark nie pozwalał Waldemarowi w pełni się wyprostować, a obolałe z powodu zakwasów nogi trzymał lekko ugięte. Do piersi przyciskał kłębek zmierzwionego futra, w którym z najwyższym trudem dawało się rozpoznać energiczną zazwyczaj tchórzofretkę.

– Więc może trochę szkoda, że jednak nie stałeś się jednym z nich – powiedział ze współczuciem Piotr.

– Panie Waldemarze... – Rybińska wyraźnie siliła się na uprzejmość. – Bardzo nam przykro, że tak pan ucierpiał z powodu ataku nieznanymi sprawcami, ale właśnie próbujemy ustalić ich tożsamość, więc bardzo by nam pan pomógł, zachowując swoje teorie dla siebie i odpowiadając jedynie wyczerpująco na pytania.

– Kiedy właśnie przyszło mi do głowy, że gdyby udało się jakoś obłaskawić tego stwora, to... – Waldemar urwał na ostrzegawczy gest Rybińskiej, ale aspirant dokończył myśl za niego:

– To doprowadziłyby nas do włamywaczy. Pies zawsze wraca do właściciela.

– Cóż, genialne umysły rozumują w podobny sposób – mruknął Mrocz, niezadowolony, że ktoś mu ukradł kwestię.

– A niby jak zamierzasz oswoić tę bestię? – Korczakowski najwyraźniej powątpiewał w możliwość realizacji pomysłu Nowickiego.

– Ja się na tresurze nie znam – przyznał Piotr – ale może Radek Gralak z mojego posterunku mógłby rzucić okiem na zwierzaka. On kiedyś, zaraz po szkole, pracował z psami i ma do nich podejście. Raz, jak nas przy interwencji

opadły ostre kundle, to ja skakałem przez płot, a Radek tylko na nie popatrzył, wydał komendę, a one z podkulonymi ogonami podreptały do budy.

– No dobra. – Korczakowski po namyśle skinął głową, wreszcie odrywając się od drzwi kotłowni. – A nuż się uda, chociaż według mnie szanse są nikłe. Z drugiej strony jeżeli ten pomysł się sprawdzi, zaoszczędzi to masę żmudnej roboty. A ja nie mam teraz za wiele sił i środków, bo może się okazać, że w Suwałkach mamy seryjnego. Ktoś zgwałcił i zamordował już drugą dziewczynę. Więc zrobimy tak: poproszę Szota, żeby oddelegował ciebie i Gralaka tylko do tej sprawy. Ale nie na dłużej niż na dwa dni. Jeżeli pojutrze nie będzie wyników, to po prostu uśpiemy bydłę. Więc lepiej, żeby się kundel postarał. A i wy też.

Piotr miał nadzieję, że niejasna pogróżka komisarza nie oznacza, że w przypadku niepowodzenia również funkcjonariusze z Rutki poddani zostaną eutanazji. Jednak wolał nie drążyć tematu. Te dwa dni wolne od rutynowych obowiązków były mu bardzo na rękę.

– Tak jest, panie komisarzu. – Wyprężył pierś pod umorusaną smarem kufajką.

– Spisz dokładny raport i zamieść w nim zeznania pani Żaboklickiej oraz pana Mrocza. Nie mamy teraz czasu ich przesłuchiwać, w zasadzie to w ogóle nie powinienem się ruszać z komendy. Jak tylko pan Waldemar trochę dojdzie do siebie, to zapraszam państwa kolejny raz do Suwałk celem formalnego złożenia zeznań. Dopóki sytuacja się nie wyjaśni, aspirant Nowicki będzie ochraniać państwa i dom. A teraz, Piotrek, odprowadź nas do radiowozu i opowiedz, na jakiej podstawie wywnioskowałeś, że kolejnym celem tej psiej bandy będzie właśnie willa Wójtowicza.

Kiedy policjanci wyszli, Mrocz uśmiechnął się do Żaboklickiej. Trochę krzywo, z racji rozbitej wargi.

– Tym razem upiekło nam się maglowanie. Zdaje mi się, że czułem świeżo parzoną kawę. Napiłbym się czegoś ciepłego, zanim zamarzniemy.

– Było nie urywać kaloryferów – warknęła również zmarznięta Magda.

Choć tylko dla formalności udawała rozdrażnienie. W gruncie rzeczy była całkiem zadowolona z wyniku wizyty komisarzy. Zwłaszcza podobała jej się przydzielona ochrona. Taki ochraniający funkcjonariusz powinien być przecież do dyspozycji przez dwadzieścia cztery godziny na dobę.

Ledwo zdążyli rozsiaść się w kuchni i nalać po kubku kawy, wrócił Piotr. Po drodze musiał wstąpić do garażu, bo niósł skrzynkę z narzędziami.

– No to ja, zanim przyjedzie Radek, naprawię te kaloryfery – powiedział, nie patrząc Magdzie w oczy. – Jak raz jestem odpowiednio ubrany – dokończył i chyłkiem przemknął do jadalni, skąd zaraz zaczęły dobiegać jakieś zgrzyty i postukiwania.

Kolejne uniki Nowickiego nie uszły uwadze Magdy. Nie potrafiła dłużej usprawiedliwiać jego oziębłego zachowania. A w miarę jak łomoty się przedłużały, ogarniała ją coraz większa wściekłość. Co ten facet sobie wyobrażał? W nocy to miziu-miziu, a w dzień nawet do niej nie zagada ani nie przytuli. Czyżby się jej wstydział przed ludźmi? Dlatego że jest od niego odrobinę wyższa? A może uważa, że jest za gruba? Fajny kawał mięsa do łóżka, ale głupio się z taką na mieście pokazać?

Nie wiedziała, że Piotr właśnie zbiera się do konfrontacji z podniesioną przyłbicą. Było mu cholernie głupio, ale czuł, że nie może ciągnąć taktyki uników w nieskończoność. W innej sytuacji pewnie nie zdobyłby się na odwagę i zaraz po naprawieniu ogrzewania zniknął. Ale wyglądało na to, że przyjdzie mu spędzić w towarzystwie projektantki większość z najbliższych czterdziestu ośmiu godzin. Nie zdoła się ciągle chować po kątach. Więc gdy już zaślepił obie rury, westchnął głęboko, wyprostował się, obciągnął kufajkę i zawołał:

– Magda, mogłabyś mi tu pomóc?

Usłyszał, jak dziewczyna się zbliża, odrobinę zbyt głośno tupiąc. Weszła do jadalni, roztaczając aurę burzowej chmury, i z hukiem zatrzasnęła drzwi. Zamierzała mu powiedzieć parę niemiłych słów i zapewne zakończyć znajomość. Na szczęście Piotr zaczął konfrontację pierwszy, mocno niepewnym głosem:

– Przepraszam, tak naprawdę to skończyłem już tutaj robotę, ale muszę z tobą pomówić na osobności. Wiesz, ten narkotyk strasznie na mnie podziałał, nie tylko fizycznie. Zupełnie pokasowało mi pamięć. Za nic nie mogę sobie poukładać wydarzeń ostatniej nocy. To nie moja wina, tylko jakiś skutek uboczny tego cholerstwa. Proszę, powiedz, czy pomiędzy nami coś zaszło? Coś... no wiesz, obudziłem się w twoim łóżku, bez ubrania. Nie zachowywałem się jakoś niestosownie? Muszę wiedzieć, czy coś się stało! – Ostatnie zdanie miało charakter rozpaczliwego wołania o pomoc.

– To ty zupełnie nic nie pamiętasz? – Magda wybałuszyła oczy.

Spodziewała się po tej rozmowie najgorszych możliwych scenariuszy, ale akurat taki nie przyszedł jej do głowy. Zastanawiała się teraz gorączkowo, czy jest dobrze, czy może całkiem źle.

– Mam w głowie jakieś fragmenty, ale nie potrafię nawet odróżnić jawy od snów. Albo wyobrażeń. Okropnie mi głupio tak pytać, jeżeli wszystko w porządku, ale coś mi nie daje spokoju. Wiesz, krótko się znamy, ale bardzo cię lubię, to znaczy podobasz mi się... jako dziewczyna, więc może coś sobie wyobraziłem. Albo co gorsza, usiłowałem coś zrobić... – Piotr już zupełnie się zaplątał.

A jednak dobrze! – ucieszyła się w duchu Magda. – Ale żeby zupełnie zapomnieć o nocy z taką laską jak ja? Narkotyk nie narkotyk, należy się jakaś kara.

Więc głośno powiedziała:

– Aspirancie Nowicki, chcesz mi wmówić, że nie pamiętasz, jak się na mnie rzuciłeś? Jaka wyszła z ciebie bestia? Zakradłeś się do mojego pokoju, do łóżka, pod pozorem, że niby to chcesz mi rozgrzać nogi, a potem, nagle... och, nie mogę!

W oczach Żaboklickiej zakręciły się najprawdziwsze łzy. Lecz o tym, że wywołała je ulga, którą dziewczyna odczuła na wieść, że Piotrek jednak coś do niej czuje, wiedziała tylko ona. Grała tak dobrze rolę skrzywdzonej ofiary usiłującej zachować resztki godności, że Nowicki poczuł się jak najnędnniejszy robak. Bowiem zimne nogi owszem, pamiętał, więc i reszta musiała być prawdą.

– Czy ja...? – Aż zabrakło mu słów. Czuł, że traci grunt pod nogami.

– Jeśli musisz wiedzieć, żeby zaspokoić swoje męskie ego, to tak. Nie miałam jak się bronić przed twoją zwierzęcą siłą – jęknęła teatralnie Żaboklicka. Po czym, żeby facet wiedział, co traci przez farmakologiczną sklerozę, niemal z lubością zaczęła wspominać przyjemne chwile: – Wyobracałeś mnie na wszystkie strony. Raz na górze, raz na dole, przetestowałeś na mnie chyba z pół kamasutry, i to ze trzy razy. A potem spokojnie zasnąłeś, jakby nigdy nic.

Ogólny opis zgadzał się dokładnie z pewnymi pikantnymi szczegółami, które od rana prześladowały Piotra jako elementy jego domniemanego snu, więc funkcjonariusz pobladł gwałtownie.

– O mój Boże, jestem seksualnym przestępcą!

Magda spostrzegła, że chyba trochę przesadziła. A nawet bardziej niż trochę, bo aspirant sprawiał wrażenie, że zaraz zemdleje. Oczy mu przygasały, a czoło zrosił zimny pot. Poczowała wyrzuty sumienia, że sroga kara okazała się nieadekwatna do winy. Urażona próżność sprawiła, że zupełnie zgnoiła biednego chłopaka. Ale nie przypuszczała, że aż tak się przejmie.

– No, nie jest tak źle – spróbowała niezręcznie wybrnąć z sytuacji. – Przecież wiem, że to nie twoja wina. Ten narkotyk odbiera kontrolę i wyzwala najniższe instynkty. To znaczy nie najniższe – poprawiła się szybko – tylko takie szczerze, z głębi duszy. Człowiek bez zahamowań robi to, czego pragnie. Bo przecież miałeś na to ochotę? – Chciała się upewnić.

Poniewczasie zdała sobie sprawę, że w gruncie rzeczy to ona mogła dopuścić się molestowania otumanionej psychotropami ofiary, a teraz jeszcze odwraca kota ogonem i wpędza ją w nieuzasadnione poczucie winy. Poczowała się co najmniej paskudnie.

– Jak ty mnie musisz nienawidzić. – Przygnieciony bezmiarem własnej ohydy Piotr zapomniał, że tym, co zwróciło jego uwagę na nienaturalne zachowanie Magdy, bynajmniej nie były przejawy odrazy. Wręcz przeciwnie.

– To miałeś ochotę czy nie?! Gadaj, zamiast się mazgać. – Magda postąpiła krok w jego stronę.

Musiała szybko rozstrzygnąć tę kwestię, bo inaczej wyszłoby na to, że podstępnie zgwałciła niewinnego faceta i jeszcze się nad nim pastwi. Już wystarczająco dręczyły ją wyrzuty sumienia.

– Miałem! – zawył Piotr.

Nie mógł skłamać, bowiem w tej chwili widział przed sobą w życiu jeden cel. Zawsze, bez względu na konsekwencje, mówić prawdę. Chodzić regularnie do spowiedzi. Wspierać sieroty i wdowy. Za cenę życia bronić niewinnych. Może dzięki dozgonnej pokucie bliźni nie wyrują na jego nagrobku wielkiego napisu ŚWINIA.

Niespodziewanie przeżył kolejny szok, gdyż Magda przywarła wilgotnymi wargami do jego ust. Dłuższą chwilę wyczyniała jakieś figle językiem, korzystając z faktu, że Nowickiemu opadła szczęka, po czym odlepiła się od niego i spokojnie stwierdziła:

– No to wszystko w porządku. Już się na ciebie nie gniewam. W gruncie rzeczy nie należy przesadnie tłumić popędów, ponieważ to bardzo niezdrowe dla psychiki. A właściwie należałoby powtórzyć dzisiaj te wszystkie numerki, ale już na spokojnie, żebyś wszystko dobrze zapamiętał. Nie sądzisz?

Ale nie doczekała się odpowiedzi, ponieważ skrajnie otumaniony Piotr zastygł w stuporze. I pewnie jeszcze długo trwałyby w katatonicznym bezwładzie, gdyby spoza drzwi nie dobiegł zrzędlivy głos redaktora:

– Przestańcie się tam migdalić czy naprawiać rury, czy jak to się teraz nazywa, bo jakiś radiowóz właśnie parkuje na podwórzu.

Lekko szturchnięty przez Magdę Piotr, niczym automat, pomaszerował posłusznie do holu. Jego pozbawiona podpory zwiotczałych mięśni szczęka swobodnie kołysała się w rytm kroków.

Żaboklicka zaś, ogólnie zadowolona z siebie oraz z efektu dialogu, zastanowiła się, czy Mrocz, który znacznie wolniej od aspiranta pozbywał się skutków działania narkotyku, wciąż jeszcze ma słuch jak nietoperz. Niebawem upewniła się w swoich podejrzaniach. Gdyby pełne dezaprobaty spojrzenie, którym obdarzył ją Waldemar,

pozostawiało jakieś wątpliwości co do faktu, że wszystko słyszał, to rozwałby je rzucony półgłosem komentarz:

– Przegięłaś, dziewczyno.

Magda oblała się rumieńcem po uszy, choć po prawdzie gdyby miała wykazać się minimum przyzwoitości, powinna płonąć czerwienią już od dobrego kwadransa. Bez słowa minęła redaktora i pospieszyła do łazienki spryskać wodą palące policzki. Rzucając wyzywające spojrzenie swojemu buraczkowemu odbiciu w lustrze, pomyślała, że coś się w niej zmieniło. Niezłomność w obliczu licznych niebezpieczeństw hartuje psychikę, ale w niej wyzwolił się jakiś drapieżny instynkt Maty Hari. A pieprzyć – pomyślała, obserwując, jak szybko znikają wypieki – wreszcie dostaję to, czego chcę. Koniec z udawaniem Kopciuszka. I wyciągnęła z kieszeni telefon. Sprawdziła dostęp do sieci, a potem wykręciła numer Katarzyny Ołowik, żeby zażądać podwyżki.

– Piotrek, co ci jest? – wystraszył się Radek Gralak, widząc swojego kolegę z posterunku. – Chory jesteś czy tak cię Korczakowski zgnoił?

Oczekujący Gralaka na ganku Nowicki odetchnął kilka razy mroźnym, rześkim powietrzem i poczuł, że odrobinę dochodzi do siebie.

– Wiesz, Radek, ja zupełnie nie rozumiem kobiet – stwierdził melancholijnie zamiast powitania.

W odzyskaniu duchowej równowagi aspirantowi pomogła odrobinę pogoda. Dzień był piękny, choć słupek rtęci w termometrze oscylował w okolicach minus piętnastu stopni. Na lazurowym niebie unosiła się jaskrawa kula słońca, którego figlarne promienie zmieniały śnieżne zaspy w roziskrzone stosy diamentów. Pasma spowitych bielą morenowych wzgórz rozciągały swe cielska ku linii horyzontu, nabierając wraz z dalą odcienia indygo. Krystalicznego powietrza nie mącił najmniejszy poryw wiatru, wszechobecna cisza oblepiała uszy jak niewidzialna wata. Niewymowny spokój i dostojeństwo suwalskiej krainy kołysały duszę niczym balsam.

– No to gdzie jest ten potwór, którego mam poskromić? – zniecierpliwił się Gralak i opuścił wyciągniętą na powitanie rękę, którą zapatrzony marzycielsko w dal Piotr zupełnie zignorował.

– A, tak. – Aspirant wzdrygnął się, jak przebudzony ze snu, i zebrał się w sobie, odzyskując namiastkę dawnej energii. – Siedzi zamknięty w kotłowni i nie wiem, jak go stamtąd wyciągniemy, a muszę wejść do środka, żeby zalać instalację i włączyć piec centralnego ogrzewania. Awaria była.

– To prowadź, zamiast marzyć jak Romeo. – Radek na podstawie mętnej uwagi rzuconej przez kolegę domyślił się, że tamtego dręczą jakieś problemy natury

sercowej. Ale nie zamierzał dochodzić ich sedna, ponieważ należał do tej nielicznej grupy praktycznych z natury ludzi, których uczuciowe rozterki bliźnich zupełnie nie obchodzą.

Wszedł za Piotrem do wysokiego holu, a stamtąd na prawo do wąskiego korytarza. Nigdy nie był w owianej złą sławą willi, więc ciekawie rozglądał się na boki. W uchylonych drzwiach odległej kuchni zamajaczyło mu jakieś wynędzniałe widmo przyjaźnie machające upiornie białą dłonią. Skonfundowany odwzajemnił gest i szeptem zapytał:

– Co to za zmora?

– To tylko redaktor Mrocz – odparł beztrosko Piotr. – Chwilowo tu pomieszkuje. Faktycznie nie prezentuje się obecnie najlepiej. Natura obdarzyła go nikczemną postacią, a ostatnio pogryzły go psy i pobiło trzech byków włamywaczy. Poza tym chyba jeszcze sobie coś zrobił, ale nie pamiętam dokładnie co. Miły facet, tylko zakręcony na punkcie zjawisk paranormalnych.

– Chyba powinien być w szpitalu – zasugerował Gralak.

– Chyba tak – zgodził się z roztargnieniem Nowicki – ale nic z tego nie będzie, dopóki wciąż jeszcze wierzy, że uda mu się gdzieś tu przydybać prawdziwego wilkołaka.

– Serio?! – zdziwił się naiwnie Gralak.

Piotr zatrzymał się przed metalowymi drzwiami.

– To tutaj. Zajrzyj do środka, tylko ostrożnie. Ta bestia bardzo chce się wydostać na wolność.

Gralak uchylił drzwi i scenariusz z kłapiącym pyskiem się powtórzył. Z tym że teraz obeszło się bez brutalnych scen. Poskramiacz dał psu powąchać swoją dłoń – naturalnie zachowując bezpieczną odległość od morderczych kłów – przemawiał trochę cichym spokojnym głosem, następnie ostrzejszym tonem wydał komendę i paszcza zniknęła.

– Pies jest bardzo poraniony. – W słowach funkcjonariusza zabrzmiał oskarżycielski ton.

– Broniliśmy się tylko. Gdyby po pierwszym ostrzeżeniu bydlę dało nam spokój, nikt by go dalej nie tłukł. Ale ten zwierzak to zakręcony morderca. – Piotr zastanawiał się, dlaczego w zasadzie się tłumaczy.

– Nie ma czegoś takiego jak pies morderca – westchnął smutno Gralak. – Winny jest zawsze właściciel, chyba że w grę wchodzi jakaś choroba.

– Możesz go jakoś wyprowadzić z kotłowni? – Nowicki nie miał nastroju do rozczulania się nad uwięzionym potworem. – Choćby tu obok, do garażu. Muszę włączyć piec centralnego ogrzewania.

– Nie teraz. Potrzebna mi smycz, poskrom i kaganiec. Muszę pojechać do domu po sprzęt, bo przyleciałem tutaj prosto z patrolu. Swoją drogą jak namówiłeś Korczakowskiego, żeby dał nam tę sprawę z psem?

– Zabiorę się z tobą, to opowiem ci wszystko po drodze. Muszę się przebrać, a potem pozałatwiać jeszcze kilka spraw. Kiedy masz odstawić radiowóz? – Piotr przewidywał, że eufemistycznie wzmiankowane „kilka spraw” pochłonie mu większą część dnia.

– Szot mi nic nie mówił na temat radiowozu, więc chyba na koniec dyżuru – wzruszył ramionami Gralak.

– Dobra, ruszajmy zaraz, bo chcę być z powrotem, zanim zrobi się zupełnie ciemno. Oby rury nie zamarzły. – Piotr rażno skierował do wyjścia.

– Czekaj, trzeba tego psa napić – powstrzymał go Gralak. – W zasadzie powinien go obejrzeć weterynarz, ale wtedy nie obejdzie się bez narkozy, a środek nasenny może mu jeszcze bardziej zaszkodzić. Może zdołam go potem jakoś samemu poopatrywać. Daj mi jakąś miskę z wodą.

– No to chodźmy do kuchni – zgodził się bez entuzjazmu aspirant.

Tym razem na progu kuchni Gralak natknął się na jakąś postawną młodą kobietę.

– Magda, to jest Radek Gralak, pomoże nam z psem – zaanonsował go Piotr dziwnie zmienionym głosem. – Magda Żaboklicka zarządza tą przebudową.

Mogłabyś nam dać jakąś miskę? – Zwykła prośba o naczynie została wypowiedziana tonem, jakim skazańcy w ostatnim słowie zwykli żebrać o łaskę.

– Już, już szukam. A jaką chcesz, Piotrusiu, emaliowaną czy stalową? – Z kolei dziewczyna nie zachowywała się wcale jak surowy sędzia. Już raczej jak świeżo upieczona małżonka podczas miesiąca miodowego.

O, chyba właśnie widzę problem Piotra – pomyślał mimo woli Radek. – Faktycznie duży gabarytowo, ale jakoś nie budzi grozy. Wręcz przeciwnie.

– Chcecie obejrzeć naszych nocnych gości? – zawołał niespodziewanie z sąsiedniego pokoju Mrocz.

Cała trójka zaciekawiona pobiegła do jadalni.

Waldemar, okryty starym kocem, siedział po turecku na kanapie. Bynajmniej nie medytował, tylko podkulił nogi, żeby uniknąć kontaktu z mokrą podłogą, którą wzdłuż zewnętrznych ścian zaczynała już pokrywać biała szadź szronu. Odwrócił w kierunku przybyłych ekran trzymanego na podołku laptopa.

– Wczoraj zupełnie zapomniałem o kamerce na ganku, a przecież mogliśmy w prosty sposób uniknąć ataku. Wystarczyło monitorować wejście. Wszystko przez fakt, że byłem taki... – Zerknął na obcego funkcjonariusza i dokończył: – ... niedysponowany.

Na ekranie ciemne sylwetki płynnymi, kocimi ruchami podkładały się do drzwi wejściowych willi.

– O, widzisz dwa psy? – zapytał kolegę Piotr. – Ten drugi też oberwał, ale się do rana pozbierał i uciekł.

– Ci włamywacze dziwnie się poruszają. – Gralak nie krył zdumienia. – Nie całkiem jak ludzie. Cholera, widziałeś, jak przeskoczył maskę tego samochodu? Jak kangur.

– O, właśnie, a co się stało z lexusem Waldemara? – Nowicki dopiero teraz zorientował się, że rano pojazdu już nie było na ganku.

– Przetawiałam samochód, jak tylko wstałam – wyznała Magda. – Nie chciałam, żeby ktoś pytał... – Nie dokończyła, podobnie jak Mrocz zerknąwszy

uprzednio na Radka.

Nie w ciemną bity Gralak zorientował się, że mieszkańcy willi ukrywają jakąś tajemnicę, ale chwilowo nawet nie usiłował jej rozwikłać, bowiem kolejne sceny nagrania pochłonięły go bez reszty.

Obecnie u skraju ekranu widział tylko ramiona i czubki głów intruzów, którzy przywarli do elewacji budynku. Obiektyw szerokokątnej kamery zamocowanej tuż nad wejściem spoglądał na nich niemal pionowo. Obraz pojaśniał, kiedy skrzydło drzwi uchyliło się pod kątem czterdziestu pięciu stopni i przez szczelinę padł na ganek blask z oświetlonego holu. Pierwszy z włamywaczy dał krok do przodu, po czym w ułamku sekundy odskoczył, kryjąc się za framugą. Reakcja wydawała się nierealnie szybka, jakby ktoś wyciął kilka klatek filmu. A potem z wnętrza domu buchnął kłęb dymu i iskier. Zjawisku towarzyszył krótkotrwały błysk, który na moment oślepił kamerę. Groźny gejzer załamał się pod kątem prostym po uderzeniu w drzwi. Wprawdzie ominął prowodyra, ale ogarnął dwóch czających się za jego plecami kompanów i wnosząc po gwałtownych gestach, przyprawił ich o szereg obrażeń. Niewątpliwie niezbyt poważnych, sądząc po tempie, w jakim uciekali. Wkrótce potem obraz zamigotał i rozpląnął się w szarym śnieżeniu.

– O, tutaj urwał się kaloryfer i woda zalała kable – skomentował Mrocz. – Zasilacz leżał na podłodze i zrobiło się zwarcie.

Gralak zerknął na zaślepione prowizorycznie rury, ale powstrzymał się od pytań, choć zdawał sobie sprawę, że grzejniki ot tak nie odpadają ze ściany. Zamiast tego stwierdził:

– Mieli kominiarki, szkoda. Chociaż nagranie jest liche, więc i tak nie udałoby się pewnie nikogo zidentyfikować na jego podstawie. A już na pewno nie stanowiłoby niepodważalnego dowodu dla sądu.

– To dobrze, że mieli kominiarki. – Piotr wyraził odmienny pogląd. – Raczej nie zamierzali nikogo zamordować. Tylko po co wszyscy trzej ubrali się w kożuchy wywrócone futrem na wierzch i papachy? Wprawdzie mamy mróz, ale ani to

praktyczne, ani modne. Chyba tylko paru dziadków w okolicy nosi jeszcze takie baranice.

– Za to jakie robią wrażenie! W ciemności przypominają bestie z sennych koszmarów – wtrąciła Magda, która sama miała okazję przekonać się, że prymitywne kostiumy są w stanie wzbudzić grozę.

– Cóż – westchnął z goryczą rozczarowany Mroczyk – obawiam się, że jednak nie dane mi będzie odnaleźć prawdziwego wilkołaka. To tylko ucharakteryzowani ludzie. Oraz psy, które nie wymagają charakteryzacji, bo z natury są takie duże i brzydkie. Wciąż miałem nadzieję, że ten zamknięty w kotłowni jednak się przeistoczy.

– Przynajmniej nie grozi ci nic poza wściekizną – pocieszyła redaktora dziewczyna, wprawiając w zdumienie Gralaka, który nie bardzo potrafił sobie wyobrazić przypadłość gorszą od wściekizny.

– Może nie wszystko jeszcze stracone – pocieszał się Mroczyk. – W końcu od początku zakładałem, że likantropia niekoniecznie musi się wiązać z fizyczną przemianą. Może to jakaś endemiczna psychiczna dewiacja.

Spod spowijającego jego drobne ciało koca leniwie wypełzł podługowaty futrzasty stworek i sięgnął pyszczkiem do stojącego na kanapie spodeczka. Rozległo się głośne mlaskanie.

– Jaka ładna tchórzofretka. – Radek lubił wszystkie zwierzaki. – Ale nie powinien pan jej dawać herbaty, bo będzie od tego chorować.

– Tylko odrobinę słabiutkiego naparu – tłumaczył się zmieszany Waldemar. Zdawał sobie sprawę, że częstowanie fretki herbatą to trochę jak pojenie dziecka alkoholem, ale Kasia tak bardzo prosiła. – Strasznie cierpiała po tym narko... – Poniewczasie ugryzł się w język.

– Dobra. – Piotr machnął ręką. – I tak wcześniej czy później Radek powinien się wszystkiego dowiedzieć, zwłaszcza że potrzebujemy jego pomocy. Widzisz, ci dranie nas wczoraj struli – zwrócił się do kolegi i pokrótce zapoznał go z fatalnymi rezultatami spożycia Tolkowego naparu.

– Cud, że tchórzofretka to przeżyła. – Gralaka wyraźnie najbardziej poruszył los zwierzątka. Pochylił się i nie bacząc na żywiołowy protest, zabrał Kasi spodeczek. – Żadnych trucizn więcej. Niech pan jej nie karmi przynajmniej do wieczora i poi dużą ilością wody. One są bardzo wrażliwe na wszelkie chemiczne substancje. Dlatego nie przypuszczam, żeby podano wam coś syntetycznego. Raczej jakiś wyciąg roślinny albo coś z grzybów. Inaczej organizm zwierzaka nie dałby rady zmetabolizować tego środka. Trzeba zarządzić poszukiwania Kołudy – zwrócił się do Piotra.

– Owszem, poszukamy go. Zaraz sami do niego pojedziemy – odpowiedział spokojnie Nowicki, który miał już starannie opracowany plan najbliższych poczynań.

– Nie ruszajcie się nigdzie i spróbujcie nie zamarznąć – wydał dyspozycje lokatorom willi. – Zamknijcie dobrze drzwi i otwórzcie dopiero...

– Tak, wiemy – parsknęła Magda, niezadowolona, że znowu spycha się ją na boczny tor. – Dopiero kiedy zastukasz w umówiony sposób i pokażesz kopytko. Przynajmniej zrób jakieś zakupy, bo nawet chleb się już skończył.

Policjanci wrócili dopiero koło osiemnastej, kiedy po radosnych promieniach zimowego słońca dawno nie było już śladu. Co gorsza, po zmroku temperatura spadała w zastraszającym tempie. Lokatorzy domu nad jeziorem marzli, niecierpliwie czekając na ratunek. Piotr z trudem rozpoznał Magdę w groteskowej postaci, która powitała go w progu. Dziewczyna stopniowo zakładała kolejne ciepłe rzeczy, które znajdowały się w jej w szafie, więc zaczęła przypominać okutanego w różnokolorowe szmatki bałwana. Tylko jej szare oczy wзираły z wąskiej szparki pomiędzy głęboko naciągniętą na czoło wełnianą czapą a wzorzystym szalem zasłaniającym zziębnięty nos.

– Nareszcie – jęknęła. – Gdzieś ty się włóczył? Wypiliśmy już całą herbatę i chyba gaz się kończy w butli.

– A woda z kranu jeszcze leci? – zaniepokoił się Nowicki.

W domu przebrał się w służbowy mundur i ogolił, ale twarz miał poszarzałą i ściągniętą ze zmęczenia.

– Ciurka. – Żaboklicka pożądlawie zerknęła na przyniesioną przez aspiranta reklamówkę.

– Nie miałem czasu się włóczyć po sklepach, ale zadzwoniłem do Jelonka i przygotowali nam wałówkę na wieczór – wyjaśnił Piotr, dumny ze swej pomysłowości. – Nawet nie wiem, co tam jest, bo tylko odebraliśmy pakunek po drodze.

– Dawaj – rozkazała wygłodzona dziewczyna, przełykając ślinę.

Jelonek kojarzył się jej z dobrą regionalną kuchnią.

– To ja pójdę do psa – mruknął całkowicie zignorowany Gralak i potrząsając smyczą, skierował się do kotłowni. W drugiej ręce niósł pokaźny worek z psią

karmą oraz teleskopowy poskrom. – Zanim zaczniecie się opychać, weźcie pod uwagę, że przyda mi się pomoc i druga miska. Chyba że nie ma pośpiechu z uruchomieniem pieca – rzucił przez ramię.

– Może być głęboki talerz? – Udrapowany w togę z dwóch koców Mrocz już nadbiegał z kuchni.

Redaktor poruszał się dużo sprawniej, a co więcej, wokół jego stóp podskakiwała radośnie zjeżona tchórzofretka. Nastroszone futerko nie znamionowało tym razem stresu, lecz jedynie stanowiło reakcję na skrajną temperaturę.

– Uchyl drzwi – nakazał Nowickiemu Gralak, kiedy we dwóch znaleźli się na progu kotłowni. Jednocześnie starannie rozkładał poskrom.

Aspirant bardzo ostrożnie spełnił polecenie. Z pomieszczenia dobiegło basowe ujadanie, które zaraz przeszło w warkliwe wycie.

– Szerzej – komenderował Radek.

Gwałtowne szarpnięcie omal nie wyrwało Nowickiemu klamki z dłoni. Pies wepchnął łeb w szczelinę i napał barkami na drzwi. Zaraz jednak zaskomlał i usiłował się cofnąć, ale Gralak zdążył zarzucić mu pętlę na szyję. Jednak pies z desperacją zapierał się łapami, usiłując ukryć się na powrót w kotłowni. I zupełnie nie zwracał uwagi na boleśnie wżynającą mu się w kark linkę.

– Co jest z tym zwierzakiem? – zdziwił się poskramiacz, który spodziewał się zupełnie innej reakcji.

– Mam cię, jajogryzie. – Magda złapała tchórzofretkę, która chyłkiem podkradała się do drzwi kotłowni. Ściskając wijącą się Kasię, wyszła do holu i zawołała: – Proszę spróbować teraz!

Rzeczywiście, groźny zwierz, kiedy tylko zorientował się, że w progu nie czai się miniaturowy prześladowca, pozwolił się zaprowadzić do garażu bez większych protestów. W nagrodę dostał chrupkę, którą pożarł łakomie i wyraźnie czekał na dokładkę, śliniąc się obficie.

– A, tu cię mam! – ucieszył się Gralak.

Piotr doszedł do wniosku, że już może pozostawić kolegę sam na sam z potworem, więc wycofał się ostrożnie i dziarsko wkroczył do kotłowni.

– Trzeba tu będzie posprzątać – westchnął, ponieważ od razu wdepnął w psią kupę.

Jednak nie tracił czasu na szacowanie skali organicznych pozostałości po więźniu, tylko zabrał się za piec. Olej zgęstniał, ale policjantowi w końcu udało się uruchomić urządzenie. Gdy tylko zahuczał palnik, w całym domu zaczęły się rozlegać podejrzane chroboty i trzaski. Willa Wójtowicza powoli tajała.

Aspirant upewnił się, że Gralak, zajęty oswajaniem nowego podopiecznego, nie potrzebuje jego pomocy, i podreptał do kuchni. Dziewczyna i Mrocz klęczeli przed kaloryferem. Bynajmniej nie oddawali bałwochwalczej czci radiatorowi, tylko grzali z lubością przemarznięte dłonie.

– Taki wypasiony dom, a nie ma nawet kominka, żeby się jakoś ratować – narzekała Magda.

– Bo on jest energooszczędny, to znaczy, że ma wentylację mechaniczną z rekuperacją – wyjaśnił fachowo Waldemar. – A to oznacza, że dla zachowania bilansu powietrza nie powinna występować dodatkowa wentylacja przez przewody kominowe. Jednym słowem: albo energooszczędność, albo stary, dobry kominiek.

– Przecież to bez sensu w takiej głuszy, gdzie w zimie co i rusz bywają przerwy w dostawie prądu – zdziwiła się Żaboklicka.

– Owszem – zgodził się melancholijnie Mrocz. – Oto dwudziesty pierwszy wiek. Kiedy nie ma prądu, nie cofamy się do osiągnięć cywilizacyjnych rodem ze średniowiecza, typu piec, tylko od razu do prehistorii. I to nie do czasów neandertalczyka, który kulturalnie podpiekał sobie mamucie szaszłyki na ognisku, tylko jakiegoś australopiteka, który nie opanował jeszcze sztuki niecenia ognia. Tyle że australopitek przezornie nie opuszczał Afryki.

– Jak już jesteśmy przy szaszłykach – odezwał się Piotr – to może sprawdzimy, jakie wiktuały zaserwowała nam pani Wanda z Jelonka.

– Och, tu jest wszystko! – Uradowana Magda zerwała się z kolan i wymotała z chustki zaróżowioną twarz. – Cały przekrój menu. Kartacze, babka ziemniaczana, schabowe z kapustą, a nawet ozorki w sosie chrzanowym. Dlaczego ja nie wiedziałam, że tam można zamawiać catering?!

– Bo w zasadzie nie można – wyjaśnił aspirant. – Ja mam specjalne chody.

Zauważył, że stopniowo przestaje panicznie bać się Magdy. Dziewczyna zachowywała się tak swobodnie, jakby w gruncie rzeczy nic wielkiego się nie stało, więc może on powinien postępować podobnie? Tylko dlaczego wcześniej zrobiła mu taką scenę?

– Jedzmy, póki jeszcze ciepłe – zaproponował Mrocz. – Gaz w butli się kończy i szkoda go marnować na podgrzewanie. A co wam się udało zdziałać w szerokim świecie?

– Radek, zostaw potwora i chodź jeść! – wrzasnął Nowicki, sadowiac się za stołem. Potem zwrócił się do lokatorów domu nad jeziorem: – Więc tak... Kołuda faktycznie się zmył. W domu zastaliśmy tylko jakąś babcię, pewnie tę od ziółek, która albo ma bardzo daleko posuniętą demencję, albo doskonale udaje sklerozę. W każdym razie niczego się od niej nie dowiedzieliśmy... O, dziękuję – uśmiechnął się do Magdy serwującej mu kopiasto wyładowany talerz. Przez chwilę żuł gorączkowo. – Ale popytaliśmy po sąsiadach i okazało się, że Kryśka Bożelakowa, ta, co sprzątała u Wójtowicza, wczoraj po południu zawiozła Tolka na dworzec autobusowy w Suwałkach. Stamtąd odchodzą autobusy do Olecka, ale też w dziesiątkach innych kierunków, więc trzeba będzie rozpocząć oficjalnie poszukiwania Kołudy, ponieważ nie ulega wątpliwości, że Anatol zna ludzi, którzy maczali palce we wszystkich rozbojach. Najprościej byłoby go znaleźć i przycisnąć, zamiast bawić się z psem.

– Cały czas ci to powtarzam – mruknął Gralak, który właśnie odbierał od Żaboklickiej swoją porcję przysmaków.

– Tak, ale nie chcę mówić Korczakowskiemu, że przyleciałem na interwencję naćpany – najeżył się aspirant. – Ty byś się wyrywał?

– No nie, ale przecież jakoś trzeba...

– I właśnie dlatego odwiedziłem Zenka Malinowskiego – uciał Nowicki. – A właśnie, obiecał, że będzie miał wstępne wyniki na wieczór. Już siódma, więc chyba pora do niego zadzwonić.

Wyjął telefon, nastawił na tryb głośnomówiący i wybrawszy numer znajomego, położył aparat na stole.

Kiedy Gralak pojechał do swojego mieszkania w Suwałkach po sprzęt niezbędny do okiełznania psa, aspirant skorzystał z okazji i odwiedził na komendzie dawnego kolegę ze szkolnej ławy. Malinowski chętnie zgodził się pomóc i przebadac resztki babcinych ziółek pod kątem zawartości narkotyków. Akurat wybierał się do laboratorium w Białymstoku z jakimiś próbkami. Pochwalił się, że zarządzająca pracownią chemiczną laborantka czuje do niego miętę i na pewno nie odmówi prośbie, żeby wziąć ziółka na warsztat poza kolejnością. Tym bardziej że testy na obecność popularnych substancji psychoaktywnych nie należały do skomplikowanych.

– Cześć, masz coś? – zapytał niecierpliwie Piotr, kiedy tylko w głośniku zabrzmiał głos Zenka.

– Stary, ale żeś nam zagadkę zaserwował! – Zenek wydawał się raczej zaintrygowany niż niezadowolony. – Skąd wytrzasnąłeś taki specyfik?

– A co, nie było narkotyków? – zaniepokoił się podwładny Korczakowskiego.

– Były, były. Głównie zwykła metamfetamina. I ja bym pewnie na tym poprzestał, ale Beatka... – Zenkowi zapewne chodziło o wybrankę jego serca – ... jest niesamowicie skrupulatna. No więc pogrzebała głębiej i okazało się, że próbka zawiera jeszcze jakąś czynną substancję, a w zasadzie cały bukiet. Nie wiemy na razie, co to takiego, sprawa wymaga dłuższych analiz, a żeby je przeprowadzić potrzebujemy oficjalnego zlecenia. W każdym razie to jakieś enzymy, najprawdopodobniej z grzybów, choć poruszamy się w sferze hipotez. Cholernie jestem ciekaw, jak ta mieszanka działa.

– Wolałbyś nie wiedzieć, wierz mi – mruknął Piotr. – W każdym razie bardzo ci dziękuję. I podziękuj ode mnie pani Beacie. Możesz liczyć, że w najbliższym czasie będziecie mieli okazję popracować nad tym zupełnie oficjalnie. Stawiam piwo. Dwa piwa.

Nowicki zakończył rozmowę i zwrócił się do Gralaka:

– Więc możemy oskarżyć Tolka o posiadanie narkotyków i próbę otrucia. Zaraz zadzwonię do Korczakowskiego.

– A jak wyjaśnisz, co cię niby natchnęło, żeby nieoficjalnie testować Tolkowe remedium na kaca? – Radek zgłosił słuszną obiekcję.

– Jak się lepiej poczułem, to już się nie boję badań psychiatrycznych ani innych szykan – wtrącił Mrocz i dumnie wypiął chuderławą pierś. – Piotrek jak zwykle może wszystko zwalić na mnie. Powiedz prawdę. Że wypilem ziółka, a potem zachowywałem się dziwniej niż zwykle i to wzbudziło twoje podejrzenia.

Nowicki zabrał ze stołu telefon i wyszedł do holu. Nie chciał pozostałym przeszkadzać w posiłku, a opierając się na licznych własnych doświadczeniach, spodziewał się, że rozmowa z komisarzem może wszystkim odebrać apetyt.

Nie było go dosyć długo i wrócił dziwnie zamyślony.

– I co? – spytała zaniepokojona Magda.

– W porządku – odparł z roztargnieniem aspirant – już szukają Kołudy. Na razie zawiadomią posterunki w Olecku, a jutro wystąpią do prokuratora o oficjalny nakaz zatrzymania. Ale dowiedziałem się jeszcze kilku ciekawych rzeczy. Nie zgadniecie, czyje odciski palców były na tym kluczu, którego użyli włamywacze. Świętej pamięci Henryka Romanowskiego! A to jeszcze nie wszystko. Sprawdzili na wszelki wypadek bilingi ofiar i okazuje się, że pan Henryk kilkanaście godzin po swojej śmierci wysłał SMS do Łosia.

– Znowu robi się niesamowicie – wzdrygnęła się Żaboklicka.

– Nie za bardzo. – Piotr wzruszył ramionami. – Telefonu Romanowskiego nigdzie nie znaleziono, więc należy przypuszczać, że zabrali go włamywacze i to oni wysłali wiadomość. Nawiasem mówiąc, Łoś i Romanowski ostatnio

podejrzanie często ze sobą rozmawiali. Zresztą znamy już treść tego pośmiertnego SMS-a, bo telefon Łosia zabezpieczono w pensjonacie. Widocznie nie zabrał go na swoją ostatnią przechadzkę. Ktoś w imieniu kustosa napisał: „Gdyby mi się coś stało, natychmiast przenieś skarb w inne miejsce”.

– Chcieli wywabić Łosia, żeby wskazał im drogę do kosztowności – domyślił się Gralak. – Tylko skąd wiedzieli, że hotelarz ją zna? Poza tym Łoś na pewno już wiedział, że Romanowski nie żyje, więc jak dałby się nabrać na wiadomość od nieboszczyka?

– Strzelali w ciemno – wyraził swoje przypuszczenia Piotr. – Na pewno znali zażyłe stosunki łączące obydwie ofiary, a nawet jeżeli nie, to domyślili się ich na podstawie listy kontaktów z telefonu Romanowskiego. Emeryt w zasadzie do nikogo więcej nie dzwonił. Łoś mógł zareagować na dwa sposoby. Gdyby nie zrobił nic, oznaczałoby to, że nie ma pojęcia o kombinacjach kustosa, ewentualnie mógł też zlekceważyć komunikat i nie wykonać pośmiertnego polecenia. Wtedy musieliby wymyślić inny podstęp. Ale na swoje nieszczęście hotelarz od razu ruszył wydobyć skarb. Wystarczyło go tylko śledzić i na to liczyli bandyci. A co do twojego drugiego zastrzeżenia, to wiesz, jak u nas bywa z SMS-ami. Czasem dochodzą po dwóch dniach, jeśli zdarzą się kłopoty z zasięgiem. Hotelarz, znając los, który spotkał pana Henryka, założył, że ten, przeczuwając rychłą zgubę, myślał jedynie o swoim ukochanym skarbie i wysłał wiadomość jako swego rodzaju testament, który przez następne kilkanaście godzin błąkał się gdzieś w elektronicznej chmurze. Taki scenariusz nosił wszelkie znamiona prawdopodobieństwa, bo gdyby w chwili zagrożenia emeryt dysponował dostępem do sieci, to po prostu zadzwoniłby po pomoc.

– Cóż, twoja zdolność dedukcji coraz bardziej mi imponuje. Przypuszczalnie obserwujemy tu jakiś skutek uboczny narkotyku – zauważył złośliwie Mrocz, który przywykł do samodzielnego stawiania hipotez.

Ale zamyślony Piotr zupełnie go zignorował.

– Mnie bardziej zastanawia co innego – ciągnął. – Ten klucz. Włamywacze musieli przy robocie używać rękawiczek, więc zachowały się odciski jego

ostatniego właściciela. Wiemy, że splądrowali muzeum i tak klucz dostał się w ich ręce. Skoro Romanowski cały czas, aż do feralnego piątku, był w posiadaniu klucza, to tylko on mógł niepostrzeżenie włamać się do willi i nastraszyć Magdę. – Nagle klepnął się w czoło i wypalił: – Cholera, wiem już, co ukradziono ze skrytki w piwnicy! Właśnie ten skarb wikingów, który Romanowski miał „odnaleźć” pod Górą Zamkową. Artefaktów nigdy nie było w sadzawce. Emeryt sam je tam zakopał.

– Niewykluczone, że Romanowski przez cały czas pozostawał w zмовie z bandytami – zasugerował redaktor. – Dopiero kiedy okazało się, że chce w spektakularny sposób ujawnić skarb, czyli *de facto* zwrócić go społeczeństwu, ich drogi się rozeszły.

– Dlaczego pan Henryk, skoro wiedział, że Wójtowicz bezprawnie ukrywa zrabowane zabytki, po prostu nas nie zawiadomił? – zdziwił się Gralak. – Wcześniej może bał się jakiejś zemsty, ale po śmierci właściciela willi? Zresztą w każdej chwili mógł po prostu przyjść do mnie albo do Piotra i powiedzieć, co wie. Obydwaj byliśmy jego uczniami i zadbalibyśmy, żeby nie ujawniano jego nazwiska. Po co ryzykował z włamaniem i wymyślał taki dziwaczny plan?

– Bo pragnął należnej mu sławy. – Piotr nie miał wątpliwości, co skłoniło starego nauczyciela do wkroczenia na ścieżkę przestępstwa. – On już przecież raz odnalazł ten skarb, lecz ominęły go wszelkie zaszczyty. Pomyśl, Wójtowicz, mimo majątku, był prostakiem, nie miał pojęcia o historii. Na pewno też nie chciałoby mu się włóczyć z wykrywaczem metali po lasach. Zresztą sam słyszałem, jak obśmiewał pasję pana Andrzeja. Ale za to lubił pochwalić się rzadkimi przedmiotami. Może nawet nimi handlował. Jednego dnia kpił ze Złocickiego, a zaraz potem chciał od niego odkupić ozdobę kolekcji, paradny sztylet SS, zresztą proponując jakąś śmieszna cenę. Pewnie nachodził również pana Henryka, wiedząc, że emeryt potajemnie wyszukuje jeszcze cenniejsze, bo średniowieczne, artefakty. A wiesz, jaki naiwny okazywał się Romanowski, kiedy ktoś udawał, że fascynuje się jego pasją. Niejednej pały uniknęliśmy, weksłując temat lekcji na kwestie dotyczące Jaćwingów. Tak więc Wójtowicz bez trudu wkradł się w łaski

kustosza Izby Pamięci Jaćwieskiej. Pewnie staruszkowi nawet imponowała znajomość z miejscowym bonzą. Wreszcie docenił go ktoś ważny. Więc kiedy Romanowski odnalazł prawdziwy skarb, zaraz podzielił się nowiną z właścicielem willi. Może z próżności, a może nie był w stanie sam wszystkiego wydobyć i potrzebował pomocy sponsora. A potem Wójtowicz położył łapę na artefaktach i pokazał staruszkowi figę. Tyle że pan Henryk nie mógł iść na policję, bo popełnił przestępstwo, prowadząc nielegalne wykopaliska. Chociaż z całej duszy wierzę, że nie zamierzał zatajać swojego odkrycia. Sądzę, że już wtedy zaświtał mu w głowie plan z sadzawką. Po prostu chciał się nacieszyć w spokoju swoimi ukochanymi zabytkami i jakoś opracować znalezisko, porobić zdjęcia lub napisać artykuł, bo obawiał się, że w przyszłości profesjonalni archeolodzy pozbawią amatora dostępu do cennych przedmiotów.

– Pasja poznania jest jak narkotyk Anatola. Chwilami zupełnie pozbawia rozsądku – podsumował smutno Mrocz, najpewniej bazując na własnych przykrych doświadczeniach.

Przy stole na chwilę zapanowała pełna zadumy cisza. Nawet Magda odrobinę współczuła leciwemu kustoszowi, choć ów w niecny sposób napędził jej stracha. Ale nie zamierzała tak łatwo mu darować.

– Musiał być w zмовie z bandytami – powiedziała – bo inaczej skąd by wiedzieli, że ma klucz? A nawet posiadając taką wiedzę z drugiej ręki, jak rozpoznaliby właściwy klucz? Wiem, że jest dosyć fikuśny, ale na pierwszy rzut oka nie można domyślić się jego zastosowania. O jego przeznaczeniu wiedziałyby tylko ktoś, kto często go używał.

– Właśnie, często go używał... – powtórzył Piotr, któremu w głowie zaczęła kiełkować jakaś myśl, ale dziewczyna trajkotała dalej.

– Ciekawa jestem, w jaki sposób Romanowski wywołał tę wilkopodobną zjawę w oknie. Przygotował sobie wcześniej jakąś upiorną pacynkę? Bo chyba nie hologram?

Nowicki poderwał się od stołu, mówiąc:

– Radek, chodź ze mną na chwilę. Wiesz, ja nawet nie zajrzałem jeszcze do tej tajnej piwnicy, a sądzę, że teraz, kiedy już orientujemy się, kto i dlaczego się do niej włamał, możemy zbadać ją z zupełnie nowej perspektywy.

Policjanci wyszli do holu. Rozległ się zgrzyt przesuwanej kamiennej płyty i stłumiony okrzyk: „Rety, ale smród!”. Potem głosy zamieniły się w nieartykułowane pomruki dochodzące z podziemia.

– Myślisz, że mogę już dać Kasi kawałek ozorka? – poprosił Magdę o radę Waldemar.

– Chyba nawet cały ozór – odparła, obserwując, jak zwierzątko od dłuższego czasu z desperacją usiłuje wdrapać się na stół. – Ten cały Radek może i zna się na psach, ale chyba nie ma pojęcia, jaką ona ma szybką przemianę materii. Pewnie biedaczka kona z głodu, podczas gdy my się tu opychamy.

Kiedy funkcjonariusze wrócili po niecałym kwadransie, obżarta i umorusana w sosie Kasia spała słodko na podołku Żaboklickiej.

– Sos chrzanowy – sarknął Gralak. – Ale skoro nie wykończyła jej metamfetamina, to i chrzan chyba jej nie zaszkodzi. Niezwykły egzemplarz.

– Nie mówiliście, że truchło w piwnicy nie ma głowy – wypalił oskarżycielsko Piotr.

– Pewnie nie, ale czy to takie istotne? Ono już od dawna nie ma wielu zasadniczych elementów – zdziwiła się dziewczyna.

– Istotne, bo nie musiałbym się taplać w błocie. – Aspirant papierowym ręcznikiem wycierał służbowe buty. – Przecież to jasne jak słońce, że Romanowski urwał trupowi łeb, a potem pokazał ci go przez okno. Nic dziwnego, że cię przeraził, bo zdaniem Radka padły pies z piwnicy był blisko spokrewniony z naszym czworonożnym więźniem.

– To tylko przypuszczenia na podstawie powierzchownych oględzin – zastrzegł się Gralak. – A niewiele zostało do oglądania. Jednak budowa kośćca, no i jego rozmiary chyba je usprawiedliwiają. Te zwierzaki już za życia mają paskudne

pyski, a zniekształcony przez rozkład łeb faktycznie musiał sprawiać upiorne wrażenie.

– Co to za rasa? – zainteresował się Mrocz.

– Żadna rasa, tylko jakaś potworna mieszanka genów skomponowana w celu uzyskania maksymalnej wielkości i agresywności zwierzęcia – odparł treser. Lecz po chwili namysłu dodał: – Chociaż skoro wszystkie egzemplarze są takie podobne, to chyba możemy mówić o jakiejś nowej rasie. Jednak pozbawionej przyszłości, bo skrajnie niebezpiecznej nawet dla właściciela.

– To po co ją tworzyć? – dziwił się redaktor.

– Kiedyś hodowano podobne potwory. Na przykład w koloniach do chwytania zbiegłych niewolników. Ale dzisiaj? – Gralak podrapał się w głowę. – Wiem! Walki psów! Są nielegalne, jednak bardzo popularne w niektórych kręgach. No i przynoszą niemałe pieniądze właścicielom czempionów. A te psy rottweilera potrafiłyby zjeść na śniadanie.

– Mniejsza z psami – przerwała wykład Magda. Miała już serdecznie dosyć psów, zarówno żywych, jak i zdechłych. – Po co rabujący cenny skarb emeryt zabrał ze sobą z piwnicy cuchnącą trupią czaszkę? Na pamiątkę?

– No jak to? Przecież właśnie mówiłem. – Piotr nie rozumiał pytania. – Żeby cię przestraszyć i powstrzymać od ewentualnej pogoni. Co mu się zresztą udało.

– Ale ja wstałam z łóżka, jak on już wyszedł z domu. Z fantami, którymi szurał po ganku. Nie mógł przewidzieć, że akurat wtedy zejść do holu.

– Nie wiem. – Odrobinę zniecierpliwiony Nowicki wzruszył ramionami. – Może jednak antycypował.

– Brawo, jakie bogate słownictwo, panie policjancie – zakpiła dziewczyna. – Tylko niczego nie wyjaśnia.

– To wy się tu sobie kłóćcie, a ja jeszcze raz nakarmię psa i pojedę do domu – zdecydował Gralak. – Muszę się trochę przespać i wam radzę zrobić to samo. Jeżeli jutro rano pies nie zareaguje na mój widok agresją, zaczniemy poszukiwania jego legowiska. Mówiąc: rano, mam na myśli naprawdę wczesną porę.

– Może pan przenocować – zaproponowała Magda. – Miejsca jest dosyć.

– Nie, dziękuję. Źle śpię w nowych miejscach. Ten garaż ma ogrzewanie?

Widząc potakujące skiniecie głową, policjant odwrócił się na pięcie i wyszedł. Odnosił wrażenie, że szykuje się kolejny wybuch konfliktu tłącego się w niejasnych relacjach łączących jego kolegę z lokatorką domu nad jeziorem, i na wszelki wypadek postanowił znaleźć się możliwie daleko od kłótlivej pary.

– Dziwny jakiś ten twój znajomy – skomentowała ściszym głosem jego zachowanie Magda. – Tak nagle wyszedł.

– Radek świetnie zna się na zwierzętach – poinformował ją równie cicho Piotr – ale mam wrażenie, że kompletnie nie rozumie ludzi. Często trochę irracjonalnie się zachowuje, ponieważ opacznie interpretuje ich zachowania. Ale to bardzo porządny gość. Ponadto nigdy nikogo nie obgaduje. Albo kompletnie go nie obchodzi, co robią i myślą inni, albo zdaje sobie sprawę z niewłaściwej optyki, przez jaką ich postrzega, więc powstrzymuje się przed publicznym wyciąganiem wniosków.

– Ojej – rozczuliła się Żaboklicka – biedny chłopak!

– Jemu to nie przeszkadza. – Aspirant wzruszył ramionami.

– Ale to tak miło czasem poplotkować – westchnęła projektantka. – Dobrze chociaż, że dogaduje się ze zwierzakami. Chociaż Kasia nie wyglądała na zachwyconą, kiedy zabierał jej herbatę.

– Nieźle mnie nastraszył z tą metamfetaminą – odezwał się Mrocz. – Dobrze, że nie do końca zdawałem sobie sprawę, jakie tragiczne skutki mogło mieć zatrucie, bo w przeciwnym wypadku chyba bym osiwiiał ze zdenerwowania. Swoją drogą nic dziwnego, że tak śmigaliśmy po wypiciu ziółek. Właśnie przeczytałem w internecie, że metamfetamina wywołuje agresję, redukuje zmęczenie i chwilowo poprawia sprawność oraz zwiększa wydolność organizmu.

– Nie aż tak – pokręcił głową policjant. – Sama meta tak by nas nie nakręciła. Musiał zadziałać ten dodatkowy tajemniczy składnik.

– Ależ w czasie drugiej wojny światowej prawie wszystkie walczące strony faszerowały żołnierzy metamfetaminą właśnie ze względu na właściwości, które wymieniłem – pochwalił się świeżo nabytą wiedzą redaktor. – Na przykład Niemcy rozprowadzali ją pod handlową nazwą Pervitin. Była dostępna nawet dla cywili, a każdy członek Wehrmachtu nosił ją w swoim plecaku.

– Pervitin? – Piotr potarł wielki nos, co stanowiło u niego wyraz głębokiego namysłu. – Gdzieś już słyszałem to słowo. Przy okazji jakiegoś dochodzenia...

Zastanawiał się z takim natężeniem, że obecnym wydawało się, jakby w spowijającej wille przepastnej ciszy zimowego wieczoru rozlegał się cichutki stukot miniaturowych klocków, układających się w skomplikowaną konstrukcję w głowie policjanta. Po chwili aspirant ożywił się, a oczy mu pojaśniały.

– Która godzina? – rzucił i zerknął na zegarek. – Dopiero dziewiąta, a pan Andrzej nie chodzi spać tak wcześnie. Zadzwońmy do niego. Muszę coś sprawdzić.

Ponownie nastawił telefon na tryb głośnomówiący.

– Halo, pan Złocicki? Mówi Piotrek Nowicki.

– Witam, witam naszego dzielnicowego! – rozległ się śpiewny akcent pana Andrzeja. – A co tam dobrego? Znowu ktoś życzliwy na mnie donos napisał?

– Nie, ja w zupełnie innej sprawie. Pamięta pan to włamanie do pańskiego muzeum?

– A jakże mógłbym zapomnieć? – W pogodnym głosie pasjonata pojawiła się gorzka nuta. – Bo policja to chyba już zapomniała. Przynajmniej takie odniosłem wrażenie.

– A ja panu powtarzam, że wcześniej czy później namierzemy złodziei. – Piotr nie okazywał zniecierpliwienia, bo doświadczenie podpowiadało, że podczas rozmowy z flegmatycznym Złocickim nie miałyby to najmniejszego sensu. – Włamywacze ukradli wtedy jakiś rękopis, który właśnie tłumaczył pan z niemieckiego. Nawet mi go pan streścił, ale przyznam się, że już niewiele pamiętam. W każdym razie było tam coś o środku pod nazwą Pervitin. I teraz

przypomniałem sobie o nim w związku z inną sprawą. Gdyby mógł mi pan jeszcze raz opowiedzieć, czego dotyczył skradziony dokument, to może przy okazji wpadlibyśmy na trop łobuzów, którzy pana wtedy okradli.

– Ano szkoda się stała, wielka szkoda, że mi ukradli te zapiski – westchnął z oddali pan Andrzej. – To był prawdziwy unikat. Sam znalazłem rękopis na Jesionowej Górze. Na Jesionowej Górze to w czasie wojny miała miejsce wielka bitwa. Strach pomyśleć, co tam ludzi poginęło, Niemców i Rosjan. W ziemi i po lasach została moc żelastwa, a wiesz, jak ja lubię zbierać takie pamiątki. Z czasem to wszystko pognije, pordzewieje, zniknie, a przecież to część historii. Jak coś wykopię, to wtedy nieraz myślę o tamtych ludziach. Kto jadł z solidnej niemieckiej menażki, jaki ruski żołdat sam sobie łyżkę z kawałka aluminium wyklepał i tak dalej. Ale nigdy nie poznam ich zamiarów czy myśli. A tym razem miało być inaczej. Trafiłem na metalową skrzyneczkę, apteczkę polową Wehrmachtu. Takich apteczek to jest mnóstwo u zbieraczy. Na forach internetowych można wybierać i przebierać, więc niby nic takiego ciekawego. Ale tę wydobyłem z pola bitwy i nikt od z górą siedemdziesięciu lat do niej nie zaglądał, więc liczyłem, że może w środku znajdę coś ciekawego. I nie omyliłem się. Trafiłem na prawdziwy skarb. Między resztkami leków i opatrunków leżał notatnik lekarza frontowego. Nazywał się Ewald Sielig. Niemieckie apteczki zaprojektowano jako hermetyczne, ale trzy czwarte wieku zrobiło swoje i trudno było odczytać odręczne pismo na rozpadającym się papierze. Dobrze, że medyk używał ołówka, a nie wiecznego pióra, bo atrament nie przetrwałby próby czasu i działania wilgoci. Tłumaczyłem zapiski wieczorami w moim muzeum. Od końca, bo tam zachowały się najlepiej, poza tym dotyczyły wzgórze dwa pięć dwa i jeden, czyli naszej Jesionowej Góry. No i trzymałem wszystko razem, oryginał i tłumaczenie, w gablotce z najcenniejszymi zbiorami. Więc kiedy jakieś łobuzy ukradły mi sztylet SS, to wzięły też wszystko inne z gabloty. Tak przepadł nawet mój przekład z niemieckiego.

– To rzeczywiście bardzo smutne, ale czy pamięta pan może, o co chodziło w tych zapiskach? – Piotr w końcu lekko się zniecierpliwiał. – Konkretnie przy

jakiej okazji padła nazwa Pervitin?

– Przecież właśnie ci tłumaczę... – Wyglądało na to, że pan Andrzej nie zamierza ani krztynę przyspieszyć narracji. – ...że przekładu już nie ma, więc nie mogę ręczyć, że wszystko dobrze pamiętam. W dokumencie miałem bardzo dokładne notatki prowadzone przez Sieliga dzień po dniu, nawet co jadł na śniadanie.

– Ale mnie interesuje tylko Pervitin – jęknął aspirant. – Przecież nie jadł na śniadanie Pervitinu.

– No, prawie jadł – stwierdził pogodnie Złocicki. – I karmił nim żołnierzy. Jako lekarz w czterdziestym czwartym roku zdawał już sobie doskonale sprawę ze wszystkich skutków ubocznych, jakie powodował specyfik, ale Niemcy nie mieli wyjścia. Musieli jakoś utrzymać sprawność bojową w warunkach braków w zaopatrzeniu i przy malejącym potencjale ludzkim. Przypuszczam, że nawet woleli umrzeć w walce z powodu niewydolności serca, niż w stanie skrajnego wyczerpania dać się zadźgać sowieckim bagnetem. A pamiętaj, że krwawy bój ciągnął się przez dwa zimne i deszczowe jesienne miesiące. Z tym że druga strona też wspomagała się chemicznie, o czym Sielig dowiedział się od oficerów z pierwszej linii frontu. Piechurzy ze sto trzydziestej ósmej Samodzielnej Armijnej Karnej Kompanii pili przed starciem jakiś tajemniczy napój czy wywar, po którym atakowali jak w amoku, lekceważąc obrażenia i niebezpieczeństwo. Nie dawali się wziąć do niewoli. Pewien ciężko ranny zwiadowca zabił przed śmiercią czterdziestu Niemców. Niewyobrażalne! Nic dziwnego, że lekarz zainteresował się radzieckim specyfikiem. I tak się dlań szczęśliwie złożyło, że na początku października zwiadowcy Wehrmachtu pojмали człowieka, który podczas przesłuchania ujawnił się jako producent stymulującego napitku. Pewnie żywił nadzieję, że zdradzając sekretną recepturę, uratuje życie. Powiadomiony przez zaprzyjaźnionego kapitana Sielig przyjechał na pierwszą linię frontu i wziął osobiście udział w indagowaniu jeńca. Okazało się, że schwytany Rosjanin był rdzennym mieszkańcem Syberii, kimś w rodzaju szamana. Sporządzał tradycyjny wywar z grzybów dla całej kompanii. Wywar, który od tysiącleci stosowali

z powodzeniem syberyjscy myśliwi i wojownicy. Składników, ze względu na porę roku, miał w bród.

Nowicki nadstawił uszu.

– Lasy Suwalszczyzny dostarczały wszystkiego, czego potrzebował, chociaż główny komponent stanowiły najzwyczajniejsze czerwone muchomory. Medyk nie zapisał, co się stało z szamanem. Za to dokładnie zanotował przebieg własnych eksperymentów, do których przystąpił zaraz po uzyskaniu receptury. Testy przeprowadzał na sowieckich jeńcach oraz ochotnikach z okolicznych wsi, którzy decydowali się narazić zdrowie w zamian za trudne do zdobycia dobra materialne. Szybko opracował własną wersję stymulanta, w której pozenił właściwości grzybnego wywaru i metamfetaminy, uzyskując ponoć spektakularne rezultaty. Nowy środek, według zapewnień Sieliga, zamieniał żołnierzy w niepokonane bestie. I tu, niestety, notatki się kończą. A może raczej na szczęście. Przypuszczam, że Sielig poległ, a jego zapomniany notatnik zaplątał się jakoś w wyposażeniu medycznym jego placówki, po czym przeleżał siedemdziesiąt lat pod ziemią. I dzięki Bogu, bo gdyby wyniki eksperymentów polowego medyka dotarły do Berlina, to II wojna światowa przyniosłaby jeszcze więcej cierpień.

– Uff – westchnął Piotr. – Właśnie o te informacje mi chodziło. Dziękuję panu bardzo. Sądzę, że już wiem, gdzie szukać włamywaczy, którzy pana okradli. Jeszcze tylko jedno. Czy w notatniku znajdował się konkretny przepis na ów szatański specyfik?

– Tak. Szczegółowy. I mógłbym się pochwalić nie lada odkryciem, gdyby nie złodzieje.

Piotr jeszcze raz podziękował pasjonatowi i szybko zakończył rozmowę, w obawie przed kolejną porcją utyskiwań. Wyprostował się na krześle i powiódł triumfującym wzrokiem po lokatorach willi.

– Wszystko powoli się wyjaśnia – stwierdził. – Rzeczywiście mamy do czynienia z zupełnie nowym rodzajem narkotyku, którego skład mogli poznać jedynie rabusie z muzeum pana Andrzeja.

– Albo ci, którzy kupili od nich fanty. A w końcu znał go sam Złocicki i mógł go komuś przypadkowo zdradzić – wtrącił sceptycznie Mrocz. – Tym niemniej moje gratulacje. Jak na to wpadłeś, tylko na podstawie nazwy Pervitin?

– Sam nie wiem – wzruszył ramionami Nowicki. – Powiedzmy, że doznałem nagłego olśnienia pozbawionego racjonalnych podstaw.

– Piotrek to geniusz. Nie ma wątpliwości. – Żaboklicka się rozpromieniła. – Zobaczysz, że on dopiero się rozkręca – poinformowała redaktora z głębokim przekonaniem.

– Dobrze, powiedzmy, że chwilowo zgadzam się z twoją opinią – stwierdził kwaśno Waldemar. – Więc co powinniśmy teraz zrobić według naszego geniusza?

– Iść spać – poradził Piotr. – Zobaczycie, że Gralak obudzi nas przed świtem. A ja ledwie się trzymam na nogach. Choćby naprawdę nagle podwoiło mi się IQ, to niczego sensownego już dzisiaj nie wymyślę. Spróbujmy wszyscy odpocząć chociaż przez jedną noc. A tak nawiasem mówiąc, to czy przypadkiem jutro nie zjawią się tutaj robotnicy?

– Nie – odparła krótko Magda. – Przyjadą pojutrze.

Nie uznała za istotne poinformować Nowickiego zarówno o swojej burzliwej rozmowie z Ołowik, jak i o fakcie, że zaraz po jej zakończeniu zadzwoniła również do Majka i kazała mu przyjechać dopiero we czwartek. Swoje niezwykle polecenie wytłumaczyła kierownikowi działaniami policji, które ograniczają chwilowo dostęp do willi. A teraz zastanawiała się, jak nakłonić jedyne go obecnego przedstawiciela owej formacji do podjęcia pewnych nieobjętych regulaminem działań.

Chytry, jakby nieco koci, wyraz oczu dziewczyny widocznie zwrócił uwagę spostrzegawczego Mrocza, ponieważ redaktor żwawo poderwał się z krzesła i zadeklarował:

– To ja się od razu położę. Nie przepadam za rannym wstawaniem, ale chciałbym zobaczyć, gdzie ewentualnie zaprowadzi nas pies. Wprawdzie w jadalni nadal jest lodowato, ale w gruncie rzeczy te polówki w salonie nie są takie złe.

W kuchni pozostali Piotr, Magda oraz niezręczna cisza.

– Nadal jesteś taki obolały? – zagadnęła w końcu z nieco przesadną troską Magda.

– Potwornie – przyznał naiwnie Piotr, nieświadom podstępu czającego się w pozornie niewinnym pytaniu. – Nie tak jak rano, ale nogi mam całe w zakwasach. Dobrze chociaż, że głowa już mnie tak nie łupie.

– Powinieneś wziąć gorącą kąpiel, żeby jutro być w formie. Cholera wie, jak daleko będziesz musiał wędrować za zwierzakiem. Przecież nie wsadzicie go do radiowozu, żeby pokazywał wam drogę – oświadczyła Żaboklicka z podejrzanym promiennym wyrazem twarzy. – Na górze jest wanna z hydromasażem. Napuszczę wody i zaraz cię zawołam.

I nie czekając na reakcję aspiranta, popędziła po schodach.

Piotr gorączkowo zastanawiał się, czy powinien przystać na z pozoru niewinną propozycję, zdolną wszakże skutecznie pomieszać mu szyki. Ułożył sobie bowiem bezpieczny scenariusz, który jego zdaniem w znacznym stopniu eliminował możliwość wystąpienia dalszych komplikacji w kwestiach obyczajowych. Zakładał, że wszyscy wieczorem będą skonani i uda mu się sprawnie zagonić całe towarzystwo do łóżek. Wprawdzie jako przydzielony ochroniarz zobowiązany był spędzić noc w willi Wójtowicza, jednak Mrocz, który przeniósł się do zbiorowej sypialni w dawnym salonie, powinien skutecznie pełnić rolę przyzwoitki. Wystarczyło szybko zająć miejsce na polowym łóżku, aby jakoś dotrzeć do rana. Może nawet udałoby mu się trochę zdrzemnąć, pod warunkiem że nie będzie zbyt wiele myślał o niemoralnych planach Magdy. Co prawda Nowicki tłumaczył sobie, że owe plany stanowiły jedynie wytwór jego skołowanego porannymi przejściami umysłu, bo z ust dziewczyny nie padło przecież ani jedno słowo na temat ewentualnych „powtórek numerków” z poprzedniej nocy, ale wyobraźnia aspiranta nie zamierzała ulec oszukańczym argumentom.

Z drugiej strony co w tym złego, że strudzony funkcjonariusz chwilę pomoce się w spienionej wodzie? Piotr już nie pamiętał, kiedy ostatni raz siedział w wannie. W domu miał tylko prysznic z niewygodnie ciasną kabiną. W dodatku akurat był odpowiednio wyekwipowany do wizyty w SPA. W podróżnej torbie

przywiózł kąpielowy ręcznik, schludną piżamę w reniferki, a nawet nigdy dotąd nieużywany elegancki szlafrok, który na poprzednią gwiazdkę dostał od siostry. Zaś obolałym mięśniom faktycznie przydałaby się odrobina relaksu. Więc kiedy usłyszał nawoływanie Magdy, obwieszczającej, że kąpiel została naszykowana, uległ pokusie i ruszył na piętro. Prosto w przebiegle zastawione sidła.

Sidła zaś prezentowały się wspaniale. Droga sól kąpielowa nadała wodzie kobaltowy odcień, więc olbrzymia wanna wyglądała niemal jak basen. Nie wiadomo tylko, czemu miały służyć porozstawiane tu i ówdzie zapalone świece, przecież roztaczające ciepły blask halogenowe reflektorki zapewniały ilość lumenów wystarczającą do oświetlenia sali operacyjnej.

– Tu regulujesz bicze wodne, a tym pokrętelem bąbelki – tłumaczyła Magda dumna jak właścicielka. – Podgrzewanie wody nastawiłam na czterdzieści stopni. Kurtkę od munduru i torbę możesz zostawić w mojej sypialni.

Piotr, choć niechętnie, postąpił zgodnie z sugestią, na wszelki wypadek nawet nie zbliżając się do łóżka Żaboklickiej, jakby ów symbolizujący jego moralny upadek mebel posiadał zdolność rzucania złych uroków. Zdjął również buty, prezentując skarpetki, tym razem nowiutkie i bardzo eleganckie. Kupił je parę godzin wcześniej w Suwałkach, dziwiąc się przy tym, jak zawrotną kwotę może osiągnąć tak nieznaczący szczegół garderoby, któremu nigdy dotąd nie poświęcał zbytniej uwagi. Zmianę w jego podejściu do kwestii detali ubioru wywołał okropny wstyd, którego doznał, przebierając się w domu. Choć wciąż żywił płonną nadzieję, że Żaboklicka nie miała okazji spostrzec stopnia mechanicznego zużycia starej pary.

Bez słowa wszedł do łazienki i czując się trochę głupio, starannie przekręcił zameczek pod klamką. Nie chciał, żeby wyglądało na to, że boi się dziewczyny, ale w głębi duszy naprawdę odczuwał niejasny lęk przed lokatorką domu nad jeziorem. Jej swobodne podejście do pewnych kwestii stało w głębokiej sprzeczności z konserwatywnym wychowaniem, które odebrał w dzieciństwie. Poza tym miał wrażenie, że tradycyjnie męska rola, związana z przejmowaniem inicjatywy w powyższych kwestiach, zupełnie wymknęła mu się z rąk. Nie należał może do

ortodoksyjnych wyznawców postawy macho, ale relacja z Magdą rozwijała się w jawnej sprzeczności z jego wyobrażeniami. Choć z ręką na sercu nie potrafili powiedzieć, co tak naprawdę mu się nie podoba.

Jednak kiedy wyciągnięty w spienionej wodzie z lubością przymknął oczy, wszelkie moralne rozterki i nierozstrzygnięte problemy odpłynęły w siną dal. Nigdy jeszcze nie relaksował się w wannie z hydromasażem. Żaden z jego krewnych czy znajomych nie posiadał podobnego urządzenia, a wizyta w SPA nawet nie przyszła mu do głowy. Zresztą i tak nie wydawałby uciulanych oszczędności na podobne ekstrawagancje. Teraz, czując, jak rozluźniają się obolałe mięśnie, przyznawał, że odrobina hedonizmu nie jest czymś, czego należy sobie odmawiać, jeżeli nadarza się niespodziewana okazja.

Leniwie sięgnął ku chromowanym pokrętkom, a kiedy rozchylił powieki, ze zdumieniem stwierdził, że elektryczne lampy pogasły, a mrok rozświetlają jedynie fantazyjnie porozstawiane świece. Od razu pomyślał o włamywaczach. Czujnie rozejrzał się w poszukiwaniu ubrania i dopiero wtedy spostrzegł, że drugie drzwi do łazienki, na które jakoś dotychczas nie zwrócił uwagi, są szeroko otwarte, zaś w ciągnącym się za nimi ciemnym korytarzu majaczy jakaś biaława zjawa. Widziadło leniwie przestąpiło próg, aby w migotliwym blasku świec przeistoczyć się w Żaboklicką. Golusieńką, jak ją Pan Bóg stworzył.

Dziewczyna zgrabnie wskoczyła do wanny, wywołując mały potop, gdy wyparta przez ciało o znacznej objętości ciecz chlusnęła na posadzkę. Wygodnie umościła się naprzeciw Piotra, a ponieważ wanna, choć wielka, wymuszała jednak pewną bliskość dwóch osób, oplótła go w pasie nogami.

– Pomyślałam, że jednak dotrzymam ci towarzystwa – mruknęła, ukradkiem oblizując wargi. – Taki jesteś sponiewierany. Jeszcze byś zasłabł i się utopił. Zresztą nie potrafię sama dobrze umyć sobie pleców. Na tym pustkowiu trzeba umieć korzystać z każdej okazji.

Piotr gorączkowo zastanawiał się, co powinien powiedzieć czy też jak postąpić, lecz tymczasem zadziałała natura i jego organizm zareagował tak, jak powinno zareagować na podobną sytuację ciało i układ hormonalny zdrowego, niespełna

trzydziestoletniego mężczyzny. Uznał więc, że i tak jest zgubiony, i porzucił myśl o bezsensownym oporze. A kiedy wciąż borykające się z prawem Archimiedesa miękkie ciało przyłgnęło doń w czułym uścisku, nagle, zupełnie niespodziewanie, znalazł genialne rozwiązanie wszelkich przeszłych, aktualnych oraz przyszłych komplikacji. Zawierało się ono w dwóch słowach.

– Kocham cię – wyszeptał.

Dochodziła godzina szósta rano, a Gralak od kwadransa bezskutecznie dobijał się do drzwi willi Wójtowicza. Zrezygnowany schował do kieszeni obolałą pięść i rytmicznie kopał w drzwi ciężkimi buciorami. Komórka Nowickiego nie odpowiadała. Właśnie postanowił wrócić do radiowozu, aby uruchomić syrenę, kiedy w zamku zachrobotał klucz.

– Błeee... błeee... bry – wybełkotał rozczochrany Mrocz.

Redaktor ziewał niepowstrzymanie, nic zatem dziwnego, że miał spore problemy z wyraźną artykulacją. Za to wijąca się w jego objęciach Kasia najwyraźniej całkiem się już rozbudziła. Kiedy policjant pochylił się, aby pod pozorem pieszczot zbadać stan stworzonka, którego odporność na niebezpieczne substancje chemiczne wciąż nie chciała mu się pomieścić w głowie, został dosyć dotkliwie użarty w nos. Zapewne tchórzofretka pragnęła w ten sposób wyrazić miotające ją sprzeczne uczucia. Jak większość zwierzaków, odruchowo lubiła Radka, ale nie zamierzała darować mu skonfiskowania herbaty.

– Krew... błeee... panu z nosa leci – wyziewał Mrocz. – Chodźmy do kuchni. Trzeba to przemyć.

– A gdzie jest Piotrek? – dopytywał Gralak, trąc nos antyseptyczną chusteczką, których spory zapas woził ze sobą regularnie poniewierany przez futrzaka redaktor.

– Przypuszczam, że jakimś nieodgadnionym trafem zabłąkał się do sypialni panny Żaboklickiej – uśmiechnął się pobłaźliwie Waldemar. – Dajmy im jeszcze parę minut na rozczmuchanie, bo chyba się nie wyspali. Proponuję napić się w międzyczasie kawy.

Informacja wywołała na twarzy Gralaka grymas paniki, który bynajmniej nie zniknął, kiedy po chwili na schodach dały się słyszeć głośne stąpania lokatorów piąterka oraz ich zduszone chichoty.

– Przepraszam, Radek, ale trochę zasnęłam. – Radosny uśmiech Nowickiego sugerował, że nie odczuwa z tego powodu najmniejszych wyrzutów sumienia.

Magda również nie wyglądała na skonfundowaną, ale jej beztroska wydawała się odrobinę sztuczna. Bystry redaktor spostrzegł, że dziewczynę wyraźnie coś trapi. Widział ją całą w skowronkach poprzedniego ranka, więc nie miał wątpliwości, że obecnie sprawia wrażenie osoby, która w beczce miodu dogrzebała się przysłowiowej łyżki dziegciu. Nie żeby miód przestał jej przez to smakować. Wprost rozkwitała, roztaczając aurę zaspokojonej kobiecości. Ale kiedy wiedziała, że Piotr na nią nie patrzy, mierzyła go pełnym troski spojrzeniem. Troski i czegoś jeszcze. Czyżby poczucia winy?

– Idę do psa – oznajmił krótko Gralak.

Nalał do miski wody i oddalił się z naczyniem. Po chwili z garażu dobiegło ujadanie. Ale nie tak wściekłe jak poprzednio. Raczej pełne entuzjazmu.

Nieobecność funkcjonariusza nie trwała długo. Niebawem wychylił głowę spoza framugi drzwi, by powiedzieć:

– Możemy ruszać. Reks jest gotowy, żeby nas poprowadzić.

– Reks? – nie zrozumiał Nowicki.

– Musiałem go jakoś nazwać.

Gralak dał dwa kroki w bok i wówczas obecni w kuchni zobaczyli, że na krótkiej grubej smyczy prowadzi potwora z garażu. Pies przepchnął się obok nóg przewodnika i potoczył po zebranych pełnym nienawiści spojrzeniem. Z głębi przepastnej gardzieli wydobył się złowrogi warkot.

Brzdęk! – to kubek z kawą wypadł ze zmartwiałej dłoni Żaboklickiej. Czworonóg miał wprawdzie kolczatkę na szyi oraz masywny kaganiec na wrednym pysku, ale owe zabezpieczenia nijak nie umniejszały aury grozy, którą roztaczał morderczy mieszaniec.

– Chyba Reks was nie lubi – westchnął Radek. – Choć trudno mu się dziwić. Jeżeli chcecie wziąć udział w tropieniu, to trzymajcie się, proszę, na dystans.

– Jak duży dystans? – żądał konkretów Mrocz.

– Przynajmniej ze dwadzieścia kroków – uściślił poskramiacz.

– Mało – jęknęła Żaboklicka, ostrożnie przesuając się za plecy Piotra.

– Wyprowadzę psa na zewnątrz i sprawdzę, czy w ogóle będzie chciał gdzieś iść. – Gralak wyraźnie powątpiewał w powodzenie akcji. – Chyba nie mieszkał w psim raju. Kiedy go wczoraj opatrywałem, odkryłem mnóstwo starych blizn. Ktoś poskramiał psa biciem. Łajdak po prostu tłukł go kijem gdzie popadnie. Wierność wiernością, ale ja na jego miejscu nie spieszyłbym się z powrotem do właściciela sadysty. Ubierzcie się bez pośpiechu, bo oswojenie Reksa z nową sytuacją trochę potrwa.

– Już rozumiem, dlaczego nam się z Magdą upiekło na szlaku pod Górą Zamkową – stwierdził Mrocz podczas bezowocnych, jak zwykle, poszukiwań wyjściowego obuwia. – Pies skojarzył opadającą ze świstem łopatę z pałką w rękach swojego oprawcy. Tak się bał bicia, że uciekał nawet przede mną.

– Bystrzak – warknęła Magda. – A czy ty się wreszcie nauczysz, że buty są tam, gdzie powinny, czyli w szafce na buty? Bo już nie wiem, jak cię tresować.

Tak, dziewczynę z całą pewnością coś gryzło. Więc korzystając z faktu, że Nowicki zdążył się już ubrać i wyjść do kolegi, Waldemar postanowił dowiedzieć się, co konkretnie doskwiera jego towarzysze. Podczas wydobywania zeznań potrafił zachowywać się delikatnie i pytania formułował bardzo oględnie, ale w odpowiedzi słyszał jedynie gniewne prychnięcia. W końcu jednak przypierana do muru dziewczyna nie wytrzymała.

– Wyobraź sobie, że ten kretyn się zakochał! – wybuchnęła. – A było tak dobrze! W nocy to jeszcze myślałam, że tak sobie czule bajdurzy, ale rano prawie mi się oświadczył. Więc to chyba na poważnie. Co ja mam teraz zrobić?!

– A ty nic? – zdziwił się Waldemar. – Znaczy nic do Piotrka nie czujesz?

– Nie żeby zupełnie nic – zaczerwieniła się Magda. – Bardzo go lubię i tak dalej. Całkiem fajny facet. Z tym że ja się chciałam tylko poprzytulać i żeby było miło, a tu taki klops. Myślałam, że on też będzie się dobrze bawił.

Ciekawe, że Magda, spowiadając się ze swych intymnych trosk Mroczeni, zupełnie nie czuła się skrępowana. W ciągu paru dni znajomości może go nie polubiła, ale nauczyła się mu ufać. Wiedziała, że Waldemar nie wykorzysta jej zwierzeń w złym celu, za to będzie się starał z całych sił pomóc. A ona, z dala od wszystkich swoich przyjaciół, bardzo potrzebowała czyjś wsparcia i rady.

– Cóż – westchnął Waldemar, naciągając na uszy zmiętą czapeczkę – ja to się za bardzo na amatorach nie znam, ale myślę, że masz tylko dwa ewentualne wyjścia.

– Jakie? – zapytała z nadzieją Magda.

– Możesz powiedzieć Piotrkowi to, co mi przed chwilą. – Redaktor wsadził Kasię do rękawa. – Że potrzebowałaś rozrywki. Tak byłoby najuczciwiej.

– Ale to mu złamie serce – jęknęła Żaboklicka. – Przecież nie chciałam mu zrobić przykrości. Nie można jakoś nieuczciwie, ale delikatniej?

– W takim razie nie rób nic – uśmiechnął się chytrze Waldemar. – Zostaw wszystko tak, jak jest. Może jak cię lepiej pozna, to się z czasem odkocha.

– Uważasz, że jestem wredna i samolubna? – Magda nie wściekała się już, tylko zaczęła podejrzenie pociągać nosem.

– Nie o to mi chodziło – zdenerwował się Mrocz. – Nie oceniam. Po prostu co się nagle zaczyna, często także nagle się kończy. Sądzę, że jak na Jeleniewo jesteś trochę zbyt bezpośrednia. Spadłaś na chłopaka niczym kometa. Jeżeli dasz mu czas oprzytomnieć, to istnieje spora szansa, że Opatrzność się zlituje i odda mu rozum. Facet rozejrzy się trzeźwo po świecie i zauważy, że do siebie nie pasujecie.

– Oby. – Magda nabrała nieco otuchy i nawet uśmiechnęła się przez łzy. – To na razie jeszcze go trochę pohołubię, żeby przynajmniej miał miłe wspomnienia.

I wybiegła na podwórze, skąd zaraz dały się słyszeć jej czułe przekomarzenia z Nowickim.

– Widzisz, myszko, tak naprawdę to nie wszystko jej powiedziałem. Bo może być przecież zupełnie na odwrót. Bowiem Opatrzność uwielbia takie żarty. – Mrocz wygłosił niezbyt jasną sentencję w czeluść swojego rękawa i niespiesznie ruszył śladem projektantki. Kwaśny uśmiech, który wykrzywił wargi redaktora, świadczył, że niejednokrotnie zdarzało mu się paść ofiarą figli płatanych przez moc kierującą losami mieszkańców Ziemi. I raczej wcale go one nie ubawiły.

Tymczasem na podwórku potwierdzały się obawy Galaka. Pies wytarzał się w śniegu, a teraz siedział na ogromnym zadzie, łakomie spozierając na kieszeń, do której policjant schował motywujące chrupki. Donikąd się nie wybierał.

– Do domu marsz! – komenderował bezskutecznie Galak. – Reks, biegnij do domu, piesku.

– Za delikatnie – skomentował Mrocz. – Poza tym on może nie mieć pojęcia, co to takiego dom.

– Poszedł do budy! – ryknął zgodnie z sugestią przewodnik.

Kynologiczny koszmar poderwał się jak smagnięty biczem i popędził przed siebie, napinając linkę, którą Galak zastąpił krótką smycz. Ale nie skierował się do bramy, tylko wprost do stodoły. Wpadł do środka przez niedomknięte wrota, ciągnąc za sobą opiekuna. Po kilku sekundach z gospodarczego budynku doleciało przejmujące, złowrogie wycie.

– Zagryzł Radka?! – wystraszył się Nowicki i również pognął do stodoły, uzbrojony w drodze w wydobytą ze sterty materiałów budowlanych metalową rurę.

Mrocz z Magdą ledwie mogli za nim nadążyć. Na szczęście zanim jeszcze dotarli do wejścia, z mrocznego wnętrza dobiegł do nich gromki głos Galaka:

– Wpuśćcie tu trochę więcej światła.

We trójkę przepchnęli z mozołem skrzydło wrót przez zaspę piętrzącą się wzdłuż frontowej ściany. Wczesny przedświt dopiero malował bladą smugę brudnego różu na wschodnim niebie, zwracając spowitej w czerń okolicy pierwsze

ślady kolorów, jednak śnieg intensywnie odbijał ów ulotny brzask, więc w stodole nieco pojaśniało.

Gralak pochylał się, zaglądając do jednego z boksów w głębi budynku. Pies nerwowo popiskiwał, rwąc się na smyczy. Lokatorzy domu nad jeziorem zbliżyli się ostrożnie, starając się trzymać zadniej strony zwierzaka.

Okazało się, że przezorny Mroczył zabrał latarkę. Skierował szeroki strumień elektrycznego światła na zoomorficzny kształt skulony wewnątrz klatki. Dla wszystkich stało się jasne, że duże budki z okratowanymi drzwiczkami to nic innego jak klatki do trzymania zwierząt. Wcześniej nikt nie poświęcił czasu na ich dokładniejsze zbadanie.

– Kolejny egzemplarz wykazujący cechy naszej tajemniczej rasy – wyjaśnił Radek. – Tym razem na pewno zdechły, i to już od dłuższego czasu. Zdążył zamarznąć na kość. Nie dam rady go wyciągnąć.

Przywiązał Reksa do krat, wziął latarkę Waldemara i wpełzł do klatki.

– Podobny, ale nie identyczny. Jakby ciut mniejszy. Trochę inaczej umaszczone i ma inne uszy – relacjonował swoje spostrzeżenia. – Powiedziałbym, że to może być tata Reksa, bo raczej nie rodzeństwo z jednego miotu. Ktoś go bestialsko postrzelił. Dziura jak po brenece.

Piotr wymienił z Waldemarem znaczące spojrzenia i uniósł palec do ust. Nie chciał narażać ich na kolejną krytykę ze strony miłośnika zwierząt. Ale w międzyczasie wyrwała się Magda, mówiąc:

– To musi być ten sam, który mnie wystraszył. Wydawało mi się, że kuleje, poza tym był cały zakrwawiony. Pewnie oberwał, kiedy napadł na Waldka. Dlatego uciekał na widok pistoletu. Wiedział już, czym to pachnie.

Radek wyprostował się i popatrzył groźnie na Mroczyka.

– Zastrzelił pan psa? Poproszę pozwolenie na broń!

– Jakbym nie strzelił, to teraz ja bym leżał sztywny w drewnianej skrzynce – bronił się piskliwie redaktor. – O, proszę! – Podciągnął nogawkę, ukazując przybrudzony bandaż. – Dwadzieścia szwów!

– Gdzie jest pistolet, o którym wspomniała pani Magda? Nie pozwolę strzelać do zwierząt. Pies na pewno nikogo by nie ruszył, gdyby go pan nie drażnił! – pieklił się Gralak.

– Dosyć! – zagrział Piotr. Nieczęsto się unosił, ale miał dość bezsensownej kłótni. Tym bardziej że jego zdaniem żaden z adwersarzy nie miał racji. Agresywne psy niewątpliwie stanowiły realne zagrożenie dla ludzi, choć nieco większe niż uzbrojony w antyczną armatę Mrocz. – Pistolet już skonfiskowałem. Zresztą to czarnoprochowiec, który nie wymaga pozwolenia. A Waldemar, w swoim mniemaniu, nie strzelał przeciw do psa, tylko do wilkołaka. Nie krzywdził dla zabawy zwierząt, lecz bronił się przed krwiożerczym demonem.

Gralak ostentacyjnie odwrócił się od Mrocza i zaczął pilnie rozglądać się po wnętrzu stodoły. Przez rozwarte na oścież wrota wpadało coraz więcej światła, więc wszyscy po raz pierwszy mieli okazję zapoznać się z wystrojem leciwego budynku. Choć niewiele było do oglądania, uwagę zwracały drewniane ławki i elementy stalowego ogrodzenia spiętrzone pod przeciwległą ścianą.

– Raczej nie zmienię zdania co do postępków pana Waldemara, ale niech tam. Mogę uznać, że nie miał złych zamiarów – odezwał się Radek zmienionym głosem. – W gruncie rzeczy to betka w porównaniu ze zbrodnią typów, którzy urządzili ten przybytek.

– A co tu jest takiego strasznego? – zdziwiła się Magda.

– Nie widzicie? Przecież to arena do walk psów. Podłoga wysypana trocinami, bariery do ringu, klatki dla zwierząt i ławki dla zwyrodniałej publiczności. Wprawdzie to wszystko nie działa już od jakiegoś czasu, ale z całą pewnością przetrzymywano tu kiedyś nasze mieszańce. Dlatego jeden schronił się tutaj, żeby zdechnąć, a Reks na komendę pobiegł prosto do stodoły. A raczej do swojego boksu. – Na twarzy Radka malował się wyraz głębokiej odrazy.

– Wójtowicz musiał o wszystkim wiedzieć – zauważył Waldemar.

– Nie tylko wiedział – poprawił Piotr. – On sam to wszystko organizował. A nawet domyślałem się, dlaczego nagle zwinął interes. Teraz mogę już chyba

zrekonstruować początek tej całej mrocznej wilkołaczej historii. Wszystkie części układanki zaczynają do siebie pasować.

– Naprawdę? – ucieszyła się Magda. – Więc mów, o co tu chodzi!

– Później. – Piotr uniósł dłoń w obronnym geście. – Brakuje mi jeszcze kilku zasadniczych elementów. Ale ręczę, że do wieczora wszystko się wyjaśni.

– „Przecież to elementarne, Watsonie” – przedrzeźniała dziewczyna. – Pomyślałby kto, że odezwał się Sherlock, a nie wiejski glina.

– Prawdziwy Sherlock Holmes w wersji Conana Doyle’a nigdy tak nie mówił. Tylko matołki będące na bakier z literaturą powtarzają ten cytat – odgryzł się Nowicki.

– Co nie zmienia faktu – przerwał im Radek – że pomysł z wytropieniem właścicieli Reksa spalił na panewce. Tylko się psisko niepotrzebnie zestresowało.

– Nic się nie da zrobić? – zmartwił się Piotr.

– Może gdybyśmy go naprowadzili na ślad intruzów, to skumałby, że trzeba iść do nowego legowiska. – Gralak potarł czoło gestem pełnym zniechęcenia. – Ale szanse są nikłe.

– Chyba tak – zgodził się bez entuzjazmu Nowicki. – Ślady prowadziły w kierunku jeziora, lecz potem skręcały w las. Pewnie napastnicy odsapnęli w krzakach, a potem wrócili do samochodu, który stał gdzieś przy szosie w Szurpiłach.

– Dlaczego szli do willi piechotą, skoro mieli auto? – zastanawiała się Żaboklicka.

– Z dwóch powodów. – Piotr, tłumacząc, po kolei prostował palce. – Po pierwsze w śniegu zostałyby wyraźne ślady opon, po których można zidentyfikować pojazd. A po drugie wilkołaki podjeżdżające pod dom samochodem nie wywierają odpowiedniego wrażenia. Zaś nasi bandyci robią wszystko, żeby podtrzymać legendę. Przebierają się, zabierają na akcję przerażające psy, no i bez przerwy są na speedzie. Od kilku dni hipotezy Waldemara służą im za świetną przykrywkę. Zaaranżowane spektakle wprowadzają chaos w zeznania świadków.

Chyba każdy na moment uwierzył, że mamy do czynienia z czymś nadprzyrodzonym. Dlatego śledztwo tkwi w martwym punkcie.

– To nie moja wina, że łobuzy udają wilkołaki – zastrzegł Waldemar.

– Niestety, chyba trochę twoja. – Aspirant pokręcił głową. – Przypuszczam, że cwaniaki dowiedzieli się o twoich teoriach za pośrednictwem Kołudy i stąd pomysł całej inscenizacji.

– Cholera! – Gralak palnął się w czoło. – Zupełnie zapomniałem ci powiedzieć! Pewnie od tego czekania na zimnie mózg mi zresetowało. Funkcjonariusze z Olecka namierzyli Kołodę. Faktycznie był u rodziny. Zaklina się, że o niczym nie wie, ale i tak póki co siedzi na dołku. Czytałem meldunek, kiedy wstąpiłem na komisariat po radiowóz.

Nowicki sprawiał wrażenie osoby, która niespodziewanie oberwała meteorytem.

– Nie może być – wyjąkał zaskoczony. – Sądziłem, że Tolek jest już na drugim końcu Polski. Przecież gdyby uciekał, nie byłby taki głupi, żeby mówić, gdzie zamierza się zamelinować.

– Dostrzegam błędy w dedukcji, Sherlocku – zakpiła Magda. Jednak strapiona mina Piotra niebawem obudziła w dziewczynie współczucie. – Tolek ma dryg do budowlanki, ale ogólnie nie wydaje się zbyt bystry. Może jednak chlapnął jęzorem odrobinę za dużo – próbowała pocieszyć policjanta.

– Niemożliwe. – Nowicki nerwowo szarpał się za nos. – Nikt nie może być aż takim kretynem. Masz rację. Coś nie gra w mojej koncepcji. Chyba jednak źle wytypowałem podejrzanego. Tylko skąd się wziął termos z zatrutymi ziólkami?

Wyciągnął z kieszeni telefon i gorączkowo przeglądał listę kontaktów. W końcu wybrał jakiś numer.

– Halo, Mirek Żytniewski? Jesteś na służbie?

Z głośnika wydobył się przenikliwy pisk, od którego zęby rozboleły nawet postronnych słuchaczy.

– Pieprzona anomalia! – zaklął Piotr i wybiegł na otwartą przestrzeń, wpatrując się we wskaźnik zasięgu jak nawiedzony radiesteta w wahadełko.

– Czy takie walki psów to dochodowy interes? – zapytał Gralaka redaktor. – Jakoś mi się nie chce wierzyć, żeby Wójtowicz dorobił się znacznego majątku na podobnym biznesie.

– Już na początku musiał mieć kasę, żeby zorganizować całe przedsięwzięcie. – Jeżeli funkcjonariusz jeszcze boczył się na Mroczka, to potrafił niezłe maskować urazę. – Ale tak. To bardzo dochodowy interes. Walki stały się rozrywką dla bogaczy, a zakłady ponoć osiągają astronomiczne sumy. Przy czym równie intratna bywa hodowla czempionów. Reks, podobnie jak jego kuzyni, reprezentuje wszystkie pożądane cechy. Zaś uzyskanie podobnej krzyżówki mogło zająć wiele lat. Kilka pokoleń psów cierpiało w tej stodole.

– Niedobrze mi się robi – wzdrygnęła się Żaboklicka. – Wyjdźmy stąd, czuję się, jakbym zwiedzała katakumby. Przepraszam, piesku, że tak cię sponiewieraliśmy, ale trzeba było myśleć, z kim się trzyma – zwróciła się do Reksa, któremu Radek właśnie zmieniał smycz.

Mieszaniec nie zareagował pozytywnie na przeprosiny. Zawarczał wściekle i rzucił się w kierunku Magdy, która jednym skokiem znalazła schronienie za wątłą osłoną, jaką stanowiło chuderlawe ciało redaktora. Na szczęście przewodnik zdołał przytrzymać psa.

– Nie wiem, co z nim będzie – pokręcił ze smutkiem głową Gralak. – Ja jakoś sobie z nim radzę, ale wątpię, czy uda się go zsocjalizować. Już zawsze będzie niebezpieczny dla ludzi i zwierząt. Nie dość, że odziedziczył agresję w genach, to jeszcze wpajano mu ją od małości. Sądząc po muskulaturze, podawano mu także sterydy, a to wpływa na psychikę.

– Sterydy? – zdziwił się Mroczka.

– To normalna praktyka. – Miłośnik zwierząt wyglądał, jakby zbierało mu się na płacz. – Te psy nie mają przed sobą długiego życia, więc szprycuje się je, czym popadnie. Sterydy, hormony, byle zwiększyć szanse na ringu.

– Obawiam się, panie Radku, że w przypadku Reksa sytuacja przedstawia się jeszcze gorzej. – Magda spoglądała na policjanta ze współczuciem. – Nie zdaje pan sobie sprawy, jak bardzo złągodniał w ciągu dwóch dni. Nie widział go pan w nocy podczas napadu. Naprawdę sprawiał wrażenie opętanej żądzą mordy bestii. A potem nagle padł zupełnie bez sił, chociaż tak naprawdę chyba nie byłam w stanie wyrządzić mu wielkiej krzywdy. Po prostu się wypalił. Piotr i Waldemar zareagowali podobnie na narkotyk.

– Chce pani powiedzieć, że... – zająknął się Gralak.

– Oczywiście! – Mrocz chciał plasnąć się w czoło, ale w porę zatrzymał rękę. – Narkotyk początkowo wcale nie był przeznaczony dla ludzi. Skoro w walkach psów nie funkcjonują żadne normy antydopingowe, to o zwycięstwie, oprócz predyspozycji fizycznych zwierzęcia, decyduje odpowiedni stymulant. Psy Wójtowicza jechały na koksie. Nic dziwnego, że facet kosił kasę. Musiały być niezwyciężone. I mordercze. Nadal uważa pan, że powinienem być tego psa głaskać, zamiast częstować ołowiem? A raczej srebrem?

Ale zmartwiony Gralak milczał.

– Rozumiem eksperymenty na psach. Na świecie nie brak socjopatów – zamyśliła się Magda, podchodząc do wrót stodoły. – Ale dlaczego ktoś ryzykował własnym zdrowiem, podkradając zwierzętom narkotyk?

– Ponieważ ten ktoś sam potrzebował dopingu. – Stojący na zewnątrz Nowicki widocznie usłyszał jej ostatnie słowa. Właśnie udało mu się szczęśliwie doprowadzić do końca rozmowę telefoniczną. – Na przykład trenuje jakiś brutalny sport walki i pewnie również bierze udział w nielegalnych sparingach. Goście, którzy stłukli Waldemara, nie wyglądali na amatorów. Wzięli raz, troszeczkę, żeby zwiększyć swoje szanse, a że efekt okazał się spektakularny, w krótkim czasie popadli w uzależnienie.

– Może da się do nich dotrzeć przez dilerów metamfetaminy – zasugerował Radek. – Potrzebują niemal hurtowych ilości dla siebie i psów. I jeszcze częstują

nią postronne ofiary. Bo niestety grzybów u nas nie brak. Chyba że jakiś grzybiarz zwrócił uwagę na kogoś, kto zbierał same muchomory.

– Chyba mam nowy trop, więc nie trzeba tak kombinować. – Piotr pokręcił głową. – Na szczęście Mirek Żytniewski z komisariatu w Olecku miał akurat dyżur. To właśnie u nich garuje Anatol, więc Mirek pozwolił mi zamienić kilka słów z zatrzymanym. Okazuje się, że Bożelakowa faktycznie podwoziła Kołodę na autobus, z tym że zabrała go nie z domu, a bezpośrednio z willi. Tolek przyszedł do pracy już spakowany. Co więcej, tych dwoje zna się od dziecka, więc w naturalny sposób dzielą się różnymi miejscowymi ploteczkami. A do Tolka po krótkim namyśle dotarło, że Kryśka podejrzanie często oraz szczegółowo wypytywała go o wydarzenia w willi Wójtowicza. Powiedział jej o włamaniu, teoriach Mrocza dotyczących wilkołaków, a nawet o naszej niedyspozycji spowodowanej chrzczoną wodą. I to ona namówiła Kołodę, żeby zostawił nam resztkę ziółek, kiedy żartował, że w przypadku ofiar trunku Walka dolegliwości powrócą po spożyciu solidniejszego posiłku. W dodatku miała dość czasu, żeby ziółka odpowiednio doprawić, ponieważ przyjechała godzinę przed umówionym terminem i musiała czekać w kuchni, aż Anatol skończy robotę.

– Dziwne, że miała przy sobie narkotyk. Z ziółkami to był szczęśliwy traf, którego nie mogła przewidzieć. – Magda znowu wysuwała obiekcje.

– W kuchni znalazłoby się mnóstwo produktów zdatnych do zatrucia – Nowicki wzruszył ramionami – ale faktycznie Bożelakowej się pofarciło. W dodatku potrafiła szybko i niepostrzeżenie przeszukać dom, bo znała jego rozkład na pamięć. Nie wiedziała tylko o skrytce w piwnicy. Pewnie narkotyk stanowił jedynie zabezpieczenie, na wypadek gdyby nic nie znalazła. Najważniejsze, że wyjaśniła się sprawa dodatkowego klucza, która wciąż nie dawała mi spokoju. Bożelakowa sprzątała u wielu osób, w tym także dbała o porządek w muzeum Romanowskiego. Cały czas o tym wiedziałem, a jednak jakoś nie skojarzyłem faktów. Zapewne dawno zauważyła, że zaginiony klucz znajduje się w posiadaniu kustosa. Nie sposób pomylić go z żadnym innym. A kiedy doszło do włamania do willi, tylko ona miała informację, która pozwalała bezbłędnie wytypować podejrzanego. Więc

podzieliła się nią z kim trzeba i emeryt tego samego dnia wieczorem stał się ofiarą napaści. Ale fantów z włamania już nie było w muzeum. Napastnicy zabrali jednak klucz, chociaż nawet się nie domyślam, jaki cel im wówczas przyświecał.

– Zaraz, zaraz. – Gralakowi aż rozbłysły oczy. – Czy Kryśka nie kręci przypadkiem sam wiesz z kim?

– Aha – uśmiechnął się triumfalnie Nowicki.

– A może, panowie policjanci, uchylilibyście maluczkim rąbka tajemnicy? – spytała kwaśno Magda.

– Czemu nie? – Uśmiech Piotra stał się nieco złowieszczy. – Ale nie ma sensu stać dłużej na zimnie. Chodźmy do samochodu. Musimy pojechać do Szurpił. Droga nie zajmie nam wiele czasu, ale będzie go dość, żeby wszystko wyjaśnić.

Przy radiowozie wyniknął pewien problem, ponieważ okazało się, że nijak nie zdołają się zabrać jednym pojazdem. Tylną kanapę, oddzieloną wewnętrzną kratką, zajął Reks, a nikt nie pragnął mieć mieszańca za towarzysza podróży.

– Waldek, jak tam twój lexus? – zapytał Piotr.

– Szczerze mówiąc, to nawet go nie obejrzałem – przyznał redaktor.

– Kiedy go ściągałam ze schodów, działał jak trzeba – pospieszyła z wyjaśnieniem Żaboklicka. – Zawieszenie chyba ma całe, tylko zderzak trochę się obłuzował. No bo jedna czy dwie dziurki w przedniej szybie chyba nie powinny przeszkadzać.

Po chwili miniaturowy konwój złożony ze wskazującego drogę lexusa, za którym podążał radiowóz z Radkiem i Reksem, ruszył zaśnieżoną drogą. Waldemar doliczył się w przedniej szybie aż trzech miniaturowych przestrzelin, nie licząc licznych rys po siekańcach na karoserii. Ale nie wydawał się zbyt przejęty stanem swojego pojazdu. Za to niecierpliwie domagał się od Piotra dalszych wyjaśnień.

– Krystyna Bożelakowa jest wprawdzie formalnie mężatką – zaczął aspirant – ale jej mąż, Zygmunt Bożelak, zresztą niezły ochlaptus i damski bokser, jakieś trzy lata temu prysnął z domu i nikt go od tej pory nie widział. Więc Krystyna związała się nieformalnie z Michałem Rączkowskim, najstarszym z trzech braci Rączkowskich. Musieliście o nich co nieco słyszeć, ponieważ nie sposób spędzić choć kilku dni w naszej okolicy, żeby nie dowiedzieć się czegoś o ich najnowszych wyczynach. Michał, Rafał i Gabriel, który jednak używa na co dzień drugiego imienia Jan, znani są powszechnie jako trzej archaniołowie. Z tym że w istocie to raczej diabły wcielone. A to kogoś pobijają, a to zdemolują jakiś lokal. Nie daj Boże, żeby pojawili się na wiejskiej potańcówce, bo z góry wiadomo, że zabawa skończy się mordobiciem. Na szczęście od kilku lat na co dzień mieszkają w Suwałkach, więc w Rutce mogliśmy trochę odetchnąć. Teraz szarpią się z nimi funkcjonariusze z Komendy Głównej. Ale kiedyś mieliśmy z nimi do czynienia przynajmniej raz w miesiącu. A to nie były miłe ani bezpieczne kontakty. Wszyscy trzej trenują sporty walki, a zawodowo prowadzą siłownię w Suwałkach. Pieniądzy im nie brakuje, bo rodzina Rączkowskich od pokoleń należy do najzamożniejszych w powiecie. Matka łobuzów, Maria, prowadzi ten swój sklepik raczej hobbistycznie. Mam wrażenie, że traktuje swój interes w charakterze agendy służącej zbieraniu wszelkich możliwych plotek z okolicy. Poza tym ma zajęcie,

odkąd synowie się wyprowadzili. Jeżeli to nasi archaniołowie stoją za ostatnimi wydarzeniami, to *modus operandi*, czyli brutalność i wyjątkowa bezczelność napastników, jak ulał do nich pasuje. A wszelkie niezbędne do napadów informacje pozyskiwali za pośrednictwem konkubiny Michała. W dodatku znali bezbłędnie rozkład zarówno muzeum, willi, jak i pensjonatu Łosia, ponieważ Bożelakowa przynajmniej przez pewien czas sprzątała we wszystkich wymienionych budynkach. Wcześniej ich nie podejrzewałem, ponieważ uważałem, że to raczej postrzeleni chuligani, a nie bezwzględni bandyci. Nadal trudno mi uwierzyć, że zamordowali Łosia z zimną krwią i przyczynili się do śmierci pana Henryka, który nawiasem mówiąc, uczył również trzech Rączkowskich. A już sama liczba nocnych napastników powinna dać mi do myślenia. Skarb musi być dla nich bardzo cenny, skoro im rozum z chciwości odjęło. Nie mam tylko pojęcia, jak się o nim dowiedzieli.

– Wójtowicz zatrudniał dorywczo braci Rączkowski do pomocy w jakichś swoich ciemnych interesach. Musiał się im pochwalić posiadaniem zabytków albo sami jakoś podejrzeli jego machinacje – wyjaśniła Magda.

– Naprawdę? – zdziwił się Piotr. – Skąd wiesz?

– Ponieważ sama Rączkowska mi o tym powiedziała, jak robiłam zakupy w jej sklepiku. Przy okazji mrożącej krew w żyłach relacji dotyczącej zgonu Wójtowicza.

– Jeżeli to faktycznie oni, a wydaje się to bardzo prawdopodobne – wtrącił Mrocz – zakładam, że przejęli po właścicielu willi również biznes z walkami psów. Tylko po co te wszystkie kombinacje, skoro i tak mają kasę?

– Adrenalina i ambicja – powiedział z zadumą Piotr. – Każdy mały łobuz marzy, żeby zostać gangsterem z prawdziwego zdarzenia. Pewnie pozazdrościli Wójtowiczowi jego pozycji w półświatku i postanowili zagospodarować pustą niszę. Zresztą nikt nigdy nie ma wystarczająco dużo pieniędzy, szczególnie bogacze. A Rączkowsy wydają niemało. Jednak teraz przyskrzynimy ich właśnie dzięki psom, bo przecież nie posiadamy żadnych niepodważalnych dowodów, poza nagraniem, na którym nawet ja nie rozpoznałem archaniołów. Można

przemaglować Bożelakową, ale jeśli nie sypnie, zostaniemy z niczym. Zatrzymaj się tutaj.

W międzyczasie przejechali przez całe Szurpiły i właśnie minęli ostatnie domy. Kiedy Waldemar przystanął na poboczu, aspirant wyskoczył i podszedł do radiowozu, który zatrzymał się tuż za lexusem.

– Radek, dawaj jeszcze raz psa! – zawołał.

– Jeżeli sądzisz, że zaprowadzi nas do Rączkowskich, to trzeba było stanąć wcześniej, bo oni mieszkają przy sklepie – zgłosił zastrzeżenie Gralak. – Poza tym jeżeli nie daj Bóg archaniołowie są akurat u matki, to ja wolę poczekać na wsparcie. Nas jest tylko dwóch. Nie sprawię chyba ujmy panu Waldemarowi, sugerując, że w obecnym stanie nie nadaje się do bijatyki.

– Ja się w ogóle nie nadaję do bijatyki – zaznaczył Waldemar. – Chyba że macie gdzieś jeszcze trochę ziółek Anatola.

– Ja nie chcę ryzykować spotkania z Rączkowskimi, tylko znaleźć psy. – Piotr uniósł dłonie w obronnym geście. – A przecież nie trzymają ich w domu pośrodku wsi. Za duże ryzyko. Spójrzcie, tutaj wpadłem radiowozem do rowu, kiedy jakiś stwór wskoczył mi pod koła. Musiał nadbiec przez pola tą gruntową drogą. Trudno ją obecnie dostrzec, ponieważ wszystko przykrywa śnieg. A te pola aż po horyzont stanowią własność Rączkowskich. Łącznie z odległym o jakieś pół kilometra lasem. I właśnie tam rozpocząłbym poszukiwania psiej fermy.

– Koncepcja może i słuszna – odezwała się Magda – ale co do tego ma jakiś zwierzak nieprawidłowo przebiegający przez jezdnię?

– To może być tylko zbudowana na wyrost hipoteza, ale spójrzcie. – Nowicki zatoczył ręką krąg. – Ta gruntówka nie kończy się na szosie, tylko biegnie dalej, mniej więcej w kierunku gospodarstwa Złocickiego. Rzadko kiedy ktoś z niej korzysta. Otóż bandyci, kiedy napadli na Romanowskiego, mieli ze sobą psy. Przypuszczam, że opuścili miejsce zdarzenia niedługo przed moim przybyciem. Inaczej musieliby zaatakować tuż po zmroku, kiedy we wsi toczy się jeszcze normalne życie, więc narażaliby się na wykrycie przez przypadkowych świadków.

Zakładam, że to byli Rączkowscy oraz że po robocie odprowadzili sforę na swoje włości. Ale jeden pies im uciekł. Stary pies, który większość życia spędził w stodole Wójtowicza. Coś mu się we łbie poprzestawiało pod wpływem narkotyku i poleciał na stare śmieci. Po drodze omal nie wpadł pod radiowóz, a potem, wciąż na haju, zaatakował Waldka w stodole.

– Ale skąd przekonanie, że to właśnie z powodu mieszańca ze stodoły, a nie jakiegoś zabłąkanego kundla, wpadłeś do rowu? – zapytał Gralak.

– Ponieważ kiedy przez ułamek sekundy stwór mignął mi w świetle reflektorów, byłem pewien, że widzę wilkołaka.

Takie wyjaśnienie w pełni przekonało lokatorów domu nad jeziorem, chociaż Gralak, który nigdy nie nasłuchał się historii o wilkołakach ani nie zetknął się z potwornymi psami w niezwykłych, budzących grozę okolicznościach, pozostał sceptyczny. Jednak funkcjonariusz nie zamierzał sprzeczać się z kolegą po fachu, skoro prosty eksperyment mógł na poczekaniu rozstrzygnąć wątpliwości.

– Do budy, poszedł! – ryknął na psa.

A Reks prosto jak po sznurku powłókł go w stronę słabo mającego w szarzyźnie świtu lasu. Lokatorzy domu nad jeziorem ile sił w nogach truchtali w ślad za przewodnikiem, utrzymując zasugerowany dystans dwudziestu metrów. Jednak bynajmniej nie dlatego, żeby pamiętali zalecenia Gralaka. Po prostu nie mogli nadążyć, ślizgając się i potykając w zmrożonym śniegu. Magda, która właśnie utknęła w ukrytym pod białą powłoką wykrocie, wysapała do spieszącego jej z pomocą Piotra:

– Wybacz moje zastrzeżenia, ale ta droga nie wygląda na systematycznie uczęszczaną. Nikt od pięciu dni nie naruszył zasp, a psy trzeba regularnie karmić.

– Ale Rączkowscy przyjeżdżają z Suwałk. Pewnie znają jakiś skrót – odpowiedział aspirant z niezachwianą pewnością, której w rzeczywistości wcale nie posiadał.

Blady rąbek tarczy zimowego słońca wychynął właśnie spoza morenowych wzgórz, wyczarowując u stóp grupki przyjaciół długie cienie o barwie indygo. Las

również rzucał mroczny cień, który pochłonał malejącą w oddali sylwetkę Gralaka. Teraz kierowali się wyłącznie jego śladami. Świadomi, że nie dogonią już psa, zmienili tempo na spacerowe i uważnie patrzyli pod nogi. Bez pośpiechu dobrnęli do skraju zagajnika, gdzie napotkali poważną przeszkodę w postaci spiętrzonej na blisko metr zaspy. Wleczony przez psa Radek najwyraźniej jakoś się przez nią przekopał, ale Mrocz szamotał się bezradnie, pogrążony do pasa w skrzącym puchu.

– Dupa! – jęknął. – Nie przejdę, chyba że mnie przeniesiecie.

– Cofnijmy się trochę i spróbujmy obejść tę pułapkę – zaproponowała Magda. – Tam, parę metrów po lewej, jest chyba płycej.

Wszyscy bez słowa zaakceptowali jej sugestię. Widocznie wyznaczająca szlak przecinka powodowała powstawanie wirów powietrza, które sprzyjały gromadzeniu się nawianego śniegu, ponieważ zaspą rozciągała się tylko w poprzek drogi. Kilka kroków dalej dawało się przejść bez trudu. Zagłębili się w gęsty młodnik. Tutaj wciąż jeszcze gościła noc, więc nadzwyczaj ostrożnie przedzierali się przez krzaki, podając sobie z rąk do rąk odgięte gałęzie. Mimo to idący na końcu Mrocz i tak kilka razy oberwał prostującym się ze świstem konarem.

Raptem Piotr, którego od trasy przemarszu Gralaka oddzielał już tylko rosochaty świerczek, syknąwszy ostrzegawczo, przystanął. Wyraźnie usłyszeli głosy ludzi nadchodzących z głębi lasu.

– Nie wychodź na pole – powiedział ukryty za parawanem igliwia mężczyzna. – Jeszcze cię ktoś z szosy zobaczy.

– I tak mnie nie pozna – odburknął strofowany. – Za daleko. A musimy się upewnić.

Z chrzęstem śniegu postąpił jeszcze kilka kroków.

– Dosyć! – zakomenderował ostrożniejszy osobnik. – Już wiemy, że Gralak nie miał towarzystwa, a tylko po to tu przyszliśmy. Trzeba wracać i posprzątać, zanim we wsi zrobi się ruch.

Nieznajomi zawrócili, ciężko człapiąc przez zaspy.

– O kurde! – zaszeptał niemal bezgłównie Piotr, kiedy zapadła cisza. – To Rączkowsy. Mieliśmy fart. Gdyby poszli ciut dalej, dostrzegliby nasze ślady.

– Ale pan Radek raczej miał pecha – syknął Mrocz. – Wlazł im prosto w łapy.

– Kto mógł przewidzieć, że zjawią się tutaj o świcie? Nie należą do rannych ptaszków. – Gorycz w ściszym głosie Nowickiego świadczyła, że czuje się winny z powodu niefortunnego obrotu spraw. Przecież kolega zawczasu sugerował mu wezwanie wsparcia. – Muszę sprawdzić, co się dzieje z Radkiem. Magda, weź od Waldka kluczyki i wracaj do samochodu. Kiedy tylko znajdziesz się w bezpiecznej odległości, zadzwoń do Korczakowskiego i powiadom go o sytuacji. Potem podjedź autem jakieś pięćdziesiąt metrów do przodu. Tam jest kolejna droga, równoległa do tej, ale znacznie bardziej uczęszczana. Prowadzi do bazy geologicznej i zwykle bywa odśnieżana. Jeżeli da się nią przebrnąć, zaparkuj na zachodnim skraju lasu. Będziemy mieli bliżej, kiedy przyjdzie się ewakuować w alarmowym tempie. Ale nie kozakuj. Gdyby istniało najmniejsze ryzyko, że się zakopiesz, to zawróć na stare miejsce.

– Ale ja chcę zostać z wami! – Bardzo trudno jest energicznie protestować szeptem, jednak Żaboklickiej najwyraźniej się powiodło. Syczała jak rozdrażniona kobra.

– Błagam, choć ten jeden raz mnie posłuchaj – jęknął Piotr. – Jest nas tylko troje i musimy współpracować.

– To niech Waldek idzie. To jego samochód.

– Waldek ma czarny płaszcz, a ty czerwoną kurtkę. Za bardzo rzuca się w oczy.

Okazało się, że dziewczyna bywa podatna na rzeczowe argumenty. Sama musiała w duchu przyznać, że wściekle czerwona kurtka stanowi bardzo kiepski kamuflaż, więc bez dalszych sprzeciwów wyrwała Mroczowi z ręki kartę do lexusa i pobiegła w kierunku szosy.

– Uff! – sapnął Piotr. – Nawet łatwo poszło. Proponuję podkraść się dalej przez las.

– Ale wiesz, że gdyby doszło do rękoczynów, to ja na niewiele się przydam? – upewniał się Waldemar, niezdarnie przedzierając się przez pokryte szadzią chaszczce.

– Tylko zorientujemy się w sytuacji... – Idący przodem aspirant nagle przypadł do ziemi. – Cholera, ten zagajnik to zaledwie parę drzewek. Widzę jakiś budynek.

Podpełzł kilka metrów i przywarował w gęstej kępie leszczyny. Waldemar, choć bez entuzjazmu, poszedł w ślady aspiranta. Czołgał się ze znacznie mniejszą gracją od swego towarzysza, ale i tak nie dałoby się go wypatrzyć, gdyż jego mikre ciało niemal całkowicie zniknęło w białym puchu po przyjęciu horyzontalnej pozycji. Niebawem dołączył do Piotra i obaj ciekawie spoglądali spoza kurtyny bezlistnych łądyg.

Śródpolny gaj miał kształt podkowy, której ramiona otaczały niewielką polankę. Na jej środku wznosiła się – lub raczej, gdyby wyrażać się precyzyjnie, marniała – drewniana stodoła. Stanowiące poszycie ścian poszarzałe deski powypaczały się ze starości, tworząc szerokie na palec szczeliny. Miejscami całkiem poodpadały lub pokrzywione, zwisały smętnie na zardzewiałych gwoździach. Pokrywający zapadnięty dach eternit zyskał ekologiczną oprawę w postaci gęstych kęp zgniłozielonego mchu. Za stodołą biała płaszczyzna, pozbawiona wszelkich znamion ludzkiej egzystencji, ciągnęła się aż po spowity niebieskawą mgiełką horyzont.

Jednak w pobliżu gospodarczego budynku wrzała gorączkowa działalność. Terenowa toyota parkowała niecałe dziesięć metrów od krzaka, za którym ukrywali się Nowicki z Mroczem. Bracia Rączkowscy, przy wtórze ponaglających okrzyków, gorączkowo przemieszczali się pomiędzy samochodem a otwartymi na oścież wrotami stodoły, przenosząc do bagażnika jakieś przedmioty poupychane w reklamówkach. Trzej archaniołowie prezentowali typ budzących respekt osiłeków. Wielkie, sękate chłopiska z małymi, krótko ostrzyżonymi główkami osadzonymi bez pośrednictwa szyi na umięśnionych barkach. Sprawiali wrażenie odlanych z jednej standardowej formy. Brutalność malująca się na ich twarzach dodatkowo upodabniała ich do siebie. Mogliby uchodzić za trojaczki, chociaż różnica wieku

pomiędzy najstarszym Michałem a najmłodszym Janem wynosiła niemal dziesięć lat.

Gralak leżał rozciągnięty bezwładnie na śniegu. Jego służbowa czapka wylądowała kilka metrów od ciała, co świadczyło o sile ciosu, który zainkasował funkcjonariusz. Piotr w pierwszej chwili wystraszył się, że kolega nie żyje, jednak potem dostrzegł więzy ze srebrnej taśmy na jego rękach i nogach. Nikt nie krępowałby trupa, więc istniała szansa, że Radek niebawem ocknie się po nokaucie. Podobnie chyba rozumował Reks, którego uwiązano do samochodowej felgi. Skomlał i drapał pazurami śnieg w beznadziejnej próbie dotarcia do nowego opiekuna.

Rozległ się basowy pomruk silnika i z budynku wytoczył się terenowy quad. Jan zeskoczył z siodła i odczepił przytroczony do bagażnika dwudziestolitrowy kanister z benzyną.

– Pełny! – zawołał do braci, potrząsając zbiornikiem. – Można zaczynać fajerwerki.

– Dobra. – Michał w towarzystwie milczącego Rafała zbliżył się do wrót stodoły. – My pozbędziemy się gliniarza, a ty zrób tutaj porządek i śmigaj quadem do Jeleniewa. Zostaw czterokołowca w warsztacie Jacka. Zgarniemy cię, wracając do Suwałk.

W ciszy bezwietrznego poranka każde wypowiedziane słowo bez przeszkód docierało do uszu przyczajonych w śniegu mężczyzn. Zresztą od stodoły dzieliło ich najwyżej piętnaście metrów.

– O cholera – szepnął Mrocz – chyba chcą gdzieś wywieźć pana Radka.

– We dwóch im nie przeszkodzimy. – Piotr tarosił nerwowo swój zmarznięty nos. – Wycofaj się ostrożnie i pędź do samochodu. Musicie ich śledzić i jakoś zainterweniować, gdyby zamierzali posunąć się do najgorszego.

– Nie zdążę, zaraz odjadą, a ja nawet nie będę wiedział, gdzie ich szukać – jęknął zdesperowany Mrocz.

Nagle oczy mu zabłyśły. Wymotał z kieszeni telefon. Aparat wyposażono w pętlę na nadgarstek i za jej pomocą Waldemar przytroczył urządzenie do solidnego kija wygrzebanego spod śniegu.

– Ich samochód ma wyprawowy bagażnik – wydyszał Piotrowi w ucho. – Kiedy będą odjeżdżać, wrzuc ten zestaw do kosza. Tylko nie chyb, masz jedną szansę. Mój telefon można śledzić za pomocą aplikacji GPS, a Magda na pewno ma ze sobą swój aparat. Zlokalizujemy ich, dokądkolwiek pojedą, i naprowadzimy policję.

W tym momencie doszło do bardzo niefortunnej sytuacji. Jan odwiązał Reksa od samochodu i brutalnie szarpiąc smycz, powłókł zwierzaka do stodoły. Kasia widocznie pilnie śledziła wszystkie wydarzenia ze swojego stanowiska w rękawie i uznała, że jej pomsta na czworonożnym adwersarzu jeszcze się w pełni nie dokonała. Wyprysnęła z bezpiecznego schronienia i podążyła tropem psa.

Piotr spostrzegł, że zrozpaczony redaktor zamierza zawołać futrzaną przyjaciółkę, i w samą porę zatkał mu usta. Jego zdaniem nic już nie można było poradzić, ponieważ od pośpiechu zależało życie Gralaka. Jednak starał się uspokoić Waldemara:

– Kasia pruje prosto do stodoły, a ja też się tam wybieram. Daję słowo, że ją znajdę, tylko, na miłość boską, pędź teraz do samochodu.

– Po co ty do stodoły? – Mrocz nie rozumiał.

– Nie pozwolę im puścić z dymem dowodów. Z jednym Rączkowskim jakoś sobie poradzę.

Mrocz rzucił jeszcze ostatnie, pełne rozpaczny spojrzenie na ukochaną tchórzofretkę. W zasadzie to nie miał szans jej dostrzec, ponieważ miniaturowy drapieznik pogrzyżył się w śniegu aż po koniec nastroszonego ogonka. Trasę Kasi znaczył jedynie ruchomy wzgórek na białej płaszczyźnie majdanu. Nieco uspokojony, że póki co nikt inny również nie zdoła śledzić poczynañ zwierzątka, westchnął ciężko i rakiem wycofał się w głąb zagajnika.

Osamotniony Piotr obserwował, jak Jan ze smyczą w jednej sękatej ręce i czerwonym kanistrem w drugiej znika w budynku. W międzyczasie pozostali dwaj bracia dźwignęli wciąż bezwładne ciało Gralaka i z trudem upchnęli w wyładowanym bagażniku toyoty. Na wierzch wrzucili jeszcze jego czapkę. Kiedy auto, zawracając, ustawiło się do aspiranta pod takim kątem, że nie sposób było go zauważyć w lusterkach, ten wyprostował się i cisnął kij z przytroczonym doń telefonem redaktora. Widząc, że zaimprovizowany zestaw śledzący dotarł do celu, nie wzbudzając podejrzeń pasażerów toyoty, pozwolił sobie na słaby uśmiech. Jego zdaniem najbardziej ryzykowny element planu został pomyślnie zrealizowany. Wyprawowy bagażnik miał formę metalowego kosza z wysokim rantem. Prawdopodobieństwo, że rosochaty konar wysunie się z niego, nawet przy ostrych manewrach, wydawało się minimalne. Teraz Nowickiego czekała konfrontacja z najmłodszym Rączkowskim. Bardzo żałował, że najmłodszy nie oznacza także najmniejszy.

Magda zobaczyła Mrocza już z daleka. Wypadł z lasu, spostrzegł czerwonego lexusa i popędził w jego kierunku, młóćąc powietrze rękoma jak wiatrak śmigłami. Widocznie łapał równowagę w zdradliwych zaspach. Widząc, że redaktor gna, jakby chodziło o życie, domyśliła się, że zaraz będą ruszać, więc przesiadła się na fotel pasażera. Potężny i podejrzanie cichy wóz nieco ją onieśmielał, dlatego wolała pozostawić prowadzenie go właścicielowi.

– Szybko, ściągnij na telefon aplikację... – Tu zasapany Mrocz, który właśnie dopadł drzwiczek pojazdu, wymienił nazwę oprogramowania umożliwiającego śledzenie jego smartfonu.

– Zaraz, chyba taką mam. – Żaboklicka przesuwała niezliczone ilości ikonek w swoim aparacie. Jak większość użytkowników, ciągle coś instalowała, żeby potem zupełnie z tego nie korzystać.

– Wpisz numer mojego telefonu i pokieruj nas jego śladem.

Z chrzęstem śniegu lexus potoczył się po wrytych na wskroś zasp koleinach.

– Sekundę, aplikacja się aktualizuje. Na szczęście tym razem mam silny sygnał.

A gdzie Piotr?

– Został. Niestety, razem z Kasią.

W krótkich słowach, wciąż dysząc jak lokomotywa, Mrocz zapoznał Magdę z sytuacją. Samochód buksował kołami i zarzucał, gdy kierowca próbował dodawać gazu, na szczęście droga prowadząca do stacji geologicznej była jako tako przetarta. Co najmniej kilka razy coś nią przejechało, najprawdopodobniej traktor. Na szosie Waldemar wyłączył napęd na cztery koła i skręcił w stronę Jeleniewa. Słusznie zakładał, że Rączkowscy w jakimś miejscu wydadzą się na asfaltówkę prowadzącą do Suwałk.

– Już! – wykrzyknęła Magda. – Mam lokalizację. Właśnie mijają Jeleniewo i kierują się na wschód.

– Dziwne, sądziłem, że pojedą w przeciwnym kierunku. – Mrocz ściągnął brwi. – Nie jest dobrze.

– Dlaczego?

– Bo gdyby zamierzali Gralaka gdzieś przetrzymać, to raczej na jakiejś znanej sobie mecie w Suwałkach albo tutaj, w okolicy rodzinnego domu. Tymczasem grzeją na pustkowiu. Obawiam się, że zechcą się go pozbyć w najgorszym tego słowa znaczeniu.

– No to gazu, Waldek – przynagliła kierowcę Magda.

Pługii oczyściły szosę i posypały nawierzchnię solą, ale tu i ówdzie pozostały wyszlizgane spłachetki zlodziałego śniegu. Dwukrotnie, raz na górze tuż za Szurpiłami, a potem na ostrym zakręcie przed wjazdem do Jeleniewa, samochód tracił przyczepność. Tylko niesamowity refleks i wprawa Mrocza uchroniły ich przed wypadkiem. Przy szybkości, którą rozwijał lexus, nie skończyłoby się na miękkim lądowaniu w rowie. W miasteczku musieli odrobinę zwolnić, ale gdy tylko minęli ostatnie domy, Waldemar znowu wdusił akcelerator.

– Przy Szelmencie odbili w lewo – poinformowała towarzysza Magda.

Waldemar dotarł do rozwidlenia dróg w mniej niż dwie minuty i również skręcił w lewo. Na chwilę przed przednią szybą zamajaczył południowy kraniec jeziora Szelment. Rączkowscy posuwali się wzdłuż jego zachodniego brzegu, wciąż mając zbiornik wodny po swej prawej stronie. Na szczęście jechali bardzo wolno. Widocznie nie chcieli zwracać na siebie uwagi. Po kolejnej minucie szalonego pościgu, kiedy lexus pokonywał szczyt wzniesienia, jego pasażerowie dostrzegli czarną toyotę.

– Teraz już ich nie zgubię. Dzwon na policję – zakomenderował Waldemar.

Nie miał zamiaru zwracać na siebie uwagi porywaczy, ale zanim zdołał wyhamować, już niemal dotykał maską tylnego zderzaka toyoty. Zaś nie w ciemną bici Rączkowscy w mig zorientowali się, kto następuje im na pięty. Po okolicy

plątał się tylko jeden czerwony lexus. Zaskoczeni popełnili jednak taktyczny błąd. Widzieli w lusterkach, że w samochodzie znajduje się jedynie mikry redaktor w towarzystwie dziewczyny. Powinni byli zablokować im drogę i w brutalny sposób, do jakiego nawykli, wyperswadować amatorom dalszy pościg. Na pustej szosie nikt by im w tym nie przeszkodził. Właśnie podobnego scenariusza najbardziej obawiał się Mrocz. Jednak kierujący pojazdem Michał uległ instynktowi ściganego, a może odezwała się w nim sportowa żyłka, grunt, że z rykiem wchodzącego na wysokie obroty silnika wyrwał do przodu. Waldemarowi nie pozostawało nic innego jak tylko przyłączyć się do ryzykownego wyścigu.

Przez kolejne dwa kilometry kręta na ogół szosa biegła prostą linią na północ, umożliwiając rozwinięcie znacznej szybkości. Prujące blisko sto pięćdziesiąt kilometrów na godzinę pojazdy niemal odrywały się od ziemi, pokonując szczyty morenowych wzniesień. Potem musiały nieznacznie zwolnić, kiedy wstęga asfaltu odbiła nieco w prawo, zbliżając się do jeziora. Gorzej zorientowany w okolicy Mrocz pozostał z tyłu i to prawdopodobnie ocaliło mu życie. Przed nim droga opadała łagodnie w dół, w swym najniższym położeniu niemal muskając brzeg Szelmentu. W cienistej kotlinie jezdnię wciąż jeszcze pokrywała cienka warstwa wypolerowanego oponami lodu.

Wtem z polnej drogi po lewej wytoczył się holujący ogromną przyczepę traktor. Zapewne kierujący nim rolnik za późno spostrzegł pędzącą z zawrotną prędkością toyotę i nim wcisnął hamulec, ciągnik kompletnie zablokował skrzyżowanie. Samochód Rączkowskich zatańczył w poślizgu. Potem, ratując się przed nieuniknionym zderzeniem, zakręcił w prawo i zniknął, wzbijając w powietrze obłok spiętrzonego na poboczu śniegu. Waldemar również wpadł w poślizg, jednak w przeciwieństwie do Michała uczynił to zupełnie świadomie. Zakręcił gwałtownie kierownicą, sprawiając, że tył lexusa zarzucił, ustawiając pojazd prostopadle do kierunku jazdy. Wykonanie podobnego manewru w aucie wyposażonym w elektryczny ręczny hamulec świadczyło o nieprzeciętnym kunszcie prowadzącego. Teraz mogli wraz z Magdą liczyć tylko na mizerną siłę tarcia.

Szczególnie narażona wydawała się dziewczyna, która wielkimi jak spodki oczami mierzyła gwałtownie malejącą odległość dzielącą drzwi po stronie pasażera od wielkich kół nieruchomego traktora. Na szczęście ktoś przytomny posypał niebezpieczne skrzyżowanie żużlem. Sunący bokiem lexus utracił większość pędu na szorstkim podłożu i ostatecznie zderzenie okazało się raczej formalnością. Chociaż towarzyszący mu huk był spory i wystrzeliły boczne poduszki powietrzne.

– Cała jesteś? – zapytał Waldemar.

– Chyba tak – wyjąkała w odpowiedzi Magda, która najmocniej oberwała właśnie mającą zapewnić bezpieczeństwo poduszką.

Usatysfakcjonowany odpowiedzią Mrocz wyskoczył z samochodu i popędził śladem toyoty. Żaboklicka usiłowała pójść w jego ślady, jednak w jej przypadku opuszczenie auta wiązało się z pokonaniem licznych przeszkód. Musiała wyplątać się ze sflaczałej poduszki i przeczołgać po siedzeniu kierowcy. Kiedy wreszcie stanęła na asfalcie, drogę zagroził jej właściciel ciągnika.

– Dokąd to, paniusiu! – wrzasnął tęgi mężczyzna w przyciasnej kufajce. – Uszkodziliście mi traktor. Ja tak tego, kurwa, nie daruję! Zapłacicie mi za wszystko!

Źle trafił, naskakując na dziewczynę, której krew aż buzowała od nadmiaru uwolnionej adrenaliny. Żaboklicka zmierzyła go pełnym wrogości spojrzeniem i bez słowa kopnęła z całej siły w krocze. Włóścianin wybałuszył oczy i bez jęku zwałił się na ziemię. Bezwzględna projektantka sarnim susem przeskoczyła nad ciałem zwijającego się z bólu kmiotka i pobiegła w kierunku miejsca, gdzie śnieg na poboczu przeorały świeże ślady opon. Spodziewała się ujrzeć toyotę owiniętą wokół jednego z gęsto porastających brzeg jeziora drzew, ale czekała ją niespodzianka.

Na wprost feralnego skrzyżowania w gęstym szpalerze olch rozwierała się pokaźna luka. Magda nigdy nie odwiedzała okolicy latem, więc nie mogła wiedzieć, że mieszkańcy akurat tutaj urządzili sobie miniaturową dziką plażę. Jak przystało na plażę, pozbawiony wszelkich przeszkód teren opadał łagodnie

w kierunku skrzęcej się białą tafli. Na samym skraju skutego lodem przestworu stał Mrocz i w napięciu obserwował oddalony o kilkanaście metrów samochód. W pierwszej chwili Magda sądziła, że terenowe auto cudem uniknęło wszelkich związanych z wypadkiem zagrożeń, i nawet rozważała ewentualną rejteradę, gdyby niebezpieczni pasażerowie postanowili nagle wysiąść. Ale wówczas usłyszała głośny trzask i spostrzegła, że pojazd przechyla się pod dziwnym kątem. Przednie koła tkwiły w dziurze, z której leniwą falą wypływała gęsta jak olej woda. Maskę toyoty opadła jeszcze niżej. Teraz już nie sposób było otworzyć przednich drzwi, ponieważ zablokowały je krawędzie przerębla, a proces tonięcia przyspieszał, w miarę jak wokół karoserii pojawiały się kolejne szerokie szczeliny. Mróz trzymał zaledwie od kilku dni. Bliżej brzegu, na płyciźnie, lód osiągnął już znaczną grubość, więc rozpedzony samochód przemknął po nim bez trudu. Ale w miejscu gdzie się zatrzymał, szklista pokrywa miała najwyżej marne cztery centymetry.

– Pomóż mi, musimy wyciągnąć Gralaka! – wrzasnął Mrocz.

Magda aż podskoczyła. Zafascynowana rozgrywającą się w zwolnionym tempie katastrofą zupełnie zapomniała o tkwiącym w bagażniku policjancie. Z chwilą gdy kufer zanurzy się w lodowatej wodzie, los Gralaka będzie przesądzony. Na razie tył samochodu zdawał się wznosić coraz wyżej ku niebu, w miarę jak kabina z bulgotem pogrążała się w otchłani.

Podbiegła do Mrocza. Bez słowa, kierowani jakimś pierwotnym instynktem, schwycili się za ręce i ruszyli w kierunku toyoty. Starali się stąpać szybko, ale delikatnie. W pobliżu celu już tylko ostrożnie powłóczyli nogami, usiłując wyczuć stopami ewentualne pęknięcia podłoża. Waldemar wysunął się nieco do przodu i lewą ręką – w prawej kurczowo ścisnął dłoń Magdy – otworzył klapę. Pochylił się i napotkał dzikie z przerażenia spojrzenie błękitnych oczu Gralaka. Policjant odzyskał przytomność, ale skrępowany jak baleron niewiele mógł zdziałać. Bełkotał tylko niezrozumiale pod zaklejającą mu usta srebrną taśmą. Mrocz złapał miłośnika zwierząt za kołnierz mundurowej kurtki i szarpnął ze wszystkich sił. Bez najmniejszego efektu. Mikry redaktor z równym powodzeniem mógłby usiłować wyciągnąć z głębokiego dołu spalonego słonia.

Żaboklicka usłyszała jakiś chrzęst i poczuła lodowatą wilgoć w butach. Darowany przez los czas dobiegał końca. Odepchnęła Waldemara i chwyciła Gralaka pod pachy. Stęknęła głucho z wysiłku, ale policjant minimalnie zmienił pozycję i mógł się odepchnąć od foteli, prostując podkulone nogi. Uczynił to nadzwyczaj energicznie i w rezultacie wystrzelił z bagażnika jak pocisk, taranując dziewczynę. Obydwoje gruchnęli na lód, który natychmiast pokryła siateczka pęknięć, a przez nie z bulgotem wystrzeliła woda. Magda leżała w poszerzającej się kałuży, tuląc do piersi funkcjonariusza, i bała się choćby drgnąć. Nagle ktoś pociągnął ją za kaptur kurtki i zaczął holować ją ku bezpiecznemu brzegowi.

Mrocz trzymał w zębach obsyty sztucznym futerkiem skraj kaptura i na czworakach, zapierając się desperacko wszystkimi czterema kończynami, włókł z mozołem dwa splecione ciała. Podobny wyczyn teoretycznie przekraczał jego skromne możliwości, ale w sukurs pospieszyły mu prawa fizyki. Rozlewająca się po powierzchni lodu woda topiła śnieg, tworząc rodzaj ślizgawki o minimalnym współczynniku tarcia. Dopóki redaktor pozostawał na jej skraju, przewaga w potyczce z siłą ciężenia leżała po jego stronie. Przewaga ta zniknęła z chwilą, gdy doholował przyjaciół we wciąż zaśnieżone rejony, ale obecność białego puchu świadczyła o względnej stabilności podłoża, więc wypluł z obrzydzeniem zaślinione futerko i poniechał dalszych wysiłków.

– Magda, wstawaj, póki możesz, bo zaraz przymarzniesz! – krzyknął, zgarniając językiem kłaczki z warg. – Cała jesteś mokra.

Żaboklicka, przerażona wizją czyhającej na nią przepastnej toni, dotychczas zachowywała zbliżony do katatonii bezwład. Dopiero teraz poczuła dotkliwy chłód rozpełzający się po plecach oraz przyległościach. Ostrożnie przyjęła pozycję klęczącą i obmacała więzy Gralaka. Skoro policjant dał radę wyskoczyć z bagażnika jak diabeł z pudełka, to powinien dotrzeć na własnych nogach do brzegu.

– Trzymaj. – Mrocz podał jej scyzoryk. – Zobaczę, co z tamtymi łobuzami.

Ruszył w kierunku samochodu, szerokim łukiem omijając pokruszony fragment lodowej tafli.

– Pomogę panu – zaofiarował się Gralak, którego organ mowy właśnie został dosyć brutalnie oswobodzony z kleistego knebla.

– Nie ma sensu zwiększać obciążenia – mruknął Mrocz. – Ja, niestety, jestem najlżejszy.

Znowu pochylił się nad czeluścią kufra, który teraz niemal pionowo sterczał z przerębła, i zawołał:

– Żyjecie tam?!

Natychmiast odskoczył jak oparzony, zatraskując klapę. Z wnętrza podtopionego pojazdu dobiegł stłumiony huk i tylna szyba rozprysnęła się w drobny mak.

– Strzelili do mnie! – wykrzyknął, bardziej zły niż przerażony. – A niech sobie toną, skurwysyny!

Ledwie dał kilka kroków w tył, jego życzenie zaczęło się spełniać. Rąbek lodu przytrzymujący tylne koła odłamał się z trzaskiem niewiele cichszym niż niedawny wystrzał i toyota Rączkowskich zanurkowała o dobre pół metra. I w takiej pozycji, z tylnym zderzakiem wystającym nieznacznie nad powierzchnię wody, utknęła. Widocznie maska zaryła w dno.

– Proponuję szybko się oddalić. – Redaktor jakby zapomniał o czającym się pod stopami niebezpieczeństwie i truchcikiem podbiegł do Magdy, która pomagała Gralakowi stanąć na ścierpniętych nogach. – Obawiam się, że te dranie zaraz wyleżą. Złego diabli nie biorą!

Kiedy dotarli do brzegu, Magda obejrzała się za siebie i faktycznie dostrzegła dwie ogolone głowy sterczące z dziury po tylnej szybie. Ale reszta muskularnych ciał nadal tkwiła w wypełnionej wodą karoserii. Potężnie zbudowani Rączkowscy, próbując jednocześnie wydostać się z pułapki, po prostu zaklinowali się w wąskim otworze.

Gdzieś całkiem blisko rozległ się ryk syreny. To ponieważ przybywały wezwane telefonicznie przez Magdę posiłki z Komendy Głównej w Suwałkach.

Widząc błyskające koguty, kierowca ciągnika, który zgięty wpół opierał się o swój ukochany pojazd, przestał na chwilę rzygać i zawołał:

– Pierwszy raz gliny przyjechały w porę. Teraz się z wami rozprawia, wy pieprzeni pojebańcy!

Piotr zlekceważył szeroko otwarte wrota stodoły. Okrążył budynek i przystanął na jego tyłach, pilnie wypatrując poluzowanych desek w poszyciu ściany. Wybrał dwa sąsiadujące dyle, krzywo zwisające na skorodowanych gwoździach, i przyłożył oko do ziejącej pomiędzy nimi szpary. Musiał chwilę poczekać, aż wzrok olśniony przez skrzący się w porannym słońcu śnieg przyzwyczai się do półmroku panującego w przestronnym wnętrzu. W końcu dostrzegł Rączkowskiego.

Jan chlustał właśnie benzyną z kanistra na jakieś zalegające przy wejściu graty. Potem przeszedł pod przeciwległą ścianę i zaczął polewać ciągnące się szeregiem, znane już Nowickiemu boksy. Z klatek dochodziły skomlenia i piski lokatorów. Zupełnie jakby zwierzęta przeczuwały straszliwy los, jaki gotował im zdeprawowany właściciel. Również Reks zaczął targać smyczą, którą Jan wciąż jeszcze trzymał w lewej dłoni. Być może Rączkowski początkowo miał zamiar oszczędzić akurat tego jednego psa, jednak obecnie, zniecierpliwiony, odłożył kanister i przykucnął z zamiarem umieszczenia mieszańca w wolnym boksie. Brutalnie wepchnął kolejną ofiarę przez okratowane drzwiczki, a potem odpiął jej kaganiec i zaczął majstrować przy kolczatce. Zapewne obawiał się, że wykonana z nierdzewnej stali obroża przetrwa pożar i ktoś mógłby zidentyfikować jej szczątki jako własność zaginionego funkcjonariusza. Prawdopodobieństwo podobnego zbiegu okoliczności wydawało się minimalne, ale najwyraźniej archaniołowie dbali o szczegóły, co w pewnym stopniu wyjaśniało, dlaczego tak długo udawało im się wodzić za nos miejscowych stróżów prawa.

Staranność i rozwaga, z jaką Jan zacierał ślady, sprawiły, że Nowicki poczuł się jeszcze mniej pewnie. Dotychczas uważał trzech braci za tępych osiłków upajających się własną brutalnością. Ale w istocie zupełnie nie znał najmłodszego z nich, który dopiero niedawno wkroczył w dorosłość, by natychmiast na równych

prawach dołączyć do dwójki przeklętych archaniołów. Wcześniej w policyjnych raportach jakoś nie pojawiało się imię Jana. Zdaje się, że w szkole szło mu nawet całkiem nieźle, co stanowiło pewien ewenement w klanie Rączkowskich. A więc może to on został mózgiem rodzinnego gangu, dzięki któremu banda wsiowych opryszków zaczęła awansować w hierarchii przestępczego świata.

Chwila nie sprzyjała jednak teoretycznym rozważaniom. Piotr musiał działać. I to od razu, korzystając z faktu, że Rączkowski znalazł się w niewygodnej pozycji na klęczkach. W dodatku łobuza pochłaniały zabiegi przy niebezpiecznym zwierzęciu, co powinno dać aspirantowi kilka sekund przewagi. Nowicki szarpnął oburącz nadwątłone deski, bez trudu wyrywając je ze ściany, i przez powstałą dziurę wbiegł do stodoły. W kilku susach dopadł osiłka i chwytając jego prawe przedramię, zawołał:

– Policja! Jesteś aresztowany!

Jednak łatwiej powiedzieć, niż zrobić. Usiłował wyuczonym chwytem wykręcić rękę Jana za plecy, ale z równym powodzeniem mógłby próbować wygiąć stalową sztabę. Rączkowski bez trudu wyrwał się i wyprostował na pełną wysokość. Górował nad Nowickim o dobre pół głowy. Odepchnął policjanta i obróciwszy się, popatrzył mu ponuro w oczy.

– O, Piotrek! – Wargi Jana wykrzywił pogardliwy uśmieszek. – A mówiłem, że Gralak nie wybrałby się do nas sam jeden. Jak sądzę, nie należy się spodziewać kolejnych gości, bo licząc na wsparcie, raczej nie próbowałbyś mnie tak głupio napadać.

– Ja cię nie napadam, tylko aresztuję w imieniu prawa – sprostował Piotr, z satysfakcją stwierdzając, że w jego głosie nie pobrzmiwa zdradliwa nuta niepewności.

– No to będą bęcki, a potem dołączysz do swojego kumpla. – Jan uśmiechał się coraz szerzej. Przemyślał coś i kontynuował bardziej pojednawczym tonem: – Słuchaj, Piotrek, ja to cię nawet lubię. I nie jestem taki raptus jak Michał. Coś ci zaproponuję. Podpiszesz mi teraz pokwitowanie pożyczki, powiedzmy – otaksował

wzrokiem Nowickiego, jakby szacując możliwości finansowe policjanta – na sto pięćdziesiąt tysięcy. Dasz mi kwit i zapomnisz o wszystkim, co wiesz na nasz temat. Kto wie, za jakiś rok czy dwa, jak sprawa przyschnie, może nawet podreć twoje zobowiązanie i odpalę ci część tej sumy w ramach wynagrodzenia za owocną współpracę. Masz tylko trzymać dziób na kłódkę i grzecznie wykonywać swoje obowiązki wsiowego psa. Inaczej gwarantuję, że nie wyjdiesz z tej stodoły na własnych nogach.

– A co z Radkiem? – Udając, że rozważa propozycję, Piotr usiłował zyskać na czasie. Ukradkiem rozglądał się, poszukując jakiegoś ciężkiego i w miarę śmiercionośnego narzędzia.

– W sprawie twojego kumpla, niestety, nic się nie da już zrobić. – Rączkowski pokręcił głową z udawanym współczuciem. – I jest jeszcze kilka spraw, które musimy wyjaśnić, zanim dobijemy targu. Oddaj telefon.

Nowicki z ociąganiem podał bandycie komórkę. Wciąż żaden błyskotliwy plan opanowania sytuacji nie przychodził mu do głowy. Za to miał przykrą świadomość, że każda próba siłowej konfrontacji musi zakończyć się jego porażką. Powinien uzbroić się w cierpliwość.

– Dobrze. – Jan od niechcienia przeglądał listę ostatnich kontaktów Nowickiego. – A więc nie dzwoniłeś dzisiaj na komendę. Plus dla ciebie. Przyprowadził was ten durny kundel, czyli obydwaj z Gralakiem nie wiedzieliście, gdzie się tak naprawdę pchacie. Kolejny plusik, bo nie miałeś wcześniej pojęcia o naszej działalności. A nawet jeżeli, to mętne, zresztą nikt nie uwierzy skorumpowanemu glinie bez niepodważalnych dowodów. Mogłeś nawet sprzątnąć kumpla, który dowiedział się, że nie grasz uczciwie. Chyba możemy zawrzeć nasz mały układ. Bardziej przyda mi się potencjalny kozioł ofiarny niż kolejny zaginiony policjant. Bylebyś pamiętał, że tuszowanie sprawy leży przede wszystkim w twoim dobrze pojętym interesie.

Oprych zdjął z szyi jedwabny szalik i wytarł starannie rączkę kanistra.

– Potrzyj – powiedział i wręczył pojemnik aspirantowi. – I proszę, oto mściwy dłużnik lekkomyślnie zostawia swoje odciski palców na miejscu przestępstwa.

Szybkość, z jaką Jan konstruował wielowarstwowy plan uwikłania policjanta, była przerażająca. Przecież zaledwie przed chwilą został zaskoczony przez nieprzewidziane okoliczności, a już na poczekaniu wykombinował, jak obrócić sytuację na swoją korzyść.

– To teraz poszukamy jakiejś ładnej czystej kartki, a ty mi w międzyczasie opowiesz, gdzie zadołowaliście fanty.

– Co? – Nieoczekiwane żądanie kompletnie zaskoczyło Piotra, który skupiał się na obliczeniach, ile czasu zajmie dotarcie na miejsce posiłkom. Miał stuprocentową pewność, że przyjaciele z domu nad jeziorem powiadomili już komisarza o jego solowej akcji. Jeszcze kwadrans, najdalej dwadzieścia minut, i usłyszy dźwięk syren. O ile koledzy bez kłopotów odnajdą skrót prowadzący do stodoły. Choć świeże ślady na śniegu powinny im w tym pomóc.

– Nie rznij głupa! – Jan porzucił ironiczny ton. – Głowę daję, że byłeś w spółce. Po co byś tyle czasu spędzał w willi Wójtowicza. Cały czas nas rolowaliście: ty, mikry niby-redaktor i ta wielka porąbana dziwka...

Wyrachowany plan zyskiwania na czasie wziął w łeb, kiedy zaciśnięta na kanistrze ręka Nowickiego sama poderwała się do góry. Benzyna chlusnęła Rączkowskiemu w twarz, a zaraz potem lewy sierpowy policjanta dosięgnął jego kwadratowej szczęki.

Furia Piotra narastała stopniowo, ale kiedy bandyta bezrefleksyjnie obraził Magdę, nagle eksplodowała, głuszac głos rozsądku. O ile Michała wraz z Rafałem aspirant traktował jako kolejnych niebezpiecznych przestępców, których działalność należy ukrócić, Jana w ciągu kilku minut zdążył szczerze znienawidzić. Prezentowana przez łotra pewność siebie, lekceważenie dla ludzkiego życia i jawnie okazywana funkcjonariuszowi pogarda właśnie zbierały żniwo.

Cios musiał posiadać impet porównywalny z kopnięciem muła, lecz Rączkowski tylko lekko się zatoczył. Na oślep machnął wielkim kułakiem, trafiając Nowickiego w mostek. To wystarczyło, żeby aspirant na chwilę stracił oddech, więc zamiast kontynuować atak, musiał odskoczyć, zwiększając dystans. Jan tarł szczypiące oczy, klnąc z wściekłością.

– No to żeś się doigrał, psie – warknął, przybierając postawę świadcząca o biegłej znajomości jakiejś wschodniej sztuki walki. – Już nie żyjesz.

– A wzięłeś swoje lekarstwo? Bo przedwczoraj pogoniłem całą waszą trójkę – wysapał buńczucznie aspirant, masując na wpół sparaliżowaną klatkę piersiową.

– Mały błąd. Spieprzyłem proporcje – wyjaśnił Jan, okrążając swoją ofiarę tak, aby za plecami mieć wolną przestrzeń. – Za mało mety, za dużo grzybków. Miks daje wtedy większego kopa, ale człowiek szybko się wypala. Zresztą powiodło ci się tylko dlatego, że też byłeś na haju. Zaraz się przekonasz, że ja nie potrzebuję żadnego wspomagacza.

Pilnie obserwujący ruchy przeciwnika Nowicki spostrzegł, że Jan niemal niedostrzegalnie utyka. Przypomniał sobie, że podczas nocnej potyczki jeden z napastników trzymał się za podbrzusze, w którym zapewne tkwiła wystrzelona przez Magdę śrucina. Nie oberwał w żaden istotny narząd – a szkoda! – ponieważ zostałby wyeliminowany z gry na długie tygodnie. Jednak świeża rana wciąż musiała boleć. Dlatego kiedy Rączkowski skoczył w jego stronę, policjant skoncentrował się na jednym celnym kopnięciu w okolice niedawnego urazu. Z satysfakcją usłyszał głośny jęk, ale jednocześnie oberwał mocno w skroń. Skupiony na precyzyjnym wykonaniu manewru zapomniał o defensywie, pozwalając, żeby dosięgnęła go długa ręka bandyty.

Obydwaj antagoniści zwiększyli dystans, szacując skalę odniesionych obrażeń. Potrząsając oszołomioną głową, Piotr dał krok w tył i niespodziewanie oparł się plecami o ścianę. Lepszy taktycznie przeciwnik zagonił go w ślepy zaułek. I co gorsza, wcale nie zamierzał wycofać się z walki. Wprawdzie kulał w bardziej widoczny sposób i nieświadomie masował obolałe miejsce, ale daleko mu było do

nokautu. Na domiar złego jego twarz, dotąd skrzywiona w pełnym ironicznej pogardy grymasie, przybrała wyraz dzikiej furii.

Teraz faktycznie mnie zabije – pomyślał z dziwnym spokojem Piotr. Wciąż nasłuchiwał upragnionego dźwięku syren, lecz teraz stracił wszelką nadzieję na ratunek. Sprawność i siła Rączkowskiego, w połączeniu ze zrodzoną z upokorzenia determinacją, sprawią, że zmasakrowanie policjanta zajmie mu najwyżej kilkanaście sekund.

Panującą w stodole pełną napięcia ciszę nagle zmącił bolesny skowyt. Reks całym ciężarem masywnego cielska napał na drzwi swojej klatki, a te z trzaskiem otworzyły się na oścież. Widocznie zaskoczony przez Piotra właściciel niezbyt starannie zasunął skobel. Wielkie zwierzę, warcząc, wyrwało się na wolność. W rozjuszonych ślepiach igrał złowrogi błysk, dziwnie podobny do iskier sypiących się ze zmrużonych oczu Rączkowskiego. W ślad za psem z boksu wyprysnął mały, podługowaty kształt, łatwy do zidentyfikowania na podstawie rozczapierzonego na podobieństwo bojowego sztandaru ogonka. Zawzięta Kasia wreszcie wytropiła i dopadła swojego wroga.

Sytuacja taktyczna w stodole uległa dramatycznej zmianie. Grupa żądnych krwi przeciwników utworzyła czworokąt, mierząc się pełnymi nienawiści spojrzeniami. Nierozstrzygniętą kwestią pozostawało, który z nich jako pierwszy zaatakuje. Teoretycznie tchórzofretka miała najmniejsze szanse, ale za to wraz z Piotrem tworzyła poniekąd wspólny front.

Reks pierwszy wykazał inicjatywę i – o dziwo – wcale nie skierował swojej agresji przeciwko miniaturowej prześladowczyni. Widocznie miał już jej serdecznie dosyć, a musiał na kimś wyładować swoją wściekłość, więc wybrał obiekt zastępczy. Czyli osobę, do której skrytą nienawiść żywił całymi latami. Z narastającym w gardzieli warkotem runął na Jana.

Piotr wykazał się zdumiewającym refleksem. W dwóch susach dopadł do Kasi, porwał zwierzątko na ręce i wspiął się na klatkę, a stamtąd dosięgnął krawędzi stryszku na siano. Po chwili względnie bezpiecznie usadowieni sojusznicy obserwowali z góry starcie tytanów.

Rączkowskiego atak psa kompletnie zaskoczył. Przywykł do poniewierania mieszańca, którego zawsze udawało mu się okiełznać krzykiem lub biciem. Na jego nieszczęście okazało się, że przysłowiowa psia wierność ma swoje granice. Może Reks, który po raz pierwszy w wypełnionym cierpieniem życiu doznał ludzkiego traktowania ze strony rozkochanego w zwierzętach Radka, pojął, kto jest jego prawdziwym wrogiem. A może chciał się po prostu na kimś wyżyć. Grunt, że rzucił się swemu właścicielowi do gardła. Jan w ostatniej chwili osłonił przedramieniem szyję, by po chwili wylądować na ziemi z paskudnie rozszarpaną ręką. Tymczasem zajadłe psisko raz za razem ponawiało ataki, pozostawiając na jego ciele broczące krwią rany. Ani siła, ani znajomość sztuk walki nie dawały najmniejszej przewagi człowiekowi w starciu z monstrualnym zwierzęciem. Niebawem zwinięty w pozycji płodowej opryszek mógł już tylko jęczeć w reakcji na bolesne ugryzienia, z których każde mogło okazać się śmiertelne, gdyby kły przerwały jakąś istotną arterię. Nawet Nowicki zaczął niemrawo pokrzykiwać w celu odciągnięcia psa, chociaż nie potrafił wykrzesać w sobie współczucia dla bandyty, który w jego mniemaniu zbierał zasłużone cięgi.

Cóż, karma wraca. Aspirant utwierdził się w tym przekonaniu, kiedy usłyszał odległy dźwięk zamontowanej na radiowozie syreny.

Humor Magdy znacznie się poprawił, kiedy Piotr zatelefonował z informacją, że u niego wszystko w porządku. Choć nie tak, jak Waldemarowi na wieść, że Kasia, cała i zdrowa, przebywa wraz z Nowickim na suwalskiej komendzie, niecierpliwie oczekując powrotu w stęsknione ramiona swego opiekuna. Żaboklicka i Mrocz teoretycznie także powinni się znajdować w Suwałkach, składając zeznania. Upiekło im się dzięki wstawiennictwu Gralaka. Przybyli nad brzeg Szelmentu policjanci, nie mogąc rozeznąć się w zagmatwanej sytuacji, początkowo chcieli zgarnąć wszystkich obecnych, łącznie z nieszczęśliwym kierowcą ciągnika. Na szczęście uratowany funkcjonariusz szybko doszedł do siebie na tyle, żeby wyjaśnić, kto tu jest białym, a kto czarnym kapeluszem. Wprawdzie skopany rolnik wyrażał absolutnie przeciwne zdanie co do tożsamości czarnych charakterów, jednak autorytet munduru przeważył. W rezultacie przesłuchanie kompletnie przemoczonej Magdy odłożono na bliżej nieokreśloną przyszłość i radiowóz odwiózł lokatorów domu nad jeziorem do ich matecznika. Lexus Mrocza został w tym czasie odholowany do warsztatu. Początkowo redaktor, stwierdziwszy, że wóz odpala, gotów był odjechać swoim fantazyjnie zdeformowanym pojazdem, ale obecni stróże prawa gwałtownie zaprotestowali.

– No dobra – stwierdził w końcu Mrocz. – Może i dobrze się stało, że przydzwoniliśmy w traktor, bo inaczej nigdy bym się nie zebrał, żeby ponaprawiać te dziurki od śrutu. A tak w serwisie od razu wymienią mi szybę.

Los wspaniałego do niedawna auta zupełnie go nie obchodził. Martwił się tylko o Kasię.

Kierowca radiowozu okazał się na tyle uprzejmy, że na prośbę Magdy przystanął w Jeleniewie, a względnie suchy Mrocz zrobił szybkie zakupy w delikatesach. W ogóle wszyscy policjanci, wyraźnie wdzięczni za uratowanie

Gralaka, odnosili się do nich z wyjątkową atencją, co biorąc pod uwagę poprzednie doświadczenia, stanowiło miłą odmianę.

Zaraz po krótkiej rozmowie z Piotrem Żaboklicka, nucąc jakąś nostalgiczną melodyjkę, wzięła się za szykowanie obiadu, a Waldemar niebawem zasnął w niewygodnej pozycji na kuchennym stołku. Ocknął się dopiero, kiedy dziewczyna zaczęła kląć w niewybredny sposób. Gaz w kuchence wyczerpał się definitywnie w połowie smażenia kotletów. Równocześnie z podwórza dobiegł chrzęst miażdżonego oponami śniegu i po chwili skrzypnęły otwierane drzwi. Mały kłębuszek futra wpadł do kuchni, aby błyskawicznie wspiąć się po nogawce spodni w czułe objęcia stęsknionego Mrocza. Nie mniej czule Magda powitała Piotra, całując na przemian usta i wielki siniak pokrywający niemal pół twarzy policjanta.

– To ten trzeci Rączkowski tak ci przysolił? – zapytała.

– No. – Aspirant potwierdził skinieniem głowy. – Lekko nie było. Gdyby nie Reks, mogłoby się naprawdę kiepsko skończyć.

Wziął z patelni mielony kotlet i odgryzł wielki kawał, żując łapczywie.

– Zostaw! – pisnęła Magda. – One są prawie surowe. Gaz się skończył.

– E tam, całkiem dobre. Opowiedzcie lepiej, jak wam poszło, bo słyszałem, że też mieliście kłopoty.

Przez następny kwadrans relacjonowali nawzajem swoje przygody, a Piotr w międzyczasie pożałował jeszcze dwa niedosmażone kotlety. W końcu powiedział:

– Wszyscy archaniołowie są już pod kluczem. To znaczy Michał i Rafał siedzą w celi, a Gabriela, czyli inaczej Jana, policjant pilnuje w szpitalu. Wszyscy kręcą i nawzajem się obwiniają, za to Kryśka Bożelakowa śpiewa jak słowik. Szczególnie rozmowna zrobiła się po konfrontacji z Kołodą, którego przytransportowano z Olecka. Nawiasem mówiąc, musiałem trzy razy przeproszać Anatola za niesłuszne podejrzenia, a i tak pewnie będzie na mnie krzywo patrzył do końca życia. Trudno. Grunt, że potrafię już z grubsza zrekonstruować przebieg wydarzeń. I z przykrością muszę cię poinformować, Waldku, że jednak żadne wilkołaki nie maczały w nich swoich pazurów.

– Szkoda – westchnął z żalem Waldemar. – A tak się wszystko ładnie kleiło. Ale co tam, najważniejsze, że wszyscy wyszliśmy z tej przygody bez szwanku – stwierdził i jakby nie zauważając pełnych zdumienia spojrzeń, którymi przyjaciele obrzucili jego poobijane i spowite bandażami ciało, niecierpliwie zapytał: – Czyli od czego się wszystko zaczęło?

Piotr rozsiadł się wygodniej na kuchennym krześle, siorbnął łyk zimnej wody z sokiem i rozpoczął sprawozdanie:

– Źródła całej historii należy doszukiwać się w ciemnych interesach Wójtowicza. Ze sporym powodzeniem zajmował się różnymi nielegalnymi przedsięwzięciami, ale w końcu powinęła mu się noga na metamfetaminie. Kilka lat temu sprowadził z Czech spory transport tego narkotyku i zaczął rozprowadzać przez sieć swoich dilerów. Produkt był kiepskiej jakości, ale znacznie tańszy od innych środków o zbliżonym działaniu, przez co Wójtowicz szybko naraził się rodzimym handlarzom wytwarzanej w Polsce amfetaminy. Dzisiaj sytuacja na nielegalnym rynku wygląda już zupełnie inaczej, trwa raczej współpraca, polegająca na szmuglu przez granicę półproduktów zawierających pseudoefedrynę, ale wtedy pomiędzy wyrobami z obydwóch krajów panowała jeszcze ostra konkurencja. Nasz miejscowy gangster zmuszony był postarać się o ochronę, a jego wybór padł na braci Rączkowskich. Tak zaczęły się ich wzajemne kontakty. Kiedy Wójtowicz popadł w finansowe tarapaty, ponieważ nie mógł upłynnić towaru, archaniołowie zaproponowali mu wspólną inwestycję w walki psów. Wójtowicz miał jeszcze dosyć gotówki na start. Rączkowsy też nie należą do biedaków, ale brakowało im kontaktów w odpowiednich kręgach. Okrutną rozrywką interesują się bogaci i pozbawieni skrupułów ludzie, a tych znał właściciel willi. Rada w radę nasi miejscowi bandyci postanowili urządzić w starej stodole arenę do walk i hodowlę, zaś willa służyła za luksusowe zaplecze dla kibiców. Proceder trwał latami. Z czasem, krzyżując agresywne rasy, osiągnęli coraz lepsze efekty, by w końcu wyhodować znane nam potwory. Ale to im nie wystarczyło. Ich psy miały być jeszcze bardziej mordercze i niepokonane, przekraczając wyznaczoną przez naturę skalę.

Magda i Mrocz wzdrgnęli się na myśl o krwiożerczych bestiach. Aspirant kontynuował:

– I osiągnęli cel, a pomógł im przypadek. Jakby zasłużyli na dodatkowy bonus od losu w nagrodę za pokątny i zupełnie bezsensowny szwindel. Kiedy pan Złocicki w zdecydowany sposób odmówił Wójtowiczowi sprzedaży sztyletu, ten nakłonił swoich pomagierów do włamania. Zaś Rączkowscy, przy okazji, ukradli notatki kolekcjonera. Starsi bracia nie zwróciliby na papiery najmniejszej uwagi, ale najmłodszy, który właśnie zaczynał terminować w bandyckim fachu, uważnie przestudiował dokument i wpadł na pomysł, żeby na podstawie zachowanego przepisu sporządzić stymulant dla zwierząt. Wójtowicz metamfetaminy miał w bród, a i z grzybami nie było problemu. Efekty przeszły ich najśmielsze oczekiwania. Do tego stopnia, że bracia zaczęli podkradać psom specyfik. Sprawdzał się na sparingach i w knajpianych burdach. O dawkowanie, zarówno w przypadku zwierząt, jak i ludzi, dbał Jan. Nie przewidział jednak długofalowych skutków ubocznych. Szprycowane regularnie psy stawały się coraz bardziej nieprzewidywalne, aż w końcu któryś wyrwał się na wolność i rozszarpał dziecko. Wójtowicz wpadł w panikę, chociaż wówczas nikt się nie domyślał, że trop prowadzi do niego. Psa uśmiercił i zakopał w sekretnej piwnicy, aby na zawsze ukryć truchło przed ludzkim wzrokiem. Potem chciał zlikwidować cały interes, ale tu Rączkowscy stanęli okoniem i skończyło się na przenosinach do starego budynku na ich posesji. Walk chyba tam nie organizowali, ze względu na brak zaplecza, ale hodowla trwała w najlepsze. Po prostu jeździli ze swoimi pupilami na gościnne występy.

Piotr przerwał na chwilę opowiadanie, żeby dopić resztkę zimnego erzacu herbaty.

– To dlatego Wójtowicz wciskał ludziom kit, że niby widuje wilkołaki – domyśliła się Magda.

– Tak – potwierdził Piotr. – Postanowił podsycać rodzącą się legendę, żeby odsunąć od siebie podejrzenia. I w zasadzie mu się udało. Teraz muszę przejść do kolejnego, pozornie odrębnego wątku. Jak zauważyliście, Wójtowicz uważał się za

kolekcjonera antyków, chociaż nie miał zielonego pojęcia o sztuce ani o historii. Miał za to pieniądze. Ze Złocickim mu nie wyszło, ale wkradł się w łaski Romanowskiego. Sądzę, że wspomagał finansowo przedsięwzięcia emeryta, w zamian otrzymując od czasu do czasu drobne znaleziska, które ów nielegalnie wygrzebywał w okolicy Góry Zamkowej. Ale to nie na nich mu zależało. Czekał na prawdziwą okazję. Bowiem tylko jemu pan Henryk zwierzył się z efektów swoich wieloletnich dociekań. Otóż Romanowski święcie wierzył, że jaćwieskim grodem przez stulecia władali wikingowie, mniej lub bardziej zintegrowani z miejscową ludnością, ale zachowujący skandynawskie tradycje. Jedną z nich było, jak wyjaśnił onegdaj Waldemar, składanie stosownych ofiar wodnym bóstwom. Stąd wniosek, że gdzieś na dnie szurpińskiego jeziora powinien spoczywać skarb o wielkiej historycznej wartości. Wprawdzie w swoim czasie archeologowie wykonali pobieżnie podwodne badania resztek konstrukcji jaćwieskich grobli, ale Romanowski typował zupełnie inne miejsce lokalizacji skarbu. Uważał, że artefakty ciskano w najgłębszą toń położoną w północnej części akwenu. Czyli że od powierzchni oddzielała je obecnie pięćdziesięciometrowa warstwa wody.

– A więc skarbu rzeczywiście nigdy nie było w kultowej sadzawce? – wtrącił Mrocz.

– Tak. To była ściema ze strony Romanowskiego, który musiał oficjalnie odnaleźć skarb w jakimś łatwo dostępnym miejscu. Zresztą świadczy to o pewnej naiwności emeryta, który w pozostałych kwestiach wykazał się pierwszorzędą intuicją. Nigdy nie udałoby mu się zwieść profesjonalnych archeologów. Po prostu od razu spostrzegliby, że warstwy bagna zostały wtórnie przekopane. Ale wróćmy do chwili, gdy skarb spoczywał jeszcze spokojnie w jeziorze. Wójtowicz, wycofawszy się częściowo z psiego interesu, postanowił zaryzykować i wesprzeć Romanowskiego w jego poszukiwaniach. Operacja wymagała specjalistycznego sprzętu i udziału człowieka z odpowiednim doświadczeniem. Nurkowanie na głębokość pięćdziesięciu metrów to zadanie dla profesjonalisty. Trzeba korzystać z odpowiedniej mieszanki gazów i przestrzegać ścisłego reżimu dekompresji. Traf chciał, że doświadczony nurek znajdował się tuż pod bokiem – w osobie Ignacego

Łosia. Nie wiem, jaki stosunek miał Ignacy do śliskiego jak piskorz Wójtowicza, ale cenił kustosza i chyba nawet się z nim z czasem zaprzyjaźnił. Poza tym pieniądz nie śmierdzi, więc dlaczego nie miałyby skorzystać, otrzymując niezłą kasę za robienie czegoś, co stanowiło jego życiową pasję. Wprawdzie zdawał sobie sprawę, że poszukiwania skarbu będą nielegalne, ale ów fakt tylko przydawał smaczku całej przygodzie, a Łoś nieustannie pragnął nowych wyzwań. Należał do osób uzależnionych od adrenaliny i prowadzenie pensjonatu musiało go śmiertelnie nudzić. Zapewne już pierwsze zanurzenia przyniosły spektakularne efekty, ale wtedy wyszła na jaw cała perfidia właściciela willi. Od razu pokazał panu Henrykowi środkowy palec.

Zamilkł na chwilę i napił się wody z sokiem. Magda wpatrywała się w niego wyczekująco.

– Z hotelarzem sprawa przedstawiała się nieco inaczej. Nie przypuszczam, żeby chciał robić sobie z Ignacego wroga, więc uczciwie mu zapłacił za usługę, ale sam zagarnął wszystkie wydobyte artefakty i zamelinował w tajnym schowku. Po pewnym czasie zorientował się, że z własnej woli zapędził się w ślepy zaułek. Bez powodzenia próbował sprzedać przedmioty na czarnym rynku. Potem zaproponował pośrednictwo Rączkowskim, którzy do tego czasu bardzo awansowali w przestępczej lidze. Z tym że oni też nie wiedzieli, jak ugryźć ten temat. Za to dowiedzieli się o skarbie i zaczęli sobie ostrzyć na niego zęby. Wszyscy niby wiedzieli, że chodzi o coś bardzo cennego, ale w gruncie rzeczy nie mieli pojęcia, co w istocie padło łupem Wójtowicza. Z nim samym na czele. Nie miał wyjścia, jak tylko zwrócić się o pomoc do eksperta, co oznaczało niezręczną próbę pojednania z Romanowskim. Nigdy nie dowiemy się z całą pewnością, co dziesiątego sierpnia, w noc pełni Księżyca, zaszło w willi, ponieważ obydwaj uczestnicy sekretnej spotkania niczego już nie wyjawiają. Mogę jedynie spróbować przybliżonej rekonstrukcji, tak żeby dopasować hipotetyczny ciąg wydarzeń do znanych faktów.

– Jesteśmy bardzo ciekawi, mów – odezwał się redaktor, a Żaboklicka przytaknęła.

– Łatwo zgadnąć, co kierowało Wójtowiczem, kiedy umawiał się ze starym kustoszem. Chciał się dowiedzieć czegoś więcej o zagrabionych przedmiotach, poznać ich wiek, przeznaczenie oraz materialną wartość. I przede wszystkim dotrzeć do ludzi, którym zależałoby na posiadaniu staroci na tyle, żeby zapłacić za nie godziwą cenę bez wnikania w źródło pochodzenia. Sam nie potrafił nawet przedstawić sensownej oferty na jakiejś aukcji w Darknecie, ponieważ nie umiałby napisać, co takiego pragnie spieniężyć, nie mówiąc już o ustaleniu ceny wywoławczej. Trudniej odpowiedzieć na pytanie, dlaczego okpiony wcześniej Romanowski zgodził się jednak odwiedzić willę. Sądzę, że nie mógł się powstrzymać od wykorzystania niespodziewanej okazji dokładnego obejrzenia zbiorów. Bo na pewno nie zamierzał dalej pomagać gangsterowi. Zapewne na tym tle doszło między nimi do gwałtownej sprzeczki, zakończonej rękoczynami, w której przewagę nieoczekiwanie odniósł emeryt. Chociaż dostrzegam jeszcze jeden element, którego znaczenia nie potrafię w pełni rozgryźć. Z całą pewnością pan Henryk został wprowadzony do tajnego schowka i znalazł tam truchło morderczego psa. Pewnie zaniepokoił go smród rozkładu, bo zwierzę zakopano bardzo płytko. Może właśnie w konsekwencji powyższego odkrycia Wójtowicz zaatakował kustosza. Pragnął zlikwidować świadka. Przypuszczam, że do przepychanki doszło na schodach i właściciel willi po prostu stracił równowagę. Dzisiaj wreszcie miałem okazję przejrzeć materiały z sekcji, z których wynika, że oprócz rany szyi Wójtowicz odniósł potencjalnie śmiertelny uraz potylicy. Patolog sądził, że uderzył się o stopień, upadając po ataku zwierzęcia, ale ja już wiem, że kolejność zdarzeń była odwrotna. Pan Henryk znał krążącą po okolicy legendę i jako kolejny postanowił wykorzystać tkwiący w niej potencjał, zrzucając winę za własne uczynki na czworonożne widmo. Pomimo niewątpliwego wzburzenia działał bardzo przebiegle. Wziął łeb zdechłego psa i zacisnąwszy kły truchła na szyi Wójtowicza, rozerwał mu gardło. Nic dziwnego, że laboratorium stwierdziło ślady zębów identyczne z tymi, które latem znaleziono na ciele rozszarpanego chłopca. Bo to były te same zęby, tylko że ich właściciel dawno zgnił w piwnicy. Dziwne, że nikt nie zwrócił uwagi na brak śliny.

– Dlaczego Romanowski tak kombinował? – przerwał Piotrowi Mrocz. – Przecież bez trudu mógłby udowodnić, że działał w obronie koniecznej.

– Skarb! – powiedział z naciskiem Nowicki. – Romanowski po pierwsze maczał palce w jego nielegalnym wydobyciu, po drugie zaś nie potrafił się rozstać z artefaktami i za wszelką cenę pragnął uchodzić za ich odkrywcę. Przez całe życie uczył w wiejskiej szkole świadomy, że otoczenie jawnie kpi z jego historycznej pasji. Wreszcie, na finiszu swojej ziemskiej egzystencji, miał nadzieję zyskać należny szacunek i zapisać swoje nazwisko w regionalnych kronikach. Zresztą jego motywację znamy nie od dziś. Gorzej, że w pogoni za sławą posunął się do zbrodni, ponieważ Wójtowicz najprawdopodobniej jeszcze oddychał, kiedy kustosz dokonywał na nim swoich zabiegów. Choć być może osobiste animozje też miały pewien wpływ na jego postępek. Ale wróćmy do owej feralnej nocy. Pan Henryk teoretycznie zagarnął skarb, ale znalazł się w pułapce. Niby mógł w każdej chwili opuścić willę, klucz tkwił w zamku, ale Wójtowicz po powitaniu gościa włączył alarm. Emeryt naturalnie nie znał kodu, a każda próba przekroczenia progu spowodowałaby ochronę. Zresztą cała sztuka polegała na przekonaniu wszystkich, że Wójtowicza zgładził przenikający przez ściany potwór nie z tego świata. Dlatego, zamiast natychmiast uciec, starszy pan zamelinował się w piwnicy, o której istnieniu nie miał pojęcia nikt oprócz niego i denata. Wiedział, że rano Bożelakowa przyjdzie posprzątać i jak zwykle w przypadku nieobecności gospodarza otworzy drzwi własnym kluczem. A potem znajdzie zwłoki i zawiadomi policję. Nie udało mi się ustalić, w którym momencie Romanowski opuścił kryjówkę. Cały dzień przez willę przewijały się dziesiątki śledczych, niektórzy nie znali się nawzajem. Przyjechała nawet ekipa z Białegostoku, ponieważ przeciwko Wójtowiczowi toczyły się różne dochodzenia na wysokich szczeblach. Po prostu wyszedł z piwnicy, kiedy akurat w holu nikogo nie było, i oddalił się spokojnym krokiem, licząc na łut szczęścia. W razie czego potrafiłby w niebudzący podejrzeń sposób uzasadnić swoją obecność na miejscu zbrodni. Ot, zboczył z trasy porannego spaceru, zwabiony niecodzienną krzątanią na posesji znajomego. Ale chyba nikt nie zwrócił uwagi na nobliwego starszego pana, który mógł uchodzić za jakiegoś

nestora kryminalistyki. Przecież dom już kilka razy przeszukano, nie znajdując śladów mordercy.

– A co z łupami? – nieśmiało zapytała projektantka.

– Właśnie. Romanowski musiał porzucić wszystkie artefakty. Dlatego zabrał klucz, zamierzając wynieść zabytki z piwnicy, jak tylko cała sprawa przycichnie, a opuszczona willa zostanie bez ochrony. I tu się trochę przeliczył, ponieważ alarm zlikwidowano dopiero, kiedy dalecy spadkobiercy zlecili przebudowę budynku i zaroilo się w nim od ekip wykonawczych. Większość robotników sypiała na miejscu, uniemożliwiając włamanie. Okazja nadarzyła się dopiero w ubiegły piątek, kiedy Magda po raz pierwszy została na placu budowy sama, więc emeryt natychmiast ją wykorzystał. Liczył, że samotna dziewczyna niczego nie usłyszy w pokoju na piętrze, w dodatku na wszelki wypadek wyłączył bezpieczniki. Jego zdaniem żadna kobieta przy zdrowych zmysłach nie ściagałaby intruza w ciemnościach. Ale trafił na niestandardowy egzemplarz. Uratował go manewr z psią czaszką. Znowu wykazał się zaskakującą bystrością, jak na emeryta z postępującą demencją.

– Dobra, ale czemu taszczył ten zgniły łeb? – Magda wciąż nie rozumiała.

– Bo nie mógł go zostawić, w obawie że zamaskowana piwnica zostanie odkryta na jakimś etapie remontu. Przecież nie wiedział, że akurat posadzkę w holu postanowiłaś oszczędzić. A znalezienie czaszki o szczękach uzbrojonych w zęby, których ślady znaleziono na dwóch ofiarach, popchnęłoby zagmatwane śledztwo na nowe tory. Romanowski przecież słyszał o odciskach palców i badaniach DNA. Ponadto mityczny potwór, którego widmo podświadomie mąciło w głowach nawet najbardziej racjonalnym śledczym, okazałby się mistyfikacją. Za to niezidentyfikowane bezgłowe truchło w stanie daleko posuniętego rozkładu nikogo by pewnie nie zainteresowało.

– Jasne – wtrącił Mroczyński – ale jak staruszek zabrał ze sobą te wszystkie rzeczy? Nawet jeżeli artefaktów było niewiele, to chyba nie taszczył ich w worku przez całą wieś. Przecież nie miał samochodu.

– To kolejne pytanie, na które odpowiedź znają tylko zmarli. – Nowicki pokiwał głową. – Osobiście sędzę, że w transporcie, choć raczej nie włamaniu, pomógł mu Ignacy. Z zeznań archaniołów, którzy jako jedyni mieli okazję rzucić okiem na skradzione zabytki, wynika, że na skarb składało się sporo ciężkich przedmiotów, w większości wykonanych z różnych metali. Terenowy samochód Łosia okazałby się bardzo przydatny. Zaś hotelarz czuł się winny. Przyjaźnił się z panem Henrykiem, a wyszło na to, że mimowolnie umożliwił Wójtowiczowi zagarnięcie skarbu. Prawdopodobnie na prośbę Romanowskiego wykopał dół w sadzawce, a potem przewiózł do jamy łup emeryta, nie zadając niewygodnych pytań o sposób jego zdobycia. Wszystkie artefakty zostały przetransportowane bezpośrednio spod willi do przygotowanej zawczasu dziury, dlatego nie było ich w muzeum, kiedy wtargnęli tam wieczorem Rączkowscy. Bracia, dzięki informacjom uzyskanym od Krystyny Bożelak, od dawna wiedzieli, że Romanowski jest w posiadaniu klucza do domu Wójtowicza. Zapewne domyślali się także jakiegoś związku emeryta z tajemniczym zgonem swojego współnika, lecz nic to ich nie obchodziło, dopóki nie mieli pojęcia o skrytce w piwnicy. Przez długie miesiące musieli zachodzić w głowę, gdzie Wójtowicz ukrył skarb przed swoją śmiercią. Przypuszczam, że cały czas go szukali, chociaż nie z taką desperacją jak w ostatnich dniach. I nagle, znowu za pośrednictwem konkubiny Michała, dowiedzieli się o dziwnym włamaniu do willi, które nie pozostawiło żadnych śladów uszkodzenia zamka, i opróżnionym zamaskowanym schowku. A także o teoriach Waldemara dotyczących watahy wilkołaków nawiedzającej okolicę w grudniowe noce. Przyczajony pod drzwiami Tolek usłyszał znacznie więcej, niż sądziliśmy, i jak przystało na gadułę, wszystkimi rewelacjami podzielił się ze swoją sąsiadką. Wprawdzie nie sędzę, żeby Rączkowscy już na samym początku, idąc na włamanie do Izby Pamięci Jaćwieskiej, przebierali się za demony. Wzięli ze sobą groźne psy z zamiarem postraszenia emeryta i ewentualnych świadków oraz zażyli stymulant, pewnie trochę w nadmiarze, stąd przeszukanie skończyło się totalną demolką. Jednak niesamowite okoliczności napadu już następnego dnia rano tchnęły nowego ducha w powtarzaną z ust do ust

legendę o wilkołakach. Przyznaję, że sam nie wiedziałem, jak zinterpretować ślady pazurów na wyłamanych drzwiach. Przez chwilę skłaniałem się ku paranormalnym wyjaśnieniom. A powszechny lęk był bardzo na rękę braciom Rączkowskim. Ciekawe, że kolejno Wójtowicz, Romanowski i na koniec Rączkowscy wpadali na ten sam pomysł, aby zamaskować swoje przestępcze działania, zrzucając winę na stwory nie z tego świata.

– A ja ci powtarzam, że to nie moja wina. – Mrocz po raz kolejny starał się zdystansować od wpływu, który jego teorie wywierały na wyobraźnię bandytów.

– Chyba jednak trochę twoja. – Piotr nie zamierzał uspokajać sumienia redaktora. – Choć tylko w przypadku naszych archaniołów. W wyobraźni miejscowych funkcjonował samotny potwór, znany z popularnych filmów i seriali. Dopiero ty rzuciłeś pomysł z watahą, który tak bardzo spodobał się Rączkowskim. Bo już na Górze Zamkowej z całą pewnością byli poprzebierani. Dlatego kompletnie nie mogłem zrozumieć, z czym mam do czynienia. I jeszcze te monstrualne psy, na które natykaliśmy się na każdym kroku.

– A jak bracia wpadli na pomysł z feralnym SMS-em do Łosia? – Widząc zafrasowaną minę Waldemara, Magda chciała popchnąć naprzód tok narracji. – Na trop emerytowanego nauczyciela naprowadził ich klucz, ale skąd przypuszczenie, że hotelarz także zna miejsce ukrycia skarbu?

– Oni od początku wiedzieli, kto pomagał Wójtowiczowi w wydobyciu artefaktów z jeziora, ale kompletnie lekceważyli tę informację. Znali swojego wspólnika wystarczająco dobrze, żeby założyć, że skoro taki cwaniak okpił swoich pomocników, to ci ostatni definitywnie wypadli z gry. Dopiero kiedy przekonali się, że nie docenili determinacji kustosza, zwrócili uwagę także na Ignacego. Dodatkowo pomogła im lista kontaktów w telefonie Romanowskiego. Więc wysłali wiadomość i obserwowali pensjonat. Ignacy postanowił wypełnić ostatnią wolę zmarłego przyjaciela i ruszył samochodem pod Górę Zamkową. Pojazd był mu potrzebny do transportu przedmiotów. Jednak na scenę wkroczył nieprzewidziany czynnik w postaci pogody. Auto utknęło w zaspie, a hotelarz ostatni odcinek musiał przebyć na piechotę. Wtedy dopadły go puszczone luzem psy. Wyobrażam sobie,

jak się przeraził, nasłuchawszy się zawczasu opowieści o wilkołakach. Nie wiem, po co zabrał pistolet, może zawsze nosił go przy sobie po zmroku, w każdym razie postanowił się bronić. I uciekał w panice aż na szczyt Góry Zamkowej. Tam, pomimo mojej nieudanej interwencji, doszło do ostatecznej konfrontacji z braćmi. Wszyscy trzej twierdzą teraz, że pistolet wypalił przypadkowo podczas szamotaniny. Ale Łoś został postrzelony dwa razy i ten drugi strzał trafił go precyzyjnie w serce. Więc kłamią. Któryś z nich z zimną krwią dobił ofiarę. To przy Michale znaleziono pistolet Łosia, ten sam, z którego wygarnął dzisiaj do Waldemara, ale ja podejrzewam o zbrodnię Jana. Cóż, dochodzenie rozstrzygnie.

Dopił resztę wody z sokiem, a Magda wstała, żeby dorobić napoju.

– W każdym razie na Górze Zamkowej Rączkowscy nie znaleźli spodziewanego łupu, za to zostali z trupem hotelarza i świadomością, że zajście obserwował jakiś świadek. Pomimo niesprzyjających okoliczności konsekwentnie realizowali swój plan polegający na podsycaniu pogłosek o wilkołakach, więc w miejsce zastrzelonego przez Ignacego psa podłożyli zwłoki swojej ofiary. Nie był to jedynie makabryczny żart. Zależało im, żeby jak najdłużej utrzymać w tajemnicy istnienie mutantów, więc z mozołem zataszczyli truchło aż do swojej kryjówki.

– A co z tajemniczym samochodem? – przerwała Magda.

– O, akurat tutaj mam informacje precyzyjne i z pierwszej ręki, ponieważ prowadziła go Bożelakowa – uśmiechnął się aspirant. – A Krystyna spowiadała się ze szczegółami. Bracia nie mogli podjechać samochodem w pobliże obserwowanego pensjonatu. Auto za bardzo rzucałoby się w oczy na tle śniegu. Zostawili je nieopodal pod opieką Krystyny, która czekała na telefoniczną informację od Michała, że rozpoczyna się pościg. Ale kiedy Rączkowscy zorientowali się, że Łoś zmierza w kierunku Góry Zamkowej, pobiegli za jego samochodem na piechotę. Hotelarz wybrał ślepy odcinek drogi, którym nie miał szans oddalić się bardziej niż na niecały kilometr. W odczuciu człowieka znajdującego się pod wpływem narkotyku kilometr to nic nieznacząca odległość. Spuścili psy, żeby osaczyły Ignacego, kiedy tylko opuści swój pojazd. Ale land rover utknął w połowie drogi, całkowicie ją blokując, zaś w założeniu bezbronna

ofiara zaczęła uciekać, skutecznie odstrasżając czworonogi. Kiedy bandyci zorientowali się, że trakt będzie nieprzejezdny, a oni sami mogą zostać zmuszeni do szybkiej ewakuacji, zadzwonili do Bożelakowej, żeby podjechała pod Górę Zamkową z drugiej strony. Nie wiedzieli przecież, że Łoś zostawił telefon w pensjonacie i nie zdoła wezwać pomocy. Ale i tak wracali na piechotę, taszcząc zdechłego psa, bo na nasz widok Bożelakowa zawróciła, a zaimprovizowany przez Waldemara pościg wprowadził ją w takie przerażenie, że porzuciła swoich kompanów na pastwę losu. Michał nie pogłaskał swojej konkubiny po głowie. Straciła dwa zęby.

– Przyznam, że nieźle prowadzi – pochwalił ofiarę przemocy domowej Mrocz.

– Miała aż nadto praktyki, wożąc braci, którzy podczas wypełnionych rozrywkami weekendów byli albo pijani, albo naćpani, albo jedno i drugie – wyjaśnił Nowicki. – Cóż, resztę historii wszyscy znamy. Rączkowscy nie zdążyli wydobyć od Łosia żadnych wskazówek dotyczących lokalizacji skarbu, ale podczas poszukiwań zastrzelonego psa natknęli się na rozkopaną ziemię w sadzawce. Wywnioskowali, że właściciel Doliny Marzeń wydobył fanty, jeszcze zanim podjęli obserwację pensjonatu, i wracał pod Górę Zamkową tylko w celu zatarcia śladów. Dosyć naiwne założenie, przecież padający gęsto śnieg najdalej w ciągu kwadransa wyręczyłby Ignacego, skutecznie maskując wykop aż do letnich roztopów, ale bracia desperacko uczepili się swojej koncepcji, więc plądrowali kolejne miejsca, w które ich zdaniem hotelarz mógł przenieść skarb. A już zupełną głupotą z ich strony był pomysł, że trop artefaktów prowadzi właśnie do nas. Jeszcze dzisiaj rano Jan usiłował nakłonić mnie, żebym mu oddał zagrabione fanty. Chyba długotrwałe przyjmowanie narkotyku zaczęło skutkować obsesją, bo przecież wcześniej planowali swoje posunięcia bardzo roztropnie.

– Ale już ich realizacje przeprowadzali z niczym nieusprawiedliwioną brutalnością – zauważył Mrocz. – To też rezultat przyjmowania stymulantów. Aż strach pomyśleć, że również psy były naćpane. Gdyby ten napotkany przeze mnie i Magdę pod Górą Zamkową zdecydował się na atak, leżelibyśmy obok Łosia. Zwierzak wystraszył się strzałów, więc zamiast dalej ścigać hotelarza, szukał

zastępczej ofiary. Na szczęście, przerażony i zdezorientowany, odpuścił, kiedy zamachnąłem się łopata.

– *À propos* łopaty i ogólnie kopania – zwróciła się do Piotra Magda – to w twojej opowieści brakuje zakończenia. Kto w końcu wykopał skarb i zabrał go z sadzawki?

– Tu mnie masz. – Piotr rozłożył ramiona w geście wyrażającym bezradność. – Nie mam zielonego pojęcia. I obawiam się, że akurat tego możemy się już nigdy nie dowiedzieć. Zabrakło nam podejrzanych.

– Może jednak zabytków nigdy tam nie ukryto? – snuła przypuszczenia niezrażona dziewczyna. – Łoś z Romanowskim przygotowali wprowadzić dół, ale w ostatniej chwili zawieźli swój łup w jakieś inne miejsce? Uważniej niż my śledzili prognozy pogody i doszli do wniosku, że w sobotę opady śniegu uniemożliwią spektakularne odkrycie w obecności widowni złożonej z gości pensjonatu.

– Przypomnij sobie, jak wyglądała sadzawka. – Nowicki pokręcił głową. – Ziemię dopiero co rozkopano, inaczej niczego byśmy nie dostrzegli wśród zasp. Ktoś tam z pewnością grzebał na chwilę przed naszym przybyciem, a nie w piątkową noc.

– To może jednak Rączkowscy mieli rację i Łoś rzeczywiście był tam już wcześniej?

– Takie samo zastrzeżenie. – Piotr był nieubłagany. – O ile wcześniej? Bo przez godzinę zadymka zatarłaby wszelki ślad po wykopie. A bracia czatowali pod pensjonatem przez dłuższy czas. Nie, mylisz się i Rączkowscy też nie mieli racji. Tak samo jak my teraz, nie mieli kogo posądzić o zabranie skarbu, więc w desperacji uczepili się Łosia. A on tylko uciekał przed psami, nie w głowie mu były wykopki.

– Zaraz. – Mrocz uniósł rękę, jak uczeń zgłaszający się do odpowiedzi. – Uporządkujmy fakty, a wtedy na pewno dojdziemy do jakichś konkretnych wniosków. Sądzę, że Magda nieświadomie wykazała się intuicją i rzecz ostatecznie

naprawdę sprowadza się do łopaty, a raczej szpadla. Nawet my zabraliśmy ze sobą szpadel, ruszając po skarb Romanowskiego. Podobnie postąpiłby każdy poszukiwacz. Czy w samochodzie Łosia znaleziono łopatę, a jeżeli tak, to czy widniały na niej świeże ślady błota?

– Nie mam zielonego pojęcia – wyznał aspirant, wyraźnie zaskoczony prostotą rozumowania redaktora – ale zaraz mogę się tego dowiedzieć.

Wykonał dosyć długą rozmowę telefoniczną, podczas której przełączano go do różnych osób, które nadal po godzinach tkwiły w suwalskiej komendzie. Zespół Korczakowskiego, podobnie jak lokatorzy domu nad jeziorem, dokonywał podsumowania śledztwa. W końcu Piotrek odłożył aparat.

– Tak, Łoś wiozł w bagażniku szpadel. Nowiutki, jeszcze z metką na rączce. Założę się, że miał posłużyć jako główny rekwizyt przy spektakularnym odkryciu skarbu, więc hotelarz postarał się o przedmiot, który będzie stosownie wyglądał na pamiątkowych zdjęciach. Razem z Romanowskim bardzo dbali o mało istotne szczegóły.

– To definitywnie rozstrzyga jedną kwestię. – Mrocz stymulował umysł, oburącz szarpiąc swe sumiaste wąsy. – Rączkowscy rzeczywiście błędzili. Właściciel Doliny Marzeń nie kopał wcześniej w sadzawce. A skoro nie kopał w sobotnią noc, to może i w piątkową? Dlaczego właściwie założyliśmy, że to właśnie Łoś własnoręcznie przygotował wykop?

– Bo pan Henryk nie dałby rady, rycie w bagnie to bardzo ciężka praca. A przecież nasi spiskowcy starali się trzymać swój plan w tajemnicy i nie wyjawiliby go komuś postronnemu tylko po to, żeby wyręczył ich przy czarnej robocie. Taki wynajęty kopacz zaraz po „odkryciu” skarbu zacząłby chlapać jęzorem na prawo i lewo. – Piotr wzruszył ramionami.

– Oj, na twoim miejscu nie lekceważyłbym takiej możliwości. – Zamyślony Waldemar dla odmiany impulsywnie głąskał tchórzofretkę. – Z tym że kopacz, jak go nazwałeś, mógł zostać wtajemniczony znacznie wcześniej. No bo wyobraź sobie operację wydobywania skarbu. Ignacy nurkuje na znaczną głębokość, co zawsze

wiąże się z ekstremalnym ryzykiem. Może nawet w nocy. Nie z brzegu, ponieważ nie miałyby to najmniejszego sensu, a z jakiejś zakotwiczonej łodzi. A za całe ubezpieczenie ma podstarzałego gangstera znanego z przewrotnego charakteru. Romanowski im nie pomagał, bo był już wówczas skonfliktowany z Wójtowiczem, więc najwyżej obserwował całą operację z bezpiecznej odległości. A w ogóle to czy Wójtowicz miał tu jakąś motorówkę albo znał się na żeglarstwie?

– Cholera! – Zaskoczony trafnością spostrzeżeń Mrocza Piotr pociągnął się za okazały nos. – Faktycznie, Wójtowicz chyba nie przepadał za wodą. Chociaż mieszkał tuż nad jeziorem, to prawie nigdy nie widywano go na brzegu. Nie pływał, nie łowił ryb i z pewnością nie posiadał żadnej łódki.

– I co, zabrałbyś takiego typa jako jedyne ubezpieczenie, gdybyś miał zamiar zanurkować na głębokość pięćdziesięciu metrów? – uśmiechnął się triumfalnie Mrocza. – Przecież równie dobrze Ignacy mógłby popłynąć sam. Może nawet byłoby to dla niego bezpieczniejsze.

– Już złamał podstawową regułę zabraniającą nurkowania w pojedynkę.

– Skoro uwielbiał brawurę, a operacja miała być utrzymana w sekrecie, to akurat złamanie tej reguły nie wydaje się czymś nadzwyczajnym. Masz rację, że nazbyt ufał swojemu doświadczeniu, ale nie byłby to pierwszy ani ostatni przypadek, kiedy mistrz w jakiejś dyscyplinie sądzi, że nie potrzebuje pomocników. Ale asekuracja z powierzchni była niezbędna, choćby przy wydobywaniu ciężkich artefaktów czy kontrolowaniu pogody. W końcu potrzebował na łodzi obecności kogoś, kto orientowałby się, że przekroczył ustalony czas nurkowania i rozpoczął akcję ratunkową. A wszystkie te czynności Wójtowicz mógł co najwyżej artystycznie spieprzyć. Zresztą w grę wchodzi najistotniejsza kwestia – zaufania. Łoś orientował się już, z jakim typem przyszło mu współpracować. Ja nie czułbym się swobodnie w głębinach ze świadomością, że w razie kłopotów współnik szybciotko odpłynie i nawet nie powie nikomu, gdzie należy szukać moich zwłok. Z pewnością Ignacemu pomagał ktoś jeszcze. Jakaś osoba obeznana z wodą, której drugoplanowa rola sprowadzała się do prostych technicznych czynności, więc nie pojawiła się ani w zapiskach

Romanowskiego, ani w zeznaniach Rączkowskich. Dla Wójtowicza byłby to zupełny nikt, więc po co miałyby wspominać o owym nic nieznaczącym pionku swoim wspólnikom?

– No tak, takiemu zaufanemu człowiekowi od czarnej roboty Ignacy mógłby zlecić wykopanie dołu w sadzawce – zgodził się Piotr. – Skoro kopacz już i tak o wszystkim wiedział...

– A gdzie Łoś trzymał swoją łódź? – Mrocz pozornie zmienił temat.

– Nigdzie. – Piotr spojrział ze zdziwieniem na rozmówcę. – On nie miał łodzi. To znaczy miał, nawet kilka motorówek, ale w bazie nad Czarną Hańczę, nie w Szurpiłach. Przy pensjonacie jest wypożyczalnia kajaków i ze dwie, trzy łupinki przeznaczone dla wędkarzy, ale one nie nadawałyby się do poszukiwania skarbu. Z trudem pomieściłyby trzy osoby, nie mówiąc o sprzęcie.

– No właśnie, sam widzisz, że oprócz ubabranej w błocie łopaty trzeba znaleźć łódź, której Łoś z Wójtowiczem użyli do swojego przedsięwzięcia.

– Łoś mógł bez trudu sprowadzić motorówkę ze swojej bazy nurkowej.

– To możemy łatwo sprawdzić, ale założmy na chwilę, że po prostu pożyczyl dużą łódź od kogoś z miejscowych – nie dawał za wygraną Waldemar. – Przecież i tak poruszamy się w sferze hipotez.

– Nie musiałyby daleko szukać. – Aspirant coraz bardziej entuzjastycznie podchodził do rozważań Mrocza. – Portier z pensjonatu, Antoni Dziubak, od lat ma taką starą krypę. Bardzo o nią dba. Przy złej pogodzie często zabiera wędkarzy, którzy chcą spróbować swoich sił na wzburzonej wodzie. Zresztą w początkach swojej działalności Ignacy, wówczas niezbyt zamożny student, wynajmował właśnie tę łódkę od Antoniego. Stąd ich wieloletnia zażyłość. W zasadzie byli raczej starymi przyjaciółmi niż... – Tu Piotr zamilkł, porażony wnioskami, które nasuwała nakreślona sytuacja.

– A widzisz! – ucieszył się redaktor. – Sam w ciągu piętnastu minut wytypowałeś naszego kopacza. Wystarczyło racjonalnie przyjrzeć się faktom.

– O kurczę, Antoni zajmował się przecież także ogrodem i pełnił funkcję palacza w kotłowni. W ogóle był w pensjonacie człowiekiem do wszystkiego. Jemu bez wahania Łoś zleciłby wykopanie dołu. A w dodatku przez lata pomagał w szkółce dla nurków, więc zapewne znał się na asekuracji.

– Otóż to! – Zadowolony Mrocz dolał sobie zimnej wody do soku. – Chyba trzeba poważnie porozmawiać z panem Antonim.

– Jedno zastrzeżenie. – Piotr nie mógł się chyba pogodzić, że zagadnienie jawiące się jako nieprzenikniona enigma mogło posiadać równie proste rozwiązanie. – Dziubak, podobnie jak pan Henryk, nie ma samochodu ani prawa jazdy. Jak miałby zabrać skarb bez pomocy Łosia? I dlaczego pilnujący drogi przy pensjonacie Rączkowscy nie zwrócili na niego uwagi?

– Pewnie użył sanek i wrócił prosto do swojego domu – westchnęła Magda, którą znowu ogarnęła gorączkowa potrzeba działania. Umiłowanie przygód widocznie weszło jej w krew, bo już szykowała się do wyjścia. – Zresztą sam nam opowie, jak było naprawdę. Jedźmy do pensjonatu!

– Chwileczkę – zastopował ją Piotr. – A niby czym pojedziemy?

– Faktycznie, nasze zaplecze transportowe ulega szybkiej redukcji – zafrasował się Mrocz. – A jak ty się tu dostałeś?

– Podrzucił mnie kolega, który wracał z Suwałk do Rutki.

– Na szczęście w odwodzie mamy jeszcze mojego opla – rzuciła Żaboklicka, gorączkowo poszukując w torebce dawno nieużywanych kluczyków.

– Podobno nie ma świateł i łyse opony – skrzywił się Nowicki.

– Ale jeździ!

Teraz dziewczyny nie dało się już zatrzymać żadnymi argumentami. Wizja skarbu, która od kilku dni jątrzyła jej wyobraźnię, miała szansę się urzeczywistnić. Magda uważała, że za wszystkie zaznane niedole należy jej się chociaż rzut oka na klejnoty i bezcenne precjoza.

– No dobra – westchnął policjant, sięgając po kurtkę.

Okazało się, że porzucony opel nie ma życzenia opuścić przytulnej zasy, w której urządził sobie zimowe legowisko. Po przekręceniu stacyjki wydał żalony jęk i odmówił jakiegokolwiek dalszej współpracy. Ale Piotr, zaprawiony w bojach z opornymi środkami transportu, zasugerował, że samochód powinien odpalić na pych. Diagnoza okazała się słuszna i niebawem spoceni z wysiłku mężczyźni zajęli miejsca w perkoczącym nierówno samochodzie. Niemrawo jarzące się reflektory faktycznie pozostawiały sporo do życzenia, ale zmierzch dopiero rozpoczynał zmagania z chłodnym światłem grudniowego popołudnia, więc jechali dosyć szybko. Dotarli do szosy, w Jeleniewie skręcili na Rutkę, a potem odbili w lewo, w gruntową drogę okrążającą jezioro od strony północy. Wszystkie boczne szlaki zostały już odśnieżone, więc przejażdżka mogłaby okazać się całkiem przyjemna, gdyby w oplu prawidłowo działało ogrzewanie. Niestety, kiedy leciwy pojazd zatrzymał się przed Doliną Marzeń, skostniali z zimna pasażerowie marzyli już tylko o łyku gorącej herbaty, którą mieli nadzieję wysepić w pensjonacie.

– Przykro mi, naprawdę nie mam pojęcia, gdzie podziewa się pan Antoni – sumitowała się urzędująca za recepcyjną ladą kobieta. – Wyszedł kilka godzin temu i zabrał ze sobą biegówki z wypożyczalni. Wydało mi się to dosyć niezwykle, bo Dziubak nigdy nie jeździł na nartach. A tak w ogóle, panie Piotrze, to nie zaskoczyło mnie, że pyta o niego policja. Przez ostatnie dwa dni zachowywał się bardzo dziwnie. Z początku sądziłam, że odczuwa skutki tego uderzenia w głowę, ale to chyba coś innego.

– Czyli jak konkretnie się zachowywał? – zainteresował się Piotr.

– Możemy dostać po kubku gorącej herbaty? – zapytał jednocześnie Mrocz.

Recepcjonistka, pani Danuta, jak wynikało z przypiętego do żakietu identyfikatora, zdecydowała, że znacznie prościej będzie spełnić prośbę Mrocza,

niż udzielić odpowiedzi aspirantowi, więc potaknąwszy z uśmiechem, zniknęła na zapleczu.

– Waldek, nie przerywaj mi dochodzenia – zganił redaktora Nowicki.

– A co, ty nie chcesz herbaty? – zjeżył się Waldemar.

– Chcę, ale ona teraz zastanawia się, co powiedzieć, i może ułożyć jakieś gładkie kłamstewko, jeżeli uzna to za stosowne. W przesłuchiwanie świadków trzeba iść za ciosem.

– E tam, znalazł się mistrz przesłuchań. Żebyś wiedział, z kim ja czasami muszę rozmawiać... – zaczął Mrocz, ale przerwał krytykę w pół słowa i rozpromienił się na widok pani Danuty powracającej z trzema parującymi szklankami. – Serdecznie pani dziękujemy. Straszny ziąb dzisiaj.

– No więc... – zaczęła recepcjonistka, która nie zamierzała uchylać się od odpowiedzi. Może chwila samotności pomogła jej uporządkować niepokojące fakty. – Przede wszystkim Dziubak przez ostatnie dwa dni chyba całe poranki spędzał w kościele. Obydwoje mieszkamy w Jeleniewie, więc zazwyczaj podwożę go do pracy, ale w tym tygodniu zrezygnował z podwózki. Z tym że ja go codziennie widziałam, jak wystawał przed kościołem, czekając na pierwszą mszę o godzinie ósmej.

– I co w tym takiego dziwnego? – Magda odezwała się po raz pierwszy. – Znam wiele starszych osób, które codziennie biorą udział w nabożeństwach.

– Ale nie Dziubak. – Pani Danuta zamachała rękami. – On i w niedzielę omijał kościół szerokim łukiem. Nawet na pasterkę i rezurekcję nie chodził. A z proboszczem to się tak żarł, że szkoda gadać. Chyba musiało mu zacząć nagle bardzo doskwierać sumienie, no bo skąd taka zmiana?

– Cóż, nigdy nie wiadomo, kiedy i z jakich przyczyn przydarzy się człowiekowi nawrócenie – skwitował wyrozumiale Mrocz. – A pan Antoni mógł zacząć zastanawiać się nad sensem życia, kiedy nieoczekiwanie zmarł jego wieloletni pracodawca, a on sam niemal otarł się o śmierć.

– No to coś państwu pokażę – zaproponowała kobieta. – Ktoś powinien to zobaczyć, tylko błagam, nie mówcie Antoniemu, że wiecie o tym ode mnie.

Zaintrygowani łowcy skarbów podążyli za panią Danutą do sutereny. W przylegającym do kuchni przedsionku znajdowały się wąskie drzwi, które recepcjonistka otworzyła z wyraźnym wahaniem.

– Antoni ma tu taką własną kanciapę, w której sypia, jak nie chce mu się wracać do Jeleniewa albo kiedy zimą trzeba przez całą noc pilnować kotłowni. Jeszcze w niedzielę było tutaj zupełnie normalnie, jeśli nie liczyć straszego bałaganu, a teraz... Sami popatrzcie.

Ciekawska trójka z trudem wepchnęła się do maleńkiego pokoiku. Pierwszym, co przykuło ich uwagę, był sporych rozmiarów krucyfiks przymocowany zardzewiałym drutem do zakratowanego okienka znajdującego się tuż pod sufitem. Całą ścianę poniżej wytapetowano przedstawiającymi świętych obrazkami, wyciętymi z gazet reprodukcjami ikon, puste miejsca uzupełniono zaś kartkami wyrwanymi z Biblii. Wewnętrzna strona drzwi została udekorowana w podobny sposób. Na chwiejnym stoliku stały trzy gromnice osadzone w zachlapanych stearyną spodeczkach.

– To już zakrawa na religijną obsesję – mruknęła Magda.

– Nie, to nie jest obsesja – wyszeptał Mrocz. – Widywałem już podobne instalacje podczas swojej kariery. To strach. Śmiertelny strach przed czymś nadprzyrodzonym, co czai się na zewnątrz.

Żaboklicka zerknęła na jego ledwie widoczną w półmroku twarz i spostrzegła w piwnych oczach znajomy błysk, który ostatnio jakby nieco przygasał. Mały badacz tajemnic odzyskał nadzieję na spotkanie z Nieznanym.

– Na pewno nie domyśla się pani, dokąd mógł pójść Dziubak? – chciał się upewnić Piotr.

Pani Danuta, która zdecydowanie wzdragała się przed przestąpieniem progu izdebki, bezradnie rozłożyła ręce.

– Antoni czasem przesiaduje w swojej szopie na łodzie, tu niedaleko, zaraz nad jeziorem, ale przecież nie w taki mróz. Nie ma go już ze dwie godziny, zamarzęby na kość.

– Może właśnie o to mu chodzi – mruknął aspirant, pocierając nos. Po czym zwrócił się do przyjaciół: – Chodźcie, sprawdzimy tę szopę. Martwię się o pana Dziubaka, chyba przechodzi jakiś poważny kryzys.

Pożegnali recepcjonistkę i pomaszerowali w gęstniejący mrok. Noc nadciągała nadspodziewanie szybko, ponieważ wieczorne niebo zasnuły ołowianoszare chmury, z których zaczynały prószyć pierwsze płatki drobnego śniegu. Tym razem nikt nie zabrał latarki, ale wiodącą na brzeg ścieżkę znaczyły liczne ślady butów. Ktoś ostatnio często kursował trasą pomiędzy jeziorem i pensjonatem.

– Poważnie myślisz, że pan Antoni może sobie coś zrobić? – zwróciła się szeptem do Nowickiego Magda. Nie chciała podjudzać Mrocza, którego fantastyczne uwagi wydawały jej się bardzo nie na miejscu, jeżeli w grę wchodziło ludzkie życie.

– Miałem już do czynienia z samobójcami. Potem zwykle wszyscy mówili: „Ojej, to można było przewidzieć, tak dziwnie się ostatnio zachowywał”. Tyle że nikt wcześniej nie kiwnął palcem. Nie chcę, żeby teraz było tak samo – odpowiedział jej równie cicho Piotr.

O fakcie, że szopę postawiono na samym brzegu jeziora, świadczyła jedynie idealnie pozioma i przygnębiająco pusta płaszczyzna śniegu rozciągająca się za jej wschodnią ścianą. Sklecona z desek budka miała dwie pary wrót umożliwiające jej otwarcie na przestrzał. Mrocz szarpnął za bliższe z nich i przekonał się, że nie są zamknięte. Zajrzał ciekawie do wnętrza i po chwili zdołał wyłowić z gęstej ciemności zarys ręcznej wyciągarki. Kształt spoczywającej nieco dalej łodzi zasugerowała mu jedynie wyobraźnia.

– Ma ktoś telefon? – zapytał. – Mój poszedł na dno razem z samochodem Rączkowskich.

Nowicki spoza pleców redaktora posłał w głąb szopy wątki strumyk ledowego światła.

– Raczej nikogo tu nie ma – stwierdził.

– Tutaj! – zawołała Magda. – To chyba ślady nart.

Piotr pospieszył w jej stronę, przyświecając sobie smartfonem. Rzeczywiście, kilka kroków od szopy zaczynała się w śniegu podwójna linia, która prosto jak strzelił biegła przez nieskalanie białą taflę jeziora. Nie sposób było dostrzec, czy ktoś znajduje się na jej końcu, ponieważ ściana lasu na przeciwległym brzegu stanowiła nieprzeniknione czarne tło.

– O cholera! – zaklął Nowicki i wskoczył na lód.

Ale już po kilku krokach musiał się cofnąć, kiedy pod jego stopami rozległy się podejrzone trzaski.

– Jeszcze przez kilka dni nie da się po tym bezpiecznie chodzić – usprawiedliwiał się aspirant.

– Dlatego Dziubak wziął narty – domyśliła się Magda. – Żeby rozłożyć ciężar. Czyżby zamierzał się utopić?

– Jeżeli tak, to wymyślił strasznie skomplikowany sposób. Tutaj już nieopodal brzegu dno opada na kilka metrów. Więc co za różnica?

– Może nie chciał, żeby jakiś dobry samarytanin w ostatniej chwili pomieszał mu szyki – zastanawiała się dziewczyna.

– A widzisz tu gdzieś jakiegoś samarytanina? – Piotr zatoczył ramieniem krąg wzdłuż linii horyzontu.

– Owszem – odparła, spoglądając na niego z bladym uśmiechem.

– Bardzo dziwne! – Usłyszeli stłumiony głos Mrocza. – Z czymś takim się jeszcze nie spotkałem.

Ciekawski redaktor okrążył szopę i teraz znajdował się po jej drugiej stronie. Kiedy młodzi ludzie dołączyli do badacza tajemnic, zobaczyli, że kuca, pilnie przypatrując się regularnym zagłębieniom wydrążonym w śniegu. Zapewne były to odciski stóp lub łap jakiegoś zwierzęcia, ale że znajdowały się przy południowej

ścianie szopy, słońce wytopiło ich brzegi, zamieniając tropy w obłe dołki o trudnym do zidentyfikowania kształcie. W każdy ślad ktoś wbił złączone w kształt krzyża gałązki, więc całość przypominała miniaturowy cmentarzyk.

– To chyba rodzaj jakiegoś egzorcyzmu – mamrotał pod nosem Waldemar.

– Dla mnie to kolejny objaw kompletnej fiksacji. Idę zapytać panią Danutę, czy w wypożyczalni są jakieś pasujące na mnie narty – zdecydował Piotr.

Jednak już po kilku krokach przystanął i zaczął z uwagą wpatrywać się w powierzchnię jeziora.

– Dzięki Bogu! – zawołał. – Chyba wraca!

Ponury zmierzch zdążył już w zasadzie ustąpić miejsca nocy, więc poszukiwacze zaginionego skarbu widzieli początkowo tylko odległe światełko z mozołem pełną w kierunku brzegu. W końcu w lekko rozmytej szarością czerni zamajaczyła zgarbiona sylwetka mężczyzny sunącego rytmicznym krokiem narciarza.

– Dobry wieczór, panie Dziubak – powitał przybysza aspirant, wywołując u wędrowca bardzo nerwową reakcję.

Antoni podskoczył, omal nie tracąc równowagi, którą i tak, jako niewprawny narciarz, utrzymywał z najwyższym trudem, i złapał się oburącz za serce. Dopiero kiedy blask jego czołówki wydobył z mroku postać Piotra, trochę się uspokoił. Przez chwilę ciężko oparty na kijkach łapczywie chwycił powietrze, zanim wysapał:

– Piotrek Nowicki! Prawie na śmierć żeś mnie wystraszył. Co ty tu robisz o tej porze?

– Przyszliśmy zapytać, czy to przypadkiem nie pan wykopał z sadzawki pod Górą Zamkową precjoza ukryte tam przez świętej pamięci Romanowskiego – wypalił Nowicki, trzymając się swojej zasady, żeby nie dawać przesłuchiwanemu świadkowi nawet chwili wytchnienia.

Jednak tym razem chyba przesadził, ponieważ starszy pan, pozbawiony owej chwili niezbędnej na odzyskanie spokoju ducha, miał spore szanse zejść na zawał.

– Ja – wycharczał. – Przyznaję, że to ja, ale pozwólcie mi na chwilę usiąść. Muszę odetchnąć.

Dziubak nie był w stanie odpiąć nart drżącymi rękami, więc Magda przykucnęła i pomogła mu uporać się z wiązaniami. Uwolniła też starszego pana od sanek przytroczonych za pomocą długiej linki do szelek sportowego plecaczka. Potem, podtrzymując troskliwie pod ramię, poprowadziła ofiarę własnych lęków do pobliskiej szopy. Nie widziała szans, żeby roztrzęsiony recepcjonista dotarł o własnych siłach do ciepłego pensjonatu.

– Dziękuję, serdecznie dziękuję panience – mamrotał Antoni, zapalając gazową lampę. – Te ostatnie dni zupełnie mnie wykończyły, a teraz jeszcze w głowie mi się zakręciło z wysiłku, a może z nerwów. O, tu sobie przycupnę na stołku i raz dwa dojdę do siebie. Są tu jeszcze jakieś zydelki, to siadajcie, gdzie kto zdoła.

Piotr, któremu zrobiło się trochę głupio, kombinował, jak by tu ponowić pytanie w bardziej oględny sposób, ale okazało się, że niepotrzebnie łamał sobie głowę. Dziubak, gdy wreszcie zaczerpnął tchu pełną piersią, sam wrócił do tematu.

– Ano, jako się rzekło, to ja wykopałem te przeklęte klamoty Henryka. A przedtem to je zakopałem, sam nie wiem po co. W dodatku wszystko robiłem po nocy. Już latem, jak Ignac wyławiał te rupiecie z jeziora, miałem jakieś złe przeczucia, a jak je teraz znowu zobaczyłem, to aż mnie dreszcz przeszedł. I nie trzeba było długo czekać. Najpierw Henryk, potem Ignac. Ciach, ciach: jeden po drugim poszli do piachu. Ja od razu mówiłem, że to nic innego tylko jakaś klątwa, kiedy szlag trafił Wójtowicza. Ale oni mnie nie słuchali. Teraz tylko ja jeszcze jakimś cudem żyję, choć nie wiem, czy długo pociągnę. Sami widzicie, co się ze mną porobiło. Strzęp człowieka.

– Ale jak to się stało, że to pan, a nie Ignacy Łoś, zabrał skarb? – Piotr koniecznie chciał dopasować ostatni element do swojej układanki.

– Jaki tam skarb! – wybuchnął starszy pan. – Kupa łajna, nie skarb. Oni też tak mówili, że skarb, cenneści i takie tam. A to, za przeproszeniem panienki, sterta gówna była. Badziewie jakieś pordzewiałe. A wyciągnąłem to na powrót z błota,

bo mi Ignac kazał. Dostał w niedzielę taką wiadomość na telefon i powiada: „Idź, Antoni, do sadzawki i wykop wszystko, cośmy tam zakopali, a ja po ciebie później podjadę samochodem, bo teraz kolację dla Zużki szykuje”. Ale jak tu iść, kiedy, ni stąd, ni zowąd, śniegu po kolana nawaliło? A mnie na zmianę pogody w kulasach strasznie łupie. No to popłynąłem łódką. Wzdłuż brzegu to nawet bliżej, a przecie lód Szurpił jeszcze nie skuł. Wykopałem z sadzawki, co tam było, chociaż po prawdzie to wolałbym, żeby zgniło w ziemi, i czekam jak głupi na Ignaca na mrozie. Późno się zrobiło, bo kupę czasu zmitrężyłem, szukając właściwego miejsca. Zupełnie inaczej świat wygląda, kiedy go śniegiem zawieje. No więc jak już skostniałem, to myślę sobie, że Ignac całkiem o mnie zapomniał, kiedy mu Zużka coś ładnego pokazała. Zwaliłem klamoty na płachtę i zawlokłem do łodzi. Raz dwa wróciłem, ale Gutka ani widu, ani słyhu. A potem przyjechała policja i mówią, że szef nie żyje. Nie wiedziałem, czy mam mówić o tym barachle, co w szopie leżało, to na wszelki wypadek nic nie gadałem. Bo i po co, skoro nie pytali? Teraz wiem, że trzeba było wszystko policjantom oddać. Może tak bym kłatwę od siebie oddalił. Ale ja, jak głupi, sam zostałem z tym wszystkim, to i zło się do mnie przypętało. Zaraz tej samej nocy kudłate diabły wypadły z piwnicy. W łeb mnie zdzieliły, mało zabrakło, żebym do Henryka i Ignaca dołączył. Jak mnie w szpitalu opatrzyli, myślałem, że już po wszystkim, że mi jednemu się upiekło. Gdzie tam! Dopiero zaczął mnie zły nękać, w domu nachodzić, nawet jak do tej swojej kanciapy w pensjonacie uciekłem, dalej mnie czarny nawiedzał. W kościele się modliłem, nawet do spowiedzi pierwszy raz od lat poszedłem, ale nie pomagało. Wodę święconą lałem, znów jak grochem o ścianę. Nawet krzyżyków i świętych obrazków potępieniec się nie zląkł. Aż w końcu dzisiaj poszedłem po rozum do głowy i myślę: „Antoni, oddaj, co nie twoje, to się Lucyfer odczepi”. Łodzią płynąć nie dało rady, więc narty wziąłem, żeby bezpiecznie po cienkim lodzie chodzić. Klamoty z szopy załadowałem na sanki, zawlokłem nad toń, no i wrzuciłem wszystko w przerębel. Dokładnie w tym samym miejscu, gdzieśmy to w lecie wyłowili.

– Co pan zrobił? – nie wierzyła własnym uszom Żaboklicka.

– W przerębel badziewie cisnąłem! – wydarł się Dziubak, sądząc widocznie, że trafiła mu się przygłucha słuchaczka.

– Ale przecież to były skarby wikingów. Miały z tysiąc lat, albo i lepiej. – Magda nie potrafiła pogodzić się z bolesnym rozczarowaniem. Gdyby przybyli na miejsce zaledwie dwie godziny wcześniej...

– A panienska znowu skarby i skarby! – Teraz z kolei zdenerwował się Antoni. – Ludzie, kto wam takich głupot naopowiadał? Pewnie Henryk. Przecież mówię, jak komu mądrymu, że to się nawet na złom nie nadawało. Na składzie u Frączaka w Suwałkach to człowiek czasem w złomie różne pożyteczne rzeczy wygrzebie. Zaś Ignac powyławiał z jeziora jakieś pordzewiałe tace, garnki, miski i takie pogięte końcówki do kłucia, co się je zatykało na kiju. Henryk się cieszył jak durny, że niby in- coś tam, bodajże torsjowane, srebrem i złotem, ale tego kruszcu uzbierałoby się wszystkiego może na obrączkę. Tyle tego było co brudu za paznokciem. I jak nie idzie brudu spod paznokcia wydłubać, tak nie szło okruszków złota wydłubać z tego zardzewiałego żelastwa. Siekierek to by się nazbierało ze dwadzieścia, ale wszystkie skorodowane, aż żal. Nie dałoby rady żadną nawet zapałki porąbać. Psu na budę. Ani monet, ani klejnotów, taki to był skarb, ot co!

Przyjaciele z domu nad jeziorem skwitowali wywód starszego pana milczeniem. Niby w jaki sposób mieli wytłumaczyć Dziubakowi, na czym polega wartość historyczna przedmiotu? Przecież bojowy skandynawski topór po upływie milenium faktycznie nie nadawał się już do użytku. A skoro nie przyda się w gospodarstwie, to z punktu widzenia Antoniego powinien trafić na złom. Bardzo trudno polemizować z poglądami opartymi na zasadach pierwotnej racjonalności, kiedy argumenty zaczerpnięte ze sfery abstrakcyjnych idei trafiają w próżnię.

– Już mi trochę lepiej – zadeklarował Dziubak, dźwigając się z zydelka. – Zgrzałem się wcześniej, a teraz mróz kąsa. Lepiej chodźmy do pensjonatu, zanim mnie ze szczętem połamie.

Kiedy brnęli przez śnieg pokrywający stromą ścieżkę, zapytał niepewnie:

– Piotrek, chyba nie będzie z tego dla mnie żadnych kłopotów? Przecież w sumie ja nic złego nie zrobiłem.

– Nie wiem. – Nowicki bezradnie rozłożył ręce. – Po prostu nie wiem. Ta cała historia ze skarbem jest jakaś pokręcona. Pozbawiona najmniejszego sensu. A jednak trzech ludzi nie żyje.

– Ja nikomu nie wyrządziłem najmniejszej krzywdy! – W głosie starszego pana dało się wyczuć nutę świętego oburzenia. – To wszystko przez klątwę.

W międzyczasie dotarli do pensjonatu, więc Piotr postanowił darować sobie rozważania, jakie paragrafy potencjalnie mógł naruszyć pan Antoni. Poczuł przypływ otepiającego zmęczenia i marzył już tylko, żeby wreszcie dane mu było przespać jedną noc bez jakichkolwiek przygód.

– Znalazła się nasza zguba – poinformował panią Danutę. – Proszę się nie martwić. Wszystko powinno niebawem wrócić do normy.

– A możemy dostać jeszcze po takiej pysznej herbatce? – zapytał z lizusowskim uśmiechem Mrocz. Redaktor dobrze pamiętał, że w willi nie może dziś liczyć na podobne luksusy. – Pan Antoni na pewno przemarzł.

Usiedli na chwilę w rozstawionych w holu fotelach, żeby wypić gorący napar.

– W sumie rzeczywiście jakby nic się nie stało – zastanawiał się na głos Waldemar, przytrzymując rękaw, który

wypełniła gorączkowa aktywność, kiedy do nozdrzy jego lokatorki dotarł aromat herbacianych liści. – Artefakty wróciły na miejsce i kiedyś jakiś archeolog je sobie znajdzie. Tym razem w majestacie prawa. Boję się tylko, że musiały się trochę podniszczyć podczas tych wszystkich peregrynacji.

– Myśli pan, że klątwę mam już z głowy? – zapytał pan Antoni, widząc zapewne w Mroczu cichego sojusznika.

– Och, z całą pewnością – zapewnił starszego pana z powagą doświadczony badacz zjawisk paranormalnych. – A swoją drogą czy mógłby mi pan zdradzić, jaką formę przyjmowało owo prześladowanie ze strony Złego? Naturalnie

pomijając nieczystą siłę, która zdzieliła pana w głowę, ponieważ ją już udało się zidentyfikować, a nawet uwięzić.

– Ano cięgiem zwidywał mi się taki czarny potwór podobny do wilka. Łaził za mną po nocach, wył na podwórzu, a tutaj próbował wleźć przez okienko do mojej kanciapy. Dzięki Bogu, że Ignac pozakładał kraty – wyznał drżącym głosem Dziubak.

Dostrzegając niebezpieczny błysk w oku redaktora, Magda szybko skomentowała:

– Widać jeszcze któryś z mieszańców wyhodowanych przez Rączkowskich hula na wolności. Te psy wywierają takie przerażające wrażenie, zwłaszcza po zmroku, że każdemu są w stanie namącić w głowie.

– Jaki tam pies, panienko! – wzdrygnął się Antoni. – Ja jeszcze takiego psa, co by chodził na dwóch zadnich łapach, miał ręce jak człowiek, a chwost jak zwierz i sięgał łbem powały, nie widziałem. Nawet w cyrku. A jakie ślady zostawił pod szopą! Jak tygrys!

– Co? – Mrocz oblał przód swego płaszczyka herbatą. – Panie Antoni, musi mi pan zaraz wszystko dokładnie opowiedzieć. Gdzie mój notatnik? Że też nie mam telefonu, kiedy na gwałt potrzebny mi dyktafon.

– Waldek, ja się muszę wyspać. Jedźmy do domu – jęknął Piotr.

Lecz rozanielony badacz tajemnej strony bytu zapomniał o znużeniu. Zapomniał o mokrym płaszczu. Zapomniał o całym bożym świecie. Właśnie teraz, kiedy utracił już wszelką nadzieję na odnalezienie w zagmatwanej sprawie jakichkolwiek śladów paranormalnej aktywności, Opatrzność podrzuciła mu nowy trop wiodący do krainy Nieznanego.

– To wy już sobie idźcie, skoro chce wam się spać – zbył niezbyt uprzejmie przyjaciół, nawet na nich nie patrząc. – Ja i tak nie potrafiłbym zasnąć. Najwyżej przenocuję w pensjonacie i Magda mnie jutro zabierze. Ależ to będzie artykuł. Założę się, że wszystkie moje teorie znajdują wreszcie potwierdzenie. Niech pan

mówi, panie Antoni, wszystko od samego początku i ze szczegółami. Ja potrafię słuchać.

Magda ujęła Piotra za rękę i delikatnie pociągnęła w kierunku drzwi. Kiedy znaleźli się w mroźnej ciemności, parsknęła śmiechem.

– A to się na koniec Waldkowi trafiło! Jak ślepej kurze ziarno!

– No cóż, przynajmniej on znalazł to, czego szukał. Ale obawiam się, że Dziubak powinien trafić na tomografię mózgu. Coś się jednak staruszkowi poprzestawiało po tym uderzeniu – westchnął Piotr.

– Ty pewnie dostaniesz awans i do tego jeszcze jakiś medal – szczebiotała Magda, której teraz, kiedy już poznała w zarysach zawartość skarbu, było go jakby ciut mniej żal.

– Chyba żartujesz – uśmiechnął się gorzko Piotr. – Czeka mnie dyscyplinarka za narażenie życia partnera i cywili. W nagrodę to mnie może tylko nie zdegradują. Ta zołza, Rybińska, sugerowała nawet, że powinienem zrezygnować ze służby, bo się nie nadaję do zawodu policjanta.

– A nie myślałeś, żeby na serio przeanalizować jej sugestię? – Pytanie Magdy wprowadziło Piotra w osłupienie. – Czy ty naprawdę musisz być tym policjantem? Wiem, że jesteś świetny, ale popatrz, jak cię traktują przełożeni. Nie znasz się, na przykład, na budowlance?

– No nie! – Piotr postanowił potraktować dociekania Magdy jako żart. – To znaczy znam się na budowlance nie bardziej niż pierwszy lepszy facet w okolicy, bo przecież co rusz trzeba coś naprawić albo wyremontować. Ale tak naprawdę to się nie znam. Co innego stolarka. Mój ojciec był stolarzem i zamierzałem pójść w jego ślady, bo od małego kochałem drewno. Tyle że ojciec zmarł, kiedy jeszcze chodziłem do podstawówki, a matka z czasemowyprzedawała wszystkie maszyny, więc jak dorosłem, to nie miałem z czym zacząć. Wstąpiłem do policji. A teraz wolałbym nie stracić i tej roboty.

– Jesteś stolarzem? – Magdę jego wyznanie z nieznanых przyczyn wprowadziło w niekłamany zachwyty.

– Nominalnie nie jestem, ale wciąż jeszcze poradziłbym sobie lepiej niż niejeden z tak zwanych fachowców – przyznał z odrobiną dumy Piotr.

– Czy ty sobie zdajesz sprawę, że to żyła złota? – zaczęła tłumaczyć dziewczyna. – Nie masz pojęcia, jakie kłopoty mam ze znalezieniem stolarza przy każdej kolejnej aranżacji. A jak już się znajdzie, to zaraz wychodzi na jaw, że pije. To chyba jakieś fatum tego zawodu. Może przez te politory. W każdym razie trzeźwy stolarz z artystycznym zacięciem jest wart pięciu innych fachowców.

– Ale potrzebny jest dobrze wyposażony warsztat. – Piotr usiłował ostudzić jej niewczesny entuzjizm. – Kozikiem i siekierą nic nie zdziałasz. A ja nic nie mam.

– Ale ja mam! – wykrzyknęła triumfalnie Żaboklicka, walcząc z przymarzniętymi drzwiczkami samochodu. – Zażądałam od swojej szefowej tej obiecanej na święty nigdy premii. Zagroziłam, że jutro znikam z budowy, i wyobraź sobie, że już mi przelała połowę pieniędzy. Za jakieś trzy miesiące dostanę resztę i byłoby coś na start. Bo widzisz, tak sobie pomyślałam, że Suwałki to w gruncie rzeczy miasto z przyszłością. Będzie tu powstawać coraz więcej nowych knajp, hoteli, pensjonatów, bogaci ludzie zaczną przyjeżdżać i budować dacje i wszyscy będą potrzebować pięknego wystroju wnętrz. Ja mogę projektować i wykańczać drobne elementy, ty ogarnąłbyś stolarkę, a jakbyśmy jeszcze namówili do współpracy Kołodę, to biznes hula.

– Tolek w życiu nie zechce ze mną współpracować – powątpiewał dla zachowania formalności Piotr, pragnąc ukryć, że roztaczana przez Magdę wizja coraz bardziej przemawia do jego wyobraźni.

– Eee tam! – Gotowa stawić czoła wszelkim przeciwnościom projektantka wzruszyła tylko ramionami, sadowiąc się na zimnej tapicerce. – Niech no zwącha kasę, a zapomni o wszelkich wydumanych urazach.

– A co ty będziesz z tego miała oprócz ewentualnych pieniędzy w nieokreślonej przyszłości? – zapytał Piotr. – Przecież chciałaś robić karierę w Warszawie.

– Jakoś dzisiaj, leżąc na tym pękającym lodzie, wyobraziłam sobie długie, spokojne życie, mały domek w przepięknej, nieskażonej przez smog okolicy

i rozczulająco naiwnego męża z nosem jak hamulec od karuzeli – odparła z rozmarzeniem dziewczyna.

O cholera, znowu wszystko dzieje się zbyt szybko – pomyślał Piotr. – To zabrzmiało trochę jak oświadczyzny.

Po czym zatrzasnął drzwiczki po stronie pasażera. Rozregulowany silnik zaskoczył z terkotem już przy pierwszym podejściu, więc dalszego ciągu rozmowy dwojga młodych ludzi ani wynikających z niej konkluzji nie dało się usłyszeć. Leciwy pojazd, przyświecając sobie apatycznie przygasłymi reflektorami, zniknął wśród zasp.

A gdzieś wysoko, w niebiesiech, kierująca losami mieszkańców Ziemi Opatrzność śmiała się do rozpuku, pomimo gorzkiej świadomości, że jej specyficzne żarty rzadko znajdują uznanie wśród ludzi. Lecz za to do łez bawią tchórzofretki.

KONIEC

Spis treści:

Karta tytułowa

Noc pierwsza

Noc druga

Noc trzecia

Noc czwarta. Pełnia Księżyca

Dzień pierwszy

Dzień drugi

Spis treści:

Karta redakcyjna

Tajemnice suwalskiego jeziora

Wydanie pierwsze

ISBN: 978-83-8219-506-4

© Krzysztof Jasza i Wydawnictwo Novae Res 2021

Wszelkie prawa zastrzeżone. Kopiowanie, reprodukcja lub odczyt jakiegokolwiek fragmentu tej książki w środkach masowego przekazu wymaga pisemnej zgody wydawnictwa Novae Res.

Redakcja: Joanna Rychter

Korekta: Magdalena Wołoszyn

Okładka: Krystian Żelazo



Wydawnictwo Novae Res należy do grupy wydawniczej Zaczytani.

Zaczytani sp. z o.o. sp. k.

ul. Świętojańska 9/4, 81-368 Gdynia

tel.: 58 716 78 59, e-mail: sekretariat@novaeres.pl

<http://novaeres.pl>

Publikacja dostępna jest w księgarni internetowej zaczytani.pl.

Na zlecenie Woblink

woblink

woblink.com

plik przygotowała Katarzyna Rek